

Mrok, zemsta, tajemnica...

**BEZ  
LITOŚCI**

**JAMES SCOTT**



JAMES  
SCOTT  
**BEZ LITOŚCI**  
Przekład Jerzy Malinowski



*Dla Taylora*

# Część I

# Rozdział 1

Elspeth Howell była grzeszna. Myśl ta krążyła nad nią, kiedy myła twarz, kiedy uchwyciła swoje odbicie w oknie, gdy wysiadała z pociągu po kilku miesiącach spędzonych poza domem. Ilekroć zobaczyła kościół albo jej mąż przytoczył werset z Biblii, ilekroć dźwigając bagaże, dotknęła prostego krzyżyka na szyi, w zapadniętej piersi czuła uwierający, kamienny ciężar swoich grzechów. Wielość grzechów – złość, pożądliwość, złodziejstwo – rodziła w jej ciele napięcie, które złagodzić mógł tylko ruch, znalezienie czegoś, co dałoby zajęcie grzesznym rękóm i zatrudnienie skłonny do pokus myślóm, brnęła więc teraz zawzięcie przez sięgające pasa zaspę.

Z każdą pokonaną milą niebo szarzało, a ciężkie chmury zrzucały coraz obfitsze brzemię śniegu. Zsunęła zasłaniającą twarz chustę i zimne powietrze wdarło się boleśnie do płuc. Każda kropla potu, która wyślizgnęła się spod rękawicy albo stoczyła po kosmyku włosów, natychmiast zamieniała się w skrzący się w resztkach dziennego światła lód.

W kieszeni Elspeth miała listę z imionami i datami urodzenia dzieci, każdy rok był dwu-, trzykrotnie przekreślony, więc kupując prezenty, o nikim nie zapomniała. Dla Amosa, czternastolatka, miała przyrząd do skrobania ryb; dla dwunastolatka Caleba wabik na gęsi; dla dziesięcioletniego Jessego nóż myśliwski; dla piętnastolatki Mary metr sukna; wreszcie dla sześciolatniej Emmy fioletową wstążkę, a dla obu panien do podziału flakonik perfum. Opatulone starannie przed zimnem i ukryte na dnie torby leżały truskawkowe landrynki, żelki i gumy do żucia. Mężowi kupiła dwa pudełka nabożów i nowe nożyce do strzyżenia owiec. Na wszystko to razem wydała tylko ułamek swojego czteromiesięcznego wynagrodzenia akuszerki. Resztę ukryła w czubku buta.

Za jej plecami ciągnęła się dolina, ślady zatarła już śnieżycą. Kiedy Elspeth późnym rankiem wysiadła w Deerstand z pociągu, lekko prószło, ale teraz, im bliżej była domu, tym mocniej i zacieklej atakowała zadymka. Było tak, pomyślała sobie, jakby Bóg nie chciał dopuścić tu żadnych obcych. „Jesteśmy dla samych siebie Arką, która czeka, aż wzbiorą wody potopu”, lubił mawiać jej mąż, Jorah. Dźwięczał jej w uszach jego łagodny głos, cichy jak westchnienie wiatru i szept płatków mokrego śniegu. Tęskniła za nim. Tęskniła za jego jedwabistymi włosami łaskoczącymi w nocy jej policzek, za cichym stąpaniem, kiedy rano wychodził doić krowy. I za jego

zapachem, zapachem liści, dymu i świeżego powietrza.

Zamierzała wrócić do domu w październiku. Dziecko urodziło się, zanim śnieg przykrył ziemię, a ona zachodziła każdego dnia, żeby sprawdzić, czy rośnie zdrowo, żeby dotknąć każdego z osobna paluszka i perłowego paznokcia. Dziecko rosło. Październik ustąpił listopadowi, kalendarz już flirtował z grudniem. W mieście, w każdym mieście, zawsze potrzebna była akuszerka. Jeszcze dzisiejszego ranka stała przy oknie w ciepłe kominka i nie mogła się zebrać do wyjścia na stację, nim nastał na dobre dzień.

Choć do domu było jeszcze daleko, dręczyło ją złe przeczucie. Przyspieszyła kroku i zapomniała o ostrożnym stawianiu kroków. Zeszła z drogi i znalazła się wśród nagich dębów i drżących sosen. Odbite od śniegu światło nadawało gasnącemu dniowi siny odcień, a było go tylko tyle, żeby wiedziała, któredy iść dalej. Ścieżka znów zaczęła się wznosić i w oddali znikwała między drzewami. Po pofałdowaniu terenu Elspeth poznała, że idzie po polu kukurydzy. Zwiędłe łodygi trzeszczały pod zmrożoną warstwą śniegu i lodu. Szła teraz wzdłuż strumienia, który dostarczał im wody, zamrożonego na powierzchni, ale szemrzącego pod spodem. W tej właśnie chwili uświadomiła sobie, co było źródłem jej niepokoju. Nie czuła zapachu dymu z komina, nie słyszała nawoływań chłopców pędzących owce i zaganiających krowy, nie widziała witających ją światła w oknach.

Wspięła się na ostatni pagórek. Dom stał na niewielkim płaskowyzu, jakby stworzonym ręką Boga specjalnie dla nich na kryjówkę chroniącą przed światem. Wstrzymała oddech, szukając zmysłami jakichkolwiek śladów życia, ale do jej uszu dotarł tylko odległy trzask gałęzi. Poza tym cisza. Nie widziała dymu z komina, mimo późnej pory w oknach nie paliło się światło. Ruszyła biegiem. Potknęła się i ciężka torba pociągnęła ją w śnieg. Podparła się rękami i wbijając stopy w śnieg, podniosła się i pobiegła w stronę domu.

Kiedy znalazła się bliżej, obok frontowych drzwi dostrzegła zagłębienie w śniegu. Niedźwiedź, pomyślała, albo wilk, ale nagły ucisk w żołądku i fala mdłości podpowiadały coś innego. Dostrzeżona barwa poderwała ją do szybszego biegu. Zagłębienie, wielka dziura, otwierało się przed nią, bała się, że ją pochłonie tak, jak – widziała to kiedyś ze szczytu tego samego wzgórza – tornado owinęło się wokół trzydziestometrowego dębu, po którym została tylko jama w ziemi, w miejscu, gdzie wcześniej były korzenie. Z mroku zagłębienia znów wyłonił się kolor, czerwona smuga niczym rozdwojony język diabła. Siatkowe drzwi stuknęły o futrynę, kiedy

Elspeth upadła na kolana. Tam, w nocnej koszuli, leżała Emma, najmłodsza, ze zlepionymi krwią blond lokami. Czerwona wstążka do włosów powiewała na wietrze. Śnieg, stopiony pod jej ciałem, zdążył już zamarznąć, tworząc połyskującą masę. Koszulę nocną i twarz pokrywała cienka warstwa śnieżnego puchu. Elspeth zdjęła rękawiczkę, żeby go zmieść. Emma została zastrzelona. Mróz obkurczył skórę wokół niewielkiego otworu na czole, pozostawiając tylko wąską otoczkę krwi. Elspeth jęknęła załóżnie i potarła dłonie, zanim ośmieliła się odsunąć zasłaniający ranę kosmyk włosów i założyć go za ucho dziewczynki. Gdyby nie gwałtowna odraza, jaką w Elspeth wzbudzał ten widok, mogłoby się wydawać, że Emma po prostu śpi. Śnieżyca ustała, z odgarniętymi włosami Emma znów bardziej była podobna do siebie. Ale to sprawiło, że Elspeth poczuła nowy, potężniejszy ból. Miała ochotę krzyczeć, zawołać kogoś na pomoc, ale przecież zamieszkali w swojej arce, żeby być daleko od ludzi. Najbliższym miasteczkiem było Deerstand, oddalone o sześć godzin marszu, odległość, którą Elspeth ledwie pokonywała za dnia. Przeniosła wzrok na stajnię, gdzie sypiał Caleb, ale tam także nie było oznak życia. Na wzgórzu panowało teraz zimno, przed którym chroniły ich wcześniej ściany domu i ogień w kominku. Nie można było nic zrobić. Nie podobna liczyć na żadną pomoc.

Elspeth otworzyła frontowe drzwi. Dom, zwykle nagrany we wczesne zimowe wieczory, nie dawał ulgi od chłodu. Pośrodku stołu kuchennego stała niezapalona lampa naftowa, obok leżały zapałki. Odłożyła torbę i zaczęła strzepywać śnieg z czapki i ramion, zwlekając z zapaleniem lampy. Nie chciała widzieć tego, co ujawni blask światła.

W ciemności namacała wieszak na płaszcz zrobiony przez Jessego. Wszystkie haczyki były zajęte. Płaszcz był zimny. Schyliła się i dotknęła rzędu równo ustawionych butów pod parapetem obok drzwi. Nie znalazła śladów roztopionego śniegu. Sama nie rozpięła nawet płaszcza i nie rozwiązała sznurowadeł.

Potarła zapałkę i przytknęła ją do nasączonego naftą knota. Oślepiąca blaskiem odwróciła głowę. Wyregulowała i zaczekała, aż oczy przywykną do światła. Niecały metr od niej, z tułowiem na piecyku, leżała Mary. Elspeth poznała wzór na jej sukience, prezencie z którejś z wypraw do miasta. Mary także zastrzelono, ale od tyłu. Materiał sukienki zaczepił o uchwyt z przodu pieca, i dlatego ciało nie osunęło się na podłogę. Elspeth cofnęła się, opuściła lampę i w odległości czterech kroków od pieca dostrzegła na podłodze Amosa. Pewnie pomagał przygotować posiłek.

Obciął włosy, kiedy Elspeth była w mieście. Wcześniej sięgały mu one, po dziewczynsku, prawie do ramion i nawet odruchowo odrzucał je do tyłu, żeby nie zasłaniały mu twarzy. Elspeth przykucnęła, żeby pogłodzić szczecinę, ciekawa, czy tik mu pozostał po obcięciu włosów, tak jak jej ojcu zdarzało się upaść rano przy wstawaniu z łóżka, bo zapominał, że stracił jedną nogę podczas pracy w młynie. Przestraszyła się, że Amosa oślepią, ale kiedy blask lampy oświetlił jego twarz, zobaczyła, że oczy zostały zasłonięte dwoma dużymi mosiężnymi guzikami, takimi jak w roboczym kombinezonie. Podparła się dłońmi i zaczęła jak owad wycofywać się na czworakach, póki nie dotarła do ściany. Nie wiedziała już sama, czy jej serce przestało bić szybko, czy może zatrzymało się. Kiedyś były dziećmi, które zawijała w pled i tuliła w ramionach. Ich główki tak słodko pachniały, kiedy je gładziła nosem i całowała.

Usłyszała cichy gwizd i zamarła. Dźwięk nie ustawał. I wtedy poczuła to na dłoni. To powietrze z zewnątrz wpadało przez dziury po kulach w ścianie. Dziesięć, dwadzieścia, niezliczone otwory po kulkach i może setki drobniejszych, po śrucinie. Skuliła się z dłońmi na kolanach. Kiedy się wreszcie przemogła, poszła do części mieszkalnej, prostokątnego pomieszczenia ciągnącego się wzdłuż całego domu. Jessego znalazła pod drzwiami pokoju rodziców. Leżał twarzą do ziemi, z rękami wyciągniętymi nad głową, jakby zastrzelono go podczas skoku do wody. Elspeth musiała go obejść, na podłodze przy jego ramieniu została grudka śniegu z buta.

Elspeth otworzyła drzwi, ale zamknęła oczy, nim blask lampy zdążył potwierdzić jej obawy. Wciągnęła głęboko powietrze. Sypialnia pachniała tak, jak ją zapamiętała, śpiącym Jorahem, jego oddechem wypełniającym przestrzeń. Uniosła wyraźnie ciężkie powieki. Spostrzegłszy męża, jęknęła i przycisnęła zaciśnięte pięści do skroni, jakby chciała zatrzymać bieg myśli. Jorah leżał na łóżku, z grymasem złości zastygłym na twarzy – ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi zębami. Jego nagi tors był poraniony. Jedna pobrudzona ziemią stopa dotykała podłogi. Elspeth przypomniała sobie, jak cicho stąpał rano, żeby jej nie obudzić. Z zadumy wyrwał ją wiatr hulający z diabelskim świstem po sypialni. Łóżko było poplamione na czarno. Kopnęła walające się na podłodze dziesiątki łusek i śrucin. Potoczyły się, uderzając o siebie z brzękiem. Nie mogła się przemóc, żeby dotknąć poszarzałej skóry męża. Zwykle kiedy wracała z wyprawy do miasta, okazywało się, że Jorah spał w tej samej pościeli, którą zostawiła przed wyjazdem. Świeżą zmianę kładła zawsze na komodzie, ale pościel pod jej nieobecność tylko się tam kurzyła. A kiedy po kilku tygodniach wracała,



pościel, w której spał Jorah, była sztywna od jego potu i brudu przywleczonego ze stajni czy z pola. Sprężyny jęknęły, kiedy przykłękała na łóżku, żeby wyciągnąć spod męża prześcieradło. Jorah miał sztywne stawy. Przeniosła jego nogi na materac i próbowała je wyprostować, nadal starała się nie dotykać jego skóry. Tak jak nauczyła się w wypadku przykutych do łóżka ciężarnych, zaczęła go przewracać na boki, rolując prześcieradło. Kiedy wreszcie je spod niego wyciągnęła, przytknęła zmięty materiał do twarzy i poczuła w nozdrzach zapach męża. Nie przejmowała się obecnością krwi, w końcu to była jego krew. Na komodzie leżało świeże prześcieradło, które dla niego zostawiła. Rozłożyła je z głośnym trzaskiem i był to jedyny dźwięk w zwykle wypełnionym hałasem domu, z którego musiała uciekać na pole, kiedy chciała się w spokoju pomodlić albo zwalczyć narastającą w jej ciele pokusę. Świeża pościel lśniła jak śnieg w świetle lampy. Rozścieliła ją pod Jorahem najostrożniej, jak potrafiła; kiedy jego ciało poruszało się, to przecież było tylko zwłokami. Nie człowiekiem, nie jej mężem. Kiedy skończyła, uniosła głowę męża, zmieniła poszewkę, strzepnęła poduszkę i ponownie uniosła głowę Joraha, trzymając go za kark, niegdyś miękki i ciepły, teraz zimny i sztywny. Wykonała gwałtowny ruch dłonią, jakby liczyła, że strząśnie niemiłe wrażenie z palców jak krople wody. Jej obrońca nigdy wcześniej nie wydawał się taki mały. Dla niej zawsze dominował nad wszystkimi i wszystkim, otaczał rodzinę opieką i zapewniał poczucie bezpieczeństwa.

Zgasiła lampę i położyła się obok niego, po domu hulał wiatr. Na zewnątrz ten sam wiatr gnał chmury na południe. Wszedł księżyc i rzucał srebrzysty blask na deski podłogowe, na stojące obok łóżka buty Joraha i łuski po nabojach.

Elspeth pomyślała ponownie o Calebie. Wyobraziła go sobie najpierw jako noworodka owiniętego żółtym kocykiem, z jaskrawoczerwoną skórą, bezzębego, kwilącego. Ale minęło już dwanaście lat. Zaczął chodzić i mówić, miał włosy koloru żywej ziemi, które spadały mu na czoło, i zeszłej jesieni stracił ostatni mleczny ząb. Był odludkiem i większość czasu spędzał w stajni, spał pośród zwierząt, rozmawiał z nimi, kiedy czuł się samotny. Pewnego wiosennego ranka poszła sprawdzić, dlaczego nie przyniósł jeszcze mleka, i zobaczyła, jak stoi oparty o ogrodzenie zagrody z brodą wspartą na złożonych dłoniach i mówi do owiec, że krowy nie są skłonne do współpracy. Kiedy Elspeth opowiedziała o tym mężowi, przyznał, że on także to widział i że chłopiec chętniej rozmawia ze zwierzętami niż z własną rodziną. Jorah zawsze przemawiał do Caleba

specjalnym tonem, łagodniejszym, jakby bał się, że chłopiec wystraszy się, spłoszy jak koń.

W domu nie było ciała Caleba. Elspeth nie była w stanie racjonalnie myśleć – w głowie jej pulsowało i dudniło – ale w końcu jakiś impuls kazał jej wstać, zrobić coś. Zerwała się z łóżka, poślizgnęła na łuskach, chwyciła futryny. Ciała jej dzieci w poświacie księżyca były niczym więcej jak cieniami. Przebiegła przez pokój dzienny i kuchnię i wypadła w mroźną noc. Przekrzykując zawodzący wiatr, który palił w twarz i pokrywał ją warstwą śniegu, wykrzykiwała imię Caleba. Stajnia kryła się w oddali w mroku, w cieniu sosen. Bez świateł w oknach domu służących za przewodnika Elspeth nie była pewna, czy znajdzie drogę do stajni, a tym bardziej, czy trafi z powrotem. Księżyc zginął w śnieżnej zamieci. Zaszła tak daleko, jak zdołała, krok za krokiem, ostrożnie, aż wreszcie jej nogi poddały się, poślizgnęła się, upadła i jeszcze raz zawołała. Gdyby Caleb ocalał, w stajni świeciłoby się, pomyślała. A ciała pozostałych nie leżałyby tak jak teraz.

Zamknęła się w domu, ale nie powiesiła swojego płaszcza obok innych i nie przestała nasłuchiwać, jakby dom mógł jej powiedzieć, co się wydarzyło. Z ilości użytej amunicji, licznych łusek i śrucin oraz faktu, że Jorah nie zdążył nawet zerwać się z łóżka, wywnioskowała, że do ich domu wdarł się więcej niż jeden morderca. Wyobraziła sobie całą armię napastników, zakradających się jak pająki. W czasie długiej podróży z Deerstand nikt jej nie śledził; zauważyłaby to, usłyszała, wyczuła. Trzeba by zapędzić się na odludzie, żeby natknąć się na farmę Howellów, stojącą, jak wielu uważało, po niewłaściwej stronie wzgórza, na takim rozległym pustkowiu w północnym krańcu stanu Nowy Jork, że nawet tym, którzy szukali tego domu, trudno było go znaleźć. Nikt nie mieszkał na tyle blisko, żeby ich znać, i tego właśnie chcieli i potrzebowali. Choć oczywiście Elspeth miała wrogów i wiele grzechów na sumieniu.

Poczuła mdłości. Rozbiła zamarzną wodę w misce i napiła się z chochelki. W pokoju pod ścianą obok dużego pieca leżały trzy kłody drewna. Otworzyła drzwiczki pieca i zobaczyła, że Jorah zdążył w nocy dołożyć drewna, żeby ogień nie wygasł do rana. To mogło tłumaczyć jego obecność w sypialni – Jorah często ucinął sobie krótką drzemkę pomiędzy wczesnoporannymi obowiązkami a wschodem słońca. Elspeth udawała, że śpi, kiedy kładł się z powrotem obok niej, a potem zasypiała, wsłuchując się w rytm jego oddechu.

Przeszła jeszcze raz nad ciałem Jessego i zabrała ze stołu zapalki. Kiedy

pierwszy szok minął, widok dzieci leżących w kuchni poruszył ją jeszcze bardziej i całe jej ciało zaczęło drżeć. Stała, trzęsąc się i pocąc, niepewna, od czego zacząć. Zdrętwiałymi z zimna palcami zaczęła wyplątywać sukienkę Mary z relingu pieca. Mary trzęsała się jak lalka przy tych nieskutecznych próbach. Jutro Elspeth będzie musiała rozciąć materiał. Jak bardzo Mary płakałaby na samą myśl o tym, ta Mary, która na podwórku ścisnęła w dłoniach uniesiony rąbek sukienki, chroniąc ją przed pobrudzeniem. Nawet kurczaki zdawały się rozumieć jej troskę i nie dziobały jej stóp, nie trzepotały skrzydłami, jak to miały w zwyczaju. Wszystko to musiało jednak poczekać do jutra, do dziennego światła. Ułożyła ciała w stajni razem z ich bratem Calebem. Kiedy w domu robi się ciepło, smród stanie się nie do zniesienia. O tej porze roku o pogrzebie nie mogło być mowy. Nawet Jorah nie zdołałby wykopać wystarczająco głębokiego dołu, żeby bezpiecznie pochować ciała.

Kiedy poprawiała sukienkę Mary, usłyszała chrobotanie w spiżarni i poczuła ulgę, że nie jest sama, choćby za towarzysza miała mieć tylko mysz. W ostatniej chwili powstrzymała się przez zawołaniem chłopców, którzy uwielbiali łapać myszy i trzymać je w skleconych z deszczulek domkach. Podeszła ostrożnie do drzwi, bojąc się, że wystraszy zwierzątko. Zaskrzypiała podłoga. Oślepiający błysk i Elspeth znalazła się w powietrzu. Wylądowała na stole kuchennym, w nozdrzach i gardle czuła smród spalonego ciała. Miała wrażenie, że rozpadła się na kawałki.

W spiżarni cuchnęło prochem. Gryzący dym unosił się chwilę w powietrzu, a potem zniknął wessany przez dziurę w ścianie, dzieło łokcia Caleba Howella oraz odrzutu jego największego skarbu, strzelby Ithaca kaliber 12. Prawie metrowa lufa zajmowała niemal całą szerokość spiżarni, na odrzut nie było miejsca. Między nogami Caleb miał jeszcze sześć nabojów. Wyjął dymiące łuski i niezgrabnie ładował dwa nowe, przyciskając policzek do drzwi spiżarni i wyglądając przez dziurę powstałą po poprzednim wystrzale. Czuł na policzku ciepło. Kiedy strzelił, usłyszał stęknienie i skrzypnięcie stołu kuchennego, przesuwanego się po podłodze razem z ciałem mordercy.

Przez osmolony otwór w drzwiach dostrzegł zwieszoną ze stołu rękę i skapujące ze wskazującego i środkowego palca krople krwi. Jednostajne kapanie dało mu czas na uspokojenie. Policzył do dwudziestu, potem jeszcze raz do dwudziestu. Potrafił liczyć tylko do dwudziestu.

Chwilę wcześniej ucieszył się, że słyszy wreszcie coś innego prócz strasznych wytworów wyobraźni, nieustannego wycia wiatru

przedzierającego się przez otwory po kulach i dźwięków wydawanych przez gałęzie wiązu ocierające się o dach.

Spał, kiedy tamci ludzie zbliżali się do domu. Usłyszawszy pierwszy strzał, wdrapał się na strych na siano. Zbliżał się świt. Siostra, która niosła mu, jak prawie każdego ranka, śniadanie, leżała w śniegu. Caleb dostrzegł tylko kilka szczegółów, kiedy napastnicy przekraczali próg domu: długą brodę pierwszego, niepewny krok drugiego, jak u dopiero co urodzonego cielaka. A trzeci poruszał się niczym woda. Wszyscy byli uzbrojeni. Wszyscy mieli czerwone chusty, ten brodaty luźno zwisającą z ramion, ten na chwiejnych nogach zawiązaną na szyi, a ten trzeci związał chustą długie włosy z tyłu. Caleb usłyszał kolejny wystrzał i zakopał się głębiej w sianie. Z domu wciąż dochodziły odgłosy strzałów i Caleb siłą woli zmusił się do wyrznięcia na zewnątrz przed dziurę w desce. Trójka przybyszów wyszła z domu, a ten na chwiejnych nogach spojrział w kierunku stajni. Caleb zmoczył się ze strachu, cofnął i zakopał głęboko w sianie.

Nieco później, może po kilku minutach, a może godzinach, zdawało mu się, że słyszy głosy, a potem znów zapadła cisza.

Kiedy w końcu się wygrzebał i oczyścił z siana ubranie, w domu panowały ciemności. Ciało Emmy było tylko niewielkim cieniem. Zszedł ze strychu i poszedł na tył stajni, gdzie trzymał strzelbę. Z ithaką w rękę przebiegł podwórko, oglądając się na wszystkie strony, za każdym drzewem widział czerwone chusty. Przystanął i delikatnie starł warstwę śniegu z twarzy Emmy. Wpadł do środka i przebiegł wszystkie pomieszczenia, mijając ślady potwornej zbrodni, której nie potrafił pojąć. Popchnął drzwi pokoju rodziców, tam unosił się w powietrzu silny zapach prochu, a strzelba ojca stała w kącie. W drodze powrotnej szukał jakichkolwiek przejawów życia, jęku, drgnięcia, tymczasem wszędzie panowała cisza i bezruch, jakie trudno sobie wyobrazić. Było to tak bezsensowne, że zasłonił sobie usta dłonią, bał się bowiem, iż za chwilę wybuchnie śmiechem. Brzuch już zaczynał mu podrygiwać, sugerując taką możliwość. Kiedy mu przeszło, ścisnął mocno jedną dłońią zwiniętą w pięść drugą dłoń. Nie mógł zostawić tych ciał, nie chciał być sam, dlatego ukrył się w spiżarni, gdzie wreszcie poczuł się bezpieczny. Zawodzenie wiatru towarzyszyło jego szlochowi, kiedy czekał na powrót tamtych trzech mężczyzn. W środku nocy wyszedł ze spiżarni, żeby się rozprostować, sprawdzić, czy nie nadchodzą napastnicy, i zetrzeć z twarzy i ciała Emmy kolejną warstwę śniegu. Następnie wczołgał się z powrotem do spiżarni i czekał z naładowaną strzelbą.

Udało mu się zasnąć. Ale tym razem kiedy się obudził, nie czekał, nie

zmoczył się, nie drżały mu ręce. Tym razem wykazał się odwagą i zrobił to, czego nie zdołał zrobić jego ojciec.

Kiedy już się upewnił, że nikt inny nie wyłoni się z cienia, wyszedł ze spiżarni. Zaskrzypiało mu w kolanach, od długiego siedzenia w kucki łapały go skurcze. Uniósł lufę strzelby. Jeszcze w progu dostrzegł buty. Znał je. Struny głosowe zawyły skrzekliwie, kiedy krzyknął. W blasku lampy naftowej, rozproszonym przez rozbite szkiełko, ujrzał twarz matki. Jej niebieskoszare oczy były zamknięte. Zdjął jej czapkę i czarne włosy rozsypały się na blacie stołu. Chustka na szyi tamowała trochę krew, więc ją zostawił. Nie mógł uwierzyć, że widzi matkę tak nieruchomą. Przez dwanaście lat swojego życia nie widział, żeby tak mocno spała.

Modlił się – nie za siebie, już dawno w jego sercu zabrakło miejsca dla Boga – modlił się za matkę, która wierzyła w Boga. Jego modlitwy w jakimś stopniu się spełniały, bo pierś Elspeth, nieregularnie i niepewnie, ale unosiła się i opadała. Większość śrucin ominęła ją, faszując ścianę i kredens z zastawą stołową. Jedna lub dwie rozbiły szkiełko lampy naftowej. Reszta utkwiała w jej piersi, ramieniu i szyi. Caleb znalazł należącą do ojca butelkę whiskey. Jorah nie pił dużo, ot, łyčzek z okazji chrześcijańskich świąt: w Boże Narodzenie i na Wielkanoc, w wigilię środy popielcowej i na Trzech Króli. Caleb oblał brązowym płynem ubranie matki i jej rany, tak jak robił ojciec, gdy skaleczył się siekierą w nogę albo kiedy Amos nadepnął na gwóźdź. W przeciwieństwie do Amosa, który darł się przeraźliwie i tak wymachiwał nogą, że jeszcze chwila, a kolanem połamałby sobie żebra, matka nie wydała żadnego dźwięku. Był pewny, że jest umierająca, i wiedział, że to on ją zabił. Był zupełnie otepiąły.

Jedyne, co mógł zrobić, to czymś się zająć. Żeby nie zmarznąć, wyciągnął ze spiżarni koce, na których tam siedział. Dwa owinał sobie wokół ramion, dwoma nakrył nogi matki, a jeden wsunął jej pod głowę. Pozostałe rozwiesił na oparciach krzesel, żeby się wietrzyły. Rozpalił mały piecyk przy stopach matki i drugi przy łóżku ojca. Wreszcie postanowił przenieść Jessego. Kiedy stanął nad jego ciałem, starał się skupić uwagę na odbiciu światła lampy w mokrej plamie pozostawionej przez but matki zamiast na zmierzwionych włosach brata. Przeniesie też ciała Amosa, Mary i Emmy. W ciepłe zaczęłyby się szybko rozkładać, a w zimnie jakoś przetrwają. Kiedy napastnicy zniknęli, Caleb dołożył do pieca tylko kilka gałązek. Teraz nie dbał już o nic. Nie przejmował się, że ktoś zobaczy dym z komina albo poczuje zapach palącego się drewna. Wszyscy, których znał na tym świecie, przenieśli się do innego świata. Wszystko, co robił przez

ostatnie pięć, a może sześć dni, przestało się liczyć. Obecność matki dała mu dziwne poczucie wyzwolenia. Byli razem w domu. Nie musiał na nic ani na nikogo czekać, nie miał się czego bać, może tylko tego, że matka umrze.

Powłócząc stopami owiniętymi dla utrzymania ciepła w stare poszewki poduszek, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył ślady matki, kierujące się w stronę stajni. Znów usłyszał głuchy łomot jej ciała padającego na stół i skrzypienie stołowych nóg rysujących drewnianą podłogę. Pomyślał, że jakieś przecucie powinno mu podpowiedzieć, żeby nie pociągał za spust. Mimo ciemności panujących w spiżarni, mimo drewnianych drzwi i wycia wiatru, powinien domyślić się, że osoba po drugiej stronie to jego matka. Sprawdził jeszcze raz, jak się czuje. Usiadł obok niej i rozplakał się. A kiedy naliczył dwadzieścia oddechów, patrząc na unoszącą się klatkę piersiową, zabrał się w sobie, otarł energicznie łzy z policzków i przysunął krzesło do okna w salonie, gdzie miał zamiar czekać, aż skończy się noc.

Siedzenie przy oknie wytrącało go z równowagi. Żeby się uspokoić, przyłożył do ramienia karabin Joraha i drżącą ręką zaczął celować w widoczne w mroku punkty: uschniętą sosnę kołyszącą się na wietrze, głaz nad strumykiem, najdalszą żerdź zagrody dla owiec i pień, gdzie on, Jesse i Amos często się bawili. Miał nadzieję, że będzie gotowy, gdyby się okazało, że ktoś śledził matkę, czekał na nich, poczuł dym albo dostrzegł światła w oknach.

Nietrudno było powstrzymać się od zaśnięcia. Wszędzie widział cienie zabójców – profil twarzy, kształt ciała, długie nogi, brodę, przetłuszczone włosy. Zanim się ukrył, widział ich broń przewieszoną przez ramię, kolorowe chusty. Pamiętał ich ruchy, skulone z zimna sylwetki, ostrożnie stawiane na śliskim lodzie kroki. Matka zakaszłała, a on jeszcze sprawdził, czy karabin jest naładowany, i poklepał kieszeń, w której pobrzękiwały naboje.

Rano Caleb zauważył, że matka jest złana zimnym potem i płycej oddycha. Nie wiedział, co robić. Najchętniej wczołgałby się znowu do spiżarni, gdzie zatracał się upływ czasu, a dni i godziny mijały naprzemiennie na nasłuchiowaniu, drzeniu ze strachu i zimna i śnie. Wiedział, że musi się oprzeć tej pokusie, odstawić strzelbę i karabin pod ścianę w pokoju rodziców, położyć się na podłodze obok pieca, rozprostować i pozwolić odpocząć mięśniom. Mniej więcej godzinę później wrócił do kuchni, unikając patrzenia na twarze braci i sióstr, skupiając uwagę na widoku za oknem, a potem przenosząc wzrok na gzyms kominka,

futrynę drzwi i wreszcie na zrobioną szydełkiem przez Mary makatkę z cytatem z Biblii: GDYBY JEDNAK WAM SIĘ NIE PODOBAŁO SŁUŻYĆ PANU, ROZSTRZYGNIJCIE DZIŚ, KOMU SŁUŻYĆ CHCECIE, CZY BÓSTWOM, KTÓRYM SŁUŻYLI WASI PRZODKOWIE PO DRUGIEJ STRONIE RZEKI, CZY TEŻ BÓSTWOM AMORYTÓW, W KTÓRYCH KRAJU ZAMIESZKALIŚCIE. JA SAM I MÓJ DOM SŁUŻYĆ CHCEMY PANU<sup>1</sup>. W ten sposób ominął ciała Amosa, Jessego i Mary. Próbował udawać, że te ciała nie są już jego rodzeństwem, a tylko zwyczajnymi meblami.

Caleb usiadł na krześle przy drzwiach, obok równego rzędu butów. Nosił buty po Amosie, dużo za duże i ze startą podeszwą. Ojciec napchał do czubków wełny, ale od niej swędziały go stopy, a pięty i tak były obtarte. Za to buty Jessego były przyjemnie ciepłe. Zawiązał je porządnie, gotów do odwiedzenia zwierząt. Nie karmił ich od prawie tygodnia i zastanawiał się teraz, ile już zdechło albo zdychało, a ilu brakuje, bo pożarły je pozostałe. Zimne powietrze wywołało kaszel. Słońce kłuło w oczy. Uniósł poplamione krwią matki dłonie i spoglądając przez palce, zobaczył więcej niż tylko tonący w bieli krajobraz. U jego stóp leżała Emma. Pochylił się i po raz pierwszy za dnia odgarnął śnieg z jej twarzy.

Dotarcie do stajni wymagało sporego wysiłku. Kiedy już był na miejscu, jego ciało było dziwną mieszaniną potu i chłodu, bólu i odrętwienia. Osłabł, bo jadł tylko przetwory znalezione w spiżarni, głównie buraki w occie. Chleb skończył się już pierwszego dnia. Mary miała po śniadaniu upiec świeży i nawet już rozrobiła ciasto. Śnieg zasypał wielkie wrota i pozbawiony sił, Caleb nie był w stanie ich otworzyć. Próbował wdrapać się na sąg i sięgnąć do okna, ale nie sięgnął parapetu. Stał na drewnianym kločku i próbował pociągnąć wrota od góry, ale nawet nie drgnęły. W końcu pokonany, rozplakał się i ze złością zaczął kopać butem w śniegu.

Gdy się uspokoił, postukał dłonią w ścianę i przyłożył ucho do dziury w desce. Zamiast zwyczajowego parskania i sapania, usłyszał tylko szelest. Postukał w ścianę ostatni raz i zaczął szykować się do drogi powrotnej.

Bez strachu, że zabije matkę albo jeszcze bardziej ją porani – był pewny, że ona umrze niezależnie od tego, co on zrobi – ogrzał nad lampą naftową rzeźnicki nóż ojca. Przekręcił Elspeth na bok, rozścielił pod nią koc, potem przekręcił ją na drugi bok i pociągnął za wełniane sukno. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Ręka zwisająca ze stołu spuchła strasznie, więc Caleb położył ją na podołku matki. Pociągnął za zakrwawiony łańcuszek na jej szyi i przetarł go kciukiem. Śrucina zrobiła wgniecenie w jednym

z ramion srebrnego krzyża. Bojąc się, że uszkodzi go bardziej, położył łańcuszek z krzyżykiem obok głowy matki. Kiedy zdejmował jej buty, coś wysunęło się z noska. Włożył rękę do środka i znalazł zwitek wilgotnych papierów. Przypomniała mu się wełna, którą miał wypchane własne buty i wcisnął papiery z powrotem do buta. Rozciął sukienkę, która zsunęła się, ukazując nagie ciało. Caleb odwrócił wzrok. Matka nigdy nie pokazywała swojego ciała. Nigdy nie myła się przy nich, nie kąpała latem w strumieniu, rzadko odsłaniała nawet ramiona. Ale Caleb wiedział, że to nie pora na skromność. Na każdą ranę wylał po kilka kropli whiskey. Docisnął nóż, póki nie poczuł zgrzytu metalu. Uświadomił sobie, że potrzebuje czegoś do wyciągnięcia śrutu, i pobiegł szukać małych szczypiec. Kiedy szczypce nie mieściły się w ranie, poszerzał ją kolistym ruchem noża. Świeża krew wypełniała ranę, wylewała się z niej i płynęła strużką po ciepłej skórze. Większość śrucin utkwiała w prawej piersi i Caleb coraz mniej przejmował się tym, czego dotykają jego dłonie. Grube i nieporęczne szczypce trzeba było dwa, trzy razy zanurzać w każdej ranie, żeby w końcu wydobyć ołowianą kulkę. Najtrudniej było wydostać śrut z naprężonych mięśni. Śruciny wrzucał do cynowego kubka. Każda lądowała z przyjemnym dla ucha brzękiem. Kiedy wydobywał zabłąkaną kulkę z szyi, matka poruszyła się. Caleb wyszarpnął szczypce z rany i odsunął się od swojego zaimprovizowanego stołu operacyjnego. Po szyi spłynęła strużka krwi, ale wkrótce krwawienie ustało. Elspeth zamrugała oczami.

– Boże – jęknęła głośno.

– To ja, mamó, to tylko ja – wykrztusił. – Twój syn, Caleb.

Na dźwięk jego głosu odwróciła się i wypluła grudkę zakrzepłej krwi. Wyczerpana, opadła na koc z głośnym westchnieniem. Caleb czekał przerażony, aż zrobiła w końcu głęboki wdech, a potem drugi, płytszy, i jeszcze jeden.



## Rozdział 2

W gorączce znikło wszystko, co zbędne, wyparowały niewyraźne resztki wspomnień. Elspeth czuła się tak, jakby wynurzyła się z wielkiej głębiny nad powierzchnię i wszystko, co przesłaniała do tej pory wina i grzech, nagle stało się znów wyraźne.

Pamiętała wąsy swojego ojca, jak je woskował i czesał, nim wyszedł do pracy w posiadłości van Tesselów, gdzie zajmował się ogrodem. Pan van Tessel dawał ojcu puszki po konserwach, z których ten pracowicie wygrzebywał resztki. Pamiętała stukot jego drewnianej nogi i ciche westchnienia, ilekroć musiał się schylić. Pamiętała bliznę na policzku matki po ugryzieniu przez psa pasterskiego w dzieciństwie, pamiętała, że latem, kiedy skóra była opalona, blizna przybierała srebrny kolor. Pamiętała bieganie na bosaka, ciepłą ziemię pod palcami stóp, ostrą trawę pod podszewkami w sierpniu, kiedy Bóg doświadczał lud głodem.

Pałący ból w piersiach – zapewne pierwsze płomienie wiecznego potępienia – skierował jej myśli ku Mary. Zobaczyła jej twarz – jeszcze jako niemowlęcia – policzki cherubinka, usteczka bez zębów, ale zawsze uśmiechnięte, bezwłosa głowa kiwająca się i podskakująca przy każdym nieskoordynowanym ruchu. Mary była jej pierwszym dzieckiem. Był wrzesień, ale na północnym wschodzie wybuchło babie lato, niosąc śmierć od upałów i wilgoci. Kiedy przedziały w pociągu w Rochester zapełniły się udręczonymi, oblanymi potem mężczyznami i kobietami, wpadła w panikę na myśl, że dziecko umrze, nim dotrze do swojego nowego domu, nim ona i Jorah zdążą mu nadać imię i ochrzcić je w strumieniu, który wydał im się idealny do tego celu, gdy natknęli się na niego, szukając miejsca na postawienie domu. Kiedy wyjeżdżała, dom był na tyle świeży, że ściany wciąż mocno pachniały cedrem, sosnowe meble jeszcze puszczały soki, a wieczorem, kiedy spadała temperatura, deski podłogowe trzeszczały.

Elspeth przeciskała się w wąskim korytarzu wagonu przez tłum spieszących się dokądś ludzi, niezwracających uwagi na kobietę z dzieckiem. Temperatura była nie do zniesienia. Korytarz opustoszał; ludzie usadowili się w przedziałach, a w każdym witało ją zasłanianie zasłony albo głośny krzyk, że nie ma miejsca. W końcu wagonu przez zakurzoną szybę dostrzegła jeden wolny fotel obity czerwonym pluszem. Otworzyła powoli drzwi, bojąc się, co zastanie w środku. A w środku jakaś kobieta leżała na

brzuchu, z głową zwieszoną poza krawędź zdobnej poduszki. Elspeth pomyślała, że starsza pani może nie żyje, ale była zbyt wyczerpana, żeby się tym przejąć. Najciszej jak potrafiła, postawiła bagaże na podłodze i opadła na fotel naprzeciw. Westchnęła i wyjrzała przez okno. Mieszkała w Rochester przez osiem miesięcy i wiedziała, że już nigdy tam nie wróci. Pociąg, jakby napędzany tą myślą, ruszył z miejsca.

– Dzień dobry – odezwała się kobieta i z wielkim trudem usiadła prosto, podkładając sobie pod plecy dwie poduszki. Jej oczy błyszczały od łez. Ta twarz z czasem zatarła się w pamięci Elspeth, ale teraz, w gorączce, powróciła z pełną wyrazistością. Szwy poduszki zostawiły czerwone pręgi na ziemistych policzkach, a zielone oczy były tak zapadnięte, że zdawały się tkwić w dwóch głębokich jaskiniach. Wychudła twarz kontrastowała z grubością opuchniętych kostek.

– W przedziale było miejsce – odezwała się Elspeth – ale możemy sobie pójść.

– Nie, proszę – odpowiedziała kobieta i uśmiechnęła się, krzywiąc się z bólu. – Lubię towarzystwo. Elspeth skinęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć. – Mój brat jest w Syracuse – ciągnęła kobieta – i zostałam wysłana, żeby z nim tam zamieszkać. Wysłana. – Prychnęła i przesunęła dłonią po zatrzasku okna. – Wysłana jak paczka.

Dziecko na ramieniu Elspeth było gorące, więc przełożyła je na drugą stronę. Pomyślała o Słowie Bożym, ale nie mogła się opanować i zapytała:

– Co się stało? Wolę wiedzieć, ze względu na moje dziecko. – Ten prosty zwrot, „moje dziecko”, sprawił, że Elspeth poczuła mrowienie.

– Och, nie ma powodu do obaw – odparła kobieta. – Ale ma pani oczywiście rację, dla dobra dziecka. To choroba Brighta. – Wyjaśniła Elspeth, jak puchną jej nerki, a krew, która powinna krążyć w żyłach, przenika do tkanek, co grozi śmiercią. I pewnie w końcu ją zabije. Prawdę mówiąc, każde uderzenie serca przybliży ją do śmierci. Koła pociągu stukwały w jednostajnym rytmie, a kobieta przekrzywiła głowę na bok. – Proszę posłuchać – odezwała się. – To jest bicie mojego serca.

Uśmiechnęła się do dziecka. Wyciągnęła drżącą rękę i przesunęła palcami po niemal łysej główce. Elspeth też wiedziała, jak przyjemnie jest pogłodzić ciepłą skórę i delikatny meszek na głowie.

– Przepraszam, nie powinnam była. – Kobieta szybko cofnęła rękę. A Elspeth odpowiedziała, że ją rozumie.

Kiedy otwierała usta, żeby coś powiedzieć, kąciki jej warg dziwnie białą. Przełknęła ślinę. A potem znów zaczęła:

– Jeśli mogę... – Mimo bólu, który kazał jej zaciskać zęby i posykiwać, stanęła na swoich słoniowych nogach i poprawiła dziecko. Teraz główka spoczywała na lewej ręce Elspeth, a tułów na prawej. Nagle napięcie w mięśniach, z którego Elspeth nie zdawała sobie sprawy, zniknęło. Dziecko powierciło się chwilę i zasnęło; można było dostrzec, że różową skórę powiek zdobiły czerwone żyłki.

Kobieta pogładziła zgiętym palcem ucho niemowlęcia, a Elspeth mogłaby przysiąc na Zbawiciela, że policzki starej kobiety zaróżowiły się, zmarszczki na czole wygładziły, cała była rozpromieniona. Po pewnym czasie opadła na fotel. Poduszki leżały za jej plecami w nieładzie.

– Jest za małe na podróż – odezwała się, wyglądając przez okno. Jej skóra już zaczęła szarzeć.

Elspeth kołysała się w przód i w tył, w rytm pociągu, mijającego drogi, drzewa, wzgórze.

– Nie mieliśmy wyjścia – powiedziała w końcu.

W kuchni Caleb przykucnął pod wieszakiem na płaszcze. O głowę ocierały mu się rękawy marynarki ojca, więc odsunął ją. Z tego miejsca widział tylko kilka kosmyków czarnych włosów matki i od czasu unoszącą się przy oddechu klatkę piersiową. Nic więcej. Za to docierał do niego każdy dźwięk, każdy wydobywający się z głębi jej ciała jęk. Zatkaną uszy i dźwięk przycichł w basowym pomruku. Caleb czekał, aż jej pierś znowu się uniesie, sam wstrzymywał oddech, póki tak się nie stało. Szybko zakreśliło mu się w głowie.

Kiedy zbliżał się do matki, wyjmował jeden palec z ucha, ale szybko wkładał go z powrotem. Wydawała z siebie śmiertelne rżenie, jakby ktoś brutalnie wyrywał z niej życie. Wyobraził sobie jej duszę jako obłoczek dymu, ale z pazurami i zębami, które zatapiała w trzewiach, a jęk to nic innego jak te zęby i pazury, próbujące za wszelką cenę trzymać się żeber, gardła i płuc. Krzyknął, zaklął i odetkał uszy.

Przeraziła go, zawsze go przerażała, jeszcze zanim wyniósł się na strych, ale nigdy aż tak jak teraz, kiedy z jej ciała sączyła się krew, a z gardła wydobywał ten straszny dźwięk. Jeszcze trochę i w środku nic jej nie zostanie, pomyślał. Przeprowadzona przez niego operacja chyba przyspieszyła ten proces. Dłubał i grzebał w ranach, które teraz wyglądały dużo gorzej. Jej włosy, poznaczone pojedynczymi pasemkami siwizny, zmatowiały i skołtuniły się. Poklepał ją po nagim ramieniu. Ciepło zastąpiła zimna lepkość. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek w życiu jej dotknął, nim do niej strzelił. Pamiętał tylko, że zawsze podziwiał jej niezwykłą siłę. Była

silniejsza od każdego z chłopców. Miała umięśnione ramiona, a bicepsy większe nawet niż Amosa. Uniósł jej powiekę, ale zobaczył tylko przekrwione białko. Nie przeżyje, pomyślał znowu. Podniósł z podłogi poduszkę, którą wcześniej strącił, kryjąc się jak mysz pod wieszakiem na płaszcz. Trochę gęsiego pierza przykleiło się do plamy krwi pod stołem. Uniósł poduszkę nad głowę i strzepnął ją. Zaraz potem zacisnął mocno palce na tkaninie. Ilekroć zebrał się na odwagę, żeby przycisnąć poduszkę do twarzy Elspeth i skrócić jej cierpienia, uciszyć na dobre przeraźliwe dźwięki, ona musiała akurat zakaszleć albo wymamrotać coś, stając się na powrót jego matką. Stał bez ruchu, póki nie zaczęły trząść mu się ręce. Na jej czole pojawiła się kropelka potu. Kiedy dotarła do brwi, matka zacisnęła powieki, a on przypomniał sobie taki sam grymas na jej twarzy, kiedy pewnego wieczora zaczął z Jessem głośno tupać w kuchni. Wtedy zacisnęła powieki na tak długo, że chłopcy zrozumieli, że trzeba się szybko wycofać z kuchni. Zapamiętał tamten incydent tak dobrze, ponieważ następnego ranka wyjechała i nie widział jej przez sześć miesięcy. Rzucił poduszką, która trafiła w pusty słoik po cukrze, a następnie wylądowała na podłodze. Słoik wykonał piruet na półce, zbliżył się do jej krawędzi i spadł prosto na poduszkę. Ten drobny przejaw łaskawości losu sprawił, że Caleb uśmiechnął się i odgarnął kosmyk włosów z twarzy matki. Jęki ustały. Ale cisza była jeszcze gorsza i kiedy matka znów zaczęła jęczeć, przysunął krzesło do kuchennego stołu i położył na nim głowę obok jej biodra, dzięki czemu czuł każdy najśłabszy nawet oddech.

Wraz z zapadnięciem ciemności ataki ustały. Gorączka spadła. Ale w dalszym ciągu wracały wspomnienia, zdarzenia, o których tak bardzo chciała zapomnieć, kłótnie, występki i kłamstwa. I dlatego ponownie musiała przeżyć chwilę, kiedy po raz pierwszy rozmawiała z Jorahem, znanym wtedy jako Lothute.

– To dzikus – powiedział szeptem ojciec. Wszystkie rozmowy toczyli szeptem, żeby nie przeszkadzać państwu van Tesselom. Kąt, w którym mieszkali, od zawsze był zajmowany przez służbę i nie potrafił tak dobrze wytłumić hałasów jak prawdziwy dom. Deski nie były dość grube, kąty nie były dość proste, nic nie zdobiło ścian. Bojąc się nawet swoich kroków, jej ojciec zdejmował buty, stawiał je obok zniszczonych butów matki i na drewnianą kulę zakładał dwie grube wełniane skarpety. – Przyniosłaś rodzinie wstyd, rozmawiając z tym dzikusiem. Pan van Tessel już pewnie został o tym poinformowany.

– Ja tylko się z nim przywitałam – próbowała bronić się Elspeth i w tej

samej chwili ojciec uderzył ją w twarz. Poczuła pulsowanie w wardze, która jednak nie była rozcięta. Tego ranka po raz pierwszy usłyszała głos Lothute'a. Nigdy wcześniej go nie słyszała. Zaskoczył ją ten głos, był lekki i delikatny, a spodziewała się gardłowego, chrzęszczącego. Udała, że wytrząsa kamień z buta, kiedy on siodłał konia. Ostrzegano ją, żeby trzymała się od niego z daleka, ale ona uznała, że byłaby z nich dobra para. Choć miał ciemniejszą karnację, wyglądał tak samo jak oni, nosił takie same ubrania, jadł to samo. Nie biegał dookoła z tomahawkim w dłoni i nie nosił przytroczonych do pasa ludzkich skalpów jak Indianie z jej książek. Miał łagodne spojrzenie.

– Państwo van Tessel mają prawo oczekiwać od nas czegoś więcej – ciągnął ojciec z purpurową twarzą i napiętymi straszliwie mięśniami szyi. Choć wściekły, nadal szeptał. Jakby na wspomnienie jego nazwiska, a może zwabiony srogimi szeptami, pod drzwiami pojawił się pan van Tessel, Elspeth dostrzegła przez szparę w progu czubki jego eleganckich butów.

Matka szlochała i Elspeth wiedziała, że próżno szukać u niej wsparcia. Rozejrzała się po pokoju, jej domu, popatrzyła na łóżko rodziców, siennik, na którym sama spała i książki, z których córki van Tesselów już wyrosły, na lustro, kolejną rzecz, której pryncypał się pozbył, bo było krzywe i wypaczało odbicie na brzegach, przy złoconej ramie. I kiedy tak patrzyła, wiedziała już, zanim jeszcze usłyszała, jak ojciec zdejmuje pasek od spodni, że widzi to wszystko po raz ostatni.

Rzuciła się do ucieczki, ale ojciec złapał ją swoją potężną dłonią za nadgarstki i zaczął okładać skórzanym paskiem jej plecy i głowę. Uderzał raz za razem, a ona krzyczała. Na podłogę spadały krople krwi. Krzyczała, żeby przestał. Buty za drzwiami zniknęły. I skończyło się lanie. Ojciec owinał pasek wokół dłoni jak bandaż. Nawet kiedy dyszał z wściekłości, milczał. Elspeth wyrwała się z jego uścisku, a on oparł się zaciśniętymi pięściami o komodę.

– Pora na ciebie, dziecko – odezwała się matka. – Masz. – Otworzyła szufladę i wyjęła starannie złożoną powłoczkę na poduszkę. – To na twoje rzeczy. – Elspeth wyciągnęła rękę, a matka szybko cofnęła dłoń, jakby bała się, że dotyk córki będzie parzył.

Lothute dogonił ją w odległości niecałej mili od posiadłości van Tesselów. Dał jej chustkę, a ona przyłożyła ją sobie do głowy.

– To przeze mnie? – zapytał.

Stała roztrzęsiona i zapłakana, ze skromnym dobytkiem zawiniętym w powłoczkę, podartą, też podarowaną przez van Tessela, i zastanawiała

się, co ten człowiek zrobi matce i ojcu, jeśli powie mu prawdę.

– Nie wiem, dokąd pójść – powiedziała, wciąż czując zadane razy.

– Zaopiekuję się tobą – odpowiedział. Spojrzała na niego spod zlepionych krwią rzęs. Wziął z jej ręki chustkę i starł z jej twarzy zaschniętą krew, potem pochylił się i obejrzał rany. – Zagoi się z czasem. Obiecuję. – Uśmiechnął się. Czuć było od niego pot. Ruchem głowy wskazał jej zawiniątko. – Wrócę po swoje rzeczy.

Ruszył przez las, a ona odprowadzała wzrokiem jego białą koszulę, póki nie znikła między drzewami. Dopiero kiedy poszedł, pomyślała o tym, co czeka go w majątku van Tesselów, i zaczęła się modlić, żeby wyszedł z tego cało. Wciąż roztrzęsiona, próbowała odtworzyć wydarzenia, które zaszły. Przecież chciała się tylko przywitać. A teraz oboje nie mieli wyjścia. Teraz on należał do niej, a ona do niego. Usiadła więc i czekała.

Caleb przez dwa dni nasłuchiwał odgłosów życia przy biodrze matki. Wciąż myślał o tym, że po jednym chrapliwym oddechu może nie nastąpić kolejny. Z półki w pokoju dziennym wziął jeden z egzemplarzy Biblii i chociaż nie potrafił jej przeczytać, położył ją obok bezwładnej dłoni matki z nadzieją, że przyniesie jej ona ukojenie. A poduszkę wetknął jej pod głowę. Nie mógł się zdobyć na skrócenie jej męki.

W pewnej chwili chwycił ją za rękę, ale tak rozpaloną i spoconą, że wcale nie przypominała ręki. Matce ani się nie poprawiło, ani nie pogorszyło. Caleb otworzył drzwi frontowe. Do kuchni wpadło zimne powietrze i światło. Wiatr osuszył jego łzy. Miał nadzieję, że świeże powietrze rozpędzi odór rozkładających się ciał braci i sióstr, ale o zmierzchu musiał zawiązać sobie wokół twarzy chustkę. Pod śniegiem był lód, pod lodem zmarznięta ziemia, a jeszcze niżej łupki i wapienie. Po godzinie machania kilofem wykopał dołek, w którym nie zdołałby pochować nawet kurczaka.

Elsbeth niosła Mary na wzgórze ledwie wtedy widoczną i słabo jej znaną ścieżką. Kilka razy musiała się rozejrzeć za inną, łatwiejszą drogą. Krople wody sprawiały, że każde oparcie dla nóg było zdradzieckie, i z trudem utrzymywała równowagę. Jej ubranie było uwalane błotem i podarte przez gałęzie. Dziecko, przywiązane do piersi, gaworzyło radośnie.

Na podwórku po wygrodzonym wybiegu ganiały dookoła dopiero co ostrzyżone owce. Jorah stał na werandzie, jakby spodziewał się jej nadejścia. Długie czarne włosy rozwiewał mu wiatr, a tymczasem ona przedzierała się przez błoto, czując silny zapach zwierząt i uryny. Jorah zerknął na zawiniątko w jej ramionach. A kiedy znalazła się bliżej, na jego

twarży zagościła nieskrywana radość. Zeskoczył z werandy i podbiegł, ślizgając się w błocie.

– To dziewczynka – powiedziała. – Nasza dziewczynka.

– Nasza dziewczynka – powtórzył Jorah i uniósł Elspeth w powietrze, zakręcił nią młynka, aż upadli na wilgotną ziemię, śmiejąc się i tuląc do siebie. W pewnej chwili policzek Elspeth dotknął tego wrażliwego miejsca na szczycie głowy niemowlęcia. A potem przeciągnęła palcami po zmarszczce w miejscu, gdzie niewiarygodnie maleńka główka Mary łączyła się z delikatną szyją, gdzie rósł puszek delikatniejszy, niż była w stanie sobie wyobrazić.

Caleb ponownie wyszedł na zewnątrz i położył Jessego na ciałach Emmy, Mary i Amosa. Wszyscy razem leżeli na stosie krzeseł, które Caleb połamał, założywszy ciężkie buciory Jessego i za pomocą kolby swojej strzelby. Na białym śniegu walały się dookoła drzazgi i zużyte gwoździe. Amos był tak ciężki, że Caleb zmienił zdanie i postanowił położyć ciało Emmy na starszym bracie, dokładnie dwadzieścia kroków od domu, jak wyliczył, ciągnąc na miejsce pozostałe zwłoki. Ojca nie zdołał dźwignąć z łóżka. Zaczeka, aż matka umrze, i wtedy położy ich razem.

Jako dziecko Caleb nie miał pojęcia o śmierci. Widział zabijane krowy, owce i świnie, ale on i jego rodzina, ludzie, to co innego. Kiedy ojciec czytał opowieści biblijne, Caleb myślał, że ci ludzie nadal gdzieś tam chodzą po świecie. Ale dwa lata temu, w miesiąc po swoich dziesiątych urodzinach, poszedł późno wieczorem sprawdzić, jak się ma jedna z owiec. Znał tu każdy kamień, więc za przewodnika wystarczało mu światło księżyca. Nagle w wysokiej po pas trawie dostrzegł jakiegoś mężczyznę. Mężczyzna kroczył powoli i Caleb zastygł w bezruchu. Tamten miał broń; Caleb zobaczył, jak światło księżyca odbija się w stalowej lufie. Rozległ się huk wystrzału. Caleb przykucnął i czekał na kulę. Tymczasem to tamten mężczyzna upadł do tyłu i zniknął z pola widzenia. Zza kępy drzew u stóp wzniesienia wyłonił się ojciec Caleba – chłopiec rozpoznał go po wyprostowanej sylwetce – podszedł do miejsca, w którym upadł mężczyzna, i ponownie wycelował. Odgłos drugiego wystrzału zmieszał się z krótkim ludzkim okrzykiem. W tym czasie Caleb mieszkał w domu i spał w jednym łóżku ze swoim bratem. Jeszcze kilka miesięcy po tym wydarzeniu budziły ich w nocy koszmary Caleba. Jesse zasłaniał mu wtedy usta dłonią i tłumił jego krzyki, a potem tulił go do siebie i uspokajał.

Z gałęzi i z dachu kapiała z głośnym pluskiem woda. Znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Stał pod wielkim wiązem górującym nad ich domem.

Jedna z kropel, zimna jak kula, spadła na mu na głowę. Widzi ich po raz ostatni. Starannie zakrył ich rany. Mary, w postrzępionej, rozerwanej sukience, wyglądała spod Emmy. Mary zdawała się cała, a on przypomniał sobie, jak przychodziła do stajni i czekała, aż się pojawi. Stała z surową miną i założonymi rękami. Wtedy on wybuchał śmiechem i wystawiał głowę ze strychu, a przez szpary między deskami na Mary sypała się z góry sieczka. „Ojciec cię woła”, mówiła, „Ojciec czegoś od ciebie chce”. Słyszał teraz te słowa tak wyraźnie, że rozzłościł się na Mary. Dlaczego nic nie mówi, dlaczego nie wstaje, tylko leży jak stara krowa w deszczowy dzień?

Najłatwiej było przenieść ważącą niewiele więcej od owcy Emmę. Emmę, która najmniej go rozumiała i zadawała pytania, jakich nie zadawali inni. Dlaczego mieszka na strychu? Dlaczego nie lubi mówić ani śpiewać? Dlaczego siada do obiadu, dopiero kiedy ojciec skończy odmawiać modlitwę? Caleb pochylił się, spojrzął jej w oczy i pogładził po włosach. Tak mógł ją udobruchać.

Pod Emmą twarzą do ziemi leżał Amos, najstarszy z chłopców, który potrafił ich wszystkich uciszyć jednym spojrzeniem, podobnym do spojrzenia ojca. A pewnego ranka po dojeniu zaczął włosami o zasuwkę i w żaden sposób nie mógł się uwolnić. Caleb musiał obciąć mu kosmyk piaskowego koloru. Ojciec kazał Amosowi czekać dwa tygodnie, nim pozwolił, by Mary wyrównała mu włosy. Przez ten czas Amos chodził z wielkim prześwitem na samym czubku głowy. „Mężowie”, cytował Biblię ojciec, „dokąd będziecie sercem ociężali? Czemu kochacie marność i szukacie kłamstwa?”<sup>2</sup>. Caleb pomyślał, że się modlą, i zatrzymał się na schodach z czapką w rękę, choć zapach duszonego mięsa przywoływał go do stołu. Nikt nie ośmielił się śmiać z nierównej fryzury Amosa. Nawet po śmierci jego spojrzenie było groźne, dlatego Caleb oberwał dwa mosiężne guziki z niepotrzebnego już ojcu roboczego kombinezonu i położył je na oczach brata.

I Jesse. Jesse był jedynym, który go dobrze znał. W upalne letnie dni siadywali w wysokiej trawie, na tyle daleko od siebie, by się nie widzieć, i na tyle blisko, by słyszeć, kiedy ten drugi westchnie albo dostanie czkawki. Razem, ale oddzielnie czekali, aż otoczy ich mgła. A kiedy żdźbła trawy były mokre od rosy, kładli się na nich, ich nagie ramiona szukały ochłody.

Caleb resztkami sukienki Mary przykrył Jessego całego, ale tak jakoś się jego bracia i siostry ułożyli na sobie, że teraz spod sukienki wystawała ręka Jessego, celując brudnymi paznokciami w Caleba. Caleb chwycił rękę brata i udając, że jest dla niego całkiem ludzka i zwyczajna, wcisnął ją pod plecy



Mary.

Zdejmując z wieszaka nad piecem lampę, starał się unikać matki. Nie mogła wiedzieć, co się dzieje. Nie troszczył się już o zamknięcie drzwi. Kiedy wyszedł ponownie przed dom, drogę przeciął mu zając i zostawił ślady na butach Jessego. Calebowi serce skoczyło do gardła. Zdjął z lampy naftowej szkiełko i zdemontował palnik z knotem, oblał naftą cztery leżące ciała. Dodatkowo opróżnił małą beczkę, w której trzymali zapas nafty. Ścisnął teraz w rękę hubkę. Nafta zaczęła rozpuszczać śnieg. Przypominało to widok wzbierającego wiosną strumienia. Ze sterty ciał spływały we wszystkich kierunkach strumyczki nafty. Kiedy się w nie wpatrywał, jego bracia i siostry nagle jakby ożyli. Słyszał ich głosy, widział, jak się poruszają. Nie mógł tego zrobić. Musiał poczekać do zmroku, kiedy nie będzie widział ich twarzy, znajomych rysów, nie będzie wspominał, jak mówią, bawią się, śpiewają, modlą, płaczą i śmieją. Zdarzało się, że w najcichsze z cichych nocy, kiedy księżyc wisiał wysoko na niebie i służył mu za przewodnika równie dobrze jak światło słońca, skradał się na palcach pod dom, siadał na stopniu schodów, zdejmował buty i bezgłośnie wędrował od pokoju do pokoju, patrząc, jak rodzeństwo śpi.

Dom nie przynosił ukojenia. Z kuchni dobiegało chrapliwe zawodzenie matki. Caleb z daleka ominął plamy na podłodze, zupełnie jakby jego bracia i siostry wciąż tam leżeli. Wszedł do pokoju rodziców. Na stoliku nocnym leżała książka, którą Jorah czytał dzieciom, z czerwoną wstążką jako zakładką. Pod spodem zniszczona Biblia. Jedyną myślą, jaka pojawiła się w głowie Caleba, kiedy usłyszał strzały, była ta, że ojciec to powstrzyma. Raz już tak zrobił. Przy każdym kolejnym strzale Caleb zastanawiał się, czy to z ojcowego karabinu, i miał nadzieję, że za chwilę ojciec przywoła go do siebie, zapewni, że wszystko jest w porządku. Ale potem na podwórko wypadło trzech mężczyzn. Wzdrygnął się i uchwycił ramy łóżka rodziców. Ojciec wyglądał, jakby się skurczył, ubranie miał poszarpane kulami i śruciną. Kiedy żył, był w ciągłym ruchu, siadał tylko, żeby zjeść albo czytać Biblię. Nawet kiedy zakładał buty, nie siadał na krześle obok wieszaka, jak to czynili wszyscy pozostali. Ta jego ruchliwość sprawiała, że zawsze wydawał się duży, wysoki i potężny, ale teraz, po śmierci, wyglądał, jakby założył za duży płaszcz.

Wiatr ucichł, ustały gwizdy i jęki w domu. A już przyłapywał się na tym, że sam zaczyna pomrukiwać, jakby dla towarzystwa wiatrowi.

Odwrócił się plecami do ciała ojca, nie chcąc widzieć przerażającego grymasu na jego twarzy, i o mało nie potknął się o leżącą na podłodze

stertę pościeli. Była zakrwawiona i nie wiedział, co jest w środku, trącił ją tylko lekko nogą. A potem zauważył czyste posłanie na łóżku. I znów z rozpacziwą tęsknotą pomyślał o matce, ojcu, braciach i siostrach.

Zebrał zakrwawioną pościel, rzucił ją na stertę ciał i połamanych mebli i usiadł na płocie zagrody dla świń, który zbudował razem z Jessem. Za pierwszym razem krzywo im to wyszło, ale poprawili płot i teraz stał prosto. A ojciec tylko powtarzał: „Wybudował też miasta warowne w Judzie, ponieważ kraj był spokojny”<sup>3</sup>. Z tytoniu znalezionej pod poduszką Amosa Caleb zrobił na kolanie skręta. Jesse pokazał mu, jak kruszyć liście i ciasno zwijać bibułkę, i Caleb czasem mógł się zaciągnąć dymem.

Przed nim rozciągała się pofałdowana dolina z kępami drzew, pokryta teraz śniegiem. Kiedy zerwie się wiatr, cały świat zostanie tu wprawiony w ruch, każde drzewo, każdy liść, każde źdźbło trawy zacznie się poruszać. Ale teraz wiatr ustał, śnieżycą też i w dolinie panował bezruch. Cały świat zastygł w oczekiwaniu.

Krótki dzień się kończył. Caleb poprzysiągł sobie, że zaczeka do zachodu słońca, ale napłynęły chmury, ciężkie i szare jak owcza wełna zaśmiecająca obejście po pierwszych roztopach, i słońce znikło. Kiedy skończy palić, pożegna się. Zapalił kolejnego papierosa. Nie smakował mu, ale przyjemnie było poczuć ciepły dym w gardle i płucach. Wkrótce bibułka zaczęła mu parzyć palce. Splunął na nie i potarł jeden o drugi, żeby uśmierzyć ból.

## Rozdział 3

Ich pierwsza wspólna noc. Małeńka Mary śpi pomiędzy nimi, a Elspeth martwi się, że Jorah obudzi ją tym ciągłym dotykiem – chwytaniem za piętę, oglądaniem paluszków u nóg, głaskaniem fałdek na ramionach, podawaniem małego palca do ssania. Mimo protestów męża Elspeth zabrała dziecko do karmienia do dużej izby. Słyszała, jak Jorah unosi się na łożku, żeby zajrzeć przez uchylone drzwi, ale odwróciła się do niego plecami i zachęcała dziecko do jedzenia. Próbowwała tego już wcześniej, ale niemowlę raz nie chciało ssać, innym razem dorywało się łapczywie, a najczęściej mleko nie chciało płynąć i wtedy Elspeth odwracała wzrok, żeby Mary nie widziała jej łez.

Jorah zbudował łożeczko i czasem w nocy Elspeth znajdowała go siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, patrzącego na śpiącą Mary. Kiedy wracał do łożka, zaczynał opowiadać o swoich obserwacjach, zastanawiał się, co mogło jej się śnić, zachwycał, jaka jest piękna. W końcu zasypiał z lekkim uśmiechem, a Elspeth wpatrywała się w snujące się po suficie cienie, póki nie rozgonił ich świt.

Pewnego bezchmurnego lipcowego dnia Elspeth stała na brzegu strumienia, trzymając Mary w ramionach. Przez gałęzie drzew wraz z promieniami słońca przedzierały się fale ciepła. Elspeth uszyła sukienkę ze swojej najładniejszej białej chusty oraz z poszewki na poduszkę, w której niosła swój dobytek, kiedy wyprowadzała się z domu.

Jorah rozsiadł się na dwóch nieruchomych kamieniach i dla zachowania równowagi podpierał się nogami. Miał na sobie białą koszulę i swoje najlepsze spodnie. Nogawki podwinął za kolana, ale woda i tak je zmoczyła. Śpiewał „O, Ojczy, błogosław dzieciom, prowadź je do swoich bram” o ton niżej, niż mówił. Przywołał je gestem. Elspeth podeszła bliżej brzegu, a Jorah wziął Mary w swoje silne ramiona i dalej śpiewał hymn. Kiedy skończył, oddał Elspeth czapkę Mary. Mary mrużyła swoje wielkie oczy przed słońcem. Jorah powiedział cicho coś, czego Elspeth nie dosłyszała, i zanurzył główkę dziecka w rwącym strumieniu.

Elspeth zapatrzyła się w niebo. Na horyzoncie widać było leniwe obłoki. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Na pewno nie oczekiwała, że dziecko stanie w płomieniach albo ziemia się rozstąpi i ją pochłonie, ale nie spodziewała się także, że Jorah odda jej dziecko, które będzie absolutnie

szczęśliwe, a on sam będzie z uśmiechem odwijał nogawki spodni, wypowiadając słowa Modlitwy Pańskiej. Elspeth, poczuwszy oddech Mary na swoim policzku, wyrecytowała werset, którego nauczyła się na pamięć poprzedniego wieczoru: „Wtedy Maryja rzekła: «Wielbi dusza moja Pana i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy»<sup>4</sup>. Jorah spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby przybyła prosto z nieba. Twarz jej zapłonęła i na drżących nogach skierowała się w stronę domu.

Caleb obserwował matkę przez szybę. To nie było interesujące zajęcie – z tej odległości jej oddech był niezauważalny – ale przynajmniej miał na nią oko, a jednocześnie wiedział, jak mocno operuje słońce. Patrzył na zmianę to na matkę, to na słońce. W końcu wzrok mu się zmęczył i nie wytrzymał przechodzenia od blasku do cienia. Zaszumiało mu w głowie.

Z miejsca, gdzie stał, widział, któredy musieli nadejść zabójcy. Jak mijali ciało Emmy, z którego wyciekało już życie, jak wchodzili do kuchni, gdzie Mary nie zdążyła się nawet odwrócić od pieca, a Amos zamarł na środku izby, jak przeszli do dużego pokoju, gdzie zastrzelili Jessego uciekającego do sypialni rodziców. Caleb też szukałby ratunku u ojca, nawet gdyby nie widział wcześniej padającego w wysoką trawę mężczyzny, nawet gdyby nie wiedział, co potrafi Jorah. A teraz przytulił się do ściany domu i pomyślał, co byłoby, gdyby razem z bratem szukał bezpiecznego schronienia w sypialni, gdyby przepychali się w drzwiach, który pierwszy będzie przy Jorahu. Leżeliby teraz ramię w ramię, na wieczność. Jorah ich zawiódł, nawet nie wstał z łóżka. W Calebie wszystko się gotowało, ilekroć pomyślał o zwłokach ojca w łóżku i nieużyтым karabinie w kącie pokoju.

Kiedy Caleb miał dziewięć lat i po raz pierwszy poznawał swoje terytorium, odkrył magiczne, zaciszne miejsce po drugiej stronie wzgórza: cztery garbate, porośnięte trawą kopce na małej polance otoczonej sękatymi klonami, wyrastające spomiędzy skał. Podobało mu się tam. Czuł się tam bezpieczny, jak w domu. Dwa dni po tym, jak zobaczył umierającego mężczyznę, poszedł na polankę, żeby uspokoić się i pozbyć dręczących go w nocy koszmarów. Ale spokój tego miejsca został zakłócony. Pojawił się nowy kopiec świeżej ziemi, przykryty darnią.

Elspeth oddała pieniądze zarobione w mieście Jorahowi, a on zawiązał je w chustkę i wyjechał na pewien czas. W te ciche noce bez niego siedziała z dzieckiem w ramionach w fotelu bujanym, czasem kładła się do łóżka, dopiero kiedy niebo zaczynało się różowić. Wyglądała przez okna, chodziła od jednego do drugiego, niespokojnie i niecierpliwie oczekując powrotu Joraha. Wrócił z krową i dwoma wiklinowymi koszami pełnymi kurczaków.

W kapeluszu miał pół tuzina piskląt. W tym czasie Mary zaczęła już chodzić i wypowiadać pierwsze słowa. Jorah położył kapelusz na trawie. Pisklęta szczebiotały i piszczały, daremnie próbowały wspiąć się na krawędź kosza i wydostać na wolność. Jorah ukląkł i rozłożył szeroko ramiona na powitanie biegnącej do niego córeczki.

Urosły jej włosy. Były długie, brązowe, cienkie i kręciły się na końcach. Elspeth coraz częściej pozwalała opiekować się nią Jorahowi, a on był zachwycony, cieszyła go każda zmieniona pielucha, każde beknięcie. Mary, zataczając się, ganiała kurczaki po podwórku, a one zaczynały ją atakować i machając skrzydełkami, przewracały na ziemię. Jorah ciskał wtedy łopatę, podnosił zapłakaną dziewczynkę i brał ją na barana. A ona wtulała policzek w czubek jego głowy i przestawała płakać. Elspeth patrzyła na to z niepokojem i zazdrością. A kiedy dni zrobiły się krótsze, wyjechała.

Po zapadnięciu zmroku Caleb wziął hubkę i podpalił garść słomy. Blask ognia odbity w śniegu dał sporo światła. Chłopiec poczekał, aż słoma się rozpali. A kiedy oświetliła zwróconą w jego stronę twarz Emmy, Caleb rzucił słomę na braci i siostry. Zamknął oczy i uciekł.

Pierwszy był dźwięk, świst przypominający przelatującego koło ucha nietoperza, tyle że otaczał go ze wszystkich stron. Potem przyszło nagłe uderzenie ciepła i wtedy upadł. Zanim zdążył się podnieść, do jego nozdrzy dotarł zapach, obrzydliwy smród palących się włosów i ciała. Zerwał się na równe nogi i wymiotując, szybko oddalił się od stosu. Biegł ścieżką do stajni, do miejsca, gdzie czuł się bezpieczny. Stamtąd, z odległości dwustu metrów, ognisko już nie budziło strachu. Nabrał garść śniegu i starł z brody wymiociny. Wziął kolejną i włożył do ust.

Niespodziewany podmuch o mało nie wyrwał mu włosów z głowy. Bryłki lodu boleśnie pokłuły Calebowi twarz i szyję. Po ziemi, nisko, chyłkiem jak mgła, przetoczył się ogień, płonące opary nafty. Płomienie pokonały dwadzieścia kroków dzielące je od domu w ułamku chwili. Wystarczyło kilka liźnięć i zapaliły się suche sosnowe gonty i rynny. A on już biegł do matki. Poszycie nie broniło się długo, w niecałą minutę runęło na krokwie. Odległość dzieląca stajnię od domu jeszcze nigdy nie wydawała się tak duża. Lód kaleczył mu kostki nad cholewkami butów. Caleb zasłonił twarz chustką, żeby nie czuć smrodu.

Wpadł do środka. Wnętrze wypełniał huk. Panował straszliwy żar. Część sufitu w dużej izbie zapadła się. Jedna z belek przygniotła konia na biegunach, który stał w kącie, bezużyteczną zabawkę. Matka nie ruszała się mimo gryzącego dymu i odgłosu walących się ścian. Caleb krzyczał jej

prosto do ucha, zmuszając ją do wstania. Zaczął bić ją po policzkach. Po jej czole spływały krople potu. Chwycił ją pod ręce i ściągnął ze stołu kuchennego. Zaskowyczała, kiedy jej stopy uderzyły o podłogę. Caleb miał mroczki przed oczami, a kiedy kaszlnął, poczuł, jakby pluł ogniem. Z wysiłkiem ciągnął matkę za sobą, a żar był już tak intensywny, tak przeraźliwy, że chłopiec pomyślał, iż nie dadzą rady.

Przez otwarte drzwi wpadło powietrze z zewnątrz, wypełniło jego płuca i dodało mu sił. Odchylił się do tyłu, zaparł się piętami o podłogę i po chwili leżał na śniegu, dysząc ciężko, a matka na nim. Kiedy obeschły mu łzy, ze zdumieniem spostrzegł, że ogień uspokoił się nieco. Nie było wątpliwości, że pochłonie cały dom, ale teraz zachowywał się jak pyton królewski, którego Caleb obserwował kiedyś w stajni, jak zjadał mysz: zadowolony z upolowanej zdobyczy, gad już się nie spieszył.

Caleb przypomniał sobie o swojej strzelbie i karabinie ojca, leżących w kuchni przy drzwiach, a także o torbie matki obok wieszaka na płaszcze. Będzie tego wszystkiego potrzebował. Zmówił krótką modlitwę. Pomyślał o matce, wypowiedział jej imię, więc może Bóg go wysłucha. Poprosił, żeby wiatr nie przybrał na sile, kiedy on będzie w środku. Nasunął chustę na usta i nos. Futryna jeszcze się trzymała. Żar wyssał całą wilgoć ze skóry i płuc, pozostawiając bolesną suchość. Caleb naciągnął rękawy koszuli na dłonie, żeby móc dotknąć gorącego metalu, i wyrzucił broń na śnieg przed domem. A wraz z nią stary płaszcz Joraha, torbę i kurtkę matki, garnek, patelnię, torbę płatków owsianych i mąki kukurydzianej oraz kilka koców.

Zawiał wiatr i ogień wystrzelił radośnie. Modlitwa nie została jednak wysłuchana. Caleb rzucił się do drzwi. Wybiegając z piekielnego żaru, usłyszał przerażone pohukiwanie. Z trójkątnego otworu nad drzwiami wyleciała sowa. A potem druga. Szyby w oknach pękały z brzękiem.

Matka leżała tam, gdzie ją zostawił. Zdjął koszulę, zwinął w kłębek i wsunął jej pod głowę, a potem usiadł na śniegu, drżąc z zimna. Przytknął grzbiet dłoni do jej czoła. Śnieg obniżył chyba gorączkę, ale chłopak wiedział, że nie może na długo jej tu pozostawić.

Połowa domu się zawaliła. Duża izba nagle skurczyła się i zapadła, w niebo wleciały iskry przypominające robaczki świętojańskie. Resztki drewna, żarzące się pomarańczowo, fruwały w powietrzu jak niesamowite liście. Płomienie dotarły do kuchni. Caleb przez okno obserwował, jak przed ich atakiem broni się stół. Tak bardzo pragnął, żeby stół ocalał. I nagle z płonącego domu wyleciała kolejna sowa. Machała rozpaczliwie skrzydłami, próbując strzepnąć z piór pierwsze jęzory ognia. Caleb patrzył,

jak przechyla się w locie, jak jasność pożera jej ciało w wypełnionym  
dymem powietrzu, jak ptak spada i ląduje w śniegu, jak syczy żar.

## Rozdział 4

Poranne słońce, jakby na wspomnienie, zalało niebo jaskrawym, pomarańczowo-czerwonym blaskiem. Matka leżała nieruchomo, ciasno owinięta kilkoma kocami, które uratował z pożogi. Chłód jednak zdawał się dobrze jej robić. Twarz miała zdecydowanie mniej ziemistą. Caleb zwilżył jej wargi; wypła wodę, ale zaczęła kaszleć i musiał obrócić jej głowę na bok, żeby się nie zakrztusiła.

Zdjął brezent, którym ich nakrył dla ochrony przed żywiołem, i zauważył, że przez ten krótki czas, kiedy spał, spadło kilka centymetrów skrzypiącego, ziarnistego śniegu. Założył sięgający mu do kolan płaszcz Joraha. Musiał też podwinąć rękawy, żeby widzieć dłonie. Wszystko było przesiąknięte dymem, od dymu zdrętwiał mu język. Zakasłał i splunął piekielnie czarną flegmą na świeży biały śnieg. Dom tlił się i trzeszczał. Caleb nie ośmielił się spojrzeć na swoje rodzeństwo, nie wytrzymałby widoku tego, co z nich zostało.

Wrota w dalszym ciągu nie chciały nawet drgnąć. W domu nie trzymali żadnej łopaty. Wszystkie były w stajni, a Caleb i tak zawsze budził się rano pierwszy i jeśli napadało wystarczająco dużo śniegu, skakał w zaspę z otworu na strychu, rzuciwszy najpierw łopatę, która wbita w nieskalaną biel, wyglądała jak flaga zdobywcy zatknięta na nowo odkrytym lądzie.

Przydźwigał pod ścianę kilka polan i ułożył je w stos na tyle wysoki, żeby móc otworzyć okno. Udało mu się wdrapać na parapet, ale poślizgnął się i runął na twarde klepisko. Spojrzał w górę. Nad głową miał ciemne krokwie, tylko trochę jaśniejsze od czarnych jak węgiel desek sufitu. Zaniepokoiła go niezwykła cisza panująca we wnętrzu. Zwykle witały go wyłaniające się z mroku i zataczające szerokie kręgi jaskółki oraz zbudzone ze snu zwierzęta, mimo że starał się poruszać bezgłośnie. Najwidoczniej ze zwierzętami było gorzej, niż się spodziewał.

Pompa zamarzła. Caleb musiał kopnąć ją piętą buta, buta Jessego, żeby rozbić warstwę lodu. Napełnił wiadra wodą i wlał ją do wysuszonych na wiór koryt, stojących za ogrodzeniami oddzielającymi jedno zwierzęta od drugich. Ich ciała sprawiały wrażenie wydrążonych, miały wzdęte z głodu brzuchy i pościerane kopyta. On też czuł się jak wydrążona skorupa. Nie mógł się zdobyć na zapalenie lampy. Cuchnęło przeraźliwie. Chwycił garść owsa, przeskoczył ogrodzenie i próbował z ręki karmić konie, które



poranione, ledwie żyły, składały się tylko ze skóry i kości. Wlewał im wodę z wiadra prosto do pyska. Fakt, że poczuwszy wodę, zaczęły poruszać spierzchniętymi językami, sprawił mu wielką radość. Dwie świnie zdechły, a pozostałe zaczęły je powoli zjadać. Większość owiec nie przeżyła, ale w stajni były tylko chore i ciężarne, pozostałe trzymali w budynku gospodarczym na wzgórzu. Najbardziej odporne okazały się krowy, ale one także były chore, miały zgrubiałą, stwardniałą skórę, ledwie oddychały i reagowały wolniej. Caleb krążył między nimi, czując promieniujące z ich ciał ciepło. A one wodziły za nim pytającym wzrokiem. Odpowiadał, poklepując ich boki i cicho mrużąc. To miejsce było przez dwa lata jego świątynią. Stał teraz, zalany łzami, pośrodku stajni i z wściekłością cisnął wiadrem o ziemię.

Mroźne powietrze zakradające się pod brezent otrzeźwiło Elspeth. W czasie pożaru pomieszało jej się w głowie, zaczęła tracić wątek, pojawiły się wizje gnijących ciał, otwierających i zamykających pozbawione skóry szczęki.

Słońce przypomniało jej nieczującemu nic ciału nie o groźnym ogniu piekielnym, ale o przyjemnym ciepłe. Kołysała się w przód i w tył, deski wesoło skrzypiały przy każdym bujnięciu fotela, maleńki Amos spał w jej ramionach, a podłoga była usłana trocinami, które Jorah przyniósł na ubraniu i we włosach. Dziecko spokojnie spało, wtulone w nią i ciepłutkie, a purpurowe żyłki, cienkie kreseczki na jego delikatnym czole, tworzyły mapę fantastycznego lądu. Śledziła przebieg tych kresek, szerokości i długości geograficzne ich nowego syna, a przez okno obserwowała, jak Jorah stawia zręby stajni. Za chwilę będzie musiała wstać, położyć Amosa do łóżeczka, sprawdzić, co robi Mary, i pomóc Jorahowi dźwigającemu belki. On nic nie mówił, ale Elspeth wiedziała, jak trudno jest budować. Teraz Jorah zamienił piłę na młotek. Wyciągnął z kieszeni kawałek czerwonej tkaniny i przetarł nią twarz. A potem spojrzął na Elspeth ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami.

Amos rósł, a Elspeth coraz bardziej pochmurniała. Zdarzało się, że kołysała chłopca z furją, próbując wywołać z pamięci tamto uczucie, ciepło dziecięcego ciała wtulonego w jej pierś, spokój towarzyszący wyglądaniu przez okno. A on nie znosił bezczynności, nie chciał spać i nie poddawał się jej woli. Kiedy go kładła, podnosił się i stał samodzielnie. Z każdym dniem jego gaworzenie coraz bardziej przypominało ludzkie słowa, a głowę pokryły miękkie włosy. W słońcu miały kolor złota i Elspeth ich nie znosiła. Przyłapywała się na tym, że ma ochotę je obciąć, wziąć ostrą brzytwę

Joraha i przywrócić dziecko do jego naturalnego, jej zdaniem, stanu. Mary bawiła się cicho w kącie, układając klocki, które Jorah zrobił jej z kawałków drewna. Kiedy je przewróciła, Elspeth zagryzła wargę w nadziei, że to już koniec zabawy. Ilekroć jednak nachodziły ją takie myśli, tuliła Amosa do siebie i zabierała się za czytanie Biblii, zdziwiona, że księga nie płonie żywym ogniem w jej dłoniach. Tuliła go do siebie mocno, aż czasem zostawały na jego rączkach siniaki, kiedy zbyt usilnie wyrywał się z objęć, pragnąc się uwolnić, stanąć na podłodze i uciec na podwórko, gdzie nie zdołałaby go złapać. Siniaki zmieniały kolor z czarnego na niebieski, potem żółty, ale zdarzało się, kiedy Amos był już duży i muskularny, że nadal widziała czarne siniaki na jego ramionach, a wtedy odwracała wzrok, by nie patrzeć na nie.

Caleb rozpałił w prowizorycznym piecu, który kiedyś zbudował z cegieł ułożonych w kwadrat i przykrytych płaskim kamieniem. Piec miał nawet komin wychodzący przez dziurę w bocznej ścianie, zwieńczony gęstą siatką. Zanim Caleb zainstalował siatkę, do metalowej rury komina wkradła się rodzina szopów, zwabiona zapachem jedzenia, i kiedy następnego ranka rozpałił w piecu, przypieczone szopy narobiły potwornego hałasu. Caleb musiał jednego zabić widłami, kiedy ten wpadł do zagrody dla koni, strasząc je swoim jazgotem i szczerząc zęby.

Na jego strychu wszystko było nietknięte: jego posłanie, lampa, kubek na odchody i niewielka sterta ubrań. Ciasto, ostatnie, jakie Mary upiekła, pokryte pleśnią, leżało na skrzyni, na której trzymał swoje rzeczy: kilka wypełnionych rysunkami zwierząt książek, które matka przywiozła razem z nowonarodzoną Emmą, zbiór grotów do strzał i ptasich piór, których nie potrafił zidentyfikować. Teraz wydawało mu się to głupie, ot, dziecinne zabawki. Z zakłopotaniem myślał, jak mógł siedzieć przy niedającej zbyt wiele światła lampie i pocierając piórem o policzek, zastanawiać się, że jakiś dziwny ptak mógł je zgubić.

Z okna strychu widać było tłący się prostokąt, który był kiedyś domem, oraz szeleszczący brezent, pod którym spała jego matka. Z całych sił zamachnął się i rzucił łopate, która prawie doleciała do płotu oddzielającego zagrodę dla świń od pastwiska. Śnieg nie był głęboki, ale mimo to Caleb skoczył, ciesząc się tą krótką chwilą nicości, kiedy jego ciało nie należało do niego i owiewał je wiatr. Wylądował z głuchym uderzeniem, przekoziółkował i zatrzymał się, leżąc na plecach. Niebo było pogodnie błękitne, jakby obojętne na to, co się pod nim wydarzyło.

Dzięki wielkiemu wysiłkowi, dzięki koniom i mułowi, stajnia została

wreszcie zbudowana. Jorah zbijał nowe ściany, opierając je o drzewa. Siadał na gałęziach, przybijał deski, a kiedy skończył, odcinał gałęzie. Pracował z chmurnym obliczem, które Elspeth początkowo uznała za przejaw skupienia, ale później zrozumiała, że chodziło o coś dużo poważniejszego. Wzięła protestującego głośno Amosa na rękę. Mary kilka kroków dalej bawiła się szyszkami sosnowymi.

– Powinniśmy niedługo ochrzcić chłopca – odezwał się Jorah.

Oparł się dłonią o narożny słup, poprawił nogą podstawę i sprawdził, czy ściana trzyma pion. Zatarł z zadowoleniem dłoń.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Dzisiaj? – Wyglądało na to, że po południu pogoda się popsuje. Zerwał się wiatr i zanosilo się na burzę, a przynajmniej na ulewę.

– Teraz – zdecydował. – Sukienka po Mary leży na górnej półce w szafie.

Elspeth zamierzała powiedzieć, że dobrze wie, gdzie leży sukienka, i że nie ma mowy, żeby większy i cięższy Amos się w nią zmieścił, ale nie odezwała się.

Zanim rozcięła sukienkę z tyłu i doszyła wstążki, którymi można by ją wiązać, nastał wieczór. Amos wyrywał się, kiedy usiłowała wcisnąć jego rękę w rękawy. Trzasnęły drzwi i po chwili usłyszała kroki Joraha. Instynktownie przytuliła dziecko do siebie.

– Teraz – powiedział. Wzięli ze sobą lampę. Jorah trzymał Mary za rękę i unosił ją w górę, ilekroć potknęła się, nie mogąc dotrzymać mu kroku, albo kiedy wpadała w dziury i wykroty na ścieżce, które on dobrze znał. Amos płakał na rękach Elspeth. Odgłos strumienia stawał się coraz silniejszy. Lody puszczały i nurt zyskiwał na sile.

Elspeth widziała przed sobą tylko biały kołnierzyk sukienki Mary i ciemny zarys sylwetki męża wchodzącego do strumienia. Patrzyła jak woda sięga jego ud. I jak głośno sapnął, kiedy zanurzył się do pasa.

– Daj mi go – rzucił. I zaśpiewał tę samą pieśń, ale już nie tamtym kojącym głosem. Teraz zaśpiewał ją tak, jak się powinno śpiewać hymny. „O, Ojcie, błogosław dzieciom...”, zaintonował. Amos zaczął płakać. Jego biała sukienka jarzyła się w mroku. Jorah zaśpiewał jeszcze głośniej. „Podnieś ich upadłe dusze, przywróć utracony stan”. Mary również zaczęła płakać i uczepiła się spódnicy Elspeth. Wiatr przybrał na sile, drzewa kołysały się na wszystkie strony. „Przyjmij je, oczyść je, uczyni na zawsze swoimi”.

Elspeth zobaczyła, że sukienka zanurzyła się i Amos na chwilę przestał

płakać. Za to potem rozdarł się jeszcze głośniej. Elspeth wyobrażała sobie jego szeroko otwarte usteczka i przybierającą kolor purpury buzię. Jorah nie oddał jej dziecka, tylko wyszedł z nim na brzeg, a Elspeth czuła promieniujący od męża chłód i słyszała, jak szczęka zębami.

Rytm łopaty był dla Caleba pocieszeniem. Przerzucał śnieg, żeby dostać się do wrót stajni. Zadanie, które sobie postawił, pozwalało mu się wreszcie na czymś skoncentrować. Ręce owinął szmatami, które teraz były już mokre od potu. Na dłoniach porobiły mu się bąble. Kiedy słońce skryło się za wzgórzem i zrobiło się zimnej, przerwał, wbił łopatę w zaspę, zaparł się nogami i pociągnął za wrota. Otwarły się z głośnym zgrzytem, szorując po ziemi.

Wewnątrz ułożył stertę słomy, na tyle blisko ogniska, na ile się odważył. Jeden stos pogrzebowy wystarczy. Na słomie rozłożył prześcieradła. I choć tu i ówdzie słoma wystawała przez dziury w pościeli, to musiało wystarczyć. Wrócił po śladach do prowizorycznego legowiska. Zdjął okrywający matkę brezent i położył go na śniegu. Choć mróz sprawił, że gorączka jej spadła, Caleb wiedział, że matka kolejnej nocy tu nie przeżyje. Myślał, że owinie matkę w brezent, jak owija się niemowlaka, i zanieśie do stajni, ale jedyne, co zdołał zrobić, to przetoczyć ją na rozłożoną płachtę. Kobieta jęknęła.

– Przepraszam, matko – powiedział i zaraz obejrzał się za siebie, jakby te dwa słowa mogły sprowadzić znowu morderców. Jakby mieli nagle wyłonić się zza drzew, wymachiwać bronią, a potem strzelać na oślep. Caleb zaciągnął matkę do stajni. Po drodze odwracał wzrok, żeby nie patrzeć na czarny ślad, tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Grzbietem dłoni dotknął czoła matki, pozostawiając na jej skroni smużkę krwi. Gorączka spadła. Mięśnie rozluźniły się, szczęki nie były już zaciśnięte. Tak samo powieki. Dał jej trochę wody i mówił do niej, tak jak przemawiał do zwierząt, same nonsensy, kojące tony i sylaby, niby-słowa. Uświadomił sobie, że w ten sposób uspokaja bardziej siebie niż ją. Położył głowę obok jej biodra. Słoma kłuła go w twarz, ale nie dbał o to. Wsłuchiwał się w trzask ognia i ciche szelesty dochodzące z zagród dla zwierząt.

Spał krótko, wstał. Nie było już tak przeraźliwie zimno jak poprzedniego dnia, ale mimo to skulił się. Szedł ze wzrokiem utkwionym w rosnące nieopodal drzewo. Nie był jeszcze gotowy, by patrzeć w tamtym kierunku. Kiedy poczuł, że jest dość blisko, spojrzął na to, co zrobił. Dom zamienił się w popiół, który był wszędzie na śniegu, zupełnie jakby chciał gdzieś uciec. Cztery grube narożne bale przetrwały i sterczały osmalone i skurczone.

Tam, gdzie niegdyś była sypialnia rodziców, w kącie, leżały bezładnie rozrzucone kości ojca. Niecały metr od miejsca, gdzie stał, otoczone pierścieniem popiołu, białały kości jego braci i sióstr. Leżały jedne na drugich, ramiona obejmowały ramiona, nogi plątały się z nogami, żebra szepiły się jak dłonie złożone do modlitwy.

Położywszy się tamtego wieczoru do łóżka, Elspeth podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Jorah wiedział. Wszedł do sypialni bez lampy. Usiadł na skraju łóżka i nie kładł się. Odchrząknął.

– Przepraszam – powiedział. Elspeth była zmieszana. Serce tłukło się w piersi, myśli galopowały. – Nie wiem – ciągnął Jorah – czy to dlatego, że zrobiłem coś złego... – Czuła, jak rozpina i zdejmuje koszulę. Jego plecy szpeciły krzyżujące się, grube jak powrozy blizny po batach, jakie wymierzał mu pan van Tessel i jej ojciec. Ilekroć zaczynała wątpić w jego miłość, przypominała sobie te blizny i pokaleczone dłonie, które niosły jej tobołek, kiedy dogonił ją w lesie. Skórę na dłoniach miał zdartą prawie do kości, a rany zadane pejcem tak głębokie, że nawet nie krwawiły. Nocami czytał jej Biblię, kiedy szukali miejsca, gdzie mogliby rozpocząć nowe życie razem. Dla niej i dla Boga zmienił imię. Chciał jej pokazać w ten sposób swoje oddanie. Spodobało mu się brzmienie imienia Jorah, było takie delikatne, zupełne przeciwieństwo okropnego Lothute'a. Patrzyła teraz w sypialni na jego szerokie plecy i te wspomnienia trochę ją uspokoiły.

– Nie wiem, może czułaś się przeze mnie w jakiś sposób zmuszana albo popędzana – powiedział. Elspeth stężała, przestraszyła się, że może ją uderzyć. Przypomniała sobie błysk w jego oku, kiedy tam w strumieniu, zanurzony w spienionej wodzie, zażądał, żeby podała mu Amosa.

W drugiej izbie któreś z dzieci zapłakało. Oboje wstrzymali oddech. Elspeth wyobraziła sobie, że już schodzi ze wzgórze z całym dobytkiem na plecach, ze złożonym we czworo listem polecającym. Miała tylko nadzieję, że pozwoli jej spędzić tu jeszcze tę jedną noc, zanim wyjedzie.

Kiedy minęło dość czasu i dzieci z powrotem zasnęły, Jorah odezwał się znowu, tym razem spokojniej.

– Wiem też, że złożyłem ci obietnicę. Obiecałem ci, że będę cię chronił i będę się tobą opiekował. Czy nie robię tego?

Elspeth poczuła mrowienie w stopach. Tak ciasno owinęła się kołdrą, że do kończyn nie dochodziła krew. Ramiona Joraha uniosły się i opadły, westchnął głośno. Sypialnię zalało mleczne światło księżyca.

– Opiekuję się tobą. I będę się dalej opiekował. – Sięgnął ręką za siebie i ujął jej zaciśniętą na kołdrze dłoń, tak jak dotykał pięt Mary. Elspeth

rozluźniła się, a on obrócił się do niej i pociągnął ją za ramię. Usłyszała, jak jego stopy dotknęły podłogi. Kołdra się zsunęła i Elspeth zdawało się, że lewituje, że jej stopy płyną w powietrzu. Trzymając się za ręce, weszli do drugiej izby, gdzie w swoim łóżeczku spał Amos, z gołym brzuszkiem, rękoma nad głową. I gdzie spała Mary, z brązowymi włosami rozsypanymi na poduszce, w łóżeczku zrobionym przez Joraha, z literą M wymalowaną na wezgłowiu. Dzieci oddychały spokojnie i miarowo.

– Nie są do nas podobne – powiedział Jorah. Elspeth szarpnęła się i chciała uciec, ale on chwycił ją i trzymał tak mocno, jak ona czasem trzymała Amosa. – Czyje to są dzieci?

## Rozdział 5

To żywe wspomnienie zaskoczyło Elspeth. Zakaszłała, spróbowała usiąść, ale ból był zbyt silny. W pierwszej chwili pomyślała, że jest w pokoju hotelowym z wysokim sufitem w którymś z dziwnych miast, ale szybko dotarło do niej, że leży na plecach, potwornie obolała, w stajni, i tylko nie mogła sobie przypomnieć, jak tu się znalazła i dlaczego jest ranna. Gdzieś z ciemności dobiegło pianie koguta. Przypominała sobie, jak wspina się na wzgórze, widok porzrzucanych w domu ciał i palący ból. Zrozumiała, że została postrzelona, a jej dzieci nie żyją. Krzyknęła i pojawił się przed nią Caleb. To niemożliwe, pomyślała i znów spróbowała się poruszyć, ale była na to za słaba.

– Wszystko w porządku, mamó – powiedział.

On naprawdę żyje! Poczowała wzruszenie i szczęście, ale sił wystarczyło jej tylko na to, żeby poruszyć oczami.

W noc chrzcin Amosa, kiedy już położyli dzieci do łóżek, Jorah powiedział jej, że widział i wie, jak wyglądają ciała matek, wie zatem, że Elspeth nie rodziła. Westchnął i przeciągnął zakładkę z Biblii między wskazującym i środkowym palcem.

– Przez jakiś czas próbowałem sam siebie przekonać, że to możliwe. Że to dziecko może być... – zachichotał ze złością – ...może być dzieckiem Boga. – Pogładził dłonią skórzaną oprawę i nie powiedział już nic więcej, nie zadawał żadnych pytań. Z jego milczenia wywnioskowała, że Amos i Mary im wystarczą. Znów wyjechała do pracy, a potem wróciła z pieniędzmi ukrytymi w butach i przez jakiś czas było dobrze. Ale po dwóch latach znów pojawiło się to przemożne pragnienie. Całe noce spędzała, stojąc przy oknie z ramionami ułożonymi w kołyskę, kiwając się rytmicznie.

Kiedy wróciła do domu z Calebem, Jorah nie odzywał się do niej przez kilka dni. Jednak pewnego wieczoru, kiedy nakarmiła dziecko i położyła je na ramieniu, żeby mu się odbiło, wyczuła obecność Joraha. Stał w progu i przyglądał się im, a ona już wiedziała, że złość mu przeszła.

Caleb wynosił martwe zwierzęta – najpierw te najmniejsze, żeby wydeptać wygodną ścieżkę – przez las, na skraj urwiska, gdzie razem z Jessem uczyli się żuć tytoń Amosa i pluli potem gęstą śliną na skały w dole. Zrzucił tam martwe kurczaki, potem zaciągnął owcę i najmniejszą

ze świń. Pozostałych nie dał rady. Wszystko to zajęło mu większą część dnia.

Mniej więcej co godzinę zaglądał do matki, przecierał jej ściereczką czoło, mimo że nie miała już gorączki, i karmił ją ugotowanymi w misce jajkami. Jej skóra odzyskała naturalną barwę. Pomyślał, że może przeżyje, nie tylko do następnego wschodu słońca, że w końcu wstanie i zacznie chodzić. Jeśli jednak miała wstać i chodzić, to kiedyś zacznie też mówić i wtedy Caleb będzie musiał wszystko wytłumaczyć. Nie miał pojęcia, jak jej powie o strachu, który nim owładnął i kazał ukryć się w sianie. Nie wiedział, jak jej powie, że słyszał krótki krzyk Emmy przypominający bek jagnięcia. Że widział ich w odległości stu metrów od stajni, widział, jak jeden celuje do Emmy. I strzela.

Potrzebny był jakiś plan i Caleb po raz pierwszy zaczął myśleć o przyszłości. Jedyne, co mógł matce powiedzieć, to że zamierza ich zabić. Przypuszczał, że tego od niego oczekiwała. Siedział w otwartych drzwiach strychu, pochłonięty tymi myślami. Padał śnieg. Początkowo pojedyncze płatki, potem grube płaty, i wówczas znikły gwiazdy. Nogi miał swobodnie zwieszane. Żuł kawałek starego rzemienia. Na kolanach trzymał karabin ojca.

Wyobraził sobie, że zeskakuje ze strychu przy pierwszym wystrzale, który poderwał ptaki z drzew. Albo jeszcze wcześniej. Mógł przecież usłyszeć, że się zbliżają, wyczuć jakąś zmianę w powietrzu, tak jak to się działo, kiedy rano Emma miała przyjść po niego i zabrać go na śniadanie, a on już na nią czekał, zanim się pojawiła w drzwiach. Tak jak pewnego wieczoru ojciec coś wyczuł, właściwie usłyszał, jakiś odległy grzmot, a może inny dźwięk, który mógł być zwykłym skrzypieniem drzew, a mimo to poszedł na drugą stronę wzgórza. Tak i on, Caleb, powinien zeskoczyć z drabiny i chwycić za strzelbę. Zakraść się pod dom i załadować naboje. Emma zobaczyłaby go, a on kazałby jej schować się do środka. W jej oczach nie byłoby strachu, tak bardzo ufała bratu. A może chwyciłby ją pod pachę i sam zaniósł do domu, przypominając, żeby zaryglowała drzwi. Podczołgałby się pod drewnianą zagrodę. Potem przeskoczyłby na drugą stronę, zaszedł napastników od tyłu, od strony brzozowego zagajnika, ścieżką, którą tylko on znał, i stanąłby za ich plecami, mówiąc: „Rzućcie broń. Dziś nikt nie zginie”.

Oczywiście, zabiłby ich, ponieważ oni nie rzuciliby broni. I nie miałyby żadnych wyrzutów sumienia. Później ojciec znalazłby odpowiedni werset w Biblii, który dałby wszystkim pewność, że to, co zostało zrobione,



podobało się Bogu. Nawet Caleb wysłuchałby tego fragmentu. I wierzyłby w słuszność tych słów.

Pogrzebaliby ich ukradkiem po drugiej stronie wzgórza, tam, gdzie Caleb odkrył tajemnicę śmierci. Ich jedynym związkiem ze światem żywych byłby jakiś prosty znak na grobie. Caleb poradziłby sobie nawet z zamarznąłą ziemią i wykopał idealnie prostokątny grób. Tak właśnie postąpiłby Caleb, który potrafił zabijać.

Ale nie postąpiłby tak Caleb, który nie potrafi strzelić w niebo z wielkiego karabinu ojca, wyobrażając sobie potem, jak kula wytraca prędkość, spada gdzieś na pole i strąca przy okazji jakiś śnieżny obłok. Dlatego strzelił. Kolba boleśnie uderzyła go w ramię, był pewien, że przez tydzień będzie miał siniaka. Huk wystrzału zagubił się w śnieżnej nawałnicy. To było wyzwanie, wiadomość od Caleba dla zabójców, że znajdzie ich, że będzie zupełnie innym człowiekiem, kiedy ich znajdzie. Taką miał przynajmniej nadzieję.

Elsbeth szeptała. Kiedy do niej podszedł, wszystko wydawało się takie samo. Zastanawiał się, czy mu się nie przywidziało. Sprawdził bandaż, przemył ranę whiskey, otarł ścierką czoło. Kiedy odchodził, Elsbeth podążyła za nim wzrokiem.

– Caleb – wyszeptała i zmusiła się do uśmiechu, a na jej spękanych wargach pojawiły się kropelki krwi.

Caleb bał się, że wie o jego winie, ale miał nadzieję, że zobaczyła też, jak się zmienił. Obroni ich, znajdzie tamtych mężczyzn i zabije ich za to, co zrobili z jego rodziną.

Elsbeth tak długo majaczyła, że nadejście bladego świtu wprowadziło ją w konsternację. Te bandaże też były bezsensowne, ale zaraz przypomniała sobie strzał i ostatnie sekundy świadomości. Bandaże były czyste, luźno zawinięte. Mimo bólu spróbowała się podnieść i ku swojemu zaskoczeniu stanęła na nogi. Dowlekła się do wrót stajni i osłabiona oparła na nich całym ciężarem, aż się otworzyły. Mroźne powietrze o mało nie zważyło jej z nóg. Starła się utrzymać równowagę, choć tańczące przed oczami płatki śniegu wcale tego nie ułatwiały. Poczowała mdłości.

Domu nie było. W jego miejscu ziała pustka. Wiąz, który zwieszał swoje gałęzie nad ich domem, wysechł, szerniał i wcale nie przypominał już drzewa. Kiedy trawiła ją jeszcze gorączka, wydawało jej się dziwne, że śpią w stajni, ale teraz wszystko rozumiała. Ludzie, którzy wymordowali jej rodzinę, zrównali też z ziemią ich dom. Rosnące najbliżej domu drzewa miały gałęzie poskręcane od żaru. Same drzewa, dzięki temu, że pnie były

oblodzone, ocalały. Nietknięta też była reszta podwórka. Wyglądało to tak, jakby Bóg zabrał sam dom z tego świata, tak jak wyrывa się krzak w ogródku. Elspeth dostrzegła cztery ocalałe narożne słupy, które były ich domem, kiedy po raz pierwszy wyjeżdżała do miasta. Teraz ogień zamienił je w nagrobki.

Zimne błoto pociągnęło ją w dół, wprost w objęcia diabła. Jej ręka powędrowała do piersi, gdzie zawsze był krzyżyk, ale jej palce namacały tylko łańcuszek. Poddała się, twarze dzieci znikły, a kiedy po chwili powróciły, były takie, jakie zobaczyła kilka dni temu, woskowe i nieruchome, naznaczone na wieczność strachem i niemym oskarżeniem. Upadając, uderzyła kolanem o kamień. Coś zaszeleściło nad jej głową – to łopotały w powietrzu tuż koło niej skrzydła demona sfruwającego z krokwi. Potworny żar palił jej twarz, a ulgę przynosiło tylko leżenie w błocie, więc poddała się, pozwoliła, by błoto chłodziło jej twarz, choć wiedziała, że to diabelski dar.

Caleb potrząsnął lekko matką. Jęknęła. Okrył jej ramiona kocem. Jej skóra była gorąca nawet w lodowatym błocie. Elspeth krwawiła pod bandażami. Jej oczy, szkliste i rozbiegane, patrzyły w stronę domu. Rozwiały się wyobrażenia Caleba o tym, że ona nagle wstaje, ziewa, przeciąga się i rusza w pościg za ludźmi, którzy wymordowali ich rodzinę.

Nie odniosła poważniejszych obrażeń; od wysiłku otworzyło się tylko kilka ran. Po czole spływały jej strumyczki potu. W kociołku nad ogniem roztopił śnieg i czystą ścierką zaczął ją myć. Sporo straciła na wadze, pod skórą wyraźnie widać było każdą żyłkę i każdy mięsień. Zaczął od stóp i posuwał się w górę, aż dotarł do ud. Potem zajął się ramionami. Zdjął z niej strzępy sukienki. A wtedy ona wyszeptała agonálním szeptem imię ojca. Caleb zadrżał. Odwrócił wzrok i zdjął jej paskudnie zabrudzone reformy. Cuchnęły, więc wrzucił je do ognia. Obmywał jej ciało z zamkniętymi oczami, moczył ścierkę w wiadrze, gorąca woda parzyła skórę i wyciskała mu łzy z oczu. Szybko wyjmował dłoń z wiadra, rozchlapując dookoła parującą wodę. Powinien wymienić siano i zmienić poślanie. Rozłożył na klepisku koc. Żeby nie zmarzła, ubrał ją w stare robocze ciuchy Joraha, które wisały na gwoździu przy zagrodzie koni. Dzięki zapinanej na guziki koszuli miał teraz łatwiejszy dostęp do bandaży. Wyplukane, mokre prześcieradła i kołdrę powiesił na belce nad paleniskiem. Kiedy skończył, poczuł się bardzo dumny z siebie.

Wpatrywał się w miejsce, gdzie stał kiedyś ich dom. Słyszał ich: ojca czytającego na głos Biblię, śmiejących się chłopców, kłócące się

dziewczynki. Nie miał z czego zrobić dla nich nagrobków. Pomyślał o miejscu po drugiej stronie wzgórza, polanie z czterema kopczykami, które pozostaną tam na zawsze, nawet jeśli ojciec nie będzie już wycinał krzaków i pielęgnował trawy.

Przeszedł przez podwórze. Każdej wiosny, kiedy topniał śnieg, pojawiały się kamienie, których wcześniej nie było. Zupełnie jakby ziemia je rodziła. Zbierane każdej wiosny, tworzyły teraz sporą stertę, która latem była domem dla węży i gryzoni. A Amos siadywał pod drzewem z własnoręcznie wykonaną procą i polował na nie. Potem posyłał Caleba, żeby przynosił mu zdobycz.

Caleb zaczął wspinać się na pagórek. Ostrożnie i niepewnie stawiał kroki, podpierał się łopata, jego sapanie tłumił śnieg pokrywający grubą warstwą ziemię, drzewa, ciała braci i sióstr, stertę przemieszanych kości. Uderzenia, głośne i dudniące, wkrótce ucichły, kiedy Caleb przebił się przez lód i łopata natrafiła na puszysty śnieg. Łopata wchodziła teraz w ziemię z cichym szeptem. Zrobił sobie chwilę przerwy, słońce ukryło się za wzgórzem, znikło popołudniowe ciepło. Zesztywniał mu kark i ramiona. Dłonie krwawiły. Myślał tylko o pracy.

Pracował dalej po ciemku, ręce grabiały mu z zimna, kopał, bo nie wiedział, co innego mógłby zrobić. W końcu łopata zazgrzytała. Caleb poszerzył otwór i gołymi rękami wyciągnął kamień. Był nieduży i gładki w dotyku. Ten będzie dla Emmy. Położył go pod poskręcanym od ognia wiązem, pod którym dziewczynki kładły się, wpatrywały w niebo przez gałęzie i szeptały coś do siebie. Potem wydobył duży, chropawy głaz dla Amosa i postawił go obok tego dla Emmy. Mijały godziny, a on nie przerywał pracy. Ułożył wokół drzewa cztery kamienie, po jednym dla każdego z rodzeństwa.

W środku płonął ogień i była zapalona jedna lampa. Jej blask padał na Elspeth, oświetlał brzeg siennika, torby i rzeczy, które Caleb zaczął gromadzić, przygotowując się do pościgu za mordercami.

– Mamo – szepnął.

– Mój krzyżyk... – Głos miała ochrypły, suchy. Caleb znalazł go. Przekręcił się i miała go na plecach. – Widziałeś ich?

– Było ich trzech – odpowiedział. Powiedział jej o czerwonych chustach, ale zaciął się, kiedy miał ich opisać. Nie potrafił tego ubrać w słowa.

– W porządku. – Poklepała go po dłoni. – To ty wyciągnęłaś mnie z ognia? – zapytała, a Caleb potwierdził. – Gdzie oni się ukrywali? Nie widziałam ich. – Caleb nabrał powietrza, zamierzając wyznać prawdę, ale

matka opadła bezwładnie na posłanie. Poprawił więc tylko poduszkę pod jej głową. – Mój krzyżyk – powtórzyła cicho. Położył jej dłoń na krzyżyku, a ona zacisnęła na nim palce. – Gdzie byłeś?

– Wykopałem groby.

– To dobrze. – Pokiwała głową. Powtórzyła to jeszcze kilka razy i w końcu zasnęła.

Stał oparty o ścianę. Miał na sobie buty, w rękę trzymał kapelusz. Spał może dwie, trzy godziny. To był ciężki i mroczny sen. Kiedy się obudził, zaskoczył go intensywny blask dnia. Sięgnął po strzelbę, jakby pojawił się jeden z bandytów, na których czekał.

## Rozdział 6

W taki sposób Elspeth i Caleb przeżyli prawie tydzień. Każdego dnia Elspeth siadywała na dłużej i jadła coraz więcej. Codziennie rano, w południe i wieczorem Caleb zmieniał jej opatrunki. Z ran już się nie sączyło, powstały strupy przypominające tafłę lodu na kałuży. W dalszym ciągu prószyło i śnieg przykrył czarne zgliszcza ich domu. Oblepił też białą powłoką cztery narożne słupy.

Zwierzęta odżyły i ogrzewały teraz ciałami powietrze w stodole, tak że Caleb nie musiał już zakładać dwóch koszul i dwóch par spodni. Matka nabierała sił, a on zaczynał się martwić malejącymi zapasami żywności, jakie udało mu się zgromadzić. Wielokrotnie pakował się i rozpakowywał, przygotowując się do podróży. Do starego plecaka, który musiał należeć do ojca, schował trzymane zimą w stajni zapasy suszonego mięsa. W gruby wełniany płaszcz zawinał czyste koszule, szmaty, z których można zrobić bandaże, puste słoje na wodę, szpulkę szpagatu, zapałki i – na samym dnie – jedno ze swoich ulubionych piór, tak intensywnie czarne, że kiedy padały na nie promienie słońca, brzegi stawały się purpurowe. Wyczyścił i naoliwił broń. I nie zapomniał o ciężkich pudełkach z nabojami.

Na przekąskę upiekł ciasteczka z mąki kukurydzianej, wyjmując prędko, żeby nie poparzyć palców, larwy robaków. Zwierzęta ożywiły się na zapach jedzenia. Caleb wiedział, że oznacza to powolny powrót do zdrowia. Bywały chwile, kiedy wahał się, czy nie zostać, ale szybko odpędzał tę myśl, zamykając oczy i przypominając sobie odgłos wystrzałów i pustkę w twarzach braci i sióstr. Po raz pierwszy zapalił lampy znajdujące się pośrodku stajni i przyjrzał się zwierzętom. Były wychudzone, kości sterczały ze skóry. Zwierzęta żyły i obserwowały go lśniącymi oczami. W ostatniej zagrodzie dojrzał konie. Zdechły w nocy. Rzucił wiadro na ziemię, woda rozlała się, tworząc bajoro wokół jego butów. Oba konie padły razem, przytulone do siebie. Caleb położył się w błocie i wtulił w nie. Były zimne.

Konie pewnego dnia po prostu się zmaterializowały. Pasły się w dolinie. Jorah miał już wcześniej konie, ale zdechły, zanim Caleb zdążył się z nimi zaprzyjaźnić. Amos udawał, że je pamięta, ale Mary twierdziła, że to tylko wyobraźnia podsycona opowieściami ojca. Caleb i Jesse dostrzegli konie w tym samym momencie, ale to Jesse pobiegł powiedzieć o nich ojcu. Ojciec nie był tak samo zachwycony jak oni. Oślonił dłonią oczy przed słońcem

i patrzył. Konie – tłumaczył później – były ujeżdżone i miały na grzbiecie ślady po siodle. Zagonił wszystkich do domu, a sam usiadł na skale na skraju pola kukurydzy i przez większość popołudnia obserwował konie. W końcu gwizdem przywołał Amosa i obaj zniknęli za wzgórzem. Kiedy wrócili, Caleb był przerażony rozmiarem koni, widokiem ich gruzłowatych mięśni, żył grubych jak jego palec.

Tuląc się do końskiego brzucha, Caleb wspominał swoją przeprowadzkę, która zaczęła się po tym, jak zobaczył człowieka w dolinie padającego na ziemię, kiedy usłyszał dźwięk wystrzału. Z dnia na dzień coraz więcej czasu spędzał ze zwierzętami, które łatwiej było zrozumieć. Z dnia na dzień coraz wcześniej się budził i coraz dłużej zostawał w stajni. Emma i Mary zносиły mu tam śniadanie. Pewnej niespokojnej nocy, gdy co chwila budziły go wymaginowane strzały z karabinu, a Jesse musiał zasłaniać mu usta dłonią, żeby nie krzyczał, obaj chłopcy wymknęli się na pogrążone w absolutnych ciemnościach podwórko i dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu na płocie. W końcu Caleb powlókł się do stajni. Zasnął na strychu i nie miał już koszmarów. Następnej nocy, spędzonej w domu, znów budził się z krzykiem. A na strychu spał spokojnie. Zaczął się przyzwyczajać do przebywania poza domem, ale w środku wszystko się w nim gotowało. Podejrzewał, że Jorah emanuje złem i w nocy wdiera się do jego głowy, zatruwając sen. Chciał nawet zapytać o to Jessego, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Elsbeth ćwiczyła chodzenie. Wstawiała, na drżących nogach stawiała niepewne kroki i przypominała sobie pierwsze nieśmiałe kroki dzieci, ich pierwszy akt zdrady wobec niej. Jak w wypadku Amosa, kiedy zaczął chodzić: pobiegła na skraj wzgórza, stanęła na pniaku i zastanawiała się, czy rzucić się w dół.

Szła, powłócząc nogami, i zastanawiała się, co czuje Caleb, widząc zwierzęta w takim stanie. Nie знаła go dobrze. Właściwie nie znała dobrze żadnego ze swoich dzieci, ale wiedziała, że kochał to miejsce i mieszkające w nim zwierzęta. Szybko zaczęło jej brakować tchu i postanowiła odpocząć, oparłszy się o żerdź przy ostatniej zagrodzie, w której marniały z dnia na dzień dwa wychudzone konie.

Drugiego dnia dotarła do końca stajni i samodzielnie wróciła. Czowała się lepiej i choć była jeszcze słaba, nie mogła dłużej znieść otoczenia śmierci. Ilekroć spojrziała na zgliszczą domu, czowała się jak potępiona. Taki stan zawieszenia nie mógł dłużej trwać.

– Jutro – powiedziała, wracając na posłanie i wiedząc, że Caleb słyszy ją

na strychu – opuszczamy to miejsce o brzasku.

## Rozdział 7

Choć opatrzone rany i fakt, że obudziła się w ubraniu Joraha, nie pozostawiały wątpliwości, iż Caleb widział jej ciało, to kierując się skromnością, Elspeth poszła w najdalszy kąt, gdzie zabandażowała sobie klatkę piersiową, zaciskając tkaninę tak mocno, że trzeszczała i nie pozwalała swobodnie oddychać.

Caleb przystanął na szczycie drabiny, ścierając z powiek resztki snu. Matka spięła bandażę szpilkami, przez co wyglądała jakby miała metalowe szwy.

– Już pora – powiedziała.

– A co ze zwierzętami?

Elspeth włożyła najpierw jedną, potem drugą rękę w rękawy koszuli Joraha, starając się ignorować ból i wiedząc, że gorszy, o wiele gorszy, dopiero się pojawi. Chłopcu musi być trudno zostawić zwierzęta, pomyślała. A one wodziły za nią oczami, jakby pytając, jaki los je czeka. Odgłosy parskania i przebierania kopytami mąciły jej myśli.

– Chyba puścimy je wolno.

– Zdechną – stwierdził Caleb. Stał o metr od posłania i swego lichego dobytku i marzył o jeszcze kilku chwilach dzieciństwa. Wybaczył sobie szloch. Wyobrażał sobie swoje zwierzęta, chore i słabe, włóczące się po wzgórzu. Miał nadzieję, że nie będą za nim tęsknić. – Nie będą wiedziały, co robić.

– Możesz zostać – powiedziała. Zszedł z drabiny, drobny dwunastolatek w tak wielkiej przestrzeni. Zwierzęta nie dbają, że źle zapiął koszulę, która wisi teraz krzywo na jego wątłych ramionach, ani o to, że rano włosy mu sterczą na wszystkie strony, a w południe opadają na oczy. Znalazł tu swoje miejsce. Poczowała ulgę na myśl o tym, że odejdzie sama, jak już wielokrotnie planowała od czasu, kiedy osiedlili się z Jorahem na tej północnej stronie wzgórza.

Calebowi, oczywiście, przyszło do głowy, żeby zostać. Matka powiedziała to głośno, więc znów ogarnęły go wątpliwości. Mógł dalej żyć tak jak do tej pory, ze zwierzętami. Ale przecież podjął już decyzję, rodzina liczyła na niego. Dlatego przeszedł wzdłuż przegród i otworzył wszystkie po kolei, nie mogąc spojrzeć na zaskoczone zwierzęce pyski. Pod nogami kręciły mu się kurczaki, a on zarzucił na ramiona plecak i wziął do ręki



swoją strzelbę i karabin Joraha.

Otworzyli wrota. Zimne powietrze zmroziło im skórę i wysuszyło wargi. Zasłonili usta chustami. Pod stopami skrzypiał śnieg. Caleb zwalczył w sobie pokusę obejrzenia się za siebie. Słyszał ciche nawoływania zwierząt, błagających, żeby jeszcze raz rozważył swoją decyzję. Akurat mijał niewielki kopczyk śniegu, pod którym leżeli spleceni w wiecznym uścisku bracia i siostry, i jego determinacja wzrosła. Zrzucił plecak wyżej na ramiona.

Powolna i skołowana Elspeth wpatrywała się w puste miejsce, gdzie do niedawna stał jej dom. Widziała cztery kamienne nagrobki i prowadzące do nich ślady Caleba. Pomodliła się w milczeniu, prosząc o bezpieczną podróż dla siebie i Caleba, a także dla swoich dzieci i męża, kiedy będą szukać drogi do nieba. Abraham był gotów zabić swojego syna dla Boga, a On ocalił ich obu. Na oddalającym się z każdym krokiem ołtarzu ofiarnym poświęciła nie jedno, ale czworo dzieci i męża. Zastanawiała się, czy Bóg staje się coraz bardziej okrutny. I zamiast dziękować za to, co zostało ocalone, czuła narastającą złość z powodu tego, co jej odebrano. Gdzieś w głębi niej – w wyimaginowanym łonie, które nosiło dzieci uznane przez nią za jej własne – rosła determinacja, żeby znaleźć odpowiedzialnych i zabrać im wszystko z równie wielkim okrucieństwem.

Elspeth, zawsze zwinna jak kozica, teraz potykała się co chwila, ślizgała na oblodzonych kamieniach i stromych ścieżkach. Caleb nie pomagał jej, dopóki nie ześlizgnęła się ze skarpy i nie wylądowała z głośnym hukiem na grubym lodzie zamrożonego potoku. Jej krzyk wypełnił gęste poranne powietrze. Caleb wetknął zabezpieczoną strzelbę pod plecak. Była teraz drugim kręgosłupem, pomagającym mu zachować pionową postawę. Czuł na plecach zimny metal. Karabin służył Calebowi do podpierania się. Chłopak wziął matkę pod rękę i szli teraz dość dziwnie, bo ścieżka była za wąska, żeby zmieściły się na niej dwie osoby. Elspeth pograżyła się w bólu, pozwoliła mu zawładnąć sobą, ponieważ mobilizował ją do wytrwania w drodze.

Caleb milczał, obawiając się, że w rozmowie mogą paść pytania. Nigdy wiele nie rozmawiali. Caleb mówił tylko wtedy, gdy się do niego zwracano, a i to nie zawsze. Miał jedno wyraźne wspomnienie wiążące się z matką i pielęgnował je, przechowywał troskliwie, tak samo, jak swoje książki i pióra.

Pewnego jesiennego ranka wstał wcześniej, żeby łowić ryby w wirach potoku. Minał kępę drzew i wdrapał się na długą, płaską skałę, wiszącą nad

rzeką. Powierzchnia wody zdawała się gładka, ale latem kapał się tam z Jessem i prąd obracał ich jak bączki. Usiadł na brzegu skały; na twarzy i dłoniach czuł chłód ciągnący od wody. Spławik kołysał się na wodzie, a on wymachiwał nogami w powietrzu, z papierosem przyklejonym do wargi. I wtedy usłyszał, że ścieżką biegnącą wzdłuż potoku nadchodzi matka z koszem pełnym bielizny do prania. Nuciła hymn, który śpiewali czasem Emmie. „To jest dom dla małych dzieci, a nad nim czyste błękitne niebo”. Zamyślona i zmęczona Elspeth – dopiero co wróciła po kilkumiesięcznej nieobecności w domu – postawiła kosz i wyjęła z niego jedną z koszul męża. Uniosła ją do słońca i przyglądała się jej z tak zdumioną miną, jakby w życiu nie widziała koszuli. Caleb też zaczął się przyglądać, jak słońce prześwieca przez cienką tkaninę.

Elspeth zauważyła Caleba, wzdrygnęła się i poślizgnęła na błotnistej skarpie. I pewnie wpadłaby do wody, gdyby nie koszula, która zaczepiła o skałę. Kiedy Elspeth ponownie uniosła ją do słońca, okazało się, że koszula jest cała zabłocona i podarta. Elspeth wstała, oczyściła nogi z błota i spojrzała na Caleba, przekrzywiając głowę. Caleb wrzucił niedopałek do wody. Rozległ się syk, na tyle głośny, że usłyszeli go oboje. Potem niedopałek zawirował i zniknął pod skałą. Elspeth uśmiechnęła się, trzymała chwilę koszulę nad wodą, a następnie wypuściła ją z rąk. Koszula miękko poszła pod wodę popychana i szarpana przez chaotyczny nurt, aż wreszcie znikła jak duch topielca. Oboje nie powiedzieli słowa, chociaż kiedy Caleb złowił pstrąga i wyciągał go, szamocącego się, z wody, znów się do niego uśmiechnęła. Nanizał rybę na szpagat, który przywiązał do wystającego z ziemi korzenia drzewa. Jedna ryba zupełnie by mu wystarczyła, ale przyjemnie było posiedzieć w słabnącym jesiennym słońcu obok matki. Kiedy Elspeth skończyła pranie, skinęła mu głową i odeszła z koszem bielizny przed sobą jak z ciężarnym brzuchem. I Caleb dopiero wtedy pozbiierał swoje rzeczy.

Tamten jesienny dzień był najdłuższym, jaki we dwoje spędzili. Był ich jedynym wspólnym sekretem. Ale po owym przelotnym zbliżeniu znów się od siebie oddalili i teraz Caleb czuł, że dzieli ich przepaść, mimo że trzymał Elspeth pod rękę i pomagał iść po wyboistej ścieżce wiodącej w dół zbocza. Bał się, że kiedy powie jej, co zrobił, ona zostawi go, a on resztę swoich dni spędzi w samotności.

Kiedy wyprawy Elspeth stały się częstsze, modliła się nieustannie, żeby następne dziecko przyniosło jej wreszcie ukojenie. W Watersbridge, mieście, w którym urodził się Caleb, były szerokie, pełne kurzu ulice i kiedy hulał na

nich wiatr, w powietrzu unosiło się tyle piasku, że trzeba było zamykać okna nawet w największy upał. Wyniosła wieża kościoła sięgała nieba. Caleb przypominał nieforemnego, zabiedzonego aniołka i Elspeth próbowała się powstrzymać, przysięgała sobie, że wystarczy jej to, co ma, ale na nic nie zdały się przysięgi. Podróż pociągiem nie trwała długo. Elspeth była zdumiona sprawnością swej fałszywej wymowy, kiedy bez opamiętania łągała, tłumacząc pozostałym pasażerom, dlaczego naraża noworodka na trudy podróży. Jorah przywitał ją milczeniem i złością, a jej piersi nie chciały produkować mleka dla dziecka. W końcu Jorah nawiązał kontakt z Calebem i chłopiec był traktowany jak reszta. Ale nie do końca. Caleb nigdy nie czuł się dobrze w towarzystwie Joraha, inaczej niż pozostałe dzieci. Elspeth odczekała dwa lata, zanim przywiozła Jessego. Jorahowi powiedziała, że jego matka jest uzależniona od alkoholu i laudanum, więc zaakceptował kolejne dziecko bez mrugnięcia okiem.

Próbowała przestać. Przez cztery lata przyjmowała porody, zawijała dzieci w beciki i pielęgnowała, żyjąca pokusą, ale i niepoddająca się jej. W przypadku Emmy okazało się to zbyt trudne. Przyniosła dziecko do domu bez słowa wyjaśnienia, a Jorah był posepny i milczał. Słyszała, jak rano i wieczorem modli się przy łóżku o jej zbawienie. Nic nie było w stanie sprawić, żeby złamał dane słowo. Chociaż Elspeth często poddawała go próbie.

Skąd przyszli? – zapytała Elspeth. Pochyliła się tak nisko, że ich czoła się zetknęły. Przebyli już spory kawał i Caleb postanowił obejrzeć się w stronę domu, ale nie zobaczył już stajni ani czubków drzew. Ta część wzgórza nie była widoczna z miejsca, gdzie stali. Caleb widział ślady ich stóp, kręty, węzowy ślad wiodący do domu i z powrotem, czemuś budzący wyrzuty sumienia. Wyciągnął oprószone śniegiem ramię i wskazał kierunek.

Elspeth wsunęła dłoń pod bandaż i dotknęła palcem rany. Ból przywrócił myślom jasność, odetchnęła głęboko, jej nogi ożyły. Chłopiec pokazywał ten sam kierunek, z którego przyszła. Przed oczami przebiegły jej obrazy miast i miasteczek, które odwiedzała. Przyglądała się im, jakby przewracała kartki książki, wpatrywała się w mężczyzn z bronią u pasa, wsłuchiwała w huk strzałów, kiedy bywalcy karczm wysypywali się na ulice.

– Hapsburg – szepnęła, przypominając sobie, jak pewnego ranka musiała ominąć wielką kałużę krwi na ulicy przed hotelem, w którym mieszkała. – To dobre miejsce na początek. – Podróż będzie długa, pomyślała, i nigdy już tu nie wrócimy.

Brakło im sił do rozmowy, zresztą nie mieli o czym rozmawiać. Elspeth wiedziała, jak wiele mil dzieli ich od Hapsburga, wiedziała też, że podróż zajmie im wiele dni. Dni, które spędzi na zastanawianiu się, skąd przybyli tamci mężczyźni i jak zdołali znaleźć na takim pustkowiu farmę Howellów. Spod lodu wyrastały kamienie, o które się potykała albo na które boleśnie następowała podeszwą. Myśli Caleba wędrowały od rodzeństwa do pożaru, od pożaru do bezkresnych przestrzeni, które teraz przemierzał.

Minęło południe i okolicę zasnuła gęsta jak mleko mgła, zdająca się wręcz żywą istotą. Początkowo snuła się wokół kostek, szybko dotarła do pasa, a już po kilku minutach nie widzieli własnych wyciągniętych przed siebie ramion. Caleb zdał się teraz na matkę, która znała drogę na pamięć.

Elspeth gwałtownie zadrżała. Spojrzał na nią i zobaczył, że twarz ma zalaną łzami, a usta wykrzywione w grymasie smutku.

– Chcesz swoją Biblię? – zapytał, próbując ją pocieszyć.

– Ich wszystkich już nie ma – szepnęła.

– Tak, matko.

– Domu też. Domu, który zbudował twój ojciec.

– Tak, matko.

Zerwał się na chwilę wiatr i mgła odkleiła się od ich ciał, z nieba znów zaczęły padać płatki mokrego śniegu.

– Bóg nas oszczędził... – powiedziała Elspeth. To była najokrutniejsza kara. – Dlaczego to zrobił?

Atakowała ich cuchnąca zgnilizną wilgoć. Padał deszcz. Elspeth chwyciła skurcze w łydkach, a jej myśli uparcie krążyły w zamkniętym kręgu. I nagle ziemia osunęła jej się spod nóg. Elspeth stawiała kolejny krok i spodziewała się fali bólu w zeszywniałej nodze, a tymczasem jej stopa nie dotknęła ziemi. Wyślizgnęła się z ramion Caleba, jej bezwładne ciało runęło błyskawicznie. Jedna z chust zaczepiła o złamaną gałąź i Elspeth pomyślała, że zaraz na niej zawisnie. Miała nadzieję, że znów upadnie i nareszcie nie będzie niczego czuła.

Ale chustka zerwała się, pozostawiając tylko palącą pręgę na szyi, teren wokół był płaski. Szum w uszach ucichł. Leżała na plecach, wsłuchując się w odgłos deszczu. Otaczała ją tak gęsta mgła, że Elspeth nie wiedziała, w którym kierunku ruszyć.

Mgła zgęstniała i Caleb aż musiał przyklęknąć, żeby przekonać się, że deszcz rozmył ścieżkę. Na śniegu zobaczył ślady butów w miejscu, gdzie Elspeth zniknęła. Zawołał ją. Powietrze wokół wyglądało jak pomyje. Stał na skraju urwiska i powtarzał sobie, że musi skoczyć, ale powstrzymywał go

strach. Pomyślał o braciach. O tym, że nawet Jesse śmiałyby się z niego. Zaprażył, żeby z mgły wyłoniły się dłonie Amosa i pociągnęły go w dół. Zateęsknił za ich drwinami. W dole, w nieprzeniknionej bieli, dostrzegł jakiś ruch. Zaczął się zsuwać. Nogawki spodni zadarły mu się do połowy łydki i lód palił skórę. Podniósł nogę, ale wtedy zaczął się ześlizgiwać jeszcze szybciej. Kiedy podskoczył na jakimś wyboju, dostrzeżony wcześniej obiekt stał się dobrze widoczny. Próbuując utrzymać równowagę przechylił się w lewo. Wilgotna mgła sprawiła, że śnieg był bardzo śliski. Caleb bał się, że nie dosięgnie. Ale sięgnął. Uchwycił palcami wełnianą chustę matki i odczepił ją z gałęzi. Ponieważ chusta przez krótką chwilę stawiała opór, zaczął się okręcać wokół własnej osi i zjeżdżać w dół zbocza tyłem. Spodziewał się, że w każdej chwili może trafić na skałę albo drzewo, i skulił się, czekając na uderzenie.

Kiedy się wreszcie zatrzymał, przewrócił się na brzuch i spojrzał na tył spodni. Lód prawie przetarł materiał. Skóra na kostkach była gorąca i strasznie piekła. Pojawiły się na niej kropelki krwi.

Mniej więcej dwadzieścia metrów wyżej z piersi matki wydobył się dziwny dźwięk. Caleb zapomniał o zakrwawionych kostkach i podbiegł do niej. Wreszcie wyraźnie usłyszał ten dźwięk, który wziął wcześniej za kaszel. Elspeth śmiała się głośno. Z jej obolałego ciała wydobywał się huragan gardłowego, chrapliwego śmiechu. Słyszając ją, Caleb również zaczął się śmiać.

Po raz pierwszy od długiego czasu Bóg ją nagroził. Leżała tam, we mgle, i zastanawiała się, jak odnaleźć Caleba. Kiedy zdecydowała się wreszcie, żeby wstać, usłyszała narastający huk i nagle z nieprzeniknionej bieli wyłonił się spadający z zadartymi wysoko nogami Caleb. Gdy już opanowała się, usłyszała, że teraz on zaczął chichotać – a słyszała jego śmiech zaledwie kilka razy w życiu, można by na palcach jednej ręki policzyć – i ponownie wybuchła śmiechem.

– Karabin – powiedział chłopiec, nagle poważniejąc. – Zgubiłem karabin ojca.

– Pewnie zaczepił się o jakiś korzeń – uspokoiła go Elspeth. Caleb powstrzymał łzy i Elspeth nie widziała, jak wielkie spustoszenie poczyniła utrata karabinu w i tak udreńczonym sercu syna. Poprawiła, na ile się dało, ubranie i sprawdziła zawartość swojej torby. W środku pachniało drewnem cedrowym i dymem z kominka w hotelu, w którym mieszkała, pracując jako opiekunka do dzieci, bo na szczęście położnych było w mieście pod dostatkiem. Jej ubrania, tak długo nieprane, były teraz kupą zateęchłych,

cuchnących szmat, rzuciła je więc w śnieg; nie nadawały się do niczego. Woląta to, co miała na sobie, woląta czuć zapach potu Joraha. W torbie pod ubraniami były prezenty. Namacawszy je, zaczęła oddychać z trudem, każdy haust powietrza wywoływał ból. Otworzyła flakonik perfum, który przywiozła dziewczynkom, i cierpki zapach zaszczypał ją w oczy. Postawiła flakonik obok siebie na ziemi. Kanciaste szkło rozszczepiło światło, tworząc na śniegu tęczę. Rozwinęła wstążkę przeznaczoną dla Emmy. Trzymetrowa fioletowa tkanina rozścieliła się na śniegu, a kiedy powiał wiatr, Elspeth wypuściła ją z ręki, pozwoliła, by wstążka poszybowała w powietrzu niczym kolorowy wąż. Z samego dna torby wyjęła najmniejsze paczuski, owinięte w brązowy papier i związane szpagatem. Rozpakowała jedno zawiniątko, w którym były różowe gumy do żucia.

– Nie połykaj – powiedziała, dając jedną Calebowi. – To guma. Żuj ją.

Różowawe kulki przypominały mu nowo narodzone wiewiórki. Nie przejął się tym skojarzeniem, a gdy guma zmiękła, uśmiechnął się.

– Zapomnij o karabinie – odezwała się Elspeth. – Zresztą był zbyt ciężki.

Na niebie kłębiły się chmury. Wzięła go pod rękę i ruszyli w kierunku Hapsburga. Deszcz przestał padać. Caleb zdał się na nią i pozwolił sobą kierować, nawet kiedy nieoczekiwanie zmieniała kierunek. Wystarczyło kilka minut, a ich plecy i głowy lśniły tym samym mokrym blaskiem, co cała okolica. Elspeth zapomniała o buteleczce perfum pozostawionej w śniegu.

Dotarli do sporej kępy wieczozielonych krzewów i drzew, które były dobrą osłoną przed wiatrem, i w gasnącym świetle dnia rozbili obozowisko. Caleb rozciągnął linkę pomiędzy dwiema rosnącymi blisko siebie sosnami i zarzucił na nią brezent. Wkrótce siedzieli pod nim, kryjąc się przed deszczem i gradem. Nie mieli zbyt wiele do jedzenia: kilka orzechów i trzy plastry solonej wołowiny. Caleb sprawdził, ile mu zostało tytoniu. Okazało się, że wystarczy tylko na jednego niewielkiego skręta. Wywrócił torebkę po tytoniu na drugą stronę i schował ją do kieszeni koszuli na piersi. Pachniała Amosem. Udało mu się rozpalić ognisko, chociaż sosnowe drewno było świeże i kiepsko się paliło. W pobliżu znalazł uschniętą brzozę i następując na nią butami Jessego, połamał na kawałki. Była spróchniała i szybko się spaliła. Napili się wody ze słoika, Caleb napełnił go potem świeżym śniegiem i postawił blisko ognia.

– Widziałeś, jak palił się dom? – zapytała Elspeth, wracając do przeszłości.

Odpowiedział, że tak.

– Gdzie oni wtedy byli?

– Nie wiem – odparł. Chwycił płonąca sosnową gałąź kapiącą wrzącymi sokami i z tą prowizoryczną pochodnią ruszył na poszukiwanie drewna, mając nadzieję, że matka nie widziała wyrazu jego twarzy. Nie skłamał przecież, lecz już dawno powinien był jej opowiedzieć całą historię. Bał się jednak, że matka odejdzie i zostawi go tam, a on do końca życia będzie szukał nowego domu.

Elsbeth obserwowała kołyszącą się w dłoni Caleba pochodnię. W jej nogach i całym ciele pulsował ból. Wyjęła z torby Biblię, przycisnęła ją do piersi i zasnęła.

Niedaleko miejsca, gdzie znalazł pierwszą uschniętą brzozę, natrafił na drugą i zaczął ciągnąć ją w stronę obozowiska. Cienka jak papier kora zdarła się po drodze, obcierając mu skórę na dłoniach. Zbliżając się do brezentowego namiotu, zauważył na skraju kręgu światła rzucanego przez ogień przyczajoną czarną postać. W pierwszej chwili sądził, że mu się przywidziało, ale postać poruszyła się. Caleb skreślił w bok, żeby dzieliło go od zwierzęcia ognisko. Z mroku spoglądały na niego świecące na pomarańczowo oczy. Ogień przygasł. Wzmogła się ulewa.

Caleb podszedł do brezentowego namiotu. Zwierzę krążyło w pobliżu, od czasu do czasu błysnęło w blasku ognia pazur albo kieł, ukazała się na chwilę muskularna sylwetka. Kiedy Caleb pokonywał ostatnich kilka kroków dzielących go od plecaka, zwierzę warknęło przeraźliwie. Ale kiedy Caleb sięgał po swoją strzelbę, zwierzę zniknęło.

Z bronią w ręku odważnie podszedł do miejsca, gdzie wcześniej czał się zwierz. Znalazł ślady łap i pazurów, po czym wrócił do obozowiska i usiadł pod brezentowym dachem ze strzelbą na kolanach. Był tu, na pustkowiu, daleko, dalej niż kiedykolwiek wcześniej od domu, z trawioną gorączką matką, i nie mógł się pozbyć natrętnej myśli, że cały świat zwrócił się przeciw nim.

Wczesnym rankiem następnego dnia Caleb złapał zająca. Szedł za nim aż do jego nory. Sprawdził, czy nie ma tam młodych, matki by nie zabił. Uniósł zająca za uszy, a ten wierzgał w powietrzu tylnymi łapami i wydawał głośne, gardłowe odgłosy. Caleb odczekał chwilę, chwycił go za łapy i mocno pociągnął. Słysząc było trzask pękającego kręgosłupa. Ciałem zwierzęcia wstrząsnął dwukrotnie spazm. Caleb wypatroszył je. Ciemnoczerwone mięso odłożył, żeby wystygło, nad kałużą ciepłej krwi unosił się obłoczek pary. Caleb ręce miał całe we wnętrzościach. Wszystkie pozostałości wrzucił do potoku, gdzie szybko zajmą się nimi padlinożercy.

Kiedys przypadkowo przeciął jelita i oprawiany królik był do wyrzucenia. Obrzydliwy smród pozostał na rękach przez cały dzień. Gdy wieczorem położył się z Jessem do łóżka, brat go wypędził i kazał spać na podłodze. Caleb wstał wcześniej, kiedy dopiero świtało. Jesse musiał powiedzieć ojcu, co zaszło, bo Jorah chwycił Caleba za rękę i zaprowadził go do niewielkiej zagrody zbudowanej przez dziewczynki. Tam złapał za tylne nogi królika. Królik rozglądał się dookoła, ale nie był specjalnie wystraszony; dziewczynki wyprawiały różne dziwne rzeczy ze zwierzętami i przywykł do takiego traktowania. Caleb miał łzy w oczach, lecz nie rozpłakał się.

– No, dalej – powiedział Jorah, wyciągając w jego kierunku rękę z królikiem. To było, zanim chłopiec zrozumiał, do czego jest zdolny Jorah, kiedy jeszcze sądził, że ta kwadratowa polanka porośnięta trawą, z kopczykami ziemi, po drugiej stronie wzgórza, jest jego tajemnym, magicznym miejscem, o którym nikt poza nim nie wie.

Caleb schował ręce za plecami.

– To królik Emmy – szepnął.

– To królik naszego Ojca – odparł Jorah, chwycił zwierzę za głowę i wykonał zamaszysty ruch nadgarstkiem. Caleb usłyszał trzask i obejrzał się w stronę domu, pewny, że dziewczynki patrzą na to przez okno, szlochając. – A to lekcja, którą powinieneś zapamiętać.

Caleb próbował uciec, bojąc się, że popełni jakiś błąd w obecności ojca, którego – w tym czasie – tak bardzo kochał, że obserwował go potajemnie i próbował naśladować jego sposób chodzenia, nawyki, nawet głos. Jorah chwycił go mocno.

– „Kto strzeże karności, ten idzie ku życiu”, powiedział, „kto gardzi upomnieniem – ku zatracie”<sup>5</sup>. Caleb z głośnym brzękiem rzucił nóż i ukrył twarz w dłoniach, potem próbował się wtulić w Joraha, ale Jorah zmusił go, żeby stanął prosto, i nie pozwolił synowi szukać pocieszenia w swoich ramionach.

– Dziewczynki ci wybaczą – powiedział Jorah. – „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone”<sup>6</sup>. Caleb nie wiedział, jaki był jego grzech.

– Mamo... – odezwał się Caleb. – Czy zawsze rozumiałaś to, co mówił ojciec, kiedy cytował Biblię?

To był pierwszy raz, kiedy któreś z nich wspomniało o domu, i Elspeth musiała dobrze się zastanowić, zanim odpowiedziała.

– Twój ojciec rozumiał rzeczy, których ja nigdy nie pojmem. – Nie



powiedziała nic więcej, wsparła głowę na dłoniach. Fakt, że Jorah znał całą Biblię na pamięć i potrafił przytoczyć odpowiedni ustęp na każdą okazję, irytował ją, ale trudno go było za to krytykować. Wolałaby tylko, żeby mówił własnymi słowami. Odpoczywała, a Caleb przygotował ognisko i nadział zajaca na zaostzony kij. W niebo uniósł się dym, mięso skwierczało, wszystko zagłuszały szumiące i trzeszczące drzewa.

Na samym początku Jorah opowiadał o swojej przeszłości, o dorywczej pracy na farmie, o ciesielce. A także o okrucieństwie świata. Kolor skóry często wpędzał go w kłopoty. Okradano go, pracodawcy nie płacili mu wynagrodzenia. Opowiadał o tym, jak stawał do walki, jak się wycofywał albo czasami uciekał, kiedy jego niedawno poślubiona żona spała sama w niewykończonym domu, a im brakowało jedzenia i pieniędzy. Mimo że brutalne, opowieści te ekscytowały Elspeth. Z czasem Joraha zaczęła coraz bardziej pochłaniać Biblia. Zdarzało się, że nie przychodził na noc do łóżka, a o jego obecności w drugim pokoju świadczył tylko cichy szelest przewracanych kartek. Z jego ust słyszało się całe strony, potrafił na wrywki cytować wersety, psalmy i hymny. Wydawało się, że bierze udział w zawodach na pobożność i Elspeth została daleko w tyle. Znał oczywiście jej sekrety. W nocy męczyły ją skurcze, a on twierdził, że to dlatego, iż w snach próbuje od niego uciec.

Elspeth nie potrzebowała kompasu i prowadziła ich pewnie mimo bólu i gorączki. Szli czymś, co niegdyś było główną drogą. Po obu stronach rosły wielkie wiązy, gałęzie stykały się nad ich głowami, tworząc tunel, dzięki czemu ziemię pokrywała tylko cienka warstwa śniegu.

Caleb nigdy wcześniej nie doświadczył takiej ciszy. Śnieg tłumił każdy dźwięk. Chłopak zatrzymał się, żeby i jego okrył swoją pierzyną.

– Co się stało? – zapytała.

– Tak tu cicho.

– To tylko droga – odparła. – Ale nigdy nie zbudowano domu, do którego miała prowadzić. – Kiedy ostatnio tędy szła, wiązy były mniejsze, a inne drzewa wykarczowano. Dotknęła dłonią jednego z drzew. Jej palce były takie małe w porównaniu z ogromem pnia. – Moglibyśmy odpocząć? Tylko chwilę.

Caleb zawahał się. Od rana przeszli dopiero kilka mil, najwyżej cztery. Ale matka zdjęła płaszcz i zobaczył, że krew znów przesiąka przez bandaż.

– Zostaniemy, póki nie będziesz gotowa do marszu – powiedział.

Kiedy Elspeth szła tą drogą, gdy ją budowano, konie, które wyrównywały nawierzchnię, ciężko stapały i rżały cicho. Z namiotu

wyszedł, przecierając chusteczką okulary, jakiś mężczyzna w sztruksowych spodniach i takiej samej kamizelce. Założył okulary i uśmiechnął się, ukazując idealnie białe zęby.

– Witam – zawołał. Elspeth odpowiedziała na powitanie, nie zatrzymując się. – Napije się pani wody? – Elspeth skinęła głową. Upał odbierał jej siły, nawet w cieniu było gorąco. Mężczyzna mrugnął do niej okiem, jakby potwierdziła zamówienie przy barze. – Moi ludzie poszli szukać miejsca, skąd lepiej byłoby widać całą posiadłość. – Nalał jej pełny kubek wody, a ona ujęła go oburącz jak małe dziecko. – Nasz pracodawca zamierza zbudować farmę na tej ziemi. – Odebrał od niej kubek i ponownie go napełnił. – Dobra ziemia tutaj. – Czubkiem buta kopnął nawierzchnię drogi, jakby chciał pokazać ową jakość. Elspeth spoglądała na niego znad kubka i zastanawiała się, jak inaczej mogło wyglądać jej życie, gdyby nie została wygnana razem z Jorahem. Gdyby spotkała jednego z takich mężczyzn, jakich pewnie poślubiły córki van Tesselów, takiego mężczyznę jak ten tutaj. Wszystko byłoby prostsze.

– Szuka pani może pracy? – zapytał. – Pracy tu nie brakuje.

Chciała powiedzieć „tak”. Ale wyjąkała tylko kilka gardłowych głosek. Zanim zdążyła pohamować wyobraźnię, zobaczyła czekającego na nią w progu Joraha, otoczonego wianuszkami dzieci, dzieci, które sprowadziła do domu wbrew jego woli, a które traktował jak własne. Oddała mężczyźnie kubek, powiedziała, że musi już iść, i pobięła nową drogą, prowadzącą donikąd.

Kiedy Elspeth zasnęła, Caleba ogarnął dziwny spokój. Drzewa pochyliły się jakby niżej, a on wyobraził sobie, że znowu siedzi skulony w spiżarni cuchnącej starymi kocami, smarem do konserwacji broni i jego własnym ciałem.

– Wiedziałaś o królikach? Jak się uczyłem je patroszyć? – zapytał głośno Caleb. Po chwili powtórzył pytanie. Tym razem matka go usłyszała.

Odpowiedziała, że nie. A on opowiedział jej całą historię, początkowo nieśmiało, drżącym głosem. Zaschło mu w ustach, napił się zimnej wody ze słoika. Aż zaboląły go zęby. Wrócił do opowieści. Łatwiej było mu mówić, kiedy nie patrzył na Elspeth. Wbił wzrok w rozłożysty biały baldachim nad głową, w przypominające żyły gałęzie, i zdawało się, że obrazy, które opisuje, rysują się same na śniegu kreskami i cieniami, jak ryciny w książce. Powiedział, że dziewczęta nie wspomniały słowem na ten temat, choć musiały przecież zauważyć brak jednego królika, a wieczorem zjadły potrawkę. Musiały wiedzieć. Kiedy zbliżał się do końca opowieści, wiedział

już, że pominął najważniejszą kwestię – że jego ojciec nie był człowiekiem, za jakiego się podawał.

Elsbeth czuła, że Caleb czeka na jej reakcję. Opowiadając, patrzył gdzieś w dal, ale teraz, kiedy skończył, miał nadzieję, że uzyska odpowiedź na kilka pytań, które postawił.

– To cały wasz ojciec – powiedziała, starając się, żeby nie zabrzmiało to dziwnie. – Chociaż jak sądzę, mógł poczekać, aż złapiecie jakiegoś dzikiego królika. Dlatego nie rozumiem sensu tej lekcji.

Caleb uśmiechnął się, zaskoczony tą jednomyślnością. Spodziewał się, że matka skarci go za niezgadanie się ze zdaniem ojca, a może nawet przytoczy jakąś biblijną przypowieść. Tymczasem i Caleb, i matka poczuli się zakłopotani. Calebowi zdawało się, że nawet gałęzie nad jego głową odetchnęły z ulgą.

– Zrobił najlepiej, jak potrafił. Sam nie miał ojca.

– A ty miałaś ojca? – zapytał Caleb.

– Przez jakiś czas – odparła po chwili.

– Miałaś braci albo siostry?

– Nie. Nie tak jak ty. Byliśmy tylko my.

– Ty i twój ojciec, i... twoja matka?

– Tak.

Caleb nigdy nie słyszał o rodzicach swoich rodziców. Nigdy nie przyszło mu do głowy o to spytać. Dopiero kiedy minęli granice jego świata, tego, który znał i oglądał z górnej żerdzi płotu, otwarły się przed nim nowe przestrzenie, a w wyobraźni zaczęły pojawiać się dziwni ludzie. Poczuł zadziwiającą bliskość z matką. Pomógł jej wstać. Zostawiali za sobą ślady w cienkiej warstwie śniegu, który przedarł się przez baldachim gałęzi, a kiedy rząd wiązów się urwał, zmrużyli oczy przed słońcem, zadrżeli od lodowatego wiatru i Caleb nawet nie zauważył, że śnieg na drodze jest dużo głębszy.

## Rozdział 8

Caleb wyobraził sobie miasta, domy takie jak ten ich, ale wysokie jak wielkie drzewa kołyszące się na wietrze. Z najwyższej położonego pokoju mogliby obserwować horyzont i szukać zabójców. Przyzwyczailiby się do ciągłego kołysania.

Czekał, że matka coś powie, wróci do wcześniejszej rozmowy, w jakiś sposób potwierdzi ich bliskość. Ponieważ jednak każdy krok wymagał od niej nadzwyczajnej koncentracji, milczenie pomagało jej odzyskać siły.

Spali w wykrocie po zwalonym drzewie i wstali, kiedy słońce było już wysoko. Wcześniej zasłaniały je korzenie i zwały ziemi. Chłód odebrał Elspeth resztkę sił. Wkradł się w jej stawy i usztywnił je. Wstając, zdziwiła się, że może ustać na nogach. Kiedy ruszyli w dalszą drogę, natknęli się na wyraźne ślady zwierząt, tworzące regularny krąg wokół ich obozowiska.

W plecaku Caleba zaczęły się pruć paski, ale kiedy pomyślał, czy matka dałaby radę je zszyć, zauważył, że i ona osłabła. Jej cera, która zaczęła już odzyskiwać wcześniejszy kolor, w świetle słonecznym znów wydawała się ziemista. Pogrzebał w jej torbie i znalazł paczuszkę obwiązaną luźno sznurkiem. W środku nie było gumy do żucia, tylko posypane cukrem żelki. Zimą rzadko widywał inne kolory prócz bieli i czerni, dlatego jaskrawożółte i pomarańczowe cukierki sprawiły, że uśmiechnął się radośnie. Czerwonego żelka dał matce, która włożyła go do ust, udając, że jest równie szczęśliwa jak Caleb.

Ciało Elspeth żyło własnym życiem, a jej umysł był pogrążony w malignie. Od czasu do czasu wyrывała się z koszmarnego snu, spostrzegając rękę Caleba podtrzymującą ją za łokieć, chciała mu podziękować, ale straciła głos, gorączkowała i wargi miała pokryte strupami. Innym razem słyszała krakanie wron i wtedy była pewna, że Caleb musiał ją zostawić, że leży teraz twarzą do ziemi na śniegu i czeka na śmierć, żeby ptaki mogły zanieść ścierwo swoim piskletom. Ta wizja w jakiś dziwny sposób poprawiała jej nastrój i kiedy Caleb objął ją w pasie, zrozumiała, że ani przez chwilę nie przestali iść, i poczuła się oszukana.

Nie mieli już jedzenia. Ich ubrania były znoszone, wiatr i śnieg zmienił je w łąchmany. Elspeth miała ciężki, nierówny i świszczący oddech. Mijali kolejne ciągnące się w nieskończoność wzgórza. Drzewa uginały się pod ciężarem mokrego, topniejącego w słońcu śniegu. Od czasu do czasu jakaś

gałąź łamała się i spadała z głośnym świstem na ziemię. Caleb drżał wtedy ze strachu, z kolei matka w ogóle nie reagowała na takie dźwięki.

Minęli właśnie kolejne z ciągnących się wzgórz. Teren przypominał falujące morze albo jezioro, o których ojciec czytał z powagą dzieciom przed snem. Wszyscy leżeli w łózkach, tylko Caleb siedział, kucając pod parapetem okiennym.

– Byłeś wtedy w stajni? – zapytała Elspeth, pragnąc odpowiedzi na dręczące ją pytanie.

Potknął się. A ona oparła się na nim całym ciężarem. Ledwo powłóczyła nogami. A Caleb wiedział, że zatrzymać się znaczy umrzeć.

– Ukryłem się – odpowiedział. Wszystkie usprawiedliwienia, jakie sobie wcześniej przygotował, wydałyby się teraz nieszczerze. – Nie zrobiłem nic.

Przed nimi wyrosło nowe wysokie wzgórze i Caleb czuł, że to będzie ich ostatnie. Jego słowa odebrały chyba matce resztkę sił. Nie była już w stanie unieść nóg dostatecznie wysoko, żeby poruszać się w śniegu. Próbował sobie wyobrazić, jak to jest umierać, i pomyślał o odpoczynku. Po prostu zrobią sobie postój i już się nie obudzą.

Jego ciało wspinało się. Chciał, żeby przestało, próbował zakomunikować to swoim kończynom, ale mózg nie był już połączony z mięśniami. Kiedy dotarli na szczyt, Caleb padł na ziemię, a matka obok niego. Nie wydała z siebie dźwięku. Zmrużyła tylko oczy na widok bezkresnej bieli. Otaczało ich pustkowienie, żadnych drzew, nic, tylko gładki śnieg. Wielkie zagłębienie w połowie oświetlone słońcem, w połowie leżące w cieniu. Jakby Bóg wybrał łyżką trochę ziemi, tak jak bierze się mąkę czy sól. Na skraju tej niecki stał wysoki, samotny dom.

– Dom! Mamo, tam jest dom! – zawołał zachrypniętym głosem Caleb. Ale Elspeth nie poruszyła się nawet. Ułożył ją na brezencie razem z torbą i strzelbą i obwiązał jak najstaranniej. Cały ten ładunek przywiązał resztką szpagatu do plecaka, choć jego paski wrzynały mu się boleśnie w ramiona i mogły zaraz puścić.

Ze szczytu wzgórze wydawało się, że dom jest oddalony o niecałą milę, ale z dna tej niecki widać było, że odległość jest co najmniej dwukrotnie większa. Caleb zatrzymał się. Zjadł kilka żelków, które jego żołądek natychmiast odrzucił. W górze krążył jastrząb i skrzeczał tak przeraźliwie, jakby ziemia pękała na pół. Caleb stanął na chwiejnych nogach i założył z powrotem plecak na obtarte, obolałe ramiona.

Zerwał się pasek.

– Trzymaj się, mamo. – Caleb wbił czubki butów głęboko w śnieg

i napiął mięśnie, żeby zapobiec zsunięciu się kokonu w dół niecki. – Trzymaj się. – Ostatnich kilka metrów pokonał biegiem, a kiedy dotarł na szczyt, upadł. Z cichym odgłosem pękł drugi pasek. Caleb obrócił się i chwycił śliski szpagat. Szorstkie włókna zdarły mu skórę, lecz Caleb zdołał owinać sznurek wokół nadgarstka i wciągnął brezentowy kokon na górę. Położył się na brzuchu. Ciepło jego ciała topiło śnieg. Zaczęła ogarniać go senność. Był wyczerpany, ale wiedział, że jeśli zamknie teraz oczy, mieszkańcy tego domu znajdą go martwego wśród pożółkłej trawy, a obok niego owiniętą w brezent jego martwą matkę. Resztkami sił uklęknął, a potem stanął na nogi. Wyciągnął spod brezentu strzelbę. Jeszcze nigdy nie była taka ciężka. Bał się, że nie będzie miał siły, żeby z niej wystrzelić. Dom był tuż przed nim. Kiedy znalazł się w jego wielkim cieniu, zobaczył, jaki jest duży. Co najmniej dwa piętra, weranda na całą szerokość parteru. Okna, w których zmieściłby się dorosły człowiek, w żadnym nie paliło się światło. Z komina nie leciał dym. Caleb obejrzał się na matkę. Jej spierzchnięte wargi nie poruszały się. Nie dostrzegł obłoczku pary wydobywającego się z ust.

Powietrze przeszył huk wystrzału i Caleb padł na ziemię, kierując lufę w stronę domu. Do jego obolałych kończyn wróciło życie. Huk niósł się chwilę echem w dolinie, aż wreszcie zapadła cisza.

– Kto tam? – zawołał jakiś męski głos.

Caleb nie ośmielił się poruszyć.

– Chyba go trafiłem – odezwał się mężczyzna.

Caleb usłyszał skrzypnięcie drzwi i skierował lufę w stronę werandy. W drzwiach pojawił się starszy mężczyzna z niewiele mniejszą od siebie strzelbą. Caleb nigdy nie widział starego człowieka. Jedyne na rysunkach w książkach, gdzie niszczące działanie czasu przedstawiano jako dar niebios. Mężczyzna powłóczył nogami, spod strąków siwych włosów na głowie prześwitywała łysina. Każdemu jego ruchowi towarzyszyło westchnienie albo pociągnięcie nosem. Stopy miał owinięte szmatami. Był okutany w kilka warstw grubego płótna, poszarpanych i dziurawych, tak że miejscami prześwitywały te, które były pod spodem. Caleb pomyślał, że odrzut strzelby mógłby zwalić starca z nóg.

– Jesteś trupem? – zawołał mężczyzna.

Caleb trzymał go na muszce.

– Nie – odkrzyknął głośniejszym i bardziej stanowczym głosem, niż się spodziewał.

– Trafiłem cię?

– Nie.

– Jesteś sam?

Caleb rozluźnił się, lufa opadła w śnieg.

– Jest ze mną moja matka.

– Gdzie ona jest?

– On powiedział „matka”? – odezwał się kobiecy głos z głębi domu.

Staruszek obrócił się lekko.

– Cicho bądź, Margaret. Pytałem, gdzie ona jest?

– Jest tutaj – odparł Caleb.

Staruszek go chyba nie widział, ale mógł się zorientować, skąd dobiega jego głos. Śnieg był dość wysoki, żeby Caleb skrył się w nim prawie cały, nie bez znaczenia był popołudniowy cień. Caleb myślał, że staruszek wejdzie dalej w śnieg, ale on oparł strzelbę o barierkę na werandzie i usiadł na najwyższym stopniu schodów. Oparł brodę na dłoniach.

– Jestem starym człowiekiem – powiedział po kilku minutach. – Mogę poczekać.

– Zaczekać na co? – zapytał Caleb.

– No właśnie, na co czekać? – odezwał się głos z wnętrza, tym razem wyraźniejszy, jakby dochodził tuż zza drzwi. Staruszek powiedział do niej „Margaret”. Caleb poczuł się pewniej.

– Na ciebie, aż się pokażesz i przekonasz mnie, że nie zamierzasz nam zrobić krzywdy. – Wskazał na swoją strzelbę. – Widzisz to?

– Pan do mnie strzelał – zauważył Caleb.

– Ach – odparł staruszek, machając ręką. – To było, zanim się odezwałeś. Teraz wiem, że jesteś dzieciakiem. Jesteś dzieciakiem, synu? – Staruszek strząsnął coś z rękawa. Nie sprawiał wrażenia przestraszonego.

– Powiedz temu chłopcu – odezwała się Margaret – że mamy ciasto.

Calebowi zaburczało w brzuchu z głodu.

– Nie zrobię tego – odparł staruszek. – Zamierzam poczekać, aż się pokaże, a wtedy będę wiedział, co zrobić.

Caleb zostawił strzelbę w śniegu, ale zapamiętał, gdzie leży, na wypadek gdyby staruszek znów zaczął strzelać. Wstał, z ramion sączyła mu się krew. Zakręciło mu się w głowie i od razu chciał usiąść z powrotem. Zakołysał się, jakby stał przed jednym z tych wysokich domów w mieście.

– Co tu robisz? – zapytał mężczyzna.

Caleb miał ochotę opowiedzieć mu całą historię, ale zdobył się tylko na krótkie:

– Szliśmy.

– A gdzie jest twoja matka?

– Za moimi plecami. Jest bardzo chora.

– Do diabła, dlaczego nie powiedziałeś od razu?

Caleb usłyszał, że kobieta w środku coś szybko mówi, ale nie mógł nic zrozumieć.

– Synu, może wejdziecie z matką do domu? – odezwał się staruszek.

– Okej.

Mężczyzna zabrał strzelbę, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Musisz mi powiedzieć jeszcze jedno. Nie zamierzasz zrobić nam krzywdy?

Fakt, że gdzieś wreszcie dotarli, dodał Calebowi sił. Ale matka wyglądała teraz gorzej niż wtedy, kiedy ją owijał brezentem. Miała złane potem czoło i zaciśnięte usta. Najbardziej jednak niepokoił Caleba kolor jej skóry. Była zielona jak u ślimaka, którego znalazł kiedyś z Jessem pod kłocami drewna, kiedy szukali czegoś, czym można by postraszyć dziewczęta. Caleb pociągnął brezentowy kokon do domu.

Drzwi zaskrzypiały ponownie i staruszek zbliżył się do nich.

– Co jest twojej mamie?

– Dostała śrutem – powiedział Caleb i opuścił głowę. Bał się, że mężczyzna sięgnie po broń i każe im się wynosić.

– To chyba nie jest zaraźliwe – stwierdził staruszek i pociągnął nosem. – Chodźcie do środka. Zupa już prawie gotowa.

– Jest też ciasto – zawołała Margaret z głębi domu.

– Tylko wytrzymaj buty – prychnął staruszek.



## Rozdział 9

Caleb nie słyszał niczego prócz nieustannego wycia wiatru i bicia własnego serca. Kiedy jego oczy przywykły już do braku światła, ten dom wydał mu się czymś, o czym nigdy nawet nie marzył. Wszędzie stały lampy. Wszystkie ściany były udekorowane. Stoliki miały szklane blaty, krzesła wymyślne i bogate zdobienia. Na podłodze leżały dywany z cudownie kolorowymi motywami kwiatowymi i roślinnymi. Caleb, przyzwyczajony do widoku śnieżnego bezkresu, od czasu do czasu pojedynczego drzewa, poczuł się jak w niebie. Aż rozboleła go głowa.

Staruszek stał w drugim końcu pokoju i obejmował ramieniem żonę, kobietę podobnej postury, ubraną w tak samo zniszczone ubranie, o skórze tak samo jak jego pomarszczonej i pooranej bruzdami.

– Gdzie jest twoja matka? – zapytała.

Caleb wskazał ręką drzwi.

– No, dobrze, nie stój jak słup soli, chłopcze, przynieś ją – powiedział staruszek.

Caleb pełną piersią odetchnął świeżym powietrzem. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w domu się spocił, strużki potu płynęły mu po plecach i piersiach. Zdążył już zapomnieć, co to znaczy być przegrzany. Pot wysychał i zamarzał na skórze. Caleb dociągnął Elspeth do schodów werandy i opuściły go siły. Do domu musiał ją wciągnąć na brezencie, uważając, żeby nie uderzyła głową o próg.

– Boże drogi, wyciągnij ją z tej trumny – odezwał się mężczyzna i rzucił się, żeby mu pomóc. Wyjął z kieszeni scyzoryk i przeciął szpagat, którym obwiązany był brezent. Matka wyglądała tak, jak musiała wyglądać: spocona, brudna, trawiona gorączką, z krwawiącą raną na piersi. Caleb pomyślał o sobie z wyrzutem. Gospodarze, patrząc na jego matkę, próbowali go uspokajać.

– Nazywam się William H. Wood – przedstawił się mężczyzna. – A to jest moja żona, Margaret.

Caleb przedstawił się.

– Skąd przychodzisz, Calebie? – zapytała Margaret, poklepując go po ręce.

– Z daleka – odparł Caleb, bo tyle tylko wiedział na pewno. – Z bardzo daleka.

Zanim uświadomił sobie, co robi, położył głowę na piersi Margaret i zaczął płakać. Po raz pierwszy w obecności kogoś innego niż Jesse. Margaret poklepała go energicznie po plecach, tak samo jak on klepał chore owce. Ale to sprawiło, że rozpłakał się jeszcze bardziej. Przez łzy dostrzegł, że William rozpiął koszulę matki, odsłaniając bandaże na piersiach. Podbiegł i wykręcił staruszkowi rękę. William upuścił nóż, ale Caleb nie zwolnił uchwytu. Staruszek zaskowyczał i poprosił, żeby go puścić. Margaret zaczęła krzyczeć i próbowała odciągnąć Caleba, a kiedy jej się to nie udało, po prostu objęła go i pogładziła po głowie, jakby pocieszenie było akurat tym, czego najbardziej potrzebował. Caleb zauważył w końcu skrzywioną z bólu twarz Williama i puścił go. Zakreśliło mu się w głowie.

– Przepraszam – mruknął.

– Chciałem tylko pomóc, synu. Ale rozumiem cię. To był błąd. Proszę. – William wręczył Calebowi czystą, wilgotną ścierkę. Caleb otarł łzy z twarzy, ukląkł przy matce i zasłonił swoim ciałem widok, zdejmując bandaże. Zeskrobał ze skóry krwawe skrzepy i oczyścił rany. William podał mu czyste bandaże, a Margaret zabrała brudne.

– Połóżmy ją do łóżka na górze – zaproponował William.

– Och, nie – zaprotestował Caleb głucho. – Nie możemy zająć waszego łóżka.

Roześmiali się.

– Wcale sobie tego nie życzymy – odparł William. – Mamy tu dużo wolnych pokoi i dużo wolnych łóżek.

– Właściwie same wolne pokoje i wolne łóżka – dodała jego żona.

Caleb potknął się. Świat zawirował mu przed oczami. Poczuł na karku dłoń Williama i usłyszał z oddali jego głos:

– Chyba powinniśmy najpierw zająć się tobą.

Zatrzymała się. Chciała poprosić o wodę, ale nie była w stanie wypowiedzieć najprostszego polecenia. Nieustanny chłód, który przenikał ją aż do kości, wreszcie zelżał i zniknął. Czuła tylko trawiącą ją gorączkę. Modliła się, żeby nie wypuścić z rąk Biblii. W przebłyskach świadomości Elspeth miała nadzieję przypomnieć sobie jakąś przypowieść, która doda jej sił, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Jorah na pewno odnalazłby w pamięci odpowiedni werset i wyrecytował go. Ale jej umysł, zdawało się, zamarzał. Nie potrafiła znaleźć odpowiedniego Słowa Bożego, nic nie rozświetlało mrocznego miejsca, w którym się znalazła.

Z mroku wyłoniła się para posepnych oczu i mały spiczasty nos. Gusta

van Tessel była o rok młodsza od niej i kiedy Elspeth zajmowała się pracami domowymi – pomagała gotować, zmywała podłogi, ścierała kurz z półek, do których dosięgała – Gusta chodziła za nią milcząca i czujna. Kiedy Gusta podrosła, stała się surowa i wredna. Miała długie, czarne, połyskujące włosy, często spięte w wymyślny kok. Ten kok musiała upinać matka Elspeth. Zawsze zajmowało jej to za dużo czasu i potem musiała w pośpiechu przygotowywać lunch, a i tak van Tesselowie kręcili nosem, że warzywa są niedogotowane albo chleb nierówno pokrojony.

Jako nastolatka Gusta zachorowała i rodzina wezwała lekarza z miasta. Ich lekarz domowy był starym człowiekiem z bulwiastym, poznaczonym czerwonymi żyłkami nosem, a doktor z miasta był przystojny, miał gęste, jasne włosy, nosił skórzaną lekarską torbę z błyszczącymi zapięciami i jeździł eleganckim powozem. Stan Gusty się poprawił i lekarz, którego chłopcy zdążyli już polubić, wyjechał. Niecały miesiąc później Elspeth natknęła się na Gustę w ogrodzie. Gusta siedziała wyciągnięta na ławce, zupełnie naga. Nie zauważyła Elspeth, która szybko wycofała się do domu. Oparzenie słoneczne wywołało gorączkę i znów pojawił się młody doktor. Niedługo potem przy kolacji w jadalni ogłoszono, że Gusta i lekarz pobierają się. Elspeth zamknęła się w sobie, zajęła codziennymi obowiązkami i starała się nie myśleć. Nie lubiła patrzeć na puste miejsce przy stole, gdzie kiedyś siedziała Gusta.

Wiosną następnego roku przed dom zajechał znajomy powóz. Wysiadł z niego doktor, teraz z niewielką bródką, która odrobinę go postarzała, i podał dłoń bladej i przeraźliwie chudej Guście. Wcześniej jej brązowe oczy były głęboko osadzone, ale teraz, kiedy wyglądała jak szkielet, przypominały spodki z kawą. Ojciec Elspeth wyładował bagaże, których ilość świadczyła o zamiarze dłuższego pobytu.

Pierwszej nocy, późno po kolacji, Elspeth leżała w nogach łóżka rodziców i wyobrażała sobie piękny dom doktora. Często wyobrażała sobie, jak musi wyglądać życie Gusty – obicia na krzesłach, wzory na dywanie, gładka pościel. Odgłos pospiesznych kroków na górze sprawił, że Elspeth i rodzice poderwali się z łóżka.

W korytarzu na górze stał doktor z opuszczonymi bezradnie rękami i zwieszoną głową. Ze świecy kapał воск i Elspeth zaczęła się zastanawiać, jak go usunąć bez porysowania podłogi. Za to jej rodzice nie patrzyli na płamę; stali obok siebie ze złożonymi rękami. Zaciekawiona Elspeth stanęła za nimi na progu łazienki. W migotliwym świetle lampy pana van Tessela Elspeth zobaczyła sylwetkę pani van Tessel, kucającej przy wannie,

w której pływało ciało Gusty. Gusta miała otwarte oczy i usta, i cerę zupełnie bezbarwną, pozbawioną jakiegokolwiek odcienia. Jedynym dźwiękiem w tym wielkim pomieszczeniu był odgłos wody przelewającej się przez brzeg wanny. Migotliwe refleksy światła i cienie padały na ściany, sufit i zdumione twarze. Zmoczona koszula nocna Gusty stała się przezroczysta i nawet w słabym oświetleniu Elspeth widziała wyraźnie jej ciemne brodawki i czarny wzgórek łonowy.

Mąż Gusty już stamtąd nie wyjechał. Sprzedał swój dom i mimo że van Tesselowie mu to odradzali, zamieszkał w pokoju, w którym tamtej nocy obudził się sam w łóżku, zabrał świecę ze świecznika i pobiegł korytarzem do łazienki. Zdarzało się, że Elspeth wchodziła do pokoju doktora, żeby posprzątać, i przez dobrych kilka minut nie zauważała jego obecności. Zupełnie jakby nie mógł zebrać sił, żeby zaznaczyć swoją obecność. Kiedy ktoś z rodziny van Tesselów zachorował, doktor wyjmował swoją lekarską torbę, która z roku na rok stawała się coraz bardziej sfatygowana. Skóra popękała, zatrzaski połamały się i w końcu zupełnie odpadły. Pewnego letniego popołudnia wyszedł z salonu, gdzie unieruchamił skręconą kostkę Ginny. Elspeth, czekając, aż doktor ją minie, trzymała oburącz wiadro parującej, gorącej wody, którą zamierzała umyć podłogę w korytarzu. Z pokoju dobiegł ją przytłumiony głos Alexis, a potem Ginny powiedziała coś, o czym szeptano od lat: Gusta nie mogła mieć dzieci. Mina doktora i fakt, że słysząc głos Ginny, przyspieszył kroku, potwierdzały to. Elspeth spojrzała na wiadro i zobaczyła w nim swoje odbicie.

Prócz takich nielicznych okazji Elspeth rzadko myślała o Guście po jej śmierci. Poza tym van Tesselowie mieli więcej dzieci – cztery dziewczynki i pięciu chłopców – i wszystkie one wymagały opieki. Rok później Gusta przyszła do niej we śnie. Wyglądała zza węgła, wykrzywiła usta, chciała zostać zauważona.

Caleb obudził się w łóżku, w białej pościeli, w białym pokoju. Był rozebrany do bielizny. Ktoś go umył, bo pachniał mydłem. Pomacał się po włosach; były krótko obcięte. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do światła, zobaczył, że pokój znajduje się od frontu. Z okien widać było nieckę, przez którą Caleb ciągnął matkę. Chociaż przysięgłby, że od tamtej pory minęło tylko kilka godzin, ich ślady wiatr rozwiął tak skutecznie, że chyba Caleb musiał przespać cały dzień. Rozejrzał się po pokoju. Jego ubrania leżały starannie złożone na krześle stojącym obok łóżka. Na ścianie wisiała półka pełna książek z obwolutami z czerwonej skóry i złożonymi literami oraz oprawiony w ramy obraz przedstawiający troje dzieci. Caleb zrzucił z siebie

kołdrę i postawił stopy na zimnej drewnianej podłodze, podkurczając palce. Starł kurz z ramy obrazu. Wszystkie dzieci miały takie same brązowe włosy.

– To nasze dzieci – odezwał się za jego plecami William. Szedł chwiejnie w swoich kapciach ze szmat. – Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem. Byłem ciekawy, czy to twoje kroki słyszałem na górze. – Wręczył Calebowi spodnie i koszulę, sztywne, obce, pachnące kwiatami. Caleb ubierał się, wpatrując się w obraz. – Dobrze spałeś?

– Wszystkie wyglądają tak samo – zauważył Caleb.

– Już je za to przepraszałem – odpowiedział ze śmiechem William. – Mają po mnie wielkie nosy i płaskie twarze, ale za to po matce śliczne podbródki i włosy. Bóg okazał się łaskawy.

Caleb przeniósł wzrok z Williama na młode twarze i z powrotem na Williama.

– Czy one nie żyją?

– Oczywiście, że żyją. Wyprowadziły się, pozakładały rodziny, mają własne dzieci.

– Własne dzieci? – To, co słyszał, nie było mu zupełnie obce. Widział, jak zwierzęta rodzą młode, słyszał o rodzicach rodziców, znał rodziny z biblijnych przypowieści, ale nie rozumiał, jak można tak po prostu postanowić mieć dzieci. Ciekaw był, czy on również mógłby mieć własne.

– Masz rodzeństwo? – Caleb puścił pytanie mimo uszu i dalej przyglądał się obrazowi. William opowiadał o farmie, na której wspólnie pracowali, zanim dzieci rozpoczęły samodzielne życie. Pokazał palcem lej krasowy, gdzie kiedyś było wspaniałe pole kukurydzy. – Pewnego dnia, już po ich wyjeździe, ziemia zaczęła się zapadać, zupełnie jakby ktoś wyjął korek ze zlewu. – Po polu hulał wiatr i Caleb instynktownie zasłonił twarz. Zadyмка za oknem przywozowała na myśl kłęby dymu. – Musisz być głodny – stwierdził William.

Caleb poszedł za Williamem długim korytarzem. Nigdy wcześniej takiego nie widział. Było tak nisko, że musiał pochylić głowę.

– Gdzie jest moja matka?

– Czuje się dużo lepiej – powiedział William. – Sądzę, że bardziej zaszkodził jej głód i gorączka niż śrut. Dobrze się spisałeś, synu. – William otworzył drzwi sąsiedniego pokoju. Był większy, prawie tak duży jak cały dom Caleba. Ściany zostały tu pomalowane na żółto, a sufit na białe. Podłoga była drewniana, leżały na niej niewielkie dywaniki. Na łóżku z wezglowiem z fantazyjnie zdobionego kutego żelaza, łóżku tak ogromnym, że mogłoby pomieścić dwa konie, spała matka nakryta

pięknymi kocami, przez co wyglądała tak, jakby pływała w chmurach. Wyglądała lepiej i zdawała się zdrowsza. – Jest silna – powiedział William. – Niewielu ludzi, nawet mężczyzn, dałoby radę przejść taki kawał drogi.

– Wyzdrowieje?

– Jestem przekonany, że tak.

Caleb położył głowę obok jej biodra. Miała świszczący oddech.

– Chodź, zjesz coś – przywołał go William. Położył dłoń na jego ramieniu i zaprowadził na dół, do kuchni. Przy blacie stała Margaret z miską w ręku. Większą część pomieszczenia zajmował olbrzymi piec kuchenny. Trzeszczał w nim ogień, w powietrzu unosił się zapach palącego się drewna. Wszystko, nawet odgłos łyżki ocierającej się o dno miski, otwieranej i zamykanej szafki, przypominało Calebowi jego dom. Zdawało mu się, że słyszy, jak Mary i Emma sprzeczą się, która ma przesiać mąkę, jak Jesse idzie ciężkim krokiem i zwała się na krzesło obok.

Starszy pan spojrzał na niego z troską.

– Co my tu mamy dla tego chłopca? – zapytał i potarł dłonie. Caleb zjadł wszystko, co przed nim postawiono: szynkę, jajka na bekonie, tosty, ciastka kukurydziane, frytki i wreszcie duży kawał ciasta jagodowego. Margaret tłumaczyła się, że jagody są ze słoja i latem ciasto byłoby smaczniejsze, a William powiedział, że jej najgorsze ciasto jagodowe i tak jest najlepsze na świecie. Syty Caleb ledwie słyszał ich słowa, zagłuszone rozkosznym bulgotaniem w jego żołądku. Rozsiadł się wygodnie na krześle i wypił resztę mleka z kubka.

William i Margaret zaprowadzili go do salonu. William miał rację, najedzony Caleb kroczył teraz pewnie i rozjaśnił mu się umysł. W salonie od razu zwrócił uwagę na kominek. Palenisko zostało pieczołowicie zabite deskami. Było zimno.

– Co się stało z kominkiem? – zapytał. Kochał ogień, potrafił godzinami przy nim przesiadywać i jak zahipnotyzowany wsłuchiwał się w trzaski dochodzące z paleniska.

– Och... – William mruknął i wyraz jego twarzy się zmienił. Margaret odwróciła wzrok, stukając paznokciem o paznokieć.

– Ty żyjesz – zaczął tłumaczyć William. – Krew krąży w twoich żyłach, a dusza jest związana z ciałem jak dobrze skrojone ubranie, zgadza się? – Caleb przytaknął, choć nie był pewny. – A my mamy tu w domu takich, którzy nie żyją, to tylko zwyczajne dusze.

Caleb poczuł, że ziemia się pod nim rozstępuje, tak jak rozstąpiła się na podwórzu przed domem. Za chwilę wpadnie w tę otchłań i nikt go już

więcej nie zobaczy. Przed oczami stanęli mu jego bracia i siostry.

– Nie przejmuj się – powiedział William. – Wiemy, jak sobie radzić z tymi duszami. – Wskazał ręką kominek. – Większość wpadała przez komin. Przyciągał je dym i żar. – Tak jak szopy, pomyślał Caleb. – Nigdy ich, oczywiście, nie widzieliśmy, nie pozwalają się zobaczyć, ale słyszymy, jak do nas mówią, jak nas wołają.

Teraz Caleb również usłyszał głosy, głucho dźwięki, to wysokie, to niskie, mówiące zbyt szybko lub zbyt wolno, by je zrozumieć.

– Większość czasu spędzamy w łóżku – wyjaśniła Margaret. – Przysuwamy komodę pod drzwi. Nasz kominek jest lepiej zabezpieczony niż ten. – Dotknęła dłonią cegieł, przeciągnęła palcami po gzymsie kominkowym. – Małe piecyki z kolei są bezpieczne, zbyt małe i zbyt gorące.

– Na noc zostawiamy uchylone drzwi z tyłu domu, tylko trochę, małą szparkę, nawet jak jest zimno.

– Po co? – zapytał Caleb, choć wszystko to zaczynało nabierać dla niego sensu. W świecie, w którym ludzie spali w królewskich łóżach, w świecie pełnym pięknych barw, gdzie dzieci rodziły dzieci w niekończącym się cyklu, zagubione dusze wędrujące po ciasnych korytarzach i rozległych pokojach nie wydawały się czymś dziwnym.

– Jeśli któraś wślizgnie się nocą przez szparę – tłumaczył William – chcemy, żeby miała któreśdy wyjść.

Tłumaczenie było racjonalne, ale Caleb miał w głowie mętlik. W miejscu tak odludnym, a wydawało mu się ono znacznie bardziej odludne niż jego własny dom pełen zwierząt, ludzi i życia, w miejscu, gdzie ziemia wessała całe pole kukurydzy, duchy rzeczywiście mogły krążyć. Tak pewnie żyli ludzie, pośród zjaw, czekających, aż zasną. Żołądek podszedł mu do gardła. Caleb usiadł na jednym z tapicerowanych krzeseł, zaskoczyła go jego miękkość.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Margaret.

– Niełatwo mu tego słuchać, Margie, tak jak tamtym ludziom.

– On nie jest taki jak oni.

William zmierzył Caleba od stóp do głów spod krzaczastych brwi.

– Jacy ludzie? – zapytał Caleb.

William odwinął chustę z szyi i pokazał siniaki w kształcie dwóch dużych dłoni. Ich palce kończyły się na karku.

– Zobacz, co mi zrobili – powiedział. – I zabrali nam mnóstwo rzeczy. Jedzenie, buty, ubrania. Dlatego tak cię przywitałem.

Gdzieś daleko, gdzieś dawno zabrzmiał odgłos wystrzału, a jego echo

wróciło do stajni.

– Kim byli?

– Było ich trzech – odparł William.

– Trzech... – powtórzył Caleb i poczuł skurcz w żołądku.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Wyglądali tak samo jak ty. Byli brudni, spragnieni, głodni.

W jego domu też było trzech mężczyzn.

– Mieli czerwone chusty?

William zadrżał.

– Ścigasz ich, czy jesteś z nimi?

Caleb bał się, że za chwilę zwymiotuje. Próbował pomyśleć o czymś innym, ale miał przed oczami kałużę krwi pod ciałem Emmy. Pociągnął się za włosy. Spojrzał na Margaret, szukając u niej wskazówki, ale ona stała rozdygotana z zaciśniętymi ustami, skórą napiętą na szyi i policzkach. Pomyślał o unurzanych we krwi rękach tamtych mężczyzn, dotykających rzeczy, których on dotykał, o ich brudnych ciałach siedzących na jego krześle. O ich pełnych strasznych myśli głowach, leżących na tych samych poduszkach, na których leżała jego głowa.

– Kiedy stąd wyjechali?

– Jakies cztery dni temu – odparł William.

– Widzieliście, w którą stronę pojechali? – zapytał Caleb, choć sam nie miał odwagi spojrzeć, jak opuszczają jego dom.

William odpowiedział, że nie widział, bo był nieprzytomny. A Margaret ukryła się w szafie, pod stertą koców. Caleb chciał jej powiedzieć, że wie, jakie to uczucie kryć się w szafie jak mysz. William wyjrzał przez okno na szalejącą zamieć i poczerwieniał na twarzy.

– Myślałem – powiedział – że zanim ją znajdę, ona umrze. – W jego oczach pojawiły się łzy. Odwrócił się.

– Ja widziałam – powiedziała Margaret głosem tak cichym, że słowa zagłuszył wiatr i skrzypienie drewnianego domu. – Ja widziałam, dokąd pojechali. – William zacisnął szczęki. – Nie mówiłam ci, bo wiedziałam, że ruszysz za nimi w pościg. Słyszałam, jak otwierają się drzwi, i musiałam sprawdzić, czy nie zabrali cię ze sobą. Przepraszam. – I zwróciła się do Caleba: – Pojechali na północny wschód. W kierunku Watersbridge.

– Mogli cię zobaczyć! – zawołał z wyrzutem William.

Plecak Caleba leżał obok zwiniętego brezentu i nowej rolki szpagatu. Margaret wyprała i zwinęła bandażę. Starannie zszyła zerwane paski. Caleb sprawdził strzelbę i włożył do kieszeni koszuli pudełko z nabojami, starając



się nie myśleć o tym, że ta stara kobieta wykazała się większą odwagą niż on.

– Dziękuję – powiedział i zarzucił plecak na ramię. Otworzył frontowe drzwi. Otoczył go przyjemny chłód, owiał znajomy wiatr. Caleb zębami naciągnął na dłonie rękawice. Pachnąca czystością chustką osłonił usta i nos.

– Nie idź, synu – próbował go przekonać William.

– Caleb... – odezwała się Margaret. – A co z twoją matką?

Odstawił strzelbę pod ścianę. Przełożył pudełko z nabojami do plecaka. Podziękował Margaret za naprawienie pasków. Rękawice i chustę powiesił na przykręconym do ściany wieszaku z rogów jelenia.

– Ci ludzie postrzelili twoją matkę – powiedział William.

– Oni zabrali moją rodzinę – odparł Caleb.

– Nie było z nimi nikogo – odezwała się Margaret.

– Miałem na myśli coś innego – wyjaśnił Caleb.

William i Margaret stali wpatrzeni w obraz w złoconej ramie. Przedstawiał młodego mężczyznę z przylizanymi włosami, oczami tak ciemnymi jak oczy Margaret i twarzą o rysach Williama.

– Możesz poprosić duchy – powiedział William – żeby ich tu sprowadziły z powrotem.

Calebowi mało nie wyskoczyło serce z piersi.

– To skutkuje? – zapytał. – Robią takie rzeczy?

– Jeszcze nie – odparł William – ale nie przestajemy prosić.

## Rozdział 10

Caleb sprawdził, czy naboje nie są uszkodzone. Znał na pamięć ich kształt, każdą wypukłość, każdy rowek. Wypytał Williama tak dokładnie o tamtych trzech mężczyzn, że w końcu William zaczął mu zadawać pytania, na przykład, co chłopiec zamierza zrobić; kiedy ich znajdzie. I wtedy Caleb przerwał to przesłuchanie.

Śnili mu się mordercy i ich chusty, śniło mu się, że rozwiązał sznurowadła w butach brata i wzleciał ku niebu jako duch. A potem się przebudził i nie mógł zasnąć. W sączącym się przez brudne okna świetle księżycy krążył od pokoju do pokoju, sprawdzał, czy nie wkradł się jakiś nieproszony gość, rozmyślał o duszach, które nie zerwały do końca więzów z ciałem, wyglądających jak biała koszula matki. Którejś nocy usłyszał skrzypienie sprężyn uwolnionych od ciężaru Williama. Po chwili na korytarzu pojawił się William ubrany w gruby sweter, z kilkoma parami obwiązanych sznurowadłami skarpet na nogach. Świeca, którą trzymał w dłoniach, oświetlała jego twarz od dołu, nadając jej diaboliczny wygląd. Był jak strach na wróble, którego dziewczęta zrobiły i zatknęły na złamanym trzonku wideł pośrodku ogródka warzywnego. Caleb stał przed nim w długiej koszuli wypranej przez Margaret, ze strzelbą w ręce.

Na widok Caleba William pokiwał ze smutkiem głową.

– Jeśli zamierzasz to zrobić, najpierw zabij Margaret – powiedział. – Nie chcę żeby obudził ją strzał, nie chcę, żeby wiedziała, co się za chwilę stanie. Lepiej zakradnij się teraz i zrób to szybko. Tylko o to cię proszę.

Calebowi zrobiło się tak przykro, że nie był w stanie nic odpowiedzieć. Widział się przecież w lustrze, w przyływie próżności, której wystrzegał się Jorah, i mimo obciętych przez Margaret włosów wcale nie wyglądał na mordercę. Kiedy się otrząsnął, wyjaśnił:

– Nie chcę was zabić. Pełnię wartę.

William odetchnął z ulgą.

– Duchów nie można zastrzelić, synu.

Caleb opuścił lufę i oparł strzelbę o podłogę. A wtedy William pogładził go po włosach i wrócił do swojego pokoju. Calebowi zadrżały ręce na wspomnienie, jak w taki sam sposób gładził Emmę. Znow zaskrzypiały sprężyny, William położył się do łóżka.

Caleb trzymał strzelbę koło siebie, zawiniętą w spodnie, żeby smar nie

pobrudził czystej pościeli Margaret. Pomyślał, że morderca na pewno by tak nie zrobił.

Elspeth, kiedy już doszła do siebie, nie wiedziała, gdzie jest i co się stało. Chwilami wyobrażała sobie, że jest w jednym z tych domów, gdzie służyła jako akuszerka, a kiedy jakaś stara kobieta budziła ją, przykładając do ust kubek albo zwilżając mokrym ręcznikiem czoło, Elspeth próbowała wstać, żeby przynieść instrumenty lekarskie, zagotować wodę i rozłożyć ręczniki. Ale staruszka łagodnie, choć zdecydowanie, zmuszała ją, by położyła z powrotem głowę na poduszce. Innym razem Elspeth widziała siebie leżącą na sienniku w nogach łóżka rodziców, w domu van Tesselów. Rankiem, tuż przed brzaskiem, jej ojciec wstawał, żeby zerwać kwiaty, ułożyć je w wazonach i uprzątnąć z trawnika gałęzie, które pospadały w nocy z drzew. Elspeth i matka spały odrobinę dłużej, bo później podawały śniadanie. Elspeth wtulała się w zaplamioną poduszkę i na chwilę zapadała w najgłębszy sen. Teraz przez ostatnich kilka dni spała najtwardszym snem w życiu, a mimo to, kiedy otworzyła powieki, nie były one ociężałe ani opuchnięte. Czuła się dobrze.

Caleb wetknął głowę w szparę w drzwiach, a kiedy zobaczył, że matka nie śpi, wślizgnął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie jego nieoczekiwanej obecności. Zwykle widywała go przy kolacji, a nawet wtedy pojawiał się dopiero po modlitwie i znikał, kiedy tylko opróżnił talerz. Poza tym wyglądał dziwnie, miał zaróżowioną skórę, był lekko zgarbiony, jakby bał się, że zahaczy głową o sufit, a jego włosy wyglądały tak, jakby ktoś je obciął tępym nożem. Wróciło wspomnienie odgłosu strzału, palącego bólu, ucieczki z domu, z domu, który jednej nocy zniknął.

Do pokoju weszła bez pukania Margaret i uśmiechnęła się do obojga.

– Jesteś podobny do matki – zauważyła. Caleb zawstydział się i zaczął bawić guzikami koszuli. Elspeth spojrzała na jego wystające kości policzkowe, tak różne od gładkiej twarzy Joraha, na ciemnobrązowe oczy, podczas gdy jej były szare, na brzoskwiniową karnację, jakiej ani ona, ani Jorah nie mieli. Dzieci nigdy nie widziały nikogo poza swoim rodzeństwem i jeśli nawet dziwny im się wydawał fakt, że tak bardzo się różnią wyglądem, to nigdy nie powiedziały tego głośno. Elspeth pragnęła gorąco zrzucić ciężar z serca i powiedzieć Calebowi, że nie jest jej dzieckiem, że żadne z jego rodzeństwa nie było. Ale kiedy się pomodliła, zrozumiała, że zrzucając ze swoich barków taki ciężar, zwałiby go na Caleba, zbyt kruchego, by go unieść.

Stara kobieta pogładziła Caleba po włosach. Nie wzdrygnął się, stał nieruchomo jak przerażony jelen. Elspeth, której wracały siły i przytomność umysłu, chciała powiedzieć tej kobiecie, żeby nie dotykała jej syna. Dawno nie poczuła takiej zazdrości, chyba od czasu, gdy zarosły ciemniczka u jej dzieci. Na ścianie wisiał portret przedstawiający trójkę dzieci, z pewnością dzieci tej kobiety. Tamte były do siebie podobne.

Dwa i pół roku po tym, jak opuściła van Tesselów i swoich rodziców, Elspeth myła w gorącej wodzie z mydłem instrumenty potrzebne przy porodzie. Śnieg padał wtedy intensywnie i oblepiał szyby. Zaczerwienionymi rękami wyjęła lśniący zestaw kleszczy. Pracowała wówczas z doktorem Forbesem i rzadko myślała o Jorahu, który spędzał całe dni ze zwierzętami i robił meble, i za każdym razem, kiedy przyjeżdżała, dom był bardziej wykończony, bardziej wyposażony i równocześnie bardziej obcy. Ich dom, do tej pory tylko ich dwojga.

Doktor Forbes zapisywał coś w jednym ze swoich licznych czarnych notesów, z biurka zwisała niebieska wstążka zakładki.

– Czy mogę, panie doktorze? – zwróciła się do niego.

– Tak? – odparł, nie odrywając oczu od swoich zapisków i zanurzając pióro w kałamarzu.

Zaczekała, aż skończy. Zdjął okulary i wykręcił z suchym trzaskiem palce. Elspeth czyściła mały zestaw nożyczek.

– Zastanawiam się – zaczęła – czy to możliwe, żeby mężczyzna i kobieta o różnym kolorze skóry mieli dziecko.

Forbes roześmiał się.

– Cóż za pytanie... – zaczął, a potem odchrząknął. – To oczywiste, że Bóg nigdy nie pozwoli...

– Oczywiście, panie doktorze. – Elspeth nie mogła się jednak powstrzymać. – Widziałam taką parę, Indianina i kobietę taką jak ja, i oni wydawali się szczęśliwi. Dlatego zapytałam. Przepraszam za to pytanie.

Doktor znów się roześmiał.

– Kobietę taką jak ty? Nie sędzę. – Jego palce bawiły się sprzączką od paska. – Jednak wiadomo, że to się zdarza. – Wstał, przesunął kciukiem po obwolutach swoich notatników, wybrał jeden z najwyższej półki i zaczął przerzucać kartki. – O, jest. Tak, pewnego razu, kiedy byłem jeszcze młody, asystowałem doktorowi Vashinowi przy porodzie takiego dziecka. – Odchrząknął, koza, w której palono drewnem, wysuszyła powietrze, i zaczął czytać: – „Dziecko wygląda na zdrowe. Dziewczyna, lat czternaście, również jest w dobrym stanie. Poród przebiegł bez komplikacji i nie spowodował

zadnych problemów”. – Uśmiechnął się. – Teraz robię staranniejsze notatki.

– Więc to możliwe?

Przypomnienie sobie, o co chodzi Elspeth, zajęło mu chwilę. Zamyślił się i przerzucił kilka kartek w notatniku. Zmarszczył brwi.

– Zupełnie o tym zapomniałem. Ojciec dziewczyny w nocy wykradł dziecko i roztrzaskał jego głowę o skałę. – Doktor zamknął notes tak głośno, że Elspeth podskoczyła. – I dobrze zrobił – dodał.

– Ale to możliwe?

Dotknął dłonią jej talii. Elspeth pozwalała na takie awanse, lecz doktor nigdy nie posuwał się dalej.

– Tak samo możliwe jak to, że my moglibyśmy mieć dziecko – szepnął, zbliżając wargi do jej ucha. Elspeth wiedziała już, że temat rozmowy się wyczerpał.

Wrzuciła nożyczki do zlewu i strząsnęła z dłoni mydliny, a na powierzchni wody zobaczyła wpatrzone w nią swoje odbicie i pomyślała, jak często jej się to zdarzało, o Guście van Tessel, jej szeroko otwartych, pustych oczach, spoglądających na nią z wanny.

Następnego ranka, kiedy Caleb zobaczył matkę, wyglądała lepiej i zdrowiej. Elspeth była bardziej podobna do siebie, mimo że Margaret jej również obcięła włosy. Krótka fryzura nie dodawała jej uroku, za bardzo wyostrzała rysy twarzy. Usłyszał Margaret na schodach i potrząsnął ramieniem matki, żeby ją obudzić.

– Musimy iść – powiedział. – Oni tu byli. Ci ludzie, ci trzej, byli tu.

Niewiele równie mocnych dowodów na istnienie Boga znalazła w swoim życiu Elspeth. Położyła dłoń na krzyżyku na piersiach, a następnie przeciągnęła dłonią po głowie.

– Czy ta kobieta obcięła mi włosy?

Caleb skinął potakująco. Elspeth próbowała się uśmiechnąć.

– Czy wyglądam równie okropnie jak ty?

– Gorzej – powiedział i roześmiał się.

Elspeth zauważyła zabite deskami palenisko.

– Co się stało z kominkiem?

– Tamtędy wchodziły duchy – odparł Caleb i nic więcej nie powiedział, ponieważ Margaret otworzyła drzwi i udawała zaskoczenie na widok ich dwojga.

– Opuszczamy wasz dom – powiedziała Elspeth, próbując usiąść na łóżku.

Na to Margaret szczegółowo wyjaśniła, jak groźna byłaby teraz dla

Elspeth dalsza wędrówka. Tłumaczyła, że potrzeba tygodni, jeśli nie miesięcy, żeby mama Caleba w pełni wyzdrowiała. Chłopiec zaczął panikować.

– Nic mi nie będzie – odparła stanowczo Elspeth. Ta kobieta nie powinna była bez ich zgody obcinać im włosów ani opowiadać Calebowi niestworzonych historii o duchach. Elspeth zauważyła swoje ubrania złożone na krześle.

– Wyprałaś moje rzeczy?

Margaret sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Cóż, tak... Były brudne. – Tymczasem Elspeth pragnęła czuć obecność Joraha, choćby w postaci zapachu jego starej koszuli. – Były zakrwawione i zabłocone, i...

– Idziemy stąd. Natychmiast.

– Moja droga... – zaczęła Margaret, ale Elspeth zamknęła oczy.

– Zostawcie mnie – rzuciła. Jeśli wolą Boga było, żeby szła tropem zabójców, i w swojej dobroci pozwolił On przeciąć się ich ścieżkom, to nie mogła czekać na jego następny znak. Nagle przemknął nad nią jakiś cień. Czyjaś dłoń zbliżyła się do jej twarzy, a ona nie była pewna czyja, wiedziała tylko, że była chropawa i zimna.

Kiedy usłyszała zamykanie drzwi, poprawiła bandażę na piersiach. Rozległo się pukanie i w progu znów stanęła stara kobieta. Nie odwróciła wzroku na widok nagości Elspeth.

– William i ja – zaczęła – martwimy się o chłopca. – Ale kiedy zrozumiała, że Elspeth nie będzie z nią rozmawiać, póki nie skończy, zamknęła drzwi. – Uważamy, że najlepiej dla niego będzie, jeśli tu zostanie z nami, póki ty nie zrobisz tego, co zamierzasz.

Gdyby taka propozycja padła tydzień wcześniej, kiedy Elspeth leżała w stajni, a chłopak nalewał wody do koryta i rozmawiał ze zwierzętami, powiedziałyby „tak”. Ale zostawić go teraz, po ich wspólnej podróży, to było nie do pomyślenia.

– Więc Caleb powiedział ci, co się stało? – Margaret odpowiedziała, że tak. – I myślicie, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, po tym, jak wymordowano moją rodzinę, spuszczę z oka moje ostatnie dziecko?

– Nie, moja droga, oczywiście, że nie – powiedziała Margaret i zaczęła wykręcać sobie palce. – Tu jest jedzenie i schronienie, a chłopiec rwie się... rwie się do zabijania.

Elspeth zaczęła upychać rzeczy w torbie, nie zważając, czyje są i skąd się wzięły.

– Dziękujemy wam za pomoc.

– Mam nadzieję, że się jeszcze zastanowisz.

Elsbeth wyjęła z czubka buta pieniądze, może nawet więcej, niż zamierzała, i rzuciła je na łóżko.

– To za fatygę.

Margaret czmychnęła, a kiedy zapukał Caleb, Elspeth pomyślała, że to ona wróciła, żeby sprawdzić, czy nie zmieniła zdania.

– Jestem gotowy – powiedział Caleb. Obwiodł palcem dziurkę od klucza w drzwiach. – W tym domu śnią mi się koszmary. – Miał nadzieję, że matka powie mu coś, co upewni go, że wszystko będzie dobrze.

Zawiązała ciaśniej bandażę. Usłyszał trzask tkaniny.

– Koszmar to tylko zły sen – powiedziała.

Elsbeth pokuśtykała do kuchni, gdzie William i Margaret przygotowywali śniadanie. Słyszając szuranie jej nóg, oboje zeszytnieli.

– Cóż za niespodzianka, ty na nogach... – odezwał się William i wypił łyk kawy.

Elsbeth nie usiadła, nie tknęła jedzenia.

– Dziękuję wam obojgu za to, co zrobiliście, ale Caleb i ja ruszamy dziś w drogę.

– Zostańcie i odpocznijcie – zaproponował William.

– Musimy iść.

William spochmurniał.

– Margaret i ja uważamy, że nie powinniście jechać za tymi ludźmi. Nic dobrego z tego nie wyniknie. – Próbował odwieść ją od tego pomysłu, opowiadając o wizycie zabójców w ich domu, o tym, jak jeden z nich chwycił go za gardło, a pozostali przeszukali szuflady i szafki i ukradli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. – Miasto, do którego pojechali, to całe Watersbridge, to nie jest odpowiednie miejsce dla matki z synem.

Słyszając nazwę miasta, Elspeth o mało nie upadła. Caleb, cały różowiutki, dopiero co narodzony, tulił się do jej piersi, kiedy biegła brudnymi ulicami tego właśnie miasta. Chłopczyk płakał, a ona zastanawiała się, czy nie ukryć się w kościele, gdzie mogłaby go uspokoić, nie zwolniła jednak kroku. I teraz ten zbieg okoliczności, o ile można to nazwać zbiegiem okoliczności, sprawił, że musi tam wrócić. Z chłopcem porwanym w Watersbridge. To będzie dla niej dzień sądu. A skoro tak, pora ruszać.

Do kuchni wszedł Caleb, tak do niej niepodobny dwunastolatek. Usiadł i zjadł śniadanie. Elspeth nigdy wcześniej nie widziała go tak beztroskiego

i zabolą ją to.

– Caleb, musimy już iść.

Słyszając ponaglenie matki, szybko dokończył jajecznicę. Margaret wyjęła z piekarnika blachę z babeczkami.

– Jedz – zachęciła Caleba. – Zostańcie. Ty też musisz nabrać sił, moja droga.

Jakby chcąc udowodnić, ile ma sił, Elspeth odsunęła krzesło Caleba od stołu. Aż widelec wypadł chłopcu z ręki. William uniósł ręce z rezygnacją. Margaret wyjęła ze spiżarni pełną jedzenia płócienną torbę i na wierzchu położyła pół tuzina parujących babeczek.

– To wam powinno wystarczyć – powiedziała.



## Rozdział 11

Zobaczyli położone w dolinie Watersbridge dużo wcześniej, nim dotarli do miasta. Z oddali widzieli ulice i kwartały domów, a dalej szary bezmiar jeziora. Caleba ścisnęło w żołądku z niecierpliwości. Myśl o tym, że są blisko, dodawała im sił. Chcieli iść nawet po ciemku, ale rozszalała się śnieżycyca, w jednej chwili zapadła noc. Kłujące płatki śniegu zacinały jak deszcz i oślepiały. Brezentową płachtę przymocowali do pnia klonu.

Odgarnęli śnieg, żeby mieć gdzie się położyć, i posilili się zapasami, które dostali od Williama i Margaret w płóciennej torbie: soloną szynką, burakami w occie i chlebem z masłem. Zdążyli się już przyzwyczaić do wygod w domu staruszków i zimno dokuczało im teraz dotkliwiej, wyczuwało ich słabość. Elspeth starała się nie myśleć o kobiecie, o tym, jak prosiła, żeby pozwoliła zostać u nich jej dziecku. W końcu zasnęła twardym snem, a o brzasku zerwała się, by ruszyć w drogę. Kiedy schodzili do doliny, widok miasta przesłoniły im drzewa i krzewy.

Po południu natknęli się na wypalony budynek. Kiedyś musiał być większy od domu Howellów, kanciasty, ale ogromny. Prawie cały drewniany szkielet przetrwał. Wszystko inne poszło z dymem. Nadpalone belki trzeszczały na wietrze. Caleb obejrzał dokładnie ruiny. Próbował nawet wejść na prowadzące donikąd schody. Stuknął w narożny słupek. A Elspeth widziała, jak chłopiec się zmienił pośród tych zgliszcz. Poblądł na twarzy i unikał jej wzroku. Wspiął się na szczyt schodów. Matka stała na dole, nie zbliżyła się do zgliszcz. Zaniósł się okropnym kaszlem.

– To ja spaliłem dom – powiedział Caleb. – Podpaliłem ciała i wtedy dom się zajął. Zdążyłem tylko wynieść ciebie, broń i trochę jedzenia.

– Nie mogłeś ich pogrzebać – odpowiedziała.

– Nie mogłem.

– Rozumiem. – I naprawdę rozumiała, była zadowolona, że wzniecił ogień. Przynajmniej nie mają do czego wracać, nic nie każe im zawrócić. Chłopcu musi tego wszystkiego brakować, pomyślała. Chciała mu jakby ofiarować coś w zamian. – Caleb. Watersbridge to miasto, w którym się urodziłeś.

Caleb spojrzął na budynki, na wieżę kościoła. Urodził się w mieście, w którym mieszkali mordercy. Margaret i William niechętnie wspominali o Watersbridge w jego obecności, starannie dobierali słowa, a on teraz

próbował je odtworzyć i pojąć ich sens.

– Mamo, czy jeśli się tam urodziłem, to jestem taki sam jak tamci ludzie?

– Trudno mu było to wszystko pojąć i zastanawiał się, dlaczego inni nie mają podobnych problemów. Kopnął nadpalony słup. Ten zakołysał się, ale nie przewrócił.

– Nie, Caleb – odparła. – Wcale nie. – Chciała powiedzieć coś więcej, wyrwać chłopca z transu, ale wystarczyło jej energii tylko na to, żeby iść dalej. Po chwili Caleb ruszył za nią.

Kiedy ujrzeni dym unoszący się z kominów w mieście, Caleb zapomniał o swoich rozterkach i przyspieszył kroku. Elspeth wołała za nim, żeby zwolnił, ale on nie słuchał. Nad czubkami sosen połyskiwała w słońcu wieża kościelna zwieńczona złotym krzyżem.

Mijając kępę młodych dębów, Caleb usłyszał, że ktoś go woła. Przywykł już do ciszy i ludzki głos zaskoczył go zupełnie. Chłopiec instynktownie przykucnął w śniegu. Położył dłoń na kolbie strzelby pod obszerną kurtką Joraha.

Z rowu wygramolił się jakiś mężczyzna. Miał włosy długie jak postronki i jedną drewnianą nogę zakończoną butem innym od tego drugiego.

– Hej, ty tam, mistrzu...

– Nie zatrzymuj się – poradziła matka.

Ale Caleb nie mógł się powstrzymać. Chciał wiedzieć, co mężczyzna ma mu do powiedzenia, i nie chciał być nieuprzejmy wobec pierwszej napotkanej osoby z jego rodzinnego miasta. Mężczyzna biegł ku niemu przeskakując przez zasy, jeden palec kierował ku niebu. Siwa szczecina na jego głowie lśniła w odbitych od śniegu promieniach słońca.

– Chwileczkę, jedną chwileczkę... – Ubrany był w kombinezon roboczy tak zniszczony i wytarty, że ramiączka przypominały bardziej pojedynczą nitkę niż pasek materiału. Pod spodem miał poplamioną czerwoną koszulę, tak jaskrawą, jak kardynał szkarłatny na tle śniegu. Kiedy znalazł się bliżej, okazało się, że każdemu jego krokowi towarzyszy ciche pobrzękiwanie, jakby łańcuszka. Wiele, pewnie dziesiątki, sterczących z kombinezonu nitek było zakończonych igłami. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna musiał cerować swój strój tak często, że usuwanie igieł byłoby stratą czasu. Kiedy stanął przed nimi, igły zaiskrzyły się.

– Macie może trochę jedzenia? – zapytał.

– Nie mamy – odpowiedziała Elspeth, powstrzymując rękę Caleba, który sięgał do torby.

Mężczyzna podrapał się w policzek, pozostawiając czerwony jak jego

koszula ślad po paznokciu.

– To może jakiś grosz? Choćby miedziaka.

Elspeth wysunęła się przed Caleba.

– Nie mamy – powtórzyła.

– W takim razie życzę szanownemu panu miłego dnia – powiedział mężczyzna i ustąpił im z drogi. Stanął w cieniu drzewa i przeciągnął językiem po zębach. Elspeth stała teraz między nim a Calebem i czuła, że będą mieli szczęście, jeśli ta przygoda zakończy się bez żadnego incydentu. – Gdybyście jednak mieli przypadkiem jakieś pieniądze, to mój brat, London, ma najlepszą karczmę w tym mieście, Elm.

Elspeth chwyciła Caleba za rękę i pociągnęła, nie śmiejąc obejrzeć się za siebie. Bała się, że mężczyzna pójdzie za nimi i wyciągnie nóż.

Początkowy zachwyty Caleba miastem Watersbridge ustąpił posepnemu nastrojowi. Chłopak był przerażony tym, że nic nie wie. Zachowywał się tak, jakby właśnie pojawił się na świecie.

Wkrótce dotarły do nich zapachy miasta: smażonego bekonu, końskich ekskrementów, gorących pieców i kominków.

– Dlaczego ten człowiek zwrócił się do ciebie „proszę pana”? – zapytał Caleb.

– Są ludzie, którzy nie wiedzą, co mówią – odparła Elspeth. – Pamiętasz, jak twój ojciec miał gorączkę? – Tamte dni strasznie się dłużyły Elspeth, która potwornie nie znosiła siedzieć całą zimę w domu i wyglądać przez okno. Dzieci ciągle ją o coś prosiły, a jej się śniły po nocach ich małe rączki domagające się czegoś, czego nie mogła im dać. – Niektórych gorączka trawi cały czas i włączają się po tym bożym świecie, słuchając podszeptów diabła.

– Ojciec miał diabła w głowie? – zapytał Caleb, czując, że to tłumaczyłoby wszystko, że tamten mały cmentarzyk mógł powstać z powodu diabelskich podszeptów.

– Nie, nie. Diabeł wchodzi do głów niektórych ludzi, ale na pewno nie wszedł do głowy ojca ani twojej.

Caleb przypomniał sobie gryzący dym w spizarni i krew matki ściekającą na podłogę w kuchni. Przypomniał sobie, jaki był dumny z tego, że pomścił śmierć członków rodziny. Z kolei Elspeth wracała wspomnieniami do swojej podróży pociągiem, do noworodków, do rodzin, u których pracowała. Znowu poczuła żal po stracie swojej rodziny. I kiedy zbliżali się do miasta, w głowach obojga kołatała się myśl, wręcz pewność, że diabeł naprawdę zagnieździł się w ich czaszkach, a ich czoła płoną od

jego grzesznych podszeptów.

## Część II

# Rozdział 1

Caleb ze spuszczoną głową podążał za matką ulicami pełnymi błota pośniegowego, udeptanego przez buty i końskie kopyta, rozjeżdżonego przez koła wozów. Nigdy wcześniej nie widział tylu ludzi i nie słyszał tak ogłuszającego hałasu. Ilekroć podnosił głowę, bał się, że diabeł znajdujący się w jego mózgu stanie w płomieniach. Wszystko tu wydawało się w ruchu.

– Idziemy do hotelu Elm? – zapytał dwukrotnie, powtarzając sobie, że musi przekrzyczeć cały ten harmider.

Elsbeth chwyciła go za poły kurtki i uchroniła w ten sposób od zderzenia z elegancko ubranym mężczyzną, który uchylił przed nią kapelusza i poszedł dalej. Ponieważ nalegała, Caleb wcisnął strzelbę do plecaka, a wystającą lufę owinął kocem. Elspeth poprawiła koc, zanim dotarli do głównej ulicy, po której mknęły powozy, a ludzie chodzili po chodnikach z sosnowych desek.

– Ale tamten człowiek mówił... – zaczął Caleb.

– Nie możemy mu ufać, Caleb – odparła. – Niektórzy ludzie mówią ci to, co chcesz usłyszeć, inni mówią to, co chcą powiedzieć, i nie wszystko musi być prawdą. Tutaj brak zaufania jest równie ważny jak zaufanie. A może nawet bardziej. – To powiedziawszy, chwyciła go za rękaw i znaleźli się na głównej ulicy. Caleb z trudem dotrzymywał jej kroku. W tym mieście nie ma czasu na powolność, ona o tym wiedziała, chłopak musiał dopiero to zrozumieć. Nie mógł już dłużej być dzieckiem. Elspeth z przykrością patrzyła, jak to do niego dociera.

Przy ulicy był niewielki skwer miejski. Tam śnieg leżał nietknięty, szklisty. Dalej stał imponujący, bielszy niż śnieg kościół, którego detale ginęły w blasku słońca. Z tyłu rozciągał się wielki cmentarz, który jak całe miasto wspinał się na zbocze pobliskiego wzgórza. Po jednej stronie skweru stały w rzędzie, jak w kolejce do komunii, różne sklepy i warsztaty, poczta i zakład fryzjerski, wszystko, co potrzebne miastu do życia. Na zachód, za drzewami, widać było wielkie jezioro Erie, którego uśpione szare wody łączyły się gdzieś na horyzoncie z niebem tego samego koloru. W wodę wrzynały się dwa skrawki ładu niczym dwie ręce wyciągnięte ku sobie, ale niestykające się ze sobą. I właśnie ten prawie most dał nazwę miastu. A w objęciach tych ramion pracowali mężczyźni wydobywający z jeziora bryły lodu i niosący je do chłodni. Z daleka wyglądali jak mrówki.

Elspeth zapomniała o chłopcu i wypuściła z rąk jego kurtkę. Prawie spodziewała się, że jej pojawieniu się w mieście będzie towarzyszyć bicie dzwonów. Oto przybyła grzesznica, którą trzeba spalić na stosie. Bywała w tym kościele, modliła się z jego wiernymi i zatykała nos i usta rękawem przed kurzem, kiedy biegła tymi ulicami z Calebem, skradzionym dzieckiem trzymanym w ramionach.

Hotel Brick & Feather oferował pokoje do wynajęcia i znajdował się nieopodal kościoła, tak blisko, że szyby drżały w oknach, kiedy dzwoniły dzwony. Elspeth zapamiętała ten hotel jako spokojne miejsce. Dała Calebowi pieniądze, żeby wynajął pokój, i szybko wytłumaczyła mu, co ma robić; wiedziała, że prędzej czy później ktoś rozpozna jej twarz. Powiedziała synowi, że to jest lekcja, rodzaj testu. Oparła się plecami o ścianę w słabo oświetlonej niszy obok cicho tykającego zegara.

Mężczyzna w recepcji powitał Caleba uśmiechem i przedstawił się imieniem Frank. Caleb również odpowiedział uśmiechem. Frank miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i kamizelkę w brązową kratę, której rąbkiem przecierał okulary. Jego gęste czarne włosy były starannie zaczesane na lewą stronę. Caleb zrobił, co mu kazano, czyli poprosił o pokój. Wrócił do matki z resztą pieniędzy, które ścisnął w garści. Ruszyli w kierunku schodów, Elspeth zasłonięta przez syna. W rękach nieśli brudne i wyświechtane torby ze swoim dobytkiem.

– Proszę pana! – zawołał Frank i podbiegł do nich.

Elspeth nie zatrzymała się.

– Proszę pana!

Frank wręczył Calebowi zaśniedziałą mosiężny klucz.

– Bez tego trudno wejść do pokoju – powiedział. – Daj go lepiej ojcu.

Elspeth poczuła, że zaczynają ją palić policzki. Już po raz drugi wzięto ją za mężczyznę. Nie śmiała się obejrzeć. Wiedziała, co oznacza ten ton w głosie Franka. Uznał Caleba za przygłupa. Tymczasem pomylił się aż dwukrotnie.

– Dziękuję – powiedział Caleb. – I przepraszam.

Pokój był ciasny. Dwa łóżka pod ścianami tworzyły literę L, przy trzeciej ścianie stała chybocząca się szafa. Ze ścian odłaziła tapeta i szeleściła poruszana przez przeciąg wpadający przez szpary w ścianach. Między łózkami stał drewniany stolik, a na nim nocnik. Elspeth położyła bagaże obok jednego z łóżek. Caleb pozostał na progu z niewyraźną miną.

– Wszystko w porządku – powiedziała Elspeth.

Jego nogi nie zareagowały. Musiał sobie kilka razy powtórzyć, że ma

wejść do tego pokoju, zanim zrobił pierwszy krok. Zdjął plecak i rzucił go na podłogę. Z jego ubrania ściekał topniejący śnieg.

– Które łóżko wybierasz? – Elspeth starała się, by w jej głosie brzmiało zadowolenie.

Caleb wpatrywał się to w jedno łóżko, przykryte blad różową narzutą, to w drugie, stojące pod oknem, z narzutą miejscami przetartą i dziurawą. Z ulicy dobiegł odgłos końskich kopyt i chłopak pomyślał o swoim azylu na strychu, o czystym powietrzu i zwierzętach gospodarskich.

– Przy oknie – zdecydował wreszcie. Podszedł do łóżka i usiadł. Sprężyny zajęczały. Wzdrygnął się.

Patrząc na siedzące przed nią dziecko, na trzymaną przez nie strzelbę, Elspeth zdała sobie sprawę z dziwaczności całego przedsięwzięcia. Położyła dłoń na krzyżyku na piersiach, jak gdyby szukała w nim wsparcia. Caleb złamał strzelbę, zajrzał do komory i uspokojony oparł się plecami o ścianę. A Elspeth podeszła do okna i odsunęła zasłony. Ulice były pełne ludzi. Każdy z nich mógł być mordercą, każdy stanowił potencjalne zagrożenie. Dla niej i dla niego. Zmusiła się do uśmiechu i zapytała syna, czy jest głodny. Odpowiedział, że tak. Zamierzała powiedzieć, że powinni najpierw wziąć kąpiel, porządnie się wyszorować, ale miał taką smętną minę i był tak zdenerwowany, że zmieniła zdanie.

Weszli do pierwszej napotkanej restauracji i usiedli najbliżej drzwi. Caleb przypatrywał się ludziom zajmującym inne stoliki, tymczasem Elspeth obserwowała jego twarz, pełną strachu i zaskoczenia. Żałowała, że nie mają przy sobie broni, i obiecała sobie, że w drodze powrotnej zajrzą do sklepu, gdzie kupią pistolet, coś, co można zatknąć za pasek albo schować w cholewce. Ale zaraz potem dostrzegła znajomy kształt. Caleb miał strzelbę na plecach, ukrytą pod przepastną kurtką Joraha, a wystającą lufę zasłonił obwiązana wokół szyi chustą. Strzelba była długa, ale nie rzucała się w oczy. Elspeth nie była już pewna, czy mając broń, czuje się lepiej, czy gorzej.

Z tablicy wiszącej nad barem przeczytała Calebowi menu. A on zdawał się nie rozumieć słów i powtarzał je sobie pod nosem.

– Więc jak o coś poprosimy, to nam przyniosą?

Elspeth nie bawiła się w wyjaśnienia, tylko czytała dalej. Szynka, kiełbasa, stek, jajka na bekonie.

– I zapłacimy tym, co nam zostało po wynajęciu pokoju?

Elspeth potwierdziła i pomyślała, że im częściej będzie odpowiadać na jego pytania, tym bardziej Caleb będzie zależny od niej i nie zdobędzie się



na zrozumienie tego wszystkiego samemu.

Caleb podszedł do baru, zamówił stek i jajka dla siebie oraz kiełbasę z ziemniakami dla matki. Tym razem nie odniósł reszty w garści, tylko schował ją do kieszeni, bo podpatrzył, że inni tak robią. Dotarło też do niego, że w takim miejscu jak to nie znajdują ludzi, których szukają. Tu słońce wpadało do środka przez białe firanki, rozświetlało czyste, starannie pomalowane ściany. Tyle razy wyobrażał sobie zabójców, ale w żadnym z jego koszmarów nie siedzieli w słońcu, nie jedli szynki z serwetkami zatkniętymi pod brodą, nie czytali gazet. Ludzie, którzy tu siedzieli, nie byli tak zdeprawowani, żeby wymordować jego rodzinę.

Elsbeth została sama przy stoliku, starała się siedzieć prosto, na ile pozwalał na to przeszywający ją przy każdym oddechu ból, i czekając na posiłek, obserwowała Caleba przy barze. Usłyszała zbliżające się kroki i głośne chrząknięcie. Obejrzała się i ujrzała mężczyznę z kręconymi, ogniście rudymi włosami i wąsem. Mężczyzna obracał w niespokojnych palcach rondo kapelusza.

– Przepraszam pana, czy mogę? – zapytał, wskazując wolne krzesło. Elspeth poczuła się zmieszana obecnością mężczyzny, ale przy okazji zrozumiała, skąd brało się nieporozumienie. Nosila nisko opuszczony na czoło kapelusz, miała brudną twarz, krótko obcięte włosy, na sobie ubranie Joraha, a bandaże nie tylko utrudniały oddychanie, ale ścisnęły również piersi. Bóg uznał za stosowne ukryć jej płeć, choć nie rozumiała sensu jego działania. Zanim zdążyła odpowiedzieć, mężczyzna przysiadł na brzegu krzesła.

– Nazywam się Charles Heather. Pracuję w Great Lakes Ice Company – wyjaśnił. – Mój partner złamał na początku miesiąca nogę. Przeze mnie. – Charles Heather był bliski łez. – Firma kazała mi do końca miesiąca znaleźć nowego silnego partnera, w przeciwnym razie zostanę zwolniony. Może pan przypadkiem szuka pracy?

Elsbeth zastanowiła się. Potrzebowali czasu, żeby znaleźć tamtych trzech, a ona nigdy nie widziała zabójców. Opis, jaki usłyszała od Caleba i Williama, tylko zamącił jej w głowie. Opowiadali o tym, że emanowało z nich zło i nosili czerwone chusty. Elspeth miała mało pieniędzy, a i tak większość zostawiła Margaret i Williamowi, w zupełnie bezsensownym, jak teraz uznała, geście. Przede wszystkim jednak zdawała sobie sprawę ze swojej słabości, a praca przy wydobywaniu lodu pozwoliłaby jej trzymać się z daleka od wszelkich porodów.

– Owszem, szukam pracy – odpowiedziała, obniżając głos o oktawę. – Na

czym miałyby polegać?

Charles wyprostował się na krześle i odetchnął z ulgą.

– Kruszemy lód i wyciągamy go z jeziora. Wygląda pan na dość silnego, ale nie będę ukrywał, że praca jest ciężka.

Elsbeth nie wątpiła w jego prawdomówność, mimo że był bardzo zdenerwowany.

– A ten wypadek? To pan go spowodował? Skąd mam wiedzieć, że nie złamie mi pan nogi? Albo nie zabije? Ta praca jest tak niebezpieczna?

Charles zaczął jeszcze bardziej nerwowo obracać w palcach rondo kapelusza.

– Tak, to przeze mnie zdarzył się wypadek. Myślałem, że zablokowałem szczypcę, a tymczasem blok lodu spadł mojemu partnerowi na ramię. Muszę mu to jakoś zrekompensować. Jemu, jego żonie i całej rodzinie.

Rekompensata. Elspeth spodobało się brzmienie tego słowa. Charles zapytał, jak ma na imię.

– Jorah – rzuciła, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. W mieście nigdy nie przedstawiała się swoim prawdziwym nazwiskiem, ponieważ obiecała to mężowi przed swoją pierwszą wyprawą. – Jorah van Tessel.

Charles wskazał ruchem głowy Caleba.

– Brakuje ci stu jedenastu.

– Słucham? – zdziwiła się Elspeth. Nie zdążyła się ugryźć w język i zaraz tego pożałowała. Takie zdziwienie wydało jej się zbyt kobiece. Na przyszłość postanowiła się ograniczyć do odpowiadania monosylabami.

– „Synów Jory sto i dwanaście”<sup>7</sup> – wyrecytował Charles. – Twoje imię. To imię biblijne. Z Księgi Ezdrasza. Na pewno to wiesz.

– Dobrze znasz Biblię. – Spojrzała na mężczyzn siedzących przy sąsiednich stolikach i choć sprawiło jej to ból, usiadła w rozkroku i przygarbiła się, naśladowując ich pozę.

– Moja matka latem zakrywała okna, żeby upał nie wdzierał się do wnętrza, i pewnego lata, szczególnie gorącego, okleiła szybę kartkami z Biblii. Powiedziała, że Ezdrasza i tak nikt nie czyta. Chyba nie miała racji.

– Chyba tak. – Elspeth zaczęła się zastanawiać, co kierowało Jorahem, kiedy wybrał sobie nowe imię. Było u nich wtedy w domu tylko jedno dziecko. Może zwyczajnie spodobał mu się dźwięk tego imienia, tak delikatny w porównaniu z szorstkim Lothutem.

– I tak, kiedy się kładłem wieczorem spać i kiedy budziłem się rano, wciąż spoglądał na mnie Ezdrasz. – Elspeth spodziewała się, że Charles za chwilę zacznie mówić o wierze i losie, i już zaczęła się na to

przygotowywać. – Jakimś cudem nauczyłem się tej księgi na pamięć. Szczerze mówiąc, to jedyny kawałek Biblii, który potrafię zacytować. – Uśmiechnął się.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała Elspeth.

Charles Heather wstał i klasnął w dłonie.

– Jesteś zdecydowany?

Odpowiedziała, że tak.

Tymczasem Caleba zafascynował rozgardiasz panujący w kuchni, którą widział przez uchylone drzwi. Trudno mu było pojąć, że można zgromadzić takie ilości jedzenia: misy wielkości balii pełne jaj, wiadra, z których wylewało się po brzegach rzadkie ciasto naleśnikowe, pęta kiełbasy zwinięte jak rolka szpagatu, głowy cukru wielkości jego głowy, rzędy szklanych słoików z cydrem. Z transu wyrwał go Charles Heather, gdy klasnął w dłonie. Obrócił się zaskoczony i zobaczył jakiegoś rudego mężczyznę siedzącego przy stoliku matki.

Caleb namacał strzelbę, zastanawiając się, jak szybko uda mu się ją wyplatać z chusty na szyi i wydobyć spod kurtki. Panujący w restauracji hałas sprawił, że nie słyszał rozmowy matki z nieznajomym. Mężczyzna sprawiał przyjemne wrażenie, a matka nie wyglądała na zaniepokojoną. Martwił się tylko o jej rany, widział, jak się wierci na krześle, wyciąga szyję, krzyżuje ręce na piersiach, nie może usiedzieć spokojnie.

Na ladzie przed nim stanęły z hukiem dwa wielkie talerze. Wziął je w dłonie, na wszelki wypadek sprawdzając łokciem, czy strzelba jest na miejscu. Kiedy dotarł do stolika, rudowłosy poprawiał akurat sztucce, które przypadkowo potrącił i przesunął.

– To pewnie twój syn – powiedział i przedstawił się Calebowi, a potem energicznie potrząsnął jego dłonią. – Nie będę wam przeszkadzał w posiłku – rzekł, zakładając rękawiczki.

– Panie... przepraszam, zapomniałem nazwiska... – Zmarszczył rude brwi.

– Van Tessel – powtórzyła Elspeth. – Jorah van Tessel.

Caleb jęknął, a Elspeth zgromiła go wzrokiem.

– Teraz już zapamiętam – zapewnił Charles i roześmiał się. Elspeth nic nie odpowiedziała, a Charles założył na głowę kapelusz. Szturchnął łokciem Caleba. – Twój ojciec to dobry człowiek. – Caleb sięgnął po nóż i widelec. – No, dobrze – ciągnął Charles. – O czwartej spotykamy się z panem Wallacem w siedzibie Great Lakes Ice Company. Wie pan, gdzie to jest?

– Znajdę – odparła Elspeth.

– Trudno tu znaleźć inne jezioro – powiedział Charles i znów się roześmiał. Kiedy poprawiał kapelusz na głowie, Elspeth zwróciła uwagę na blizny na jego dłoniach i zniekształcone stawy palców.

Caleb zajął się krojeniem steku. Usłyszał skrzypnięcie krzesła, kiedy matka usiadła znów wygodnie, ale nie mógł oderwać wzroku od krwi wyciekającej z mięsa i gromadzącej się na talerzu. Nie chciał też patrzeć na matkę. Podniósł wzrok dopiero, kiedy ona zajęła się jedzeniem. I wtedy dopiero przyjrzał się siedzącej naprzeciw niego nowej osobie.

## Rozdział 2

O trzeciej czterdzieści pięć – według zegara w holu – Elspeth wyszła z hotelu Brick & Feather. Kazała Calebowi zostać w pokoju i zamknąć się na klucz. Sama ruszyła ulicą na zachód, w stronę jeziora. Firma Great Lakes Ice Company miała swoją siedzibę nad jego brzegiem. Stała tam dziwaczna maszyna do wydobywania lodu, jakieś wysokie, groźnie wyglądające metalowe konstrukcje i sanie z ostrymi płozami. Nad wodą kłębiła się ogromna ściana chmur. Chłodnia znajdowała się na lewo, niedaleko od brzegu. Elspeth słyszała dochodzące ze środka nawoływania robotników. Przekroczyła próg i przyjrzała się sylwetkom mijających ją mężczyzn. Pamiętała o tym, żeby w trakcie chodzenia szerzej stawiać stopy, nie wymachiwać zanadto rękami i uginać lekko kolana przy każdym kroku. Twarze wszystkich mężczyzn wydawały się groźne, a niektóre były wręcz mroczne. Nawet twarz Charlesa Heathera, który czekał na nią przed biurem mieszczącym się w starym wagonie kolejowym, jednym z dwóch stojących w pewnym oddaleniu od zakładu.

– Jorah – zawołał na powitanie. Uścisnął serdecznie dłoń Elspeth i jakby tego było mało, dołączył drugą dłoń. Trzykrotnie szybko zapukał do drzwi biura. Wcześniej musiał próbować uczesać włosy; w efekcie z boków zwisały mu teraz długie rude pejsy.

W środku w kamiennym palenisku płonął ogień. Biuro składało się z jednego prostokątnego pomieszczenia z równomiernie rozmieszczonymi oknami. Jedyne drzwi znajdowały się teraz za ich plecami. Za długim stołem siedziało trzech starszych panów, dwóch śleczyło nad księgami rachunkowymi, a trzeci, tak samo zgarbiony, stukał palcami w czarne i białe klawisze maszyny liczącej. Pośrodku pokoju na ścianie wisiał wygryziony gdzieś flanelowy koc. W kącie stało, właściwie niczym zjawą w takim miejscu, dziecięce łóżeczko.

– Przyprowadziłem nowego człowieka – odezwał się Charles. – Na miejsce... – Odchrząknął. – Na miejsce pana Ackera. To jest Jorah...

Elspeth starała się nie patrzeć na łóżeczko, czekając, aż ktoś potwierdzi jego istnienie. Przecież ono nie mogło istnieć naprawdę, nie w takim miejscu. To było niesamowite, ale słońce zdołało przebić się przez grubą warstwę chmur i rzęsiście rozświetliło pomieszczenie.

– Jorah van Tessel – przedstawiła się. Cały czas walczyła z pokusą

zajrzenia do łóźeczka. Jeden z męzczyzn, sądząc po braku zębów, łysinie i siwym zaroście, najstarszy, przestał pisać i odłóżył ołówek.

– Van Tessel, powiada pan? – Elspeth potwierdziła, wpatrzona z zachwytem w niezwykle zjawisko. Z łóźeczka dolatywały jakieś odgłosy. Dziecko zaczęło płakać i Elspeth poczuła, że całe jej ciało napina się jak cięciwa. Może to jakaś diabelska sztuczka, pomyślała. Nikt inny nie zwracał uwagi na płacz. – Jest pan spokrewniony z Dedrickiem van Tesselem? – zapytał. Dziecko żałośnie zawodziło.

Pod Elspeth ugięły się nogi. Zapomniała na chwilę o płaczu i zobaczyła postać najstarszego, a zarazem najmniejszego z synów van Tesselów. Dedrick był łobuziakiem, wiecznie posiniaczonym i pokaleczonym. Jego ubrania trzeba było cerować pięć razy częściej niż pozostałych dzieci. Dedrick całymi godzinami siedział za karę w swoim pokoju, najczęściej za uderzenie któregoś z braci albo sióstr, ale znał sposoby, jak wymknąć się z domowego aresztu. Kiedyś zawisł na parapecie okna na piętrze, a Elspeth z okna kuchennego na parterze widziała, jak macha tymi swoimi krótkimi nóżkami przez chwilę, zanim zdecydował się skoczyć w krzaki. Matka kazała jej milczeć, dopóki Dedrick nie zrobi komuś krzywdy.

– To nie jest rodzina – odpowiedziała Elspeth.

– Nie żyje – odezwał się męzczyzna przy maszynie liczącej i pociągnął nosem. – Spadł z konia, prawda, Horace?

– Skręcił kark – potwierdził Horace, nie przerywając pracy.

– Przykro mi – powiedziała Elspeth. Nie potrafiła sobie wyobrazić Dedricka jako dorosłego człowieka. Próbowwała dokleić mu niewielką brodeę, żeby wyglądał na starszego, ale i tak cały czas widziała go takim, jakim go zapamiętała. Pomyślała też o swoim ojcu zajmującym się ogrodem van Tesselów. Tamte lata minęły tak szybko. Matka i ojciec pewnie już nie żyją. Stały jej przed oczami dwa proste nagrobki na skraju posiadłości van Tesselów, wskazujące miejsce, gdzie zostali pochowani. – Może to jakiś kuzyn. Daleki kuzyn.

– To rzadkie nazwisko. A Dedrick był wyjątkowym facetem – powiedział najstarszy. – Zupełnie jak nasz Charlie. – Pozostali męzczyźni zachichotali. – Ale niestety. – Wziął do ręki ołówek, brudnymi paznokciami usunął jakiś kłaczek i wrócił do pracy.

Znów usłyszała płacz niemowlęcia.

– Horace, mam się zająć dzieckiem? – zapytał Charles. Elspeth musiała przytrzymać się stołu. Ulga, jaką poczuła, dowiedziawszy się, że dziecko istnieje naprawdę, niemal zwała ją z nóg. Elspeth całą uwagę skupiła na

tym odkryciu. Przestraszyła się, że uczucia, jakie wzbudziło w niej to dziecko, mogą mieć wpływ na jej wygląd: skóra zacznie promieniować radością albo dłonie ułożą się w nieodpowiedni sposób. Przed wyjściem z hotelu przyjrzała się sobie uważnie w lustrze i doszła do wniosku, że w zbyt obszernym ubraniu Joraha, z niedomytą twarzą, faktycznie przypominała mężczyznę. Zerknęła na Charlesa i przyjęła jego postawę. Wypchnęła brzuch naprzód i wsunęła kciuk w szlufkę spodni, jak czyni to wielu mężczyzn.

– Nie jest chyba jeszcze tak źle – odezwał się Horace – żebym musiał powierzać dziecko twojej opiece, Charlie. – Wszyscy trzej mężczyźni roześmiali się, a Horace podniósł się ze skrzypieniem stawów tak głośnym, że zagłuszyło odgłos maszyny liczącej i płacz dziecka. Przycisnął dłoń do krzyża i dopiero wtedy się wyprostował. – Ja się nią zajmę.

– Całe szczęście, że to nie moja wnuczka – powiedział mężczyzna przy maszynie liczącej i znów wszyscy zaczęli się śmiać.

Elspeth wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do łóżeczka. Dziecko miało purpurową od płaczu twarzyczkę, szeroko otwartą buzię i zaciśnięte w niewypowiedzianej złości piąstki. Horace wziął je na ręce i mocno przytulił do piersi. Elspeth była zaskoczona, widząc, z jaką wprawą i pewnością to zrobił. Kiedy dziecko zobaczyło Elspeth, przestało płakać. Zamrugęło oczami.

– Lubi cię – zauważył Horace. – Zwykle boi się obcych. Prawda? – zwrócił się do maleństwa.

Pokój zakołysał się. Elspeth oparła się całym ciężarem ciała o stół. Bała się, że za chwilę upadnie.

Horace z dzieckiem na ręku podszedł bliżej. Elspeth poczuła słodki zapach skóry dziecka. Wyciągnęła rękę i drżącym palcem pogładziła je po policzku. Poczowała, jak jej ciało przechodzi dreszcz. Ta skóra była tak gładka. Jej dotyk odmienił Elspeth. Odżyła. Serce zaczęło bić szybciej, kości stały się mocniejsze, słuch lepszy, wzrok ostrzejszy. Zostały uwolnione głęboko skrywane wspomnienia, także te, które starała się zupełnie wyrzucić z pamięci.

Byli na swoim od niecałego roku. Jorah od czasu do czasu znajdował jakieś ciężkie i kiepsko płatne zajęcia. W końcu Elspeth przekonała go, żeby pozwolił jej wyjechać w poszukiwaniu pracy. Obiecała, że będzie używała zmyślnego nazwiska, żeby nie wytropili jej ludzie nasłani przez van Tesselów. Jorah powiedział jej, jak trafić do najbliższego miasta. Przez cały dzień wypytywała o pracę, aż wreszcie ktoś skierował ją do gabinetu

lekarza. Doktor Watt zatrudnił ją, zanim zdążyła pojąć, jaką zaproponował jej robotę.

– Mdlejesz na widok krwi, Claro? – zapytał. Potrząsnęła przecząco głową. – Masz pewną rękę? – Miała. – I jesteś silna? – Uważała, że tak.

Następnego dnia przytrzymała rękę mężczyzny, którą doktor Watt zszywał, pogwizdując przy tym cicho. Po południu, kiedy umyła już ręce z krwi, a doktor pochwalił ją za jej spokój, poszli z wizytą do oczekującej na rozwiązanie matki. W trakcie badania kobieta i jej mąż kłócili się o każdy drobiazg dotyczący ich przyszłego dziecka: czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka, jakie powinno nosić imię, gdzie będzie spało. Jedno nieporozumienie rodziło kolejne i tak bez końca. Elspeth nigdy wcześniej nie była świadkiem tego, żeby kobieta krzyczała na mężczyznę. Doktor przychodził z wizytą raz w tygodniu. Sprawdzał wtedy ułożenie płodu, a mąż z żoną, czerwoni ze złości, krzyczeli na siebie. Zdarzało się, że doktor i Elspeth słyszeli ich wrzaski dobiegające przez otwarte okna, zanim weszli do białego, kwadratowego domku.

– Czy to powszechne zjawisko? – zapytała Elspeth.

– Zdarza się – odparł doktor Watt. – Dla niektórych to ciężki okres. Ale większość mężczyzn nie jest tak cierpliwa.

Dwa miesiące później Elspeth została w środku nocy wyciągnięta ze swojego pokoju hotelowego przez zdenerwowanego męża ciężarnej kobiety. Kiedy dotarli do domu, okazało się, że kuchnia została zamieniona w salę porodową. Na krześle stał garnek z wrzącą wodą, na czystym ręczniku leżały lekarskie narzędzia, a na stole, na stosie koców i kołder, leżała żona. Kuchnia była rzeświście oświetlona. Doktor Watt palił fajkę i z zadartą ku sufitowi głową ugniatał brzuch kobiety, zupełnie jakby wyrabiał ciasto. Wyjaśnił, że to będzie poród pośladowy, i spokojnie tłumaczył matce i Elspeth, co uczyni. Uciskał mocno dolną część brzucha, próbując wypchnąć dziecko, ale ono ani drgnęło. Powiedział, że akcja porodowa już się zaczęła, ale płód jest umiejscowiony zbyt nisko. Kiedy doktor wsunął rękę w jej wnętrze, kobieta zawyła.

– Co się dzieje? – zawołał mąż, który niespokojnie krążył po werandzie.

– Wszystko w porządku – odpowiedział doktor Watt, ale Elspeth widziała, że jest zdenerwowany. Przygryzł zębami ustnik fajki, a potem rzucił ją na bok, rozsypując tytoń i popiół. – Już niedługo – szepnął i rzeczywiście, wkrótce pojawiła się stopa. Doktor nie tracił czasu na zachwyty nad jej urodą i kruchością; zacisnął palce wokół kostki i zaczął ciągnąć. Elspeth widziała dziecko przez skórę kobiety, poruszający się



i wijący dziwaczny kształt. Czują, że cała trójka – lekarz, matka i dziecko – walczą ze sobą zamiast współpracować. Elspeth ścisnęła kobietę za ramię, a potem zaczęła delikatnie obmacywać jej brzuch. Kiedy wyczuła główkę dziecka, ucisnęła mocno obiema dłońmi, napięcie pomiędzy matką a dzieckiem zelżało i znów zaczęły działać siły natury. Pojawiła się druga stopa, a chwilę potem miednica dziewczynki. Zniecierpliwiony doktor Watt szarpnął mocniej za nogi. A Elspeth uciskała lekko palcami główkę, popychając ją ku światu. Kobieta była drobna, ale doktor postanowił nie tracić czasu. Po czole spływały mu strugi potu. Pociągnął z całych sił, kobieta krzyknęła przeraźliwie, a Elspeth zacisnęła pięści. Z ochotą uderzyłaby lekarza. Pojawiła się zaraz główka i doktor trzymał już dziewczynkę za nóżki, wiszącą głową w dół. Oczyszczył jej nos i usta, a wtedy dziewczynka zaczęła się wić w jego rękach. Podał ją Elspeth, która starła z twarzy i ciała dziecka wody płodowe i krew. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś tak czystego i nieskalanego; zachwycała się kruchością i nadzwyczajną energią życiową widoczną w każdym ruchu dziecka.

Doktor Watt wyciągnął do niej rękę, a Elspeth udała, że znalazła na policzku jeszcze trochę krwi, by zyskać kolejną cenną minutę bliskości z dzieckiem. Doktor Watt owinął dziewczynkę szczelnie i oddał matce, która na widok córeczki przestała wreszcie jęczeć z bólu. Do kuchni wszedł ojciec i Elspeth wyczytała z wyrazu twarzy jego i matki, że naprawdę są szczęśliwi.

W Elspeth jakby wstąpił nowy duch. Tęskniła za doświadczeniem, które dane jej było przeżyć. Zapragnęła trzymać w ramionach własne dziecko. Ale im bardziej się z Jorahem starali, im więcej przeżyli zawodów, tym trudniej było jej przywołać z pamięci tamten dreszcz emocji, tym trudniej było zmusić obolałe ciało do jakiegokolwiek ruchu. Prześladowała ją Gusta van Tessel. Raz Elspeth nawet zanurzyła się cała, ale po chwili przebiła głową powierzchnię wody, zaciskając palce na brzegu wanny. A następnego ranka zostawiła Joraha i wyruszyła do miasta szukać pracy.

W biurze chłodni mężczyzna przy maszynie liczącej zamachał w powietrzu kartką papieru.

– Dość tego niańczenia – zawołał i podsunął kartkę Elspeth. – Daj to Wallace’owi. Charlie, pokaż mu Wallace’a.

Elspeth chętnie zostałaaby w biurze, pozwoliła dziecku obserwować ją całe popołudnie, ale Charles zgarnął papier ze stołu i lekko popchnął ją do wyjścia. Pozostali dwaj mężczyźni wrócili do ksiąg i po chwili pokój wypełniło skrzypienie piór przypominające chrobot myszy nocą.

Caleb zobaczył przemieszane kości braci i siostr, ich usta, które zamarły w grymasie bólu. Poczł przerażenie, kiedy wystawił głowę ze spizarni. Oni zdawali się od czasu do czasu poruszać, czasem słyszał oddech albo westchnienie, ale kiedy się pozbierał, zrozumiał, że nic się nie zmieniło. Zarys ciała Emmy w śniegu był dowodem na to, że nie wstała w nocy, nie zniknęła z jego pola widzenia. Siedział na podwórku obok jej ciała, tak jak siadywał w wysokiej trawie obok Jessego, i pragnął, żeby taka śmiertelna cisza dała ukojenie jego rodzinie. On sam nie zaznał ukojenia i kiedy wstał, koszmar trwał dalej. Upadł na kolana, zdjął rękawice i przetarł śniegiem dziecięcą twarz siostry.

Niepewny, czy to był tylko sen, zrzucił z siebie kołdrę, zdjął szorstką koszulę nocną, którą dostał od Margaret i Williama, i zauważył siniaki na nogach i sterczące żebra. W miejscu, gdzie powinno być serce, widział zagłębienie. Szybko się ubrał. Zawiesił na ramieniu strzelbę, założył kurtkę i starannie zawiązał na szyi chustkę, pod którą ukrył sterczącą lufę.

W hotelowym holu płonął ogień w piecyku. Jacyś mężczyźni grali przy stole w karty. Kolejny mężczyzna siedział na krześle i czytał książkę. Caleb próbował strząsnąć z siebie koszmory, które oblepiły go jak pajęczyna. Za kontuarem stał Frank, a przed nim leżała rozpostarta gazeta. Caleb zapytał go, gdzie może znaleźć hotel Elm. Frank, nie odrywając wzroku od gazety, przemówił do Caleba tajnym szyfrem ulic i kierunków. Ponieważ Caleb nie ruszył się z miejsca, Frank z namaszczeniem zgiął gazetę na pół, a potem jeszcze raz na pół.

– Jak masz na imię? – Caleb przedstawił się. – Okej, Caleb. – Frank powtórzył to, co mówił wcześniej, tym razem wolniej i gestykując. Caleb zrobił kilka kroków i zatrzymał się, a Frank z westchnieniem uniósł blat, objął Caleba ramieniem i wyprowadził na ulicę. Tam pokazał mu okno salonu fryzjerskiego i budynek poczty i wytłumaczył, w którą ulicę za kościołem powinien skręcić, żeby trafić do karczmy. – Stoi na zboczu góry – dodał.

Caleb podziękował. Niebo przybrało barwę głębokiej wody i Caleb zmartwił się, że matka wróci do hotelu i nie zastanie go w pokoju.

– Może pan powiedzieć mojej... Jorahowi, dokąd poszedłem?

Frank obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

– Co tam masz pod kurtką? – zapytał, wskazując brodą. I gestem nakazał chłopcu zdjąć chustę z szyi. Caleb wydobyl spod ubrania broń, a Frank cofnął się o krok.

– To moja strzelba.

– Dobry Boże! Chłopcze, nie możesz paradować po mieście ze strzelbą za pazuchą. A już na pewno nie możesz pójść do Elm z bronią. – Frank wyciągnął rękę. Ale Caleb przycisnął strzelbę do piersi. – Daj spokój, Caleb, zaopiekuję się nią. – Westchnął głośno. – Jeśli chcesz tam pójść z bronią, to będziesz musiał jej użyć.

Caleb wypuścił z dłoni strzelbę, a Frank, rozglądając się nerwowo, schował ją pod fartuchem.

– Bądź ostrożny – powiedział Frank i zamknął drzwi hotelu, pozostawiając Caleba na ulicy w szybko zapadających ciemnościach.

Caleb szedł w tłumie ludzi, kierując się wskazówkami otrzymanymi od Franka. Próbował przyglądać się twarzom przechodniów, mając nadzieję, że właśnie o tej porze mordercy wychodzą ze swoich domów, ale nie miał aż tak podzielnej uwagi. Musiał uważać, gdzie stąpa, bo konie i powozy rozjeździły ulice, musiał uważać, żeby na kogoś nie wpaść przez nieuwagę, musiał znosić obcy dla jego uszu gwar miasta. Strużka wody zwróciła uwagę Caleba na postać skrywającą się w mroku między zakładem fryzjerskim a sklepem z ubraniami. Mężczyzna właśnie skończył sikać. W zgięciu łokcia trzymał coś błyszczącego, a teraz wsunął to za pasek. A potem podciągnął z wysiłkiem spodnie, co było już wyraźnym dowodem na to, że ma za paskiem broń. Twarz pozostawała w cieniu i Caleb widział tylko zarys sylwetki. Postać zakaszła głośno, aż Caleb skulił ramiona, i ruszyła przed siebie. Caleb opanował w końcu strach, zrezygnował z hotelu Elm i poszedł za mężczyzną, który mijał właśnie kościół. Caleb zachowywał bezpieczną odległość, bojąc się, że mężczyzna w każdej chwili może się obrócić, ale tamten był zbyt pochłonięty utrzymaniem równowagi, żeby zwracać uwagę na idącego za nim chłopca. Szli w odległości pięciu, sześciu metrów, a tymczasem zapadł zmrok. Chłopiec postanowił iść dalej za nieznanym, a przy okazji uświadomił sobie, że podążają zgodnie ze wskazówkami Franka.

Hotel Elm faktycznie stał na zboczu wzgórza, na palach. Budynek wzniesiono z nieheblowanego drewna sosnowego i nawet teraz, w ciemności, widać było, że ściany są pełne drzazg. Z okien sączyło się światło, dobiegał głośny śmiech, krzyki i muzyka. Śledzony mężczyzna wspinał się na chwiejnych nogach po schodach, otarł o kogoś przechylonego przez otaczającą werandę barierkę i wymiotującego na śnieg. Nim Caleb zdążył dotrzeć do frontowych drzwi, obaj mężczyźni znaleźli się już w środku. Bez większego trudu odczytał dwa słowa wypalone na ścianie budynku: ELM INN. Drugiej części napisu nawet nie próbował odcyfrować:

## WOLNE POKOJE.

Główne pomieszczenie tętniło życiem. Mężczyźni grali w karty, tak jak w jego hotelu, ale tu siedziały im na kolanach skąpo ubrane kobiety. Caleb zwrócił również uwagę, że w środku było gorąco, paliło się w dwóch ogromnych kominkach, jednym z lewej, drugim z prawej strony. Przez całą szerokość budynku ciągnął się bar spowity kłębamii dymu z kominków, lamp naftowych, cygar, fajek i papierosów. Rozmieszczone po obu bokach schody prowadziły na piętro, gdzie był korytarz z szeregiem zamkniętych drzwi. Jedne z nich otworzyła jakaś kobieta. Za nią wyszedł sprawiający niechlujne wrażenie mężczyzna. Klepnął ją w zadek, a ona pociągnęła za znajdujący się obok drzwi sznur dzwonka.

– Czym mogę służyć, chłopcze? – Przed Calebem siedział wciśnięty w fotel jakiś mężczyzna. Był wielki jak byk, jego ogromne ciało przelewało się przez poręcze. Na głowie miał kapelusz, który tylko podkreślał rozmiary jego wielkiej czaszki. Na kolanach trzymał metalową skrzynkę. Przed mężczyzną stał zdezelowany stolik. – Pytam, w czym ci pomóc?

– W niczym – odparł Caleb i próbował go wyminąć.

Mężczyzna zerwał się na nogi z zaskakującą prędkością i wbił wyprostowany palec w pierś Caleba.

– Synku, jeśli chcesz choćby zobaczyć, co oferuje Elm, musisz najpierw zapłacić. – Potrząsnął metalową skrzynką, w której zabrzęczały monety.

– Pozwól chłopakowi rzucić okiem, Ethan – rozległ się głos za plecami olbrzyma, który jednym ciosem, Caleb nie miał tu żadnych wątpliwości, mógłby odesłać go z powrotem do Brick & Feather, wybijając nim dziurę w sosnowej ścianie.

Rozczarowany Ethan dał Calebowi kuksańca, który przesunął go o dobry metr i potwierdzał przypuszczenia chłopca dotyczące siły, jaką dysponował wielkolud.

– Nie zawracaj mi głowy – mruknął i splunął do stojącej obok drzwi spluwaczki. Podłoga wokół niej była mokra od śliny.

Głos, który być może ocalił Calebowi życie, należał do tego samego człowieka, który pod miastem zapraszał go do hotelu Elm. Caleb już chciał mu się przypomnieć, ale ze zdumieniem zauważył, że mężczyzna ma nie jedną, ale dwie zdrowe nogi. Szybko odrzucił myśl, że może gdzieś na świecie przyszywają nogi. Ten mężczyzna nie miał też szczeciny na policzkach. Jego twarz była gładka, zupełnie pozbawiona zmarszczek. Nie widać było gołej czaszki, bo rosły na niej włosy, no i jego ubranie nie było pospinane szpilkami. Przeciwnie, było to najelegantsze ubranie, jakie Caleb

kiedykolwiek widział. Pięknie połyskiwało w chybotliwym świetle lamp. To był zupełnie inny człowiek. Który przypadkiem był bardzo podobny do tamtego, którego jego matka przegnała.

– Czyżby przepych Elm Inn odebrał ci mowę, młodzieńcze?

– Że co?

– Dzieciaku, widzę po tobie, że chcesz mi coś powiedzieć.

– Spotkałem kogoś, kto był do pana bardzo podobny – wydusił z siebie Caleb.

– Ach, mój ukochany brat – odparł mężczyzna. I dodał z uśmiechem: – Więc jednak jest tam gdzieś. – Caleb odwzajemnił uśmiech. Podobał mu się sposób, w jaki ten mężczyzna mówił. Wszystkie wypowiedane przez niego słowa brzmiały magicznie, prawie jak muzyka.

– On ma drewnianą nogę – powiedział Caleb, uznając, że to interesująca informacja, szybko jednak zdał sobie sprawę, że przecież brat musi o tym wiedzieć.

Mężczyzna roześmiał się jednak i uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

– Rzeczywiście, ma. – Podciągnął nogawki spodni, pokazując ciemne skarpetki podtrzymywane przez czarne paski z metalowymi klamrami. Pomiedzy paskami a skarpetkami prześwitywała różowa skóra. – A ja, przeciwnie, nie mam. Mój młody przyjacielu, chyba nie odwiedzałeś nas nigdy wcześniej?

Caleb rozejrzał się dookoła zaskoczony, że tak spokojnie sobie rozmawiają, nie zważając na panujący rozgardiasz.

– Nie, nigdy.

– Tak, drogi chłopcze, wiele się tu możesz nauczyć. Lubisz się uczyć? – Caleb skinął głową, a mężczyzna wyciągnął czystą dłoń z wypielęgnowanymi paznokciami i poklepał go po głowie. – Oczywiście, że lubisz. Nauka to klucz, który otwiera przed człowiekiem życie. – Obrócił się na pięcie w sposób, jakiego Caleb nigdy wcześniej nie widział, a który zamierzał poćwiczyć zaraz po powrocie do pokoju hotelowego. Na razie jednak ruszył śladem otoczonego zapachami mężczyzny.

Edward Wallace był mężczyzną potężnej postury. Jego biuro mieściło się w starym wagonie kolejowym. Siedział teraz na ostatnim stopniu schodków wagonowych, wspierając dłonie na lasce. I choć Elspeth i Charles stali, a on siedział, to jego kolana sterczały niczym górskie szczyty. Plecy miał zgarbione od pochylania się nad ludźmi, których chciał wysłuchać i którym chciał coś powiedzieć. Gdyby stał, pomyślała Elspeth, nie dotarłoby do niej ani jedno słowo.

– Trochę mizerny – skomentował Wallace, jakby jej tam nie było. Wyciągnął rękę i dwukrotnie ścisnął jej biceps na próbę. – Ale wydaje się silny. Na pewno nada się do pracy na jeziorze?

– Oczywiście – zapewnił go Charles. Za to ona miała wątpliwości. Dzięki trosce Margaret większość jej ran zabiłniona się i chociaż kiedyś Elspeth usuwała z pola kamienie i pniaki, nie była pewna, jak teraz zniesie ciężły wysiłek. Ale skoro nie mogła pracować jako akuszerka, musiała poszukać innego zajęcia. Poza tym Charles wcale nie był od niej dużo wyższy, miał tylko spory brzuch. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, przygarbiła się i wypchnęła naprzód biodra, żeby jej brzuch wydał się większy.

– Potrzebujemy oczywiście ludzi do pracy. Chłodnia sama się lodem nie zapełni. – Wallace skrzywił się. – Charles, zostaw nas samych na chwilę. – Charles jak zwykle bawił się rondem kapelusza, ale teraz jego palce poruszały się szybciej. Natomiast Elspeth, oszustka udająca mężczyznę, była mokra od potu, spięta i gotowa do ucieczki. Charles podziękował Wallace'owi, założył kapelusz i oddalił się na kilka kroków. Ale kiedy Wallace zamachnął się laską, powlókł się w stronę chłodni.

Wallace pochylił się i znalazł na tyle blisko Elspeth, że mógłby coś poczuć, na przykład zapach fajki.

– Powiedział ci, co to za praca, zgadza się? I z jakimi się wiąże zagrożeniami?

– Jestem tego świadomy. Charles wszystko mi wyjaśnił – powiedziała Elspeth. Wallace nie był przekonany. – Potrzebuję pieniędzy. – Oczekiwał czegoś więcej. – Ufam Charlesowi – dodała.

To go do pewnego stopnia usatysfakcjonowało. Stuknął palcami w poręcz schodków, a kute żelazo zadźwięczało jak kościelny dzwon.

– W takim razie zgoda. Życzę wam obu szczęścia. Charles nie jest złym człowiekiem, ale czasem jest trochę... – Wallace podniósł się i teraz górował nad Elspeth – ...dziwny.

Doleciał do nich zapach palącego się drewna i Elspeth wyobraziła sobie siebie w płomieniach.

Charles czekał oparty o barierkę na rampie chłodni.

– Co ci powiedział?

– Zaczynamy jutro – odparła.

Zaprosił ją na drinka. Kiedy jeszcze rozmawiała z Wallacem, dały się słyszeć męskie głosy. To grupa robotników wracała z jeziora. Rozmawiali głośno i śmiali się, zadowoleni, że skończył się dzień pracy. Elspeth przyjęła zaproszenie i zaraz tego pożałowała.

Wmieszali się w tłum, a Charles tłumaczył Elspeth, jak długimi piłami wycina się bryły lodu i tworzy w lodzie kanał, którym spławia się bryły w stronę lądu. Pokazał jej, gdzie najprawdopodobniej będą pracować – przy brzegu, gdzie lodowe bloki wyciąga się specjalnymi szczypcami i kładzie na taśmociągu, który transportuje je na wozy. I tymi wozami lód jest przewożony do chłodni. Kanał do spławiania wyglądał jak czarny pasek na gładkiej i białej powierzchni skutego lodem jeziora. Odpowiedziała przy okazji na pytania na temat swojej rodziny. A on opowiedział jej o swojej żonie i dzieciach.

Skierowali swoje kroki do obskurnej tawerny, gdzie Charles zamówił dwie whiskey. Elspeth nie miała do takich rzeczy ani głowy, ani żołądka, ale nie zdradziła się, tylko wychyliła szklaneczkę jednym haustem, a potem straszliwie się rozkaszała.

– Syn umarł nam zaraz po narodzinach – zwierzył się Charles po drugiej kolejce. – Owinęła mu się pępowina wokół szyi. Żył jeszcze kilka dni, prawie tydzień. Żona się kompletnie załamała, ja też. Zostawiliśmy mu miejsce przy stole. Zawsze stał tam talerz dla niego. Pozostali chłopcy nawet nie protestowali. – Charles wychylił kolejną szklaneczkę i zatopił się w rozmyślaniach o stole w swojej jadalni.

Elspeth bała się, jak będzie brzmiał jej głos po alkoholu, ale oboje byli już wstawieni i Charles i tak nie usłyszałby w jej głosie niczego szczególnego. Ale alkohol uwolnił jej najgłębiej skrywane myśli i nie potrafiła teraz nad nimi zapanować.

Zawsze wyobrażała sobie tory kolejowe, jakby patrzyła na nie z góry. Przypominały wtedy szwy założone na powierzchni ziemi. Tamtego ranka musiała biec, żeby zdążyć na pociąg. Bagażowy pomógł jej wsiąść do wagonu, kiedy pociąg już ruszał. Szyby lśniły od topniejącego śniegu. W dolinie bezbrzeżna biel zaczęła ustępować plackom pożółkłej trawy.

Jak zwykle, Elspeth nie planowała kradzieży dziecka. Emma miała już dwa lata i potrafiła mówić pełnymi zdaniami, sama biegała po podwórku. Elspeth wyjechała z domu na początku zimy i próbowała znaleźć jakąś inną pracę, ale wszędzie, gdzie się zgłosiła, uznawano ją za nieodpowiednią, niewykształconą i nieprzygotowaną. A ona, idąc chodnikiem, słyszała dochodzący z każdego okna płacz dzieci wzywających ją na pomoc. Nie mogąc tego dłużej znieść, weszła do gabinetu lekarskiego, wokół którego krążyła od kilku dni, i zaoferowała swoje usługi. Niecały dzień później dbała o czyste ręczniki, gotowała wodę, rozkładała błyszczące narzędzia. Wszystko musiało być na swoim miejscu.

A kiedy wracała pociągiem do domu, na północ, dziecko nie ruszało się. Elspeth łaskotała jego stopy, próbowała zmusić, żeby chwyciło ją za palec, sutek, za cokolwiek, ale dziecko nie chciało. Elspeth bardzo potrzebowała Joraha. Wszystkim dzieciom zdarzało się od czasu do czasu zachorować, a wtedy Jorah przywracał im zdrowie ziołami i lekami, które trzymał w słojach, w skrzyni pod łóżkiem. Dziecko siniało, sine plamy powiększały się i łączyły, a żyły pociemniały i wyglądały przerażająco. Elspeth zastanawiała się, czy nie wybiec na korytarz i nie wołać o pomoc, ale nie mogła przecież zostawić dziecka ani ryzykować kłopotliwych pytań.

Zbyt długo czekała. Nim zapadła noc, dziecko przestało oddychać, skóra zbladła i zeszywniała. Elspeth owinęła ciało w chustę, położyła sobie na ramieniu i wyszła na korytarz. Nieruchome dziecko, które tuliła w ramionach, zabrał Bóg, mszcząc się w ten sposób na osobie, która głosiła Jego słowo, ale nie podążała za Jego wskazaniem. Bóg nie zachęcał jej, nie dawał żadnych znaków, bezpośrednich ani domniemyanych, że ma zabrać to dziecko. A teraz pokazał jej, co potrafi zrobić, skoro zlekceważyła Jego wolę.

W korytarzu mijał Elspeth jakiś mężczyzna. A ona przyłożyła palec do ust, prosząc o ciszę, bo dziecko śpi. Mężczyzna skłonił się przepaszająco i schował do najbliższego przedziału, żeby zrobić jej miejsce w przejściu. Doszła do końca wagonu i stanęła na platformie. Lodowaty wiatr targał jej ubranie. Elspeth nie potrafiła spojrzeć na okutane w chustę dziecko. Pociąg mknął i tylko gwiazdy pozostawały nieruchome na niebie. Przewiesiła dziecko przez barierkę. I wypuściła z rąk. Gwiazdy świeciły spokojnie.

Przy barze łzy napłynęły jej do oczu. Pochyliła nisko głowę, żeby Charles ich nie zobaczył. Zdradziłyby ją. Policzki jej płonęły, zupełnie jakby stanęła na stołku barowym i w obecności tych wszystkich mężczyzn wykrzyczała swoje grzechy. Coś w końcu i tak ją zdradzi. Ale kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że Charles płacze. Użalał się nad własnym losem.

– Nie wiem, dlaczego zrobiliśmy to chłopcom – odezwał się w końcu. – Musieli co wieczór patrzeć na ten talerzyk. Może chcieliśmy im pokazać, jakie mamy szczęście, że żyjemy. Trudno cieszyć się tym, co się ma, prawda? – Elspeth nie zdążyła odpowiedzieć na to pytanie. Charles nie dał jej szansy, zamawiając następną kolejkę i ciasto z kurczakiem. Elspeth zaprotestowała, mówiąc, że nie ma dość pieniędzy. – Cała przyjemność po mojej stronie, Jorah – odpowiedział. Ale kiedy powiedziała, że musi wracać do Caleba, bez słowa wstał i nie nalegał więcej, żeby została. – Trudno czuć



się szczęśliwym na tym świecie – rzekł filozoficznie. – Ale dzisiaj jestem szczęśliwy. Klepnął ją w ramię. – Uratowałeś mi życie, Jorah.

Caleb siedział w miękkim fotelu w pełnym roślin pokoju. W kącie stała wanna otoczona ze wszystkich stron lustrami. W wannie leżała naga kobieta, ale mężczyzna, za którym tutaj wszedł, nie zwracał na nią uwagi. Caleb próbował zachowywać się podobnie. Kiedy mężczyzna w eleganckim ubraniu dostrzegł zakłopotanie chłopca, zachichotał.

– Śmiało – powiedział. – Możesz sobie popatrzeć.

Caleb chętnie by to zrobił, ale potrząsnął przecząco głową.

– Człowiek z zasadami – odparł na to z przekąsem mężczyzna. – Wymierający gatunek.

Odbite od powierzchni wody światło rozświetlało pokój i dodawało blasku ścianom i belkom stropowym z gładkiego drewna. Nawet łóżko zdawało się emanować blaskiem. A pościel ciepłem. Mężczyzna usiadł na kanapie naprzeciw Caleba.

– Nazywam się – powiedział, zakładając nogę na nogę – London White.

Z któregoś z pokoiów dotarł do ich uszu charakterystyczny trzask wystrzału, a potem szurania. Caleb wzdrygnął się. White nawet nie drgnął.

– Mój brat i ja urodziliśmy się w tym mieście. A ty skąd jesteś?

– Caleb Howell – przedstawił się i zawstydził, że zrobił to prawie szeptem. – Z farmy.

White wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak mocno, że aż się popłakał. Wytarł łzy wyjętą z kieszeni chusteczką. Uspokoił się trochę, spojrzał na Caleba i znowu ryknął śmiechem. Szuranie w drugim pokoju było coraz głośniejsze. W pokoju aż kurz leciał ze ścian. Caleb żałował, że nie ma przy sobie strzelby.

– Przepraszam. Ale... z farmy. Ciężko tam pracujesz, Caleb?

Caleb skinął głową.

– Nie jesteś specjalnie rozmowny, jak widzę. To dobrze. W takim miejscu milczenie to zaleta.

Z jednej ze ścian spadła rama obrazu i roztrzaskała się o podłogę. White podszedł do drzwi i otworzył je. Nie było go chwilę. Kiedy wrócił, przeczesał włosy srebrnym grzebieniem i uśmiechnął się.

Kilka sekund później rozległ się kolejny strzał. I zapadła cisza.

– Tak... milczenie... – White niespiesznie zajął miejsce na kanapie, poprawił ubranie i swobodnie założył nogę na nogę. Wyjął z kieszeni kamizelki zegarek z dewizką i nakręcił go z afektacją, która od razu wzbudziła zachwyty Caleba. – Co zatem sprowadza cię z farmy w moje

progi?

Caleb był pewien, że trafił do właściwego miejsca. Hotel Elm faktycznie musiał być siedliskiem morderców. Przypomniawszy sobie, co mówił matce Charles Heather.

– Pomyślałem, że zamierza mnie pan zatrudnić...

– A zamierzam?

– Sądzę, że tak. – Caleb, któremu brakowało pewności siebie, starał się zachowywać naturalnie. – Sądzę, że zamierzał mi pan płacić za pracę.

– Nie zamierzałem – odparł White i wyciągnął do Caleba dłoń – ale będę płacił. Zuchwałość jest tutaj w cenie, sam się o tym przekonasz. – Uścisk dłoni White'a był wyjątkowo silny. – Calebie Howellu, witaj w przeświątym Elm Inn.

## Rozdział 3

Tej nocy, pierwszej spędzonej w prawdziwym łóżku od czasu opuszczenia domu Williama i Margaret, Elspeth i Caleba dręczyły koszmary. W koszmarach Caleba pojawiał się podejrzany typ, który zakradał się do jego domu i kradł strzelbę. Czasem ją zabierał, a czasem nie mógł jej dosięgnąć. A czasem miał w ręku tylko jedno z jego piór. Caleb obudził się, ale zasnął ponownie. Także ten sen był niespokojny, Caleb wiercił się i pocił, czując obecność jakiegoś zwierza, którego nie mógł dojrzeć. W końcu strzelił do niego i ruszył przez las tropem krwi. Ale ślad urywał się na Jorahu umierającym na świeżym kopczyku, usypanym na polance po drugiej stronie wzgórza.

– Nie oddali mi strzelby – poskarżył się Caleb, kiedy tylko matka otworzyła oczy. Po powrocie do hotelu Caleb przeszukał wszystkie ich bagaże w poszukiwaniu jakiejś broni. Znalazł nóż myśliwski. Wyjął go z pochwy i schował pod poduszką. – Zostawiłem strzelbę w recepcji, ale kiedy wróciłem, był tam ktoś inny i nie wiedział, gdzie ona jest.

– Pewnie schowali ją w bezpiecznym miejscu – zbagatelizowała sprawę Elspeth.

Chłopak miał podkrążone oczy. Podenerwowany, bawił się guzikami koszuli. W koszmarach Elspeth pojawiały się porzucone na torach kolejowych zawiniątka. A w nich nagie martwe noworodki. Na rozgwieżdżonym niebie nad głową Elspeth płynęła, unosiła się jak na wodzie Gusta van Tessel. Miała sine wargi, a jej włosy i koszula falowały. Dziecko wymachiwało rączkami i nóżkami, wielkimi oczami szukało kogoś, kto je wydobydzie na świat. Z jego otwartych szeroko ust wydobywał się przeraźliwy skrzek.

Próbowała się otrząsnąć z mrocznego snu i skupiła swoją uwagę na Calebie. Siedział na stołku pod oknem, z nierówno przystrzyżonymi przez Margaret włosami, wydawał się taki mały. Kiedy dzieci były naprawdę małe, życie było prostsze. Jeśli płakały albo marudziły, karmiła je i utulała. Kładła je potem do łóżka, a one nie protestowały. Bywało, że budziła się w środku nocy, w domu panowała cisza, a ona podchodziła do łóżeczka i czekała, aż dziecko się poruszy, westchnie, kopnie nóżką. Dopiero wtedy wracała do Joraha. To były dni, kiedy każdy problem znajdował proste rozwiązanie. Ale Caleb, który nie potrafi zasnąć bez broni, to poważniejsza

sprawa. Stopy, na których miał buty zabitego brata, wystukiwały o podłogę pozbawioną rytmu melodię. Buty kupiła, kiedy była w Betherd. Tamten pobyt w Betherd skróciła, wyjechała, zanim urodziło się dziecko, zanim zdążyła zaspokoić swoje zachcianki. Wstała z łóżka tak, jak się położyła, w ubraniu. Śmierdziała, jakby się od tygodnia nie kąpała, ale to przecież dodawało autentyczności jej maskaradzie. Poszła odzyskać broń chłopca.

Caleb nie potrafił myśleć o niczym innym prócz braku strzelby. Słyszając oddalające się kroki, wyjął spod poduszki nóż myśliwski i schował go z powrotem do torby matki, żeby nie zauważyła, że grzebał w jej rzeczach.

Nie było jej może pięć minut. Wręczyła mu strzelbę, odruchowo ważąc ją w rękę, tak jak robiła z noworodkami. Cztery kilogramy. Caleb czule przycisnął broń do piersi, a potem zajrzał do komory, wyjął z tylnej kieszeni szmatkę i złożył ją kilka razy, szukając czystego skrawka materiału.

– Muszę iść do pracy – powiedziała Elspeth. – Jak wyglądam? Jestem dostatecznie brudna, żeby wzięli mnie za mężczyznę? – Caleb oderwał wzrok od strzelby i spojrzał na matkę. Stała się kimś zupełnie innym. Odpowiedział, że owszem. Elspeth zawahała się, nie była pewna, czy to, co powiedziała, było dobrym żartem. W końcu uznała, że nie było, i dała chłopcu spokój. A on zajął się czyszczeniem lufy.

Charles czekał na nią przed hotelem. W rękach trzymał dwa parujące kubki. Dał jej jeden i Elspeth upiła łyk mocnej czarnej kawy.

– Jak się miewa twój chłopak? – zapytał.

– Dobrze – odpowiedziała, choć martwiła się o niego.

Było już późno, po niebie przetaczały się ciemne chmury. Zanosiło się na śnieżycę i Elspeth szczerze opatuliła się płaszczem.

– Przywykniesz do zimna, Jorah – odezwał się Charlie – ale musimy ci załatwić jakieś grubsze rękawice. Te nie wytrzymają nawet jednego dnia. – Wyciągnął z kieszeni dzinsów parę rękawic i wcisnął jej do ręki. – Zawsze noszę zapasowe. Po pracy zaprowadzę cię do sklepu.

Elspeth podziękowała mu ochryłym z powodu zimna głosem. Dalszą rozmowę zastąpiły obłoczki pary wydobywające się z ich ust i odgłos skrzypiącego pod butami śniegu. Na ulicach nie było żywej duszy, jeśli nie liczyć pojedynczych mężczyzn zmierzających w tym samym co oni kierunku.

Od chłodni do kanału, którym miały być spławiane lodowe bloki, prowadził rząd latarni. Elspeth czuła niemiły ucisk w żołądku na widok gigantycznych bloków lodu wielkości dorosłego człowieka. Nie była pewna, czy podoła. Być może szybko wyda się, że jest oszustką. Może zostanie wówczas zwolniona z pracy. A może Charles znów źle zablokuje szczytce

i bryła lodu spadnie jej na plecy, a wtedy ostatnią rzeczą, jaką usłyszy, będzie suchy trzask.

Światła latarni odbijały się od śniegu, tworząc złocistą poświatę. Konie rżały i stukały kopytami o zamarznąłą ziemię, gdy potrząsały łbami, dzwoniła uprząż. Elspeth i Charles stanęli w długiej kolejce mężczyzn. Żaden z nich nie odezwał się do Charlesa ani nie przywitał się z nim tak jak z pozostałymi, wymieniając kilka słów albo przynajmniej pochrząkując przyjaźnie. Elspeth poprawiła sznurowadła i włożyła rękawice. Te proste gesty w jakiś niewytłumaczalny sposób rozwiały jej obawy. Na końcu kolejki stanął Edward Wallace. Wsparty o laskę grubszą od ramienia Elspeth, choć przygarbiony, górował nad całą resztą. W ręku trzymał księgę. Kiedy Elspeth i Charles podeszli do niego, zajrzał do księgi. Dał im nakładki z kolcami na buty.

– Van Tessel i Heather, do żurawia.

Stanęli na brzegu jeziora pod olbrzymim słupem, który wyrastał z ziemi jak pień drzewa. Na wysokości pięciu metrów była do niego dołączona prostopadła belka, z jej jednego końca zwisały olbrzymie metalowe szczypcy. Na drugim był metalowy uchwyt w kształcie krzyża.

Frank nie zdążył się jeszcze otrząsnąć z zimna, które go na wskroś przeniknęło, kiedy Caleb zaatakował:

– Jak niby miałem odebrać swoją broń?

Frank powiesił płaszcz.

– Dzień dobry, Caleb. Jak ci się podoba pokój?

Caleb zignorował go i powtórzył pytanie.

– Wybacz, synu, musiałem zapomnieć, by powiedzieć Wilkesowi, czyja to broń – odparł. Stanął za kontuarem i porządkował rzeczy, które Wilkes porzekał podczas swojej nocnej zmiany. – Ale Bóg mi świadkiem, nie przyszło mi do głowy, że tak ci się spodoba w Elm Inn. Myślałem, że raczej szybko wrócisz.

Caleb przyjął jego tłumaczenia i oddał Frankowi pusty talerz.

– Jajecznicza była dobra – powiedział i poszukał w kieszeni drobnych.

Wcześniej wysypał wszystkie pieniądze na łóżko i posegregował je według rozmiarów, zapamiętując przy okazji nominały. Chciał wiedzieć, która jest najwięcej warta, co może za każdą z nich kupić. Teraz, kiedy stał przed Frankiem, monety brzęczały mu w kieszeni. – Wie pan, gdzie mogę kupić pistolet?

Frank nalał na ścierkę trochę oliwy i zaczął przecierać blat.

– Pistolet? Caleb, nie znamy się zbyt długo, ale powiem ci, że jestem

dobrym chrześcijaninem i nie wiem, czy powinienem się zadawać z kimś, kto nosi pistolet, a noce spędza w Elm Inn.

Caleb wiedział, po co się kupuje pistolet, ale przecież przypatrywał się sobie w lustrze od chwili, kiedy matka wyszła do pracy aż do śniadania, i wcale nie wyglądał jak tamci trzej z czerwonymi chustami ani jak mężczyźni z hotelu Elm, nie wyglądał jak morderca. Był jak zwyczajny chłopiec. I wcale nie wyglądał groźnie.

– Taki ktoś, o kim teraz mówię, to człowiek, który szuka kłopotów. I zwykle kłopoty go spotykają. – Frank podwinął rękawy i zapamiętałe czyścił jakieś szczególnie zabrudzone miejsce na blacie. – Dlatego, Caleb, przykro mi to mówić, ale ty i ja chyba się nie zaprzyjaźnimy. – Mówiąc to, zwinął szmatkę w kulkę, cisnął ją pod blat i poszedł do kuchni.

Elspeth i Charles zacisnęli szczypce na lodowym bloku. Woda pod ich kolczastymi butami chlupotała jak płynna stal. Zabezpieczyli zębiska szczypiec, podeszli do metalowego krzyża i pociągnęli. Metal był owinięty skórą, która miejscami zupełnie się poprzecierała. Machina jęknęła, bryła lodu uniosła się w górę, a kapiąca z niej woda zamarzała, zanim doleciała do ubitego śniegu.

– Jorah – zawołał Charles, kiedy zaczęli opuszczać kołyszącą się bryłę na sanie – czy w domu czeka na ciebie żona?

Elspeth napięła z wysiłku wszystkie mięśnie. Metalową przeciwwagę można było poruszać w przód i w tył. Popchnęła mocniej. Poczowała szarpnięcie w ledwo zabliźnionych ranach. Bandaże ograniczały ruchy. Z jej gardła wyrwał się jęk.

– Przepraszam – powiedział Charles. – Nie chciałem być wścibski. Może kiedy indziej o tym porozmawiamy.

Myśl, że miałyby komukolwiek wyjawiać swoje tajemnice, przyprawiała ją o mdłości. Codziennie bała się, że jej mroczne sekrety wyjdą na jaw. Nauczyła się żyć w ciągłym napięciu i gdyby pozbawić ją owych straszliwych sekretów, poczułaby się tak, jak gdyby ktoś spuścił z niej powietrze.

Wreszcie umieścili lód na saniach. Mięśnie Elspeth zapamiętały wysiłek, jakiemu zostały poddane, i unosiły automatycznie jej ramiona w górę. Ruszyli z powrotem na brzeg, ciągnąc za sobą pojękującą maszynę.

– Zapytałem – odezwał się Charles – bo chciałem, żeby mi było lżej na sercu. Moja żona, moja droga żona, ostatnio sprawia mi kłopot. – I tu wymienił całą listę zarzutów: że go nie rozumie, że gardzi jego pracą, że chce wieść wygodniejsze życie. A zrobił to tak szczegółowo, że Elspeth

w pewnej chwili przestała go słuchać, a jego głos zmieszał się z metalicznym brzękiem szczypiec, skrzypieniem żurawia i odgłosem ich kroków na ubitym śniegu.

Caleb niezbyt sumiennie przykładał się do sprzątanía, ponieważ całą uwagę skupiał na obserwowaniu każdego nowego mężczyzny pojawiającego się w drzwiach Elm Inn. London White kilka razy przemykał obok niego, zatrzymywał się i wskazywał palcem plamki brudu lub kurz w jakimś kącie. W końcu chwycił Caleba w pasie i podprowadził do kupki popiołu z cygara.

– Gdzie ty masz oczy, Caleb? – warknął, wymachując chłopakowi rękami przed nosem.

Przez większą część poranka Caleb zastanawiał się: pójść czy nie pójść do Elm Inn, rozpocząć tam pracę czy nie. Ale za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: nie było drugiego takiego miejsca, gdzie mógłby z ukrycia obserwować tyłu morderców. Frank nie odezwał się słowem, kiedy Caleb mijał recepcję, natomiast London White na jego widok wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i ostentacyjnie spojrział na cyferblat, by dać Calebowi do zrozumienia, co myśli o spóźnianiu się do pracy.

Caleb pracował na piętrze, udając, że zamiata korytarz z rzędem pokojów ze złoconymi cyframi na drzwiach. Rano dźwięk dzwonek rozlegał się nieregularnie i w niczym nie przypominał wieczornego symfonicznego zgiełku. Z pokojów dochodziły stłumione jęki i rytmiczny stukot, a Caleb udawał, że ich nie słyszy. Zdawał sobie sprawę z tego, co dzieje się pomiędzy jednym a drugim dzwonkiem, ale kiedy zaczynał o tym myśleć, oczy zachodziły mu mgłą, wołał więc wyobrażać sobie morderców. Kiedy klienci wychodzili z pokoju, jedni rozgorączkowani i w pośpiechu, inni senni i niespieszni, jak po zjedzeniu dobrego posiłku, Caleb pochylał się nad swoją miotłą i udawał, że szuka brudu na podłodze, ale w rzeczywistości obserwował mężczyzn, przyglądał się ich ruchom i włosom, porównywał ich do zapamiętanych sylwetek morderców.

Najlepszy widok na cały hotel był z przejścia, więc Caleb zamiatał je niemal bez przerwy. W głównej sali stało pół tuzina stolików karcianych. W tle prowadzonych rozmów słyszeć było nieustanny brzęk rzucanych na nie monet. Od czasu do czasu wybuchała jakaś awantura. Było jeszcze wcześniej, przez okna wpadało do środka mizerne zimowe słońce, a White powiedział, że nie ma się co bać strzelaniny, póki alkohol nie uderzy ludziom do głów. Caleb nie bardzo wiedział, co te słowa miały znaczyć. Pomiedzy stolikami kręciły się kobiety, ale Caleb starał się unikać patrzenia

na źle leżące na nich i ledwie zasłaniające ich ciała stroje. Te kobiety wyglądały inaczej niż jego matka i siostry. Były krągłejsze i miały więcej ciała. Przynosiły mężczyznom drinki, bawiły się ich włosami, siadały im na kolanach i szeptały do ucha. Zakłopotanie, jakie odczuwał Caleb, sprawiało, że tym chętniej skupiał uwagę na mężczyznach, którzy patrzyli na siebie nieufnie. Wielu przypominało mu szopa, którego zabił widłami w stajni; mieli dzikie spojrzenia i nerwowe tiki. Mieli też broń i skrywali przed światem swoje twarze. Caleb był przekonany, że rozpozna zabójców, jeśli tylko się pojawią, że poczuje dreszcz, jakby wpadł do lodowatej wody. Ale na razie żaden z gości Elm Inn nie wywołał u niego takiego dreszczu. Za to byli tacy, którzy wzbudzili w nim lęk. Jeden z klientów, nie wiedząc czemu bardzo niezadowolony po wyjściu z pokoju na piętrze, rzucił na niego okiem, kiedy stał na podeście. Był to pierwszy raz, kiedy ktoś inny niż White czy Ethan zwrócił na niego uwagę. Caleb czmychnął w przeciwnym kierunku, ciągnąc za sobą miotłę. Mężczyzna stawiał jednak dłuższe kroki, dogonił chłopca i dał mu takiego kuksańca łokciem w plecy, że miotła przeleciała przez barierkę i spadła na grupkę stałych bywalców stojących przy barze.

– Pilnuj własnego nosa, chłopcze – poradził mu nieznajomy i zszedł po schodach.

Caleb usłyszał wściekły wrzask i przywarł plecami do ściany, żeby nie było go widać z dołu. Po schodach wszedł na piętro London White z miotłą w rękę. Bawił się nią, przerzucając z jednej ręki do drugiej. Caleb przyklęknął i zgarnął dłonią garść kurzu. Nie wiedział, co z nim począć, i wsypał sobie do kieszeni.

– Kiedy byłem w twoim wieku – zaczął London White, który chyba nie zauważył, jakie metody sprzątnięcia stosuje Caleb – byłem jak mój brat. Mieszkałem w lesie, pędziłem bimber, który potem sprzedawałem spragnionym podróżnym, jadłem to, co udało mi się złapać: opsy, zające, wiewiórki. – Skrzywił się. – Pewnego razu sprzedałem słów naszego najlepszego samogonu jakiemuś mężczyźnie w eleganckim ubraniu. Jechał na najpiękniejszym koniu, jakiego w życiu widziałem. Miał piękny strój. Baliśmy się takich ludzi jak on. Czasem dawaliśmy im naszą księżycówkę za darmo. – Zacisnął pięść na kiju miotły. – Wyobraź sobie, ci, których było stać na kupno, dostawali nasze produkty za darmo tylko dlatego, że się ich baliśmy. Nie podobało mi się to. Bardzo mi się nie podobało. Pojechałem za nim. Mieszkał we wspaniałym domu, z oknami i sufitami wysokimi jak w kościele, ścianami i podłogami jak w najpiękniejszym pałacu. Miał



piękną żonę, z rudymi włosami do ramion, skórą białą jak śnieg. I wiesz, co zrobiłem?

Caleb potrząsnął głową. Czuł, jak brud wysypuje się przez dziurę w kieszeni i spadając, łaskocze go w nogę. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Zakradłem się w nocy do ich sypialni i poderżnąłem im gardła – powiedział White.

Caleb powstrzymał narastającą w nim chęć ucieczki. Musiał zostać. Fakt, że stał w towarzystwie mordercy, dla którego pracował, nie szokował go; potwierdzał jedynie przypuszczenia, że znalazł się we właściwym miejscu. Dziwił go tylko wygląd White'a. Zerknął na niego, na zarys jego szczęki, dumnie podniesioną głowę, wyprostowaną sylwetkę, i był pewien, że to nie jego widział przez dziurę w ścianie. White był jednym z nich, ale z zupełnie innej gliny.

– Czy postąpiłem właściwie? – White oparł się o balustradę. – Większość powiedziała by, że nie. Ale kiedy mieszkałem w ich domu i jadłem ich jedzenie, przestałem się bać. Robimy to, co musimy zrobić, i wtedy możemy się nie bać. – Caleb obserwował White'a: starannie złożona chusteczka, zwisająca dewizka w kształcie półkola, błyszczące, starannie wypastowane buty, uczesane włosy. – Ty, Caleb, chyba coś o tym wiesz. – Roześmiał się. – Jeden krok już zrobiłeś. Czułem to, kiedy spytałeś... nie, kiedy powiedziałeś, że mam cię zatrudnić. – Zerknął na Caleba i w kąciku jego ust zaczął błąkać się uśmiech. – Ty się nie boisz, prawda?

Caleb wiedział, że musi nauczyć się kłamać.

– Nie. Nie boję się. – I postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji. – Muszę się czegoś dowiedzieć.

– Zuch chłopak. – White poklepał go po ramieniu.

– Muszę kupić pistolet.

White poprawił Calebowi kołnierzyk i zapiął guzik koszuli.

– Przede wszystkim potrzebujesz nowego ubrania. Coś ci przyniosę. – Polizał dłoń i wygładził włosy Caleba. – Koszulę, spodnie i nową kurtkę.

– Nie potrzebuję nowej kurtki – zaprotestował stanowczo Caleb.

White zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– Okej, Caleb. – Strząsnął z koszuli jakiś włos. – Pistolet? Po co?

White odwrócił się w stronę frontowych drzwi. W progu stał krępy mężczyzna, uśmiechnięty i z nosem, który nawet z pierwszego piętra wyglądał na skrzywiony. Musiał zostać wielokrotnie złamany. White znów polizał dłoń, ale tym razem przygładził własne włosy, a potem obciągnął

kamizelkę.

– Owen Trachte we własnej osobie – wykrzyknął White tak głośno, żeby gość go usłyszał. – Potem wytrzyj barierki – zwrócił się Caleba i zszedł po schodach. Owen wydał się Calebowi zupełnie nowym rodzajem człowieka. Nigdy kogoś takiego nie spotkał. Był inny, różnił się nawet od Londona White'a. Nie budził takiego zaufania jak White, nie emanował milczącą siłą jak jego ojciec, nie był tak otwarty jak Frank z hotelu Brick & Feather. Owen miał w sobie coś innego, nieskrywaną wściekłość, która – jak Caleb podejrzewał – czasem pojawiała się również na jego własnej twarzy.

## Rozdział 4

Elspeth siedziała obok Charlesa i popijała piwo z kufła. Dłonie miała obtarte, pokryte strupami wielkości monety. Nie miała ochoty wracać do hotelu, do tego smutnego chłopca siedzącego na stołku ze strzelbą na kolanach, czekającego, aż pod oknem pojawi się grupka morderców. Dlatego siedziała teraz na tym samym stołku, w tym samym barze co poprzedniego wieczoru i słuchała opowieści Charlesa o jego życiu. Powiedział jej, że przyjechał do tej części stanu Nowy Jork z Massachusetts, gdzie jego rodzina mieszkała od pokoleń i od pokoleń zajmowała się rybołówstwem i wielorybnictwem. Opowiedział jej o oceanie, o tym, jak będąc chłopcem, wypływał łodzią tak daleko, że nie było już widać nic. Tylko przestwór oceanu. O tym, że kiedy ocean jest spokojny, widać krzywiznę ziemi. A on bał się, bał się, że się ześlizgnie. Ojciec powiedział mu, że w jego żyłach płynie mało krwi Heatherów i powinien szukać szczęścia na lądzie. Dlatego w końcu wyjechał z Massachusetts, uciekł od nieustannego plusku wody.

Podobnie jak Elspeth przemierzył cały stan Nowy Jork, widział chyba wszystko, co można w nim zobaczyć: góry, rwące rzeki na północy, rozległe równiny pomiędzy nimi. Ale dopiero na brzegu jeziora poczuł się jak w domu. Fale wzbudzone przez wiatr były dla niego wystarczająco wysokie. Był na środku jeziora Erie, wskoczył do szarej wody i wcale się nie bał. Nie przeszkadzały mu stale wiszące nad miastem chmury ani to, że w każdej chwili mógł z nich spaść śnieg.

– Uznałem, że to jest dobre miejsce do ukrycia się – wyznał i pogładził swoją rudą brodę. Na wąsach miał piwną pianę. Uśmiechnął się do Elspeth.  
– Dobrze jest pogadać.

– Wcześniej nie miałeś okazji? – zapytała Elspeth. – Z tamtym człowiekiem, który został ranny?

Charles długo wpatrywał się w swój kufel piwa. Elspeth zamierzała już powtórzyć pytanie, ale w końcu odezwał się:

– Nigdy nie przyjaźniłem się z Benem.

Elspeth przyszło do głowy, że być może tamten wypadek był gorszy, niż podejrzewała. Wypity alkohol działał, nie byli już tak czujni i ostrożni.

– Muszę cię przeprosić – odezwał się Charles. – Okłamałem cię. – Spojrzał na sufit. – Kiedy mówiłem o kartkach z Biblii. Matka nie oblepiała

nimi szyb w oknie mojej sypialni. – Powiódł palcem po brzegu kufła. – Naklejała je w wychodku. Latem było tam strasznie duszno.

Wyznanie wywołało u niej atak śmiechu. Z wielkim wysiłkiem Elspeth udało się odrobinę pohamować, ale tylko odrobinę. Charles też zaczął się śmiać.

– Powiedziałaś o tym Benowi? – zapytała przekonana, że to będzie dobry dalszy ciąg żartów, ale Charles raptownie spoważniał. Sięgnął po kufel i długo pił. Jego jabłko Adama poruszało się rytmicznie w górę i w dół.

– A twoja żona? Jak się poznaliście?

Teraz Elspeth przyłożyła kufel do ust.

– To długa historia. – Prawda drapała ją w gardle jak trzepoczący skrzydłami motyl. Musiała wyjść, zanim ten motyl się wyswobodzi. Sięgnęła po płaszcz. – Innym razem.

Charles prosił, żeby została.

– A co z rękawicami? Mieliśmy kupić ci rękawice.

– Sklep jest otwarty o tej porze? – zdziwiła się. W szybie widziała odbicie ich sylwetek pochylonych nad barem. Za oknem panowała nieprzenikniona ciemność.

Charles dopiero teraz zdał sobie sprawę z upływu czasu.

– Możesz używać moich – powiedział. – Jestem ci to winny. – Dopił resztkę piwa, pozostawiając na dnie kufła pianę. Przywołał barmana, który zjawił się błyskawicznie i postawił przed nim następny kufel ociekający pianą. – Być ojcem to wspaniała rzecz, prawda? – Ton jego głosu zmienił się, był teraz twardszy, surowszy. – Masz fajnego chłopaka. Jest przystojny i grzeczny, zupełnie tak jak ty. Dobry chłopak. – Zakręcił monetą na kontuarze. – A ty z żoną dobrze go wychowaliście.

Elspeth pomyślała o Jorahu, który poświęcił niezliczone godziny na czytanie dzieciom i uczenie ich świata. Sam ćwiczył czytanie w izbie. Słyszała szelest przewracanych kartek i sylabizowane wersety z Biblii. Caleba nie było w tych wspomnieniach. Caleb mieszkał na strychu, zewsząd otoczony sianem.

– Powinieneś wracać do żony i dzieci, a ja do swojego syna – stwierdziła Elspeth i podniosła się niepewnie ze stołka. Kiedy wychodziła, usłyszała, jak Charles odstawia z głośnym trzaskiem kufel i zamawia następny.

Caleb w pośpiechu wracał do hotelu Brick & Feather. Miał nadzieję, że dotrze tam przed matką. Kręciło mu się w głowie od niewyspania. Zdyszany, przysiadł na murku, żeby odpocząć, i wtedy zauważył po drugiej stronie ulicy Franka. Perspektywa przebiegnięcia przez pełną ludzi, koni

i powozów ulicę przeraziła go, ale zebrał się w końcu na odwagę i przemknął pomiędzy dwoma powozami, z których jeden wiozł jakąś parę, a drugi był wyładowany drewnem.

– Witam, panie Frank – zawołał Caleb, dogoniwszy mężczyznę.

Frank uchylił kapelusza z pochmurną miną, ale nie odpowiedział słowem. Zatrzymał się przed zakładem fryzjerskim. Przywiązany do żerdzi koń zarżał głośno. Caleb pogłaskał go po grzywie, a koń trącił go pyskiem w obojczyk. Chłopiec ciekaw był, co zrobiły jego zwierzęta, kiedy skończyła się pasza, a drzwi zostały otwarte.

– Przepraszam – zwrócił się do Franka.

– Nie musisz mnie za nic przeproszać.

Koń uszczypnął lekko Caleba w ucho i chłopak aż przykucnął.

– Chodzi o to, że źle pan to wszystko zrozumiał.

– Czyżby?

– Dorastałem na farmie. Byłem tam tylko ja i moja rodzina. Jakiś człowiek pod miastem powiedział mi, żebym poszedł do Elm Inn, więc pomyślałem sobie, że pójdę.

Frank rozejrzał się, jakby obawiał się, że zostanie zauważony w towarzystwie chłopca.

– To straszne – wyznał zupełnie szczerze Caleb. – Przerazające. – Następnie użył zwrotu, który jego ojciec rezerwował na określenie najgorszych uczynków chłopców, na przykład kiedy Jesse w trakcie bójki z Amosem połamał należący do dziewcząt domek dla lalek albo kiedy Amos namówił Caleba do wyskoczenia z okienka na strychu, a za jedyne zabezpieczenie służyła poduszka zabrana z sypialni Elspeth i Joraha. Ale najlepiej te słowa Caleb zapamiętał, kiedy pewnego wieczoru Jorah opowiadał dziewczynkom historię o wieży Babel, a one powiedziały mu, że ta historia wiąże się z Calebem. Zwykle takie uwagi cieszyły Joraha, który chwalił dziewczęta za to, że potrafią odnieść Biblię do swojego życia. Ale tym razem Jorah milczał. A one zapytały, dlaczego nie potrafią zrozumieć Caleba, a i on zdaje się ich nie rozumieć. Ojciec odpowiedział, że gdyby nie ich uczynki, może Caleb byłby teraz z nimi. I dodał:

– Niech Bóg wspomóż niewiernych. – A Caleb, słysząc te słowa, skulił się jeszcze bardziej pod oknem salonu.

Frank zdjął Calebowi kapelusz z głowy i roześmiał się.

– Nie możesz chodzić z czymś takim na głowie. – I zaciągnął Caleba do fryzjera.

Kiedy przekraczali próg, zadzwonił dzwonek. Pośrodku pomieszczenia

obok piecyka stał podniszczony skórzany fotel, w którym jakiś szczupły mężczyzna spał z książką rozłożoną na kolanach. Miał podwinięte wysoko rękawy koszuli, spodnie w czerwone paski i czarne szelki. Lekko pochrapywał. Caleb domyślił się: ciepło i kojący zapach unoszący się w pomieszczeniu sprawiały, że i jemu zaczęły ciążyć powieki.

– Teddy. – Frank potrząsnął lekko ramieniem mężczyzny. Fryzjer otworzył oczy. Polizał palec i zagiął kartkę w książce. – Znajdziesz czas dla nas dwóch? – zapytał Frank i Teddy dopiero teraz zauważył Caleba.

– Kogo my tu mamy? – zapytał Teddy i przeciągnął się. Ziewając, przetarł fotel ścierką, a w tym czasie Frank przedstawił Caleba. Teddy wziął do ręki brzytwę i naostrzył ją o pasek, a potem zapytał Franka, jak się miewa jego żona.

– Zrobiła się strasznie wielka – odparł Frank. – Ale czuje się dobrze. Przesyła ci pozdrowienia.

– To będzie chłopak, Frank, ja to wiem – stwierdził Teddy – a jeszcze nigdy się nie pomyliłem. Prawda? – Wycelował nożyczki w Caleba i Caleb pokręcił przecząco głową. – Widzisz, nawet ten chłopak to wie.

– Moja żona jest w ciąży – wyjaśnił Frank i uprzedził pytanie Caleba. – Będziemy mieli dziecko. – A potem zwrócił się do Teddy’ego: – Ostrzyż najpierw chłopca, jeśli możesz.

– Oczywiście. Zawsze zacinam brzytwą ostatniego klienta.

– I ja zawsze jestem tym ostatnim. – Roześmiali się. Calebowi spodobała się ich wymiana zdań i uśmiechnął się. Frank wyciągnął ręce i grzał sobie dłonie nad piecykiem.

Caleb wskoczył na fotel, fryzjer owinął mu wokół szyi białe płótno i po bliższym przyjrzeniu się fryzurze chłopca, zapytał:

– Kto ci to zrobił?

– Pewna miła starsza pani – odpowiedział Caleb – którą spotkaliśmy z ojcem po drodze.

– Może i była miła – zauważył z przekąsem Teddy – ale chyba niedowidziała.

Wylał na głowę Caleba sporą ilość olejku, przeciągnął powoli po włosach dwukrotnie grzebieniem i wziął się do pracy. Włosy spadały na kolana Caleba. Zawsze musiał czekać w kolejce z braćmi i siostrami, kiedy jego ojciec, zwykle w deszczowy dzień, brał się za strzyżenie. Czasem opowiadał im o Samsonie, a czasem recytował psalmy: „Otoczyły mnie bowiem nieszczęścia, których nie ma liczby, winy moje mnie ogarnęły, a gdybym mógł je widzieć, byłyby liczniejsze niż włosy na mej głowie, więc

we mnie serce ustaje”<sup>8</sup>, albo: „Liczniejsi są od włosów mej głowy nienawidzący mnie bez powodu; silni są moi wrogowie, nieprzyjaciele zakłamani; czyż mam oddać to, czegom nie porwał?”<sup>9</sup>, i tłumaczył dzieciom z uśmiechem, że obcinając im włosy, odpędza ich wrogów i wszelkie niegodziwości. To był jeden z nielicznych żartów, na jakie ojciec sobie pozwalał.

Tamtej nocy, kiedy Jorah zabił człowieka, słysząc kroki Caleba, zamarł bez ruchu w wysokiej trawie. Caleb widział obłoczek pary wydobywający się z ust ojca, srebrzący się w świetle księżyca. Deszcz zmył krew z trawy, ale nie zatarł w pamięci Caleba tego, czego był wtedy świadkiem. Dwa dni później, kiedy tamten człowiek leżał już pogrzebany w ziemi, rozgorączkowany Caleb włóczył się po podwórku, w końcu wszedł do domu, żeby zjeść posiłek i zobaczył ojca ostrzącego nóż. Zamarł. Podejrzewał, że ojciec wie, iż był tam wtedy, w lesie.

– Powiniennem ci dzisiaj obciąć włosy, Caleb? – zapytał ojciec, pocierając ostrzem o osełkę. Ojciec zadawał pytania w taki sposób, że nie wymagały one odpowiedzi, ale kiedy Caleb powiedział nie, bojąc się oddać w jego ręce, Jorah wrócił do ostrzenia noża. Wieczorem bał się, jak zareaguje ojciec podczas głoszenia swojego kazania. Caleb jak zawsze udał, że się spóźnił, odczekał, aż modlitwa się zakończy, i dopiero wtedy wszedł do kuchni. Ojciec obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Chwilę później jednak złagodniał, jakby zrozumiał, co przeżywał Caleb. Mimo to chłopca nie opuszczał strach.

– Wszystko w porządku, synu? – zapytał Teddy. – Cały drzysz. – I zapytał szeptem Franka: – Czy on dzisiaj jadł?

Nie jadł nic od śniadania. Pieniądze Elspeth nie wystarczyły na długo. I kiedy tak siedział w ciepłym, pełnym miłych zapachów zakładzie fryzjerskim, kiedy słyszał jednostajny odgłos szczękających nożyczek i czuł rękę fryzjera na swojej czaszce, poczuł się błogo. I ostatnią myślą, jaka mu przemknęła przez głowę, nim zsunął się z fotela na pokrytą dywanem włosów podłogę, było wspomnienie ojca.

Elspeth niosła Calebowi na przeprosiny torebkę cukierków lukrecjowych. Łóżka były posłane, pokój wyziębiony; chłopca nie było od wielu godzin. Mężczyzna w recepcji, Wilkes, ten sam, który schował strzelbę Caleba, powiedział, że nie widział chłopca przez cały dzień. I dodał szeptem:

– Przypuszczam, że może być w Elm Inn.

– Co pan powiedział?

– Nic – odrzekł i uśmiechnął się znacząco, ale kiedy zobaczył minę Elspeth, przestało mu się to wydawać zabawne. – Frank mówił mi, że pański syn pytał, jak trafić do Elm Inn. To było wtedy, kiedy Frank odebrał mu broń. Myślałem, że pan wie. – Wilkes zakaszłał. – Elm Inn, proszę pana, to dom... to miejsce, gdzie mężczyźni spotykają się z kobietami.

Powiedział jej, jak tam trafić, nawet nie zdążyła go o to poprosić.

Najwidoczniej Caleb musiał posłuchać tamtego człowieka z cuchnącym oddechem i drewnianą nogą. Pobiegła, choć po całym dniu pracy była obolała. Ból spowalniał jej ruchy, ale nie był w stanie zatrzymać. Pokonując po dwa stopnie, wbiegła po schodach, minęła wypalony w drewnie napis, który upewnił ją, że dobrze trafiła i otworzyła drzwi.

Odźwierny, potężnie zbudowany mężczyzna, który ledwie mieścił się w fotelu, poklepał od niechcienia dłonią metalową kasetkę na pieniądze. Musiała minąć dłuższa chwila, nim jej wzrok przyzwyczał się do przyćmionego oświetlenia i kłębów nikotynowego dymu. Pierwsze, co zobaczyła, to sylwetka Owena Trachtego. Poznała go od razu. Był niskiej postury i miał kanciaste ramiona, jak jego ojciec. Na myśl o Phillipie Trachcie, dwanaście lat temu jedynym lekarzu w mieście Watersbridge, Elspeth straciła dech w piersiach, zupełnie jakby kopnął ją muł. Nie miała teraz czasu, żeby martwić się, czy zostanie rozpoznana, ale zrozumiała, że przeszłość dopadła ją wreszcie i przypomniawszy o popełnionych przez nią grzechach. Zakręciło jej się w głowie, pokój zawirował, widziała jak przez mgłę.

– Pomóc ci w czymś, koleś? – zapytał Ethan, widząc, jak nagle poblądła na twarzy.

– Nie. – Osunęła się na jedno ze stojących przy wejściu tapicerowanych krzeseł. Poluzowała chustę na szyi i zerwała z głowy kapelusz.

Odźwierny spoglądał na nią z ukosa.

– To nie miejsce na odpoczynek – rzucił.

Elspeth coraz trudniej przychodziło oddychać, przerażonym wzrokiem zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu, szukając ratunku.

– Hej, hej – zawołał odźwierny. Zniknął z jej pola widzenia, ale po chwili pojawił się znowu z dwiema szklankami w ręku. W jednej była whiskey, a w drugiej mętna woda. Opróżniła obie, chwytając z trudem powietrze. Odźwierny powiedział, ile jest mu winna za whiskey, i zapytał:

– Ducha zobaczyłeś czy co?

Elspeth nie powiedziała mu, że niewiele się pomylił. Bo choć codziennie przeżywała na nowo swoje grzechy, to wspomnienia powoli się zacierały



w pamięci, tak jak zaciera się treść dawno przeczytanej książki. To Phillip Trachte położył jej na rękach Caleba. Owena przy tym nie było, choć zwykle towarzyszył ojcu. Matka Owena zmarła, kiedy chłopiec był mały i od tej pory zachowywał się bardzo niespokojnie. Jego postać zawsze budziła strach. Kiedy, rzadko co prawda, nie pozwalano mu pójść dokądś z ojcem, dostawał szału, tłukł szklanki i talerze albo kradł ojcu z kieszeni różne rzeczy. Elspeth nie pamiętała, skąd to wie; na pewno sama nie była świadkiem takiego zachowania. Prawdopodobnie powiedział jej o tym Phillip. Teraz Owen śmiał się głośno, pokazując szparę między zębami, efekt udawanego pojedynku dzieci, kiedy to jeden z kolegów wybił mu ząb pogrzebaczem. Elspeth była wtedy w gabinecie i czyściła narzędzia. Z sąsiedniego pokoju dobiegały ryki walecznego Owena, odgłosy walki, a w końcu rozpaczliwy krzyk chłopca.

Zrozumiała teraz, dlaczego Caleb przychodził do Elm Inn. Owen Trachte musiał wyrosnąć na człowieka blisko związanego ze złodziejami i mordercami, a przecież tego rodzaju ludzi Caleb chciał znaleźć. Słyszała teraz śmiech Owena, tak donośny, że nie był go w stanie zagłuszyć dźwięk dzwonów, odgłos tasowania kart, zapalania zapalek, brzęczenia szklanek i kieliszków oraz męskich okrzyków. Nie zmienił się. Nadal był zabarwiony brutalnością. Wybiegła z budynku, wcisnąwszy resztę pieniędzy, jaka jej pozostała, w wielką dłoń odźwiernego.

## Rozdział 5

Tydzień minął szybko. Elspeth często rano wymiotowała z bólu. Przywykła już do tępego, stałego bólu w ramionach i napływającego falami bólu w piersiach. Razem z Charlesem wypracowali zgodny rytm działania, choć on często spóźniał się do pracy i bywał dziwnie milczący. Owena Trechte'a więc nie widziała. Próbowała przekonać samą siebie, że nie mógł jej rozpoznać po tylu latach, w takim przebraniu. Nie mogła jednak zagłuszyć tego, co tkwiło w niej tak głęboko – oczekiwania na zasłużoną karę.

W sobotę kupiła u krawca przykurzony używany garnitur. Nie mogła pozwolić, żeby krawiec wziął z niej miarę, powiedziała, że się spieszy, no i garnitur nie leżał na niej dobrze. Wisiał na ramionach jak przywiedły kwiat, za to kiedy zapięła marynarkę, idealnie układał się na biodrach. Dopiero teraz doceniła, co znaczy swobodny strój. Spodnie piły ją niemiłosiernie i musiała zmienić sposób chodzenia. Stawiała mniejsze kroki, jakby szła po kruchym lodzie.

W niedzielę rano nareszcie się wykąpała. Na brzegu wanny pojawiła się czarna obwódka brudu. Elspeth napuściła więc jeszcze raz wody i wyszorowała się ponownie. Jej włosy nie chciały uwierzyć, że jest mężczyzną, i musiała je przyciąć brzytwą i pożyczonymi od Franka nożyczkami.

Bandażowanie ran stało się już czynnością mniej zmusną i nieprzyjemną. Dziury po śrucie pokryły się strupami. Smarowała je dziwnie pachnącym balsamem, kupionym razem z parą rękawic w pobliskim sklepie, a potem owijała się ciasno bandażem, żeby piersi nie były widoczne. Odrobina pasty do butów rozsmarowana na brodzie udanie imitowała zarost. Najwięcej czasu zajął Elspeth krawat. Zapytała krawca, czy zna jakiś dobry sposób, żeby nauczyć młodego chłopca wiązania krawata, a on był na tyle uprzejmy, że dał jej broszurkę z rysunkami przedstawiającymi każdy krok. Mimo to minęło pół godziny, zanim udało jej się zawiązać krawat w miarę poprawnie. I wreszcie założyła marynarkę, nie zapinając jej.

Nie prosiła Caleba, żeby poszedł z nią do kościoła. Zawsze podejrzewała, że Jorah zna powód, dla którego w życiu Caleba nie ma Boga, ale nigdy go o to nie zapytała. Może za tydzień, kiedy opisz mu, jak wyglądała msza,

zapyta, dlaczego zawsze czekał na zewnątrz – nawet w deszczu czy śnieżyca – dopóki nie skończą modlitwy, i dlaczego zawsze siedział ze wzrokiem wbitym w talerz albo w czubki butów, kiedy Jorah czytał na głos Pismo Święte.

Czysta skóra mrowiła ją na mrozie. Deski, z których zbudowany był chodnik, dudniły pod jej buciorami – na trzewiki nie było jej już stać. Wyczyściła jednak te botki starannie i wypastowała, wyglądały teraz znośnie. Mijali ją ludzie ubrani z równą finezją jak ona, każdemu jednak czegoś brakowało: a to marynarka była rozdarta, a to spodnie za duże lub koszula za mała. Z naprzeciwka szli przeważnie ludzie kompletnie pijani. Jeden zatoczył się i mało brakowało, a wpadłby na Elspeth, na szczęście w ostatniej chwili złapał równowagę. Ciekawa była, ilu z nich spędziło noc w Elm Inn.

W porannym słońcu białe ściany kościoła lśniły. Błyszczał dostojnie złoty krzyż na wieży. W kierunku świątyni zmierzali, jak kolumny mrówek, mieszkańcy miasta. Elspeth weszła do kościoła, przeszła wzdłuż nawy i usiadła w ławce, która zaskrzypiała pod jej ciężarem. Wnętrze świątyni było większe, niż wydawało się z zewnątrz, i wysokie na dwanaście metrów. Witraże przedstawiały historie biblijne: Noego i potop, Mojżesza i gorejący krzew, głowę Jana Chrzciciela i przemienienie wody w wino. Spodobały jej się, przypomniała sobie głos Joraha opowiadającego przypowieści biblijne. Powietrze ogrzało się od oddechów wiernych. Wszyscy tłoczyli się w ławkach najbliższej ołtarza, a tymczasem z tyłu kościoła było pusto. Najmniej ludzi było na balkonie. Zaczęły grać organy. Muzyka wyciszyła Elspeth i kobieta zamknęła oczy. Słyszała śpiew chóru i przechodzących środkiem nawy diakonów i pastora.

Ktoś poklepał ją w ramię. To Charles podszedł do jej ławki. Ludzie ściętnili się i Charles usiadł obok niej.

– Dzień dobry, Jorah – zdążył powiedzieć, zanim na ambonę wszedł pastor, starszy mężczyzna o intensywnie zielonych oczach. Elspeth poczuła alkohol, ale Charles wpatrywał się z wielkim skupieniem w pastora.

Przez całe nabożeństwo zerkała ukradkiem na Charlesa, na jego zniszczoną przez wiatr i mróz skórę, zmierzwioną brodę, ale on zdawał się tego nie zauważać i nie odrywał oczu od ambony. W trakcie kazania, które było poświęcone szczegółowemu opisowi podróży Trzech Króli i ciężkim próbom, jakim trzeba się poddać, by dotrzeć do celu, Elspeth czuła, że Bóg przemawia wprost do niej. Kiedy pastor wymachiwał palcem, podkreślając znaczenie swoich słów, poczuła się wykorzystana, zaatakowana. Charles

chwycił ją za rękę. Poczuła na swoich palcach jego szybki puls.

Matka zostawiła Calebowi kartkę z niezdarnym rysunkiem kościoła. Ich rodzina gromadziła się zawsze w dużym pokoju, a Jorah czytał wtedy na głos Biblię. Kiedy Caleb przestał w tym uczestniczyć, Jorah nie powiedział nic, przydzielił mu tylko więcej obowiązków i Caleb cały dzień spędzał na pracy.

Franka nie było w recepcji, a Wilkes zawsze patrzył na chłopca podejrzliwie, więc Caleb zjadł śniadanie sam. Jajka były twarde i zimne, a bekon spalony i kruszył się w palcach. Kiedy Caleb skończył posiłek, nasunął kapelusz na czoło i wyszedł z hotelu.

Frank powiedział mu, że jedynymi przybytkami otwartymi w niedzielę – Caleb wiedział, że nie wspomni o Elm Inn – były hotel Brick & Feather, kościół i sklep prowadzony przez Żydów. Caleb nigdy wcześniej nie widział Żyda, więc zajrzał przez okno do sklepu. Jakiś chłopiec w jego wieku mył podłogę. Wyglądał normalnie, może trochę doroślej, miał na sobie czyste ubranie i fartuch. Kiedy Caleb mijał próg, nad jego głową rozległ się dźwięk dzwonka. Wszedł między regały, skąd mógł obserwować chłopca przy pracy. Za ladą stał i zapisywał coś w księdze właściciel sklepu, wąsaty mężczyzna o szerokich ramionach, który czasem jadał śniadania w hotelu. W pewnej chwili otarł wąsy chusteczką. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest ojcem chłopca, swojej mniejszej i pozbawionej wąsów kopii. Tymczasem bracia i siostry Caleba różnili się wyglądem. Kiedy Caleb patrzył na Elspeth, widział w niej część siebie. Ale Jorah w ogóle nie był podobny do Caleba. Ani do reszty jego rodzeństwa.

Podszedł pewnym krokiem do regału z pistoletami i amunicją. Zaczął uważnie oglądać broń. Mężczyzna zauważył Caleba, odchrząknął, odłożył księgę pod ladę i niespiesznie podszedł.

– Przyszedłeś kupić pistolet, synu?

Dźwięk słowa „synu” sprawił, że Calebowi ścisnęło się serce. Spoglądał to na mężczyznę, to na jego syna, i teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że Jorah Howell nie był jego ojcem.

– Potrzebna mi broń.

– Co powiesz na colta? – zapytał mężczyzna. – Dobry pistolet. Bardzo dobry. – Wziął z pudełka jeden z rewolwerów i wyjął bębenek. Podał Calebowi broń, trzymając ją za lufę. – Muszę cię jednak uprzedzić, że nawet używany colt kalibru trzydzieści dwa, który teraz trzymasz w ręku, kosztuje prawie dziesięć dolarów. Właśnie kończy nam się model wojskowy, najpopularniejszy, ale nowy kosztuje dwanaście dolarów. Używanych

modeli wojskowych nikt nie sprzedaje, prawda, Seth?

Caleb nie musiał patrzeć na ojca i syna, żeby wiedzieć, jaka będzie odpowiedź chłopca. Pistolet był ciężki i tak wyczyszczony, jakby nigdy nie tknęła go ludzka ręka. Dopiero teraz Caleb dostrzegł, jak brudne i zaczerwienione miał dłonie. Wsunął bębenek na miejsce i wycelował w worek owsa stojący w drugim końcu sklepu. A potem odłożył broń na półkę i potrząsnął kieszenią z pieniędzmi. Miał nieco ponad dwa dolary.

– Mogę spytać ile masz lat? Może byłoby lepiej, gdybyś wrócił z ojcem?

Caleb pogładził broń, ale nie wziął jej ponownie do ręki.

– Chciałem go kupić na prezent bożonarodzeniowy. Dla ojca. – Był zaskoczony, jak łatwo kłamstwo przeszło mu przez usta. Jak czknięcie. Zanim jeszcze Caleb zaczął nocować w stajni, zanim zaczął się opiekować zwierzętami, przysnął pewnego dnia na strychu, a wtedy Amos wykradł mu z kieszeni jedno z jego piór i pobiegł do domu, wołając, że powie ojcu, jakimi to dziewczęńskimi zabawkami Caleb się bawi. Caleb zeskoczył za nim z drabiny, ale nim dotarł do drzwi, Amos już wbiegał do domu. I wtedy Caleb, niewiele myśląc, podniósł z ziemi kamień i rzucił. Kamień pofrunął w stronę okna kuchennego, rozbił szybę i upadł na podłodze, obok siedzącej tam Emmy. Caleb wrócił biegiem i ukrył się w zagrodzie dla krów, pomiędzy dwiema wielkimi bestiami, które spoglądały na niego z ukosa i bezmyślnie żuły siano.

Potem usłyszał kroki ojca, nieuchronnie zbliżające się do niego, tak jak kamień nieuchronnie pofrunął w kierunku okna. Krowy, który jeszcze go wtedy dobrze nie znały, zdradziły jego kryjówkę, odsuwając się w kąt zagrody i spodziewając się, że za chwilę dostaną paszę.

– Caleb – zawołał Jorah. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Caleb odkrył tamtą kwadratową polankę otoczoną wiązami, ze świeżym śladem rozkopania, i nie wiedział teraz, jakiego ojca ujrzy przed sobą: ogarniętego smutkiem czy złością. Podszedł do ojca. – Caleb, dlaczego rzuciłeś kamieniem w brata?

Caleb próbował skłamać. Gorączkowo zastanawiał się nad dobrym motywem, lepszym niż ten, który nim kierował. Ostatecznie powiedział ojcu prawdę. Nie wspomniał tylko, że z niewyspania zapomniał dać wody krowom, a pomyje wlał koniom zamiast świniom. Spodziewał się ognia i siarki, a tymczasem ojciec zacytował psalm: „Okryje cię swymi piórami i schronisz się pod Jego skrzydła: Jego wierność to puklerz i tarcza”<sup>10</sup>. Jorah czekał. – Wiesz, co to znaczy, Calebie?

Tym razem skłamał. Nie był w stanie dłużej stać przed obliczem ojca,

więc powiedział, że zrozumiał i że jest mu przykro. Jorah kilka razy otworzył i zamknął usta, ale w końcu westchnął i odszedł.

Czekając przed regałem z bronią, Caleb zagotował się ze złości, kiedy zrozumiał, że wszystkie jego kłamstwa zaczęły się podczas tamtej rozmowy z Jorahem.

– Mój ojciec zawsze chciał mieć colta – powiedział. – A matka nie żyje. – Sklepikarz zasłonił sobie usta dłonią. – Pomyślałem, że zrobię mu wyjątkowy prezent na Boże Narodzenie. – Caleb spocił się cały, wygadując te niedorzeczności, ale uznał, że cel uświęca środki. Co więcej, doszedł do wniosku, że nikt nie mówi prawdy, i im lepiej poznawał świat, tym mniejszą czuł potrzebę dochowania wierności zasadom.

– To jest jak najbardziej zrozumiałe – rzekł właściciel sklepu i zerknął na swojego syna. – Udzielamy kredytów. Zwykle tylko naszym stałym klientom. – Uśmiechnął się pod wąsem. – Ale twoja twarz wzbudza zaufanie.

Resztką przyzwoitości nakazywała Calebowi ujawnić swoje plany i ostrzec mężczyznę, który opierając się o ladę, zachwalał jednego colta po drugim. Opowiadał, jaką zwierzynę którą bronią można upolować. Ale Caleb oczami wyobraźni widział ludzi, nie zwierzynę. Tamtego chudego zastrzeliby jak jelenia, brodatego jak szopa, długowłosego jak pumę. Słuchał opisów broni i wyobrażał sobie, jak trzymając pistolet w dłoni, naprawia błąd popełniony przez człowieka, którego omyłkowo nazywał ojcem.

Po zakończonym nabożeństwie Elspeth i Charles wyszli z kościoła, witani przez jaskrawe światło dnia. Zmrużyli oczy. Biel świeżego śniegu aż kłuła w oczy.

– Gdzie jest twoja żona? – zapytała Elspeth. – Gdzie twoja rodzina?

Charles powłóczył nogami w śniegu. Pozostali parafianie mijali ich, zapinając płaszcze. Mężczyźni otulali ramiona kobiet szalami. A Charles drapał się po brodzie.

– To chyba najlepszy czas i miejsce, żeby powiedzieć prawdę – wyduśił z siebie i umilkł. – Oni wyjechali.

– Wyjechali? Kiedy ich poznam?

– Pojechali z wizytą do jej rodziców. To dobrze, kiedy dzieci znają swoją rodzinę, wiedzą, skąd pochodzą.

Elspeth przyznała mu rację. Pastor żegnał się przed kościołem z wiernymi i Charles ponownie zdjął kapelusz. Elspeth, chcąc go pocieszyć, uścisnęła jego ramię. Ale zapomniała się i uścisnęła mocniej, niż zwykli to

robić mężczyźni.

– Może kupiłbym ci teraz te rękawice? Będzie mi miło. Sklep jest otwarty.

Elsbeth uniosła ręce i pokazała mu swoje nowe rękawice. Skóra pachniała nowością. Powiedziała, że odda mu jego stare, a on odpowiedział, że nie trzeba. I na tym skończyła się rozmowa. Po cmentarzu hulał wiatr. Strącał śnieżne czapy z nagrobków, które sterczały nagie i ciemne na tle pokrytej śniegiem ziemi.

– Myślisz, że Bóg naprawdę wybacza nam nasze grzechy? – zapytał Charles.

– Mam nadzieję – odparła Elspeth. Stali przez rzędem nagrobków, każde zatopione we własnych myślach. Elspeth rozpaczliwie zapragnęła, żeby spłynęła na nią wiara tak oczywista, jak słoneczne światło przedzierające się przez korony drzew.

Caleb w holu hotelowym przejrzał pobieżnie gazetę, ale niewiele zrozumiał z tego, co miał przed oczami. Za paskiem spodni na plecach zatknął colta. W bębunku było sześć nabożów. Kolejny tuzin miał w kieszeni. Właściciel sklepu był tak miły, że sprzedał mu nowego colta wyprodukowanego dla wojska za cenę używanego i jeszcze uparł się, że zapakuje prezent. Kiedy Caleb rozerwał papier i ukrył pistolet wraz z pustym pudełkiem i zapasem amunicji pod łóżkiem, czuł się tak, jakby jego ręce należały do kogoś innego. Uznał je za swoje dopiero, gdy zaczął ładować i rozładowywać magazynek.

Poczuł się zaskoczony, kiedy Elspeth przysunęła swoje krzesło do jego. Każde było zajęte swoimi sprawami. Elspeth czuła się tak, jakby gotowała jakąś skomplikowaną potrawę. Z wszystkich garnków kipiało, a ona nie nadażała. Nie wiedziała, w co ręce włożyć, i nie mogła zebrać myśli. Spojrzała na leżącą przed nim gazetę i przyciągnęła ją do siebie. Znalazła artykuł na temat gorączki złota w Klondike Creek i przeczytała go na głos.

Caleb przyglądał się matce. Mieli podobne włosy – jej były nieco ciemniejsze, ale w podobny sposób się układały, podobne pasemko spadało im na czoło. Jego nos był taki sam jak jej, a przy tym zupełnie zwyczajny i typowy. On miał oczy brązowe, szerzej osadzone; jej były szare jak zimowe niebo. Ona miała, podobnie jak on, wydatne kości policzkowe, choć jej twarz była mniej kanciasta. Mimo to pomyślał, że na pewno jest jej synem.

## Rozdział 6

Tej nocy Elspeth przyśnił się Charles Heather. Siedziała w swoim bujanym fotelu i wyglądała przez okno. Właśnie rozpoczynał się dzień i całą okolicę zalało światło brzasku. Charles zmaterializował się nieoczekiwanie na ścieżce. Uginał się pod ciężarem dużej czarnej torby. Podszedł bliżej domu i minął zagłębienie wypełnione czerwonymi wstążkami. Wstążki rozwijały się i wkrótce całe wzgórze pokrywał purpurowy jedwab. Powitała go w drzwiach. Pocałowali się.

Kiedy się obudziła, wciąż czuła dotyk jego warg. Otarła usta wierzchem dłoni i umyła twarz, ale nie mogła pozbyć się echa tamtego snu.

Caleb leżał na poduszce oparty o ścianę i obserwował ulicę. W ciemnościach miał zapadnięte oczy, jakby wpatrywanie się w to, co za oknem, wydrążyło mu oczodoły.

– Skąd masz to ubranie? – zapytała, dostrzegłszy nową koszulę i spodnie bez śladów cerowania.

– Dostałem w Elm Inn za pracę.

– Za pracę? – zdziwiła się. Ubranie miał nowe, ale wyglądał i tak biednie.

– Ja tam tylko zamiatam i sprzątam – wyjaśnił. Nie mógł się nadziwić, że jego matka z krótkimi włosami, w starym ubraniu Joraha i z pastą do butów rozsmarowaną na brodzie tak bardzo przypomina mężczyznę. Coś jednak w jej wyglądzie go niepokoiło. Może grymas bólu albo któraś niewyciągnięta z ciała śrucina. Pragnął powiedzieć jej, że to on strzelał, ale w tych krótkich chwilach, które spędzali razem, nie potrafił zdobyć się na odwagę. – To jest najodpowiedniejsze miejsce, gdzie mogę ich znaleźć.

Była jeszcze zaspana i w pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym mówi Caleb.

– Morderców – dodał.

Elspeth wygładziła prześcieradło i podniszczoną różową kołdrę na swoim cienkim materacu. Zegar na dole wybił pełną godzinę.

– Jestem spóźniona – powiedziała. Odwróciła się plecami do chłopca, obwiązała piersi bandażem i ubrała się szybko.

Przed hotelem czekał na nią Charles z kubkiem kawy. Postali przez minutę, patrząc na pustą ulicę przykrytą świeżym śniegiem. Wciąż miała przed oczami obrazy ze snu.



– Nie mogę się doczekać powrotu rodziny – odezwał się Charles, zanim zamknęły się za nią drzwi. – Moi chłopcy. Tak tęsknię za synami. Za śmiechem Grahama. Opowiadałem ci o śmiechu Grahama? – Opowiadał. Elspeth polubiła jego opowieści. Angażował wtedy całe swoje ciało, gestykulował, przytupywał, kołysał się. – Kiedy byli mali, jego brat Stephen wybił mu bark. Jego ręka zwisała luźno jak pusty rękaw. A ja musiałem go nastawić. Nie było to łatwe, bo ilekroć spróbowałem, on strasznie krzyczał, a ja starałem się, żeby go nie bolało, i w rezultacie nie mogłem tego barku nastawić. Moja żona wpadła na pomysł, żeby go czymś zająć. Zaczęła łaskotać go pod brodą i wkrótce wszyscy się śmialiśmy. Przy czym Graham ćwierkał jak ptaszek. I wreszcie udało mi się nastawić bark. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Graham zdenerwował się. Powiedział, że go oszukaliśmy. Bo rzeczywiście oszukaliśmy go. Tyle że on obwinił tylko mnie. Zawsze jest moja wina. – Charles zakaszał. – O tym zapomniałem wcześniej ci opowiedzieć.

– Jesteś dobrym ojcem – zapewniła go Elspeth. – Trudno radzić sobie z oskarżeniami.

Jorah nigdy nie obwinił Elspeth. W zasadzie. Pewnie uznał, że to jest ich krzyż, który muszą razem dźwigać, ale Elspeth wiedziała, że nie mogą mieć dzieci przez nią. Powiedział jej to doktor Forbes. Nie widział jej prawie od roku, ale nie dał po sobie poznać, że jest zaskoczony jej wizytą.

– Spodziewałem się, że możesz o to zapytać – powiedział. – Dobrze pamiętam naszą rozmowę. – Zrozumiał, że ona się domyśla. Niestety, miał dla niej złe wiadomości. Nie ma na to lekarstwa.

Mężczyźni wycinali z jeziora bryły lodu. Trzask niósł się echem po okolicznych wzgórzach. Lampy oświetlające drogę od chłodni do brzegu jeziora cicho posykiwały. Mężczyźni na jeziorze pracowali po ciemku i Elspeth codziennie dziękowała Bogu, że ona i Charles zajmują się żurawiem, blisko źródła światła. Czekali, popijając kawę, z nadzieją, że zdążą ją dopić, nim rozlegnie się sygnał do rozpoczęcia pracy. Dopóki tamci nie udroźnią kanału i nie zaczną wycinać bloków lodu, niewiele mieli do roboty. Kiedy pierwszy blok został wycięty, stawali na brzegu, gdzie było dużo zimniej, i odkuwali warstwy lodu ze szczypiec. Doczepiali kolce do butów i podskakiwali na lodzie, żeby pobudzić krążenie. Podobnie robił człowiek o imieniu Daniel, który zajmował się końmi. Poklepywał je, unosił okrywające je derki, rozcierał dłońmi mięśnie nóg, póki pierwsze sanie nie zostały załadowane. W poprzedni piątek jeden z koni okulał nagle i Daniel nawrzeszczał na Elspeth i Charlesa, że przeładowali sanie. Teraz szeptał coś

do ucha jednego z koni i Elspeth pomyślała, że Calebowi taka praca odpowiadałaby dużo bardziej niż zajęcie, jakie znalazł w Elm Inn.

– Jorah van Tessel – usłyszała za plecami. To był Edward Wallace. – Nie wiedziałem, że płacą ci za stanie i nierobienie niczego. Taki Charles Heather – Wallace dzielił Charlesa laską po rękach – zarobił majątek na nicnierobieniu.

– Jeszcze nie skończyli czyścić kanału – odparł Charles Heather.

Wallace rzucił gniewne spojrzenie w stronę nabrzeża.

– Idźcie na razie pomóc w chłodni. Przydadź się do czegoś, Heather. – Wallace, wracając do biura, postukał laską o lód i schylił w progu głowę.

Chłodnia była wyłożona kamieniami. Niewielkie szpary między deskami ułatwiały cyrkulację powietrza i wywiewały ze środka ciepło. Od drzwi wejściowych do wnętrza prowadziła stroma kładka. Bryły lodu pięły się wysoko, wyżej niż najwyższe budynki, jakie Elspeth w życiu widziała, wyżej nawet niż kościelna wieża, choć wieża była bez wątpienia bliżej Boga. Z sufitu zwisały liczne haki, liny i bloki, którymi wciągano lód.

Charles usadowił się na beczce.

– Mieliśmy chyba pracować – napomniała go Elspeth. Ledwie wypowiedziała te słowa, ujrzała Owena Trachtego, który otoczony wianuszkami mężczyzn, mówił coś i żywo gestykulował. Wzdrygnęła się.

– To Owen Trachte – odezwał się Charles. Owen miał na sobie trzyczęściowy garnitur. Wydawało się, że za chwilę jego gruby kark i ramiona rozsadzą ubranie i wyleją się, tak jak wylewa się z kiszki resztki mięsa.

– Wygląda znajomo – stwierdziła Elspeth. Widok Owena nie zmartwił jej specjalnie tu w chłodni, dobrze maskował ją kapelusz i chusta, ale jego obecność rozdrażniła ją.

– Czasem tu zagląda. Chyba sprzedaje części do maszyn. Albo same maszyny. A może liny... – Ponieważ nie zareagowała, mówił dalej: – Jego ojciec był lekarzem. Zapił się na śmierć.

– Może znałam jego ojca – powiedziała. Wiedziała o nałogu Phillipa. Widywała go czasami w nocy w gabinecie, jak pił i czytał po raz setny listy od żony. A rano był wymięty i cuchnący. Listy zostawiał na biurku i czasami, kiedy szykował się do pracy, Elspeth udawała, że czegoś szuka na biurku i podczytywała te listy.

– Czy oni byli podobni do siebie, Owen i jego ojciec?

– Trochę – odparł Charlie i zabębnił palcami o beczkę. – A właściwie to nie wiem. Nie znałam jego ojca dobrze. – Elspeth rozglądała się nerwowo,

czy nie nadchodzi Wallace. – Jestem pewien, że Wallace siedzi sobie spokojnie w biurze – uspokoił ją Charles. – A my możemy trochę odsapnąć.

Przez głowę Elspeth przemknął obraz Owena po tym, jak uderzony przez kolegę pogrzebaczem stracił zęb. Miał wtedy spuchnięty policzek i szczerbaty uśmiech. Ciekawa była, jak by się zachował, gdyby ją teraz rozpoznał.

London White co kilka dni kazał Calebowi wyprać pościel, ręczniki i bieliznę. Żeby nie zabrudzić nowej koszuli, Caleb zakładał fartuch pożyczony od kogoś z barmanów. Kiedy wrzucał brudy do starej wanny służącej do prania, starał się nie dotykać płam, których pochodzenia wołał nie znać. White wyciskał z Elm Inn każdy grosz i w dni, w których nie korzystano z pralni, w rogu pokoju rozkładał łóżko dla klientów. Po pierwszej godzinie prania szyby były zaparowane, a rozwieszona od ściany do ściany sznury trzeszczały od ciężaru mokrych prześcieradeł. Na podłodze tworzyły się kałuże.

Caleb zakręcił bielizną w wannie ułamanym kijem od szczotki. Lubił wyobrazić sobie, że wiosłuje w dół rzeki, jak widział na obrazku w książce, którą matka przyniosła kiedyś do domu. Książka przetrwała tylko jeden dzień. Jorah przeczytał jedną stronę, uznał ten tytuł za nieodpowiedni i wrzucił do pieca. Widok chłopca, z podwiniętymi nogawkami stojącego na tratwie i walczącego z silnym nurtem, wrył się Calebowi w pamięć. I teraz wiosłował zawzięcie, machał ręką do ludzi na brzegu, wołał do nich, pozdrawiał.

Do pokoju weszła dziewczynka, mniej więcej w jego wieku, z kręconymi brązowymi włosami.

– Co robisz? – zapytała. Caleb nigdy wcześniej jej nie widział. Miała na sobie za małą sukienkę, taką, jaką powinna nosić dziewczynka o połowę młodsza i o połowę mniejsza, i starała się zasłonić miejsce, gdzie jej nogi łączyły się z biodrami. Wyglądała tak, jak wyglądałaby Mary, gdyby założyła sukienkę Emmy. Widząc pełne bólu i zmęczone spojrzenie jej oczu, Caleb zwrócił się jednak do niej jak do znacznie starszej od siebie osoby:

– Przepraszam panią. Pioreę.

– A z kim rozmawiałeś?

Caleb wzruszył ramionami i rozejrzał się po pokoju, dając do zrozumienia, że z nikim nie rozmawiał.

– W takim razie do kogo machałeś?

Powtórzył gest, rozglądając się bezradnie.

– Mam na imię Ellabelle. A ty jesteś Caleb. To jest mój pokój.

Nie zauważył wcześniej łóżka w kącie.

– Potrafisz rozmawiać? Z prawdziwymi ludźmi?

– Oczywiście. – Jego głos dziwnie się załamał.

Caleb wrócił do prania.

– Skąd pochodzisz?

Caleb przypomniał sobie, jak Londona White'a ubawiła jego odpowiedź na to samo pytanie.

– Mieszkam z matką w hotelu. – Było coś w Ellabelle, co sprawiało, że trudniej przychodziło mu kłamstwo. Nie potrafił się skupić na tym, co zamierzał powiedzieć. Słowa wypadały z jego ust, a on nad nimi nie panował. Wiedział już, że kłamstwo wymaga dwóch rzeczy: przezorności i dobrej pamięci. W obecności Ellabelle zawodziło jedno i drugie. – To znaczy z ojcem – poprawił się. Musiał znaleźć sposób, żeby ubiec ewentualne pytania. – Moja matka nie żyje. – Pomyślał o poszarpanym przez kule ciele Joraha. Nie było mowy, żeby Caleb zdołał przenieść jego zwłoki i położyć z pozostałymi, ale myśl o tym, że szkielet Joraha leży teraz samotnie w kącie tego, co niegdyś było ich domem, wydała mu się szczególnie okrutna. Starał się być twardy, pozbyć się poczucia winy i złości wobec człowieka, który nie był jego ojcem. Targały nim sprzeczne uczucia, a jeszcze ta Ellabelle, bosa na mokrej podłodze. W pokoju pachniało mydłem do prania i Caleb zrobił kilka głębokich wdechów, żeby pozbyć się zawrotów głowy.

– Powiedziałaś, że jest mi przykro – usłyszał głos Ellabelle.

– Och, przepraszam. Dziękuję. – Caleb odchylił się do tyłu, wyciągając z wody poszewkę na poduszkę. Intensywnie parowała w chłodnym powietrzu i upadła na podłogę, akurat pomiędzy nimi. Uchylił okno, żeby pranie szybciej wyschło; przez szparę wdarł się ze świstem wiatr. Caleb starał się nie myśleć o podziurawionych przez kule ścianach swojego domu i dniach spędzonych w spiżarni.

– Co się stało?

Caleb zamieszał w wannie. Woda zachlupotała głośno.

– Co się stało z twoją matką? Jak umarła?

– Zastrzeliłem ją – odpowiedział ze spokojem.

Ellabelle podeszła bliżej i usiadła na krawędzi wanny. Siadając, ścisnęła blade uda. Każdą chwilę, kiedy nie rozmawiali, wypełniały odgłosy prania. Calebowi wydawało się, że ona ich nie słyszy. Była gotowa zadać mu jeszcze milion pytań, a on zastanawiał się, jak ma się wyłgać od odpowiedzi, obrócić wszystko w żart. Zmusił się do uśmiechu. Ellabelle

zmarszczyła brwi. I zadała jedno pytanie:

– Dlaczego?

– To był wypadek. – Caleb powiedział prawdę i od razu poczuł ulgę. Prześcieradła jakby z westchnieniem uniosły się w przeciagu. Ellabelle dotknęła delikatną dłonią jego ramienia. Nie spojrzał na nią, wpatrywał się w wiry, które zrobił, kręcąc kijem.

– Przykro mi – powtórzyła, a Caleb nie mógł już dłużej wytrzymać w tym pokoju pełnym wilgoci i śmierdzącym środkami czystości. Odłożył kij od szczotki na brzeg wanny.

– Ellabelle? – zawołał ktoś. Przewróciła oczami, a do pokoju wkroczył White. – Tu jesteś. Cześć, dzieciaki. – Z zadowoleniem podniósł poszewkę na poduszkę. – Dobra robota, Caleb. Naprawdę dobra robota. Ten chłopak – wskazał na Caleba – może być dumny ze swojej pracy. Pewnego dnia zostanie kimś, więc bądź dla niego miła, Ellabelle.

– Ona tylko ze mną rozmawiała – usprawiedliwił się Caleb.

– Wiem – odparł White. – Pora zarobić na swoje utrzymanie, skarbie. – Wyciągnął rękę do Ellabelle.

– Kim on jest teraz? – zapytała Ellabelle, nie zważając na polecenie White'a.

– Słucham?

– Powiedziałaś, że wkrótce będzie kimś, więc chcę wiedzieć, kim jest teraz.

Zachowanie White'a natychmiast się zmieniło.

– Nie spieszmy się zbytnio – powiedział wymijająco.

Ellabelle rozluźniła uścisk dłoni. Gdzieś blisko rozległ się dźwięk dzwonka i Caleb był ciekaw, czy to ją wzywano. Zanim Ellabelle wyszła, ucisnęła jego rękę jeszcze raz.

Elsbeth stała przed regałem z kilkoma tuzinami broni. Jakiś młody chłopiec, mniej więcej w wieku Caleba, klęczał na podłodze przy drzwiach i sortował gwoździe, wsypując je do dwóch wiader. Na zewnątrz z nieba leciały ciężkie płatki śniegu. Napadało już dziesięć, może piętnaście centymetrów i większość mieszkańców Watersbridge nie wyściubiła nosa z domu. W sklepie nie było nikogo prócz Elspeth, chłopca i właściciela, gładzącego palcem wskazującym i kciukiem wąsy.

– Pistolet, tak?

Przedstawił się imieniem Jakob. Elspeth ucisnęła mu dłoń, ale nie powiedziała, jak ma na imię. Uznała, że im mniej będzie mówić, tym mniejsze ryzyko, że zostanie rozpoznana. Zresztą większość mężczyzn,

z którymi miała do czynienia, nie była zbyt rozmowna.

– Przepraszam – odezwał się Jakob – czy nie ma pan przypadkiem syna?

Elsbeth zastanawiała się, o co chodzi właścicielowi sklepu. Może chciał sprzedać dwa pistolety, dla ojca i syna, i podwoić swój zysk.

– Tak?

– Szczupły chłopak z brązowymi włosami i brązowymi oczami? Ma trzynaście, może czternaście lat?

– Dwanaście – powiedziała i pomyślała o liście ze swoimi dziećmi, z ich imionami i datami urodzin. Jakie to dziwne. Po tylu latach pozostało jej na świecie tylko jedno dziecko, które spotykało się z ludźmi, samo nawiązywało z nimi kontakty. – Skąd pan go zna?

– Zaszedł tutaj przypadkiem – odparł Jakob. W jego słowach Elspeth wyczuła jakieś ukryte znaczenie, którego nie potrafiła rozszyfrować. – Jest pan pewny, że potrzebuje broni? – Elspeth doszła do wniosku, że sklepikarz oskarża ją, iż jest złym rodzicem, i od razu przypomniała sobie Margaret i jej propozycję, żeby zostawiła Caleba. – Ale przecież zbliża się Boże Narodzenie.

Elsbeth uniosła dłoń, żeby powstrzymać sklepikarza od zbyt długiego zachwalania towarów.

– Jeśli to nie kłopot, poproszę po prostu o pistolet.

Jakob potraktował ją poważnie i opowiedział o zaletach każdego z modeli, tłumacząc, na jaką zwierzynę zapolować z daną bronią. Elspeth wiedziała, że zimą trudno w okolicach Watersbridge o jakąkolwiek zwierzynę, a mimo to sprzedawca opowiadał jej o jeleniach, szopach i niedźwiedziach. Uznała, że mówi tak dla spokoju ducha, swojego i syna, który wrzucał z głośnym brzękiem gwoździ po gwoździu do wiadra. Każdy potrzebuje pewności, że nic mu nie grozi.

## Rozdział 7

Kiedy Elspeth przypomniła sobie pocałunek ze swojego snu, jej policzki zapłonęły, i by uciec od niego, przez całe popołudnie nie rozmawiała z Charlesem. Charles zresztą zachowywał się w coraz bardziej nieobliczalny sposób, nie wiedziała tylko, czy to z powodu zdarzających się im cichych dni. Czasem rano czekał na nią przed hotelem z kubkiem gorącej kawy. A czasem przybiegał do pracy zdyszany, przepraszając, kiedy łańcuchy i żuraw zostały już dawno przez Elspeth naoliwione. Albo nie pokazywał się wcale i wtedy pracowała z kimś, kto nie robił sobie przerwy na odpoczynek lub nie był równie wyrozumiały wobec jej słabości jak Charles. Nieobecności Charlesa były niewytłumaczalne. Obwąchiwała go czasem, czy nie cuchnie alkoholem, a jeśli tak, to czy są to ślady po poprzednim wieczorze, czy świeższe. To właśnie jest przyczyną wypadków, myślała.

Kiedy go nie było, brakowało jej jego obecności i rytmu pracy, który razem stosowali. Pracowało się sprawniej, kiedy on opowiadał o swojej rodzinie, a i ona dzieliła się jakimiś drobiazgami, scenami z dzieciństwa albo z pierwszych lat spędzonych z Jorahem, kiedy szczęście wydawało się w zasięgu ręki. Tak więc mimo całej nieprzewidywalności Charlesa Elspeth lubiła jego towarzystwo.

Zmęczona nocną walką z sennymi marzeniami, za dnia nie miała siły bronić się przed tym, co podsuwała jej wyobraźnia. Czasem Elspeth zastanawiała się, czy Joraha i dzieci mógł zabić któryś z pracujących z nią robotników. Może Caleb rozpoznałby go bez trudu. Pewnego razu snop słonecznego światła padł na jednego z mężczyzn, atakującego bryłę lodu na jeziorze ze szczególnym zapamiętaniem. Widok był tak niezwykły, że Elspeth zadrżało serce w piersi i pomyślała, iż być może sam Bóg z jakiegoś powodu wskazał tego człowieka. Ale kiedy już sformułowała tę teorię, światło słońca przeniosło się na innego mężczyznę, a potem na kolejnego. Może oni wszyscy byli winni. Kiedy wiatr wiał od wschodu i nie huczał nad jeziorem, zdarzało jej się słyszeć płacz dziecka w biurze firmy. Żeby odwrócić uwagę i nie ulegać pokusie, liczyła kroki albo wsłuchiwała się w skrzypienie żurawia. Starła się nie myśleć o swojej rodzinie ani o tym, co ludzie z nią zrobią, jeśli zostanie rozpoznana. Owen Trachte nie pojawił się ponownie. Po pracy wypijała zwykle dwa kieliszki dla uspokojenia myśli, zjadała obiad – najczęściej stek albo duszoną wołowinę, czasem

z Charlesem, czasem sama – i zmęczona, zamroczona alkoholem, ślizgając się na oblodzonych chodnikach, wracała do domu.

Kiedy sklep był jeszcze otwarty, czasem kupowała coś do jedzenia Calebowi: kanapkę z wędzonym mięsem, solone ziemniaki, suszone owoce. Caleb nigdy jej nie dziękował za jedzenie i zdawał się go nie zauważać, ale rano torebka była pusta. Wracał z Elm Inn, kiedy Elspeth już spała, a ona wychodziła, zanim on się zbudził. Lubiła patrzeć na jego zamknięte oczy, kiedy spał. Widać było, jak pod powiekami rusza gałkami ocznymi. Przeglądała się w lustrze, a potem przenosiła wzrok na Caleba, próbując dostrzec podobieństwo, które widzieli Jakob, Margaret i Charles. Kiedyś stanęła przed lustrem pod takim kątem, że byli w nim widoczni oboje, obok siebie, zupełnie jak na portrecie. Przymknęła wtedy jedno, a potem drugie oko, próbując ocenić dzielącą ich odległość. Szczytywała palcami włosy na czoło, a potem z powrotem na boki i w takich chwilach też widziała podobieństwo. Może uchodzić za mojego, myślała sobie.

Caleb zamiótł całe wnętrze i odśnieżył werandę i schody. Od czasu do czasu rozmawiał z Ellabelle. Kończyło się to zwykle tak, że pojawiał się White, dawał jej klapsa w tyłek i kazał wracać do pracy. Unikali rozmowy na temat rodziny Caleba i śmierci matki. Skupiali się na tym, co działo się w Elm Inn. Ellabelle miała wyjątkowy talent naśladowczy, zupełnie jak Mary, i parodiowała miny i gesty stałych bywalców. Potrafiła też powtarzać całe rozmowy, które podsłuchiwała. Recytowała słowo w słowo – nawet te fragmenty, które przyprawiały Caleba o rumieniec – bez mrugnięcia okiem, a potem wybuchała śmiechem. Ich śmiech, zupełnie niezwykły w takim miejscu jak Elm Inn, docierał przeważnie do uszu White'a i już po chwili słyszeli stukot jego eleganckich butów na schodach. Caleb wracał wtedy biegiem na korytarz i chwycił za miotłę, a Ellabelle siadała przy toaletce i szykowała się na przyjęcie kolejnego klienta. Caleb nie znosił chwil, kiedy drzwi pokoju Ellabelle były zamknięte, ale jeszcze bardziej nie lubił, kiedy drzwi były otwarte i wychodził z nich jakiś uśmiechnięty od ucha do ucha mężczyzna, wciskając sobie na głowę kapelusz i wracając do salonu. Za mężczyzną wychodziła na korytarz Ellabelle i delikatną rączką pociągała za sznur zaśniedziałego dzwonka. Jeśli nie pojawiał się następny klient, White przeciskał się przez tłum, wyszukiwał kolejnego mężczyznę, poklepywał go w ramię i szeptał coś do ucha. Caleb nie cierpiał tego widoku, ale mimo wszystko patrzył, starał się zapamiętać, jak wyglądali ci mężczyźni, a potem obserwować, jaka zaszła w nich zmiana, gdy wychodzili z pokoju Ellabelle.



Choć przy barze panował gwar, goście dowcipkowali i kłócili się, pokrzykiwali ze złości albo wesoło, Caleb zawsze słyszał dźwięk dzwonka i wiedział, który dzwonek zadzwonił. Podpatrywał też ruchy Londona White'a, jego sposób chodzenia i nerwowy zwyczaj wyciągania z kieszeni zegarka i nakręcania go, i powtarzał je w pustych pokojach, kiedy zdejmował z łóżek zaplamione prześcieradła. Starał się nie zachowywać w taki zmanierowany sposób w obecności Ellabelle, choć sam nie wiedział dlaczego, ani w obecności Franka, który czasem dotrzymywał mu towarzystwa przy śniadaniu w Brick & Feather. Rano w hotelu było spokojnie i Frank przysiadł się do Caleba, opowiadając mu o swoim dzieciństwie w Nowej Szkocji. Zachęcał go do czytania gazet i pomagał przebrnąć przez trudny dziennikarski język, jakim były napisane artykuły o prezydencie McKinleyu i wojnie z Hiszpanią. Myśl o tym, jaki świat jest ogromny, zwykle przyprawiała Caleba o zawrót głowy. Wszystko wydawało się takie odległe, tak różne od jego stajni. Caleb starał się nie myśleć o domu, o swojej rodzinie i zwierzętach. Ale każdego ranka, kiedy zakładał buty Jessego, widział go oczami wyobraźni. Jessego przypominał mu też czasem czyjś uśmiech wyłowiony z tłumu gości Elm Inn albo czyjś głośny śmiech. Caleb podchodził wtedy bliżej z miotłą w ręce i wyczekiwał chwili, w której ten uśmiech lub śmiech będzie taki sam jak ten zapisany w jego pamięci. Żałował, że nie potrafi się modlić. W takie dni wychodził na zewnątrz, do uwiązanych przed hotelem koni i do psa jednego ze stałych klientów, Misty, uroczej suki, która często uciekała z domu i wiernie czekała pod drzwiami na swojego pana, od czasu do czasu kładąc łeb na wyciągniętych łapach i zapadając w drzemkę. Caleb zanurzał twarz w jej sierści i wsłuchiwał się w burczenie jej brzucha.

Obserwował mężczyzn w Elm Inn i przenosił się w wyobraźni do swojej stajni z surowych desek. Spośród wszystkich klientów najbardziej zainteresował go Owen Trachte, ale był to jedyny człowiek, który pojawił się w lokalu raz i więcej nie wrócił. Całą resztę stanowili stali bywalcy tego przybytku. Siadywali zawsze przy tych samych stolikach, odwiedzali te same dziewczęta. Przemoc nie powodowała tu wielkiego zamieszania. Nawet jeśli dochodziło do strzelaniny przy kartach, White kazał prowadzić ранego do lekarza. Żegnana śmiechem ofiara była wyprowadzana i wszystko wracało do normy. I choć Caleb wiedział, że w tłumie gości byli ludzie, którzy mieli na sumieniu czyjąś śmierć, nie udało mu się dostrzec żadnego z tamtych z czerwonymi chustami. Zastanawiał się też czasem, czy ci wszyscy ludzie, zanim tu przyszli, żeby wydać całą dniówkę na alkohol,

karty i towarzystwo kobiet, jedli w domu posiłek, jak to miała w zwyczaju jego rodzina. Zastanawiał się, czy wszyscy ojcowie sprzeniewierzali się własnym modlitwom.

Sprawdzał, czy jego pistolet jest na miejscu, za paskiem spodni, wypychając do przodu biodra. Dzięki temu czuł ucisk lufy i nie musiał się co chwila poklepywać po krzyżu. Widok krwi nie robił już na nim wrażenia. Po tym, co widział, niewiele było rzeczy, które mogłyby go poruszyć. Obawiał się, że zawsze będzie mu towarzyszyć uczucie strachu, ale ono wypuściło jego serce ze swoich szponów i oddalało się coraz bardziej, aż w końcu stało się czymś równie odległym, jak te dziwnie brzmiące słowa z gazet: Francja, Hiszpania czy Meksyk.

Tak było do powrotu Martina Shane'a. Był piątek, w Elm Inn zwykle najpracowitszy dzień, ale przecież nie najgorszy. Najgorsza była niedziela. Martin Shane przekroczył próg, długo rozmawiał z Ethanem, zapłacił za wejście i idąc wzdłuż ścian, dotarł do baru.

Caleb zamiatał akurat schody, nie zwracając uwagi na rytmiczne postukiwanie ramy łóżka o ścianę. Poprzedniej niedzieli Martin, purpurowy ze złości, połamał trzy krzesła na grzbiecie mężczyzny, który ograł w karty jednego z jego kolegów. Ethan wykręcił Martinowi ręce i powalił go na ziemię. I wtedy Martin uniósł głowę i zauważył Caleba stojącego przed nim z miotłą w dłoni. Na widok chłopca przestał wyrywać się i wrzeszczeć. Z kącika ust ciekła mu krew. Ethan przygniatał Martina kolanem do ziemi, ale ten nie zwracał na to uwagi. Nie odrywał oczu od Caleba, który szedł właśnie zmieść śnieg z werandy, kiedy rozpoczęła się bijatyka.

– Idź pomóc zmywać naczynia, Caleb – polecił London White, który dotarł na miejsce zdarzenia. – Weranda może poczekać, najpierw trzeba zrobić tu porządek.

Od tamtej pory Caleb nie widział Martina, choć wypatrywał go, by w porę zejść mu z drogi. Wzrok tego mężczyzny przeraził go. Nikt inny nie zwracał uwagi na chłopca, który zamiatał podłogę, odgarniał śnieg i mył kieliszki. I oto teraz, niecały tydzień później, osmagany wiatrem Martin stał przy barze. Lokal jeszcze nie zapełnił się ludźmi. Mężczyźni, którzy skończyli właśnie pracę, napływali teraz falami, płacąc Ethanowi za wejście.

Caleb skradał się pod ścianą, mijając kolejne drzwi, zza których dochodziły ciche pojękiwania, i w końcu stanął na balkonie, bezpośrednio nad głową Martina. Z góry widział przedziałek we włosach i wylewający się z kołnierzyka gruby kark. Martin rozmawiał z barmanem. Unosił w górę

ręce, a potem składał je jak do modlitwy. Albo jakby prosił o wybaczenie. Sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i położył na barze. Po niedzielnej awanturze White powiedział Calebowi, że krzesła kosztowały trzydzieści cztery centy za sztukę, ale awanturnikom kazał zapłacić po pięćdziesiąt. Na błędach trzeba się uczyć, a nie je powtarzać, tak powiedział.

Barman wziął pieniądze i poszedł sobie, a Martin stał ze stopą opartą na podnóżku barowego stołka i rozglądał się po sali. Caleb wiedział, że Martin go szuka. Cofnął się pod ścianę. Nad jego głową rozległ się dźwięk dzwonka. Caleb podskoczył ze strachu, obrócił się i trafił głową w miękkie piersi jednej z kobiet.

– Zapłacisz mi za to – warknęła, poprawiając biustonosz.

Pociągnęła za sznur dzwonka i Caleb znów się wystraszył. Wychodzący z jej pokoju klient zachichotał.

– Jezu, dzieciaku – odezwała się kobieta. – To nie jest miejsce dla takich, co się wszystkiego boją.

W piątek rano Charles nie czekał na Elspeth. Było ponuro i cicho, dzień zdawał się dopiero budzić do życia. Nad jeziorem wisiało kłębowisko śnieżnych chmur, ale nie spadł z nich śnieg. Kiedy Elspeth mijiała sklep z ubraniami, zakład fryzjerski i gabinet lekarza, usłyszała dochodzący od strony kościoła gwizd. Oparty o kolumnę, z dwoma kubkami kawy, machał do niej Charles. Nie wiedząc, o co mu chodzi, przeszła pospiesznie przez ulicę. Charles otworzył drzwi kościoła. Weszli do wąskiej kruchty. Charles wyjął klucz i otworzył wewnętrzne drzwi. Następnie usiadł w ławce, a Elspeth obok niego. Pograżony w półmroku kościół wydawał się jeszcze większy niż zwykle.

– Masz klucz do kościoła? – zdziwiła się Elspeth. Gdzieś z oddali dobiegał odgłos kąpiącej wody.

– Byłem diakonem – odparł Charles. Elspeth zamierzała zapytać go, co się stało, ale Charles zmienił temat. – Posłuchaj, Jorah, muszę ci coś wyznać.

– Wybrałeś najodpowiedniejsze miejsce – zauważyła Elspeth, jakby starając się złagodzić napięcie na twarzy Charlesa.

– To wszystko, co mówiłem o chłopcach, to wszystko było prawdą. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, i przepraszam, że cię okłamałem, ale ich już nie ma.

– Umarli? – zapytała Elspeth. I poczuła, jak serce jej się kraje na myśl o własnym nieszczęściu.

– Nie – odparł Charles. – Matka ich zabrała.

Cały świat zwolnił. Nawet woda kapiała rzadziej, a gdyby Elspeth zobaczyła jej krople, przekonałaby się, że spadają powoli, fruną w powietrzu jak piórko. Czekala, aż powie coś więcej, ale on milczał w napięciu. Oparł się łokciami o pulpit i ukrył twarz w dłoniach. Jego łkanie poniosło się echem po kościele. Raz, drugi i trzeci uniósł na chwilę głowę i szybko opuścił ją z powrotem. Kościelna ławka drżała od wstrząsających ciałem Charlesa spazmów. Także po policzkach Elspeth pociekły łzy. Nie broniła się przed płaczem, nie myśląc nawet, że rozmaże się jej fałszywy zarost. Opanowała się w końcu, wzięła kilka głębokich wdechów i wytarła oczy.

Zakłopotany Charles też otarł łzy. Ujął dłoń Elspeth i położył ją na swojej piersi.

– Pomyślałem, że mnie zrozumiesz.

– Rozumiem – odpowiedziała, ale oparła się pokusie i nie powiedziała nic więcej.

Caleb schronił się na piętrze. Wyprane prześcieradła były jeszcze wilgotne; w powietrzu unosił się zapach ludzkich ciał. We wszystkich pokojach ściany były jednakowo udekorowane: ferrotypowa fotografia, jakiś obrazek. Tu spoglądała na niego szklistymi oczami głowa jelenia. London White poprawił kołnierzyk.

– Szuka cię pewien człowiek na dole – powiedział.

– Wiem – odparł Caleb.

– Mogę mu powiedzieć, że wyszedłeś. Albo mogę mu powiedzieć, żeby to on wyszedł. – Wygładził mankiety koszuli. – Ale muszę wiedzieć, przed czym cię chronię.

Caleb opowiedział White'owi o bójce, rozbijaniu krzesel i o tym, jak Shane zwrócił na niego uwagę. White wyciągnął z kieszeni swój złoty zegarek i zaczął go nakręcać.

– Może wpadłeś mu po prostu w oko – zastanawiał się głośno White. – Przestał nakręcać zegarek i przyłożył go do ucha. – Ale nie wiedziałem, że Martin Shane jest sodomitą. My tu takich pokus nie zaspokajamy. – White znów przemawiał pewnym siebie tonem; widać było, że podjął decyzję. – Możemy oczywiście zrobić wyjątek, ale nie kosztem mojego najlepszego chłopaka. – White zmierzwił dłonią włosy Caleba. – Powiem Shane'owi, żeby poszukał sobie kogoś innego. – I wyszedł.

Caleb usiadł na skraju materaca.

Po chwili do pokoju wsunęła się bezszelestnie Ellabelle. Usiadła obok Caleba blisko, ich nogi stykały się, i zapytała, co się stało.

– To chyba niemożliwe – powiedziała, kiedy powtórzył jej słowa White’a. – Shane taki nie jest. Możesz mi wierzyć. – Dała Calebowi lekkiego kuksańca w bok. – Nikt nie wie tego lepiej ode mnie.

Caleb nieoczekiwanie zapragnął zrozumieć, co naprawdę dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Otworzył usta. Wiedział, że Ellabelle mu powie, nie wiedział tylko, jak zapytać.

– Nie sądzisz – odezwała się dziewczyna – że to ma coś wspólnego z twoją matką?

Nie zdążył zadać pytania i zamknął usta.

– Nie – odparł.

Pomyślał o kopczykach i leżących w ziemi ludziach. Nie potrafił zrozumieć, że mordercy przypadkiem trafili na ich farmę. Musieli ich szukać i w końcu znaleźli. Może teraz znaleźli jego. Ta myśl wcale go nie przstraszyła, przeciwnie, odzyskał spokój.

Elsbeth wróciła na brzeg jeziora, pierwsza spławiona przez robotników bryła lodu już czekała. Charles szykował żuraw i szczypcę, przecierał naoliwioną szmatą zawiasy. Policzki wciąż miał zaczerwienione od łez. Pracowali w milczeniu.

Dwie bryły lodu leżały już na saniach, konie przebierały nogami, stukając kopytami w ziemię, gotowe do pracy, kiedy po jeziorze rozszedł się odgłos strzału. Elspeth zamarła. Charles zrobił zboląłą minę. Przez chwilę myślała, że to jego trafiła kula.

– Chłodnia – wyszeptał.

Rozległ się łoskot, a po chwili zadrżała ziemia pod ich nogami. Elspeth o mało nie upadła. Hałas nie przemijał. Zarzały konie. Jeden zerwał się do biegu, ciągnąc za sobą pozostałe z zaprzęgu. Bryły lodu nie były zabezpieczone. Jedna ześlizgnęła się z sań, przechylając je, druga wylądowała na tej pierwszej. Słysząc było, jak naprężają się skórzane pasy, kiedy konie próbowały ciągnąć przewrócone sanie. Z chłodni znów dobiegł upiorny trzask. Konie pociągnęły w końcu sanie, przewracając przy okazji najpierw jedną, potem kolejną latarnię. Rozlana nafta zapłonęła na śniegu niczym dwa miniaturowe słońca.

Charles biegł ciężko w kolcach przypiętych do butów. Był już w połowie drogi dzielącej go od chłodni, kiedy łomot ucichł, a rozległy się głośne krzyki. Elspeth biegła za nim, ale pozostała daleko w tyle. Wyprzedzali ją pracujący na jeziorze mężczyźni w kurtkach srebrzących się od padającego deszczu ze śniegiem. Chłodnia, trzypiętrowy budynek z drewna, stała jak stała. I tylko przez otwarte drzwi słuchać było krzyki bólu i przerażenia.

W środku panował chaos. Na posadzce leżały roztrzaskane na kawałki bryły lodu. A pod nimi dziesiątki ludzi, którzy przed katastrofą pracowali na dole. Na ziemię runęło kilka gigantycznych lodowych wież i teraz pośrodku chłodni powstała wyrwa przypominająca szczerbę w uzębieniu. Spod zwałów lodu widać było sterczące ręce i nogi ludzi przywalonych tą lawiną. Część tych, którzy nie ucierpieli, mocowała teraz ocalałe podpory rampy. Elspeth szybko zrozumiała, że jest to nie tylko bezcelowe, ale także niebezpieczne. Jeśli spadną kolejne bryły lodu, zawali się cały budynek i pogrzebie wszystkich. Inni zbierali się w grupki, próbując wyciągnąć spod lodu uwieczonych przez lawinę ludzi. Krzyki rannych przyprawiały o dreszcz.

Elspeth dała się porwać przez strumień ludzi płynący rampą na dno chłodni. Kiedy już tam dotarła, jakiś mężczyzna o rumianej twarzy, ze strużką krwi ściekającą z niegroźnego rozcięcia na czole, krzyknął, żeby pomogła mu odsunąć na bok bryłę lodu, przez którą widać było rozmazaną ludzką sylwetkę. Elspeth złapała bryłę. Rękawice zostały przy żurawiu; mróz przeszył jej palce. Kolce na buty też zostały na brzegu i podeszwy jej butów ślizgały się na oblodzonej posadzce. Mężczyzna policzył do trzech i głośno stęknął. Elspeth pchała lodowy blok z całych sił, ale w końcu poczuła żar rozlewający się w mięśniach, straciła dech i runęła na ziemię. Chwilę odpoczywali. Potem mężczyzna znów policzył do trzech i zaczęli pchać. Bryła lodu nawet nie drgnęła. Obok Elspeth pojawił się Charles. Rumiany mężczyzna policzył do trzech. Tym razem lód ustąpił. Spojrzeli na człowieka wgniecionego w posadzkę. Był martwy.

Charles położył rękę na ramieniu Elspeth i poprowadził ją do innej grupki ludzi, która próbowała przesunąć cztery niemal całe bloki lodu i uwolnić dwóch mężczyzn. Ofiary zdawały się leżeć jedna na drugiej. Spod lodu widać było trzy splecione ze sobą ramiona. Elspeth przyjrzała się ponurym, ubłoconym twarzom zgromadzonych mężczyzn. Podobnie jak oni, wiedziała, że ich trud jest daremny. Ale musieli coś zrobić, musieli zająć się pracą, żeby zapomnieć o strachu. Usunęli jedną bryłę, potem następną. Zmiażdżone lodem ciała stykały się policzkami. A krew robotników zmieszała się na posadzce.

Wszędzie spod lodu słychać było wołania o pomoc. Ludzie z połamanymi kończynami i straszliwymi ranami krzyczeli z bólu. Ci, którzy nie ucierpieli, chowali twarze w dłoniach, nie mogąc patrzeć na to, co zwykła woda zrobiła z ich krewnymi i znajomymi.

Charles chwycił Elspeth za poję płaszcz i pociągnął dalej. Spod

wyszczerbionej bryły lodu wystawała stopa w pocerowanej skarpetce. Kilka centymetrów dalej leżał niezasnurowany but. Udało im się odsunąć lodowy blok. Pod spodem znajdował się chłopiec. Miał nie więcej niż trzynaście, czternaście lat. Lód roztrzaskał mu prawą stronę czaszki. Głowa była spłaszczona, widać było białą kość, wokół zebrała się kałuża krwi. Chłopiec miał otwarte ze zdziwienia usta. W rękę ścisnął kartkę papieru. Nim Elspeth zdążyła go powstrzymać, Charles wyrwał kartkę z dłoni chłopca. Chciał ją jej dać, a ponieważ Elspeth nie wzięła kartki, rzucił ją na ziemię.

Schyliła się i podniosła ją. Na kartce było napisane: „Stephen, zjemy lunch w południe? Spotkamy się przed kościołem. Lucy”. Elspeth położyła kartkę na piersi chłopca i nakryła ją jego martwą dłonią. Drżącymi palcami zamknęła mu powieki.

Charles bardzo chciał zapomnieć obrazy, jakie przyszło mu oglądać. Otepiały, ruszył w stronę otwartych drzwi. Słońce już weszło i szare niebo odrobinę się rozjaśniło. Skierował się w stronę miasta, a Elspeth podążyła za nim. Potknęła się w koleinie, jaką zrobiły ciągnięte przez konie sanie, ale odzyskała równowagę. Kiedy podniosła wzrok, Charles zniknął na końcu ścieżki wydeptanej rano przez robotników zmierzających do pracy. Ścieżka wiodła pośród gęstych krzaków chroniących przed wiatrem i prowadziła do położonych na obrzeżach miasta domów mieszkalnych. Teren tu opadał i robotnicy wydeptali w śniegu szerokie, gładkie jak lustro stopnie, po których łatwiej było schodzić.

Początkowo myślała, że ten sam impuls, który kazał pobiec Charlesowi na miejsce wypadku, teraz sprawił, że równie szybko stamtąd uciekł, ale w pewnej chwili dostrzegła między smukłymi pniami sosen, może dwadzieścia kroków przed Charlesem, jakiegoś mężczyznę w kamizelce i sztruksowej czapce. Usłyszała, jak Charles go woła, ale tamten nie zatrzymał się. Charles zaczął biec. Kolce na butach utrudniały poruszanie się, wymachiwał rękami, żeby nie upaść na oblodzonej ścieżce. Kiedy wreszcie zrównał się z mężczyzną, rzucił się całym ciałem naprzód i przytrzymał go w mocnym uścisku. Oddalona o sto metrów Elspeth zaczęła zbiegać po śliskich stopniach, myśląc tylko o tym, żeby przerwać bójkę, zanim Charles tamtego zabije. Tymczasem Charles uniósł mężczyznę w górę, okręcił nim dookoła i pocałował go.

Elspeth przykucnęła, jakby usłyszała świst przelatującej obok niej kuli. Mężczyzna początkowo się nie bronił, ale kiedy Charles nie wypuszczał go z objęć, uwolnił się i odepchnął go. Charles wpadł do rowu. Mężczyzna wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu obrócił się na pięcie i zaczął oddalać

szybkim krokiem. Elspeth postanowiła nie wychodzić z ukrycia. Rozejrzała się, ale nikogo w pobliżu nie było, nikt nie widział całego zdarzenia.

Charles wygramolił się z rowu na ścieżkę, przysiadł na piętach i spuścił głowę. Kiedy podeszła, wstał i już myślała, że ją też pocałuje, tym bardziej że jego dłoń powędrowała do jej szyi. Ale wtedy on zacisnął palce.

– Charles – wydusiła z siebie ostatkiem sił, nim jego kciuk odciął jej dopływ powietrza. Nie bronila się; oto przyszedł czas kary.

Zaciskał dłoń na jej szyi coraz mocniej. Palcem drugiej ręki wymachiwał w powietrzu przed jej oczami, jakby w bezgłośnej groźbie. Elspeth widziała już tylko punkciki światła i zaczęły się pod nią uginać nogi. Zastanawiała się, co Charles zobaczy w jej oczach, kiedy ona będzie umierać. Jego uwagę zwróciło coś leżącego na ziemi. Puścił ją, a ona upadła. Leżała bez ruchu, łapiąc powietrze. Charles schylił się po rękawiczkę z czarnej skóry, bardziej elegancką od tych, które nosili na co dzień. Przyłożył ją do ust i dmuchnął do środka. A potem założył na dłoń. Odszedł zamyślony, pozostawiając leżącą i oddychającą z trudem Elspeth. Punkciki świetlne przed jej oczami poruszały się jak spadające gwiazdy na szarym niebie, a potem gasły.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Caleb pomacał się po krzyżu, sprawdzając, czy jego broń jest na miejscu. Jego drugą rękę trzymała w swojej dłoni Ellabelle.

Do pokoju wszedł Martin Shane. Jego twarz nie była widoczna. Caleb odbezpieczył broń i wysunął ją o centymetr zza paska. Martin zdjął kapelusz i powiesił na wieszaku. Drżały mu ręce. Caleb podejrzewał, że to z powodu alkoholu, ale kiedy Martin podszedł bliżej i pochylił się, było widać, że płacze. Caleb nigdy wcześniej nie widział, żeby tak wielki mężczyzna płakał. Martin dłonią zaciśniętą w kułak otarł nos i rzucił się na kolana, nie odrywając wzroku od Caleba. Spłynął na niego spokój, wyciągnął rękę, by dotknąć chłopca, choć dzielił ich dobry metr. Caleb cały spotniał i zdrętwiały mu palce zaciśnięte na rękojeści broni.

Ellabelle wtuliła się w niego.

– Co ty robisz? – zwróciła się do Martina.

Na schodach rozległo się dudnienie kroków i do pokoju wpadł London White, a za nim Ethan.

– Martinie Shane! – zawołał groźnie White.

Ethan miał obrzyna i wycelował w głowę Shane'a, który nie zwrócił na to uwagi i nie przestał posuwać się na kolanach w stronę Caleba. Kiedy był dostatecznie blisko, jednym palcem uniósł podbródek chłopca. Jego twarz oświetlił blask lampy. Caleb był przerażony.



– A niech to, może się myliłam – stwierdziła Ellabelle. – Może on naprawdę chce cię wyruchać.

Caleb nie był pewny, czy zdoła wyciągnąć broń zza paska.

– Martinie Shane – powtórzył White. – Odsuń się od tego chłopca albo Ethan rozwali ci łeb.

Cichy trzask odbezpieczanej broni zmroził wszystkich obecnych, a Martinowi przywrócił chyba zmysły. Wielkolud zrobił krok do przodu, przyłożył lufę obrzyna do czaszki Shane'a i mocno popchnął. Martin ugiął kark, ale nie przestał wpatrywać się w Caleba.

– Wszystko w porządku – powiedział Shane. – Jestem wujem tego chłopca.

## Rozdział 8

Caleb skrzywił się, czując smród uryny. Ethan odciągnął Martina i wyprowadził z pokoju.

– Wyjaśnimy to – odezwał się White i ruszył za Ethanem.

Na dole rozległ się huk wystrzału. Caleb wzdrygnął się. Ellabelle położyła mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić. Caleb wystraszył się, że zamiast wysłuchać historii Martina, zastrzelili go, a on, skoro na to pozwolił, jest takim samym mordercą jak jego ojciec czy London White.

– To nie on – powiedziała Ellabelle, jakby czytała w jego myślach. – To przy stoliku do gry w karty. – Połaskotała go w stopę. – Pracujesz tu na tyle długo, że powinienesz wiedzieć, gdzie zwykle dochodzi do strzelaniny.

Spotkanie z Martinem pozostawiło w Calebie pustkę. Nie był w stanie się poruszyć, drżał tylko. Nie protestował, kiedy Ellabelle zdjęła mu przemoczone spodnie. Materiał odklejał się od ciała z głośnym cmoknięciem. Zza paska wypadł na podłogę pistolet. Oboje podskoczyli. Ellabelle, nawet jeśli była zdegustowana na widok broni, nie dała tego po sobie poznać i nie odezwała się słowem; odłożyła ją po prostu na stolik.

– Nigdy nie miałem wujka – powiedział Caleb.

– Nie przejmuj się – próbowała go pocieszyć Ellabelle. – To nieprawda. Takie rzeczy się nie zdarzają. – Popchnęła go na łóżko. Caleb nie stawiał oporu i położył głowę na poplamionej poduszce.

Ellabelle podeszła do niego z wilgotną ściereczką i przetarła każdy centymetr jego ciała. Brakło mu sił, żeby protestować. Wytarła go suchym ręcznikiem i po chwili poczuł zapach różanego pudru. Ten zapach stale unosił się w powietrzu na korytarzu. Caleb czasem widział, jak któraś z kobiet wciera sobie garść pudru pod pachy, zanim zadzwoni, czekając na następnego klienta.

Ellabelle pomogła mu wślizgnąć się pod kołdrę. Zaciągnęła zasłony w oknie i zdmuchnęła świecę palącą się na stoliku obok pistoletu.

– Słodkich snów – szepnęła.

Nadmiar adrenaliny sprawił, że Elspeth była rozedrgana. Próbowała poukładać sobie w głowie wszystkie fakty, ale nijak do siebie nie pasowały. Wróciła do chłodni. Owinęła dwukrotnie szyję chustą, bojąc się, że palce Charlesa pozostawiły na jej ciele sine ślady, choć pewnie nikt by ich nie zauważył. Usłyszała płacz niemowlęcia. Pomyślała o dziecku w biurze

firmy. Zaczęła nasłuchiwać, skąd dobiega głos, aż nagle dojrzała włóczącą się samotnie owcę, której beczenie jej umysł mylnie zrozumiał. Niedaleko od Elspeth padł na kolana w głębokim śniegu jakiś mężczyzna. W miejscu dłoni widoczna była bezkształtna, zakrwawiona miazga. Elspeth chwyciła jego nadgarstek i zobaczyła ściekającą ze zmiażdżonych palców krew. Uklękła obok niego. Spojrzał na nią szklistymi oczami. Uniosła jego ramię wysoko nad głowę, krwawienie zmniejszyło się. Mężczyzna oparł się o nią całym ciałem. Krople ciepłej krwi kapały na jej ramię i policzek. Wyciągnęła mu pasek ze spodni. Mruknął przy tym zirytowany, a może zaskoczony. Owinęła pasek wokół jego nadgarstka i mocno zacisnęła. Nożem, który miał przy sobie, zrobiła dziurkę w skórzanym pasku i zapięła go. Jakiś człowiek z obłędem w oczach odepchnął Elspeth i zajął się rannym. W zakrwawionych dłoniach miał czarną torbę. Pomógł mężczyźnie wstać i bez słowa dokądś poprowadził. Kiedy zniknęli jej z oczu, Elspeth uświadomiła sobie, że to był Owen. A torba, którą trzymał w rękach, była taka sama jak torba jego ojca.

Konie gdzieś uciekły, krzyki ucichły, a kłębiący się tłum zaczął się zbierać w niewielkie grupki. Część robotników zniknęła nie wiadomo gdzie. Nie było żadnych instrukcji. Nikt nie kierował akcją ratunkową. Elspeth usiadła na brzegu koryta. Na powierzchni wody utworzyła się warstewka lodu ozdobiona esami-floresami końskiej śliny. Pomędzy rannymi krążyli teraz jacyś ludzie i pytali, czy czegoś potrzeba. Elspeth domyśliła się, że przybiegli z miasta zaalarmowani drżeniem ziemi i niosącymi się po zamarznętym jeziorze krzykami. Niektórzy sami brali się do pracy: wyciągali ciała zabitych z chłodni i nakrywali je brezentem. Inni zasypywali koleiny, które wyżłobiły w ziemi przewrócone sanie, ciągnięte przez spłoszone konie. Jakichś czterech mężczyzn próbowało poruszyć bloki, które spadły z sań. Nie wiedzieli, co z lodem począć, i spychali go do jeziora.

London White zbudził Caleba w niezbyt delikatny sposób. Chłopak zobaczył na krześle w kącie pokoju świeże ubranie, a na środku pokoju White'a z jego coltem w dłoni. Żałował, że nie leży teraz w swoim łóżku w hotelu Brick & Feather, na skrzypiącym materacu i pod cienkim kocem. Kiedy otworzył usta, żeby zapytać, dlaczego White go obudził, ten skierował broń w jego stronę, wydał z siebie odgłos strzału, a potem okręcił pistolet wokół palca i odłożył na stolik. Miał teraz obie ręce wolne, wyjął z kieszonki zegarek i zaczął go nakręcać.

– Czy to prawda? – zapytał.

Dawno temu w drodze matka powiedziała mu, że nie miała braci i sióstr. Jorah nie był jego ojcem, a nawet jeśli był, to nie istniało żadne podobieństwo między nim a Martinem. Martin nie mógł być jego stryjem, choć wydawał mu się w jakiś sposób bliski, zupełnie jakby spotkali się kiedyś w jakimś śnie.

– Bo jeśli to prawda, mamy wielki problem, i to niejeden. – White nakręcał zegarek z coraz większą zaciekłością. W końcu sapnął ze złości i położył go na stoliku obok broni Caleba.

– W takim razie to nieprawda – odparł Caleb.

– To żadna odpowiedź – stwierdził White. – W coś ty się wpakował?

– Ja? W nic.

– Nieczęsto się tu spotyka dwunastoletnich włóczęgów, Caleb. A jeszcze rzadziej dwunastolatków z bronią zatknietą za pasek. – Caleb zaczął się zastanawiać, czy White ma dar rozpoznawania cudzych grzechów. Widział ich w swoim życiu już tyle, że teraz rozpoznaje je bez trudu. Caleb, świadomy swojej nagości, zaczął niespokojnie wiercić się pod kołdrą. – Jeśli masz kłopoty i będziesz wobec mnie szczery, zajmę się nimi.

Caleb zastanawiał się tak długo, że White potraktował jego milczenie jak odpowiedź na swoje pytanie i poklepał chłopca uspokajająco po policzku. Przejrzał się w lustrze, umył ręce i ochlapał twarz wodą.

– Oczywiście, że nie – powiedział do siebie, a może jednak do Caleba, spoglądając w lustro. – Martin ma skłonności do tego rodzaju wyskoków. Gdybyś był chłopakiem Shane’ów, byłbyś bardziej... – White zaczął się przyglądać odbiciu Caleba w lustrze, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę, przymykając raz prawe, raz lewe oko. W końcu podszedł do Caleba i naciągnął mu prześcieradło pod samą szyję. – Nie – zawyrokował po dłuższym przyglądaniu się. – Nie.

– Panie White – odezwał się Caleb – o co chodzi?

White przyglądził włosy, zdjął marynarkę i dłonią strzepnął z niej kurz, który zasrebrzył się w prześwitującym przez szparę w zasłonach świetle, a następnie ubrał się ponownie.

– Najważniejsze pytanie brzmi – zaczął po dłuższym milczeniu – jak zapobiec takim zdarzeniom w przyszłości. – Zabrał ze stolika zegarek, przyłożył go do ucha, dopiął do łańcuszka i schował w kieszeni kamizelki. Zapiął marynarkę. Jego ręka powędrowała do rewolweru Caleba. – Okazuje się, że naprawdę możesz tego potrzebować. – White obrócił broń ręką w kierunku chłopca. Uczucie niepewności, jakie w Calebie obudziło zachowanie Martina, wzrosło. Przecież o tylu rzeczach nie miał pojęcia.

Zaczął się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem krewnym Shane'a. Przypomniał sobie Martina w żelaznym uścisku Ethana.

– Panie White, proszę, niech pan go nie zabija. Niech pan nie zabija pana Shane'a.

White roześmiał się.

– Synu! – zawołał – A co by mi z tego przyszło?

Na ławce wozu wyładowanego martwymi ciałami stał niepewnie jakiś mężczyzna z Biblią w drżącej ręce. Od czasu do czasu pochylał się dla złapania równowagi. Był ubrany w dzinsowy kombinezon i pocerowaną koszulę i wcale nie wyglądał na kapłana. Przeczytał jakiś werset, zająknął się, starł coś rękawem z kartki, poszukał innego ustępu, wiatr poprzerzucał mu strony. Mężczyzna z największym wysiłkiem starał się ustać prosto na nogach.

– Szlag by to – warknął, kiedy stracił równowagę, odzyskał ją na chwilę, ale zaraz potem spadł z wozu, a Biblia wypadła mu z rąk. Podniósł ją z ziemi i otrzepał ze śniegu, uderzając nią o udo. Kiedy zdał sobie sprawę, co robi, przycisnął ją do piersi, jakby błagał o przebaczenie za tak niegodny postępek.

Elsbeth obserwowała to wszystko, siedząc na brzegu koryta na wodę, skąd nie ruszała się od dwóch godzin. Od czasu do czasu jakiś lekarz albo ktoś, kto pełnił obowiązki lekarza, podchodził i pytał, czy nie jest ranna, a ona w milczeniu kręciła przecząco głową. Jeden z nich, zanim pobiegł dokądś, dał jej papierosa. Rozkruszyła go odruchowo palcami, nie patrząc nawet, jak tytoń spada na ziemię, a bibułkę porywa wiatr.

W jej wspomnieniach pojawiły się dzieci. Jak je wykradała, patrzyła, jak dorastają, słuchała, jak dźwięki krystalizują się w zrozumiałe słowa. Jak doktor Watt wziął dziecko z jej ramion, jak z płaczem wyrzuciła niemowlę z pociągu. Kiedyś po długiej nieobecności w domu usiadła do kolacji przygotowanej przez Mary. To Mary zawsze przygotowywała kolację, kiedy ona pracowała w mieście. Tak więc usiadła przy stole, a wszystkie dzieci patrzyły na nią wyczekująco. Drażniły ją ich piskliwe, przenikliwe głosy, wołałyby, żeby wpatrywały się w coś innego. Tymczasem one nie śmiały nawet mrugnąć okiem. Im bardziej robiła się zła, tym one rzadziej na nią spoglądały, a to z kolei jeszcze bardziej ją drażniło. Caleb odwrócił od niej wzrok jako jeden z ostatnich. Zajął się wyjadaniem mięszu z chleba i zlizywaniem masła.

Nieudacznym kaznodzieją przeczytał na głos: „Kiedy pozostali uciekli do Afek, do miasta, wtedy zwałił się mur na dwadzieścia siedem tysięcy

pozostałych ludzi”. Zmarszczył czoło i powiódł wzrokiem po obecnych. Nikt nie zwracał uwagi na jego słowa. Nie dostrzegł, że Elspeth bacznie go obserwuje. Podniósł głos. „Ben-Hadad też uciekł i w mieście chodził z ukrycia w ukrycie”<sup>11</sup>.

Elspeth brakowało Joraha. Zrozumiała to nagle, jakby właśnie obudziła się z sennego koszmaru. Jorah potrafiłby znaleźć odpowiedni ustęp w Biblii, dałby temu człowiekowi siłę potrzebną do modlitwy nad zmiażdżonymi ciałami, leżącymi u jego stóp. Podczas wszystkich swoich wypraw do miasta Elspeth rzadko myślała o mężu. Nawet kiedy wpadła w oko jakiemuś mężczyźnie, nie przyjmowała zalotów, lecz nie dlatego, że nie była zainteresowana romanssem, ale że chciała zachować się lojalnie wobec męża, jej obrońcy i opoki. Po cóż jej inny mężczyzna? Teraz, o zachodzie słońca, po przerażających wydarzeniach dnia chciała zobaczyć swojego męża, dotknąć jego umięśnionych ramion, pozwolić się pocałować w czubek głowy, tam, gdzie rozdzielają się włosy.

Pastor znów zmarszczył brwi i zaczął przerzucać kartki. Najwyraźniej niezadowolony z wyników poszukiwań, wrócił do zaznaczonej wcześniej strony i czytał dalej. „Jego słudzy powiedzieli mu: «Racz zauważyć! Słyszeliśmy, że królowie rodu Izraela są łaskawymi królami. Pozwól, że opaszemy worami nasze biodra, a powrozami nasze szyje. Potem pójdziemy do króla izraelskiego, może zostawi nas przy życiu»”. Nawet niezbyt uważny słuchacz zauważyłby, że pastor wybrał nieodpowiedni ustęp, ale Elspeth wybaczyła mu to, ponieważ w połowie kolejnego wersu zszedł z wozu i oddalił się.

– To nie wyszło zbyt dobrze – usłyszała za plecami czyjś głos.

Niebo przesłoniła sylwetka Edwarda Wallace’a. Wsparł się na lasce i pyknął z fajki. Wydawał się nieporuszony tym, co go otaczało.

– Zdecydowanie nie – odparła Elspeth.

Jacyś dwaj mężczyźni ciągnęli po zamarzniętej tafli jeziora martwego konia.

– Słyszałem, że świetnie się dziś spisałeś, Jorahu van Tessel – powiedział Wallace. Elspeth poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. – Przydzielając cię do Charlesa, być może cię nie doceniliśmy.

Na wspomnienie imienia Charlesa zarumieniła się. Przypomniała sobie te wszystkie żarty w biurze, te dziwne, zawołowane aluzje.

– Nie sądzę, proszę pana.

– Więc zawieramy umowę?

– Miałem na myśli, że nie czuję się niedoceniony. Lubię tę pracę.

Wallace odchrząknął i z głośnym trzeszczeniem stawów przysiadł obok niej. Zakaszał, a potem czekali chwilę, aż uspokoi mu się oddech.

– Prawdę mówiąc, Jorah, większość tych ludzi nadaje się tylko do tego. – Zatoczył laską krąg wokół. Słońce wydostało się zza linii drzew, rozżłociło i dryfowało teraz nad jeziorem. W słonecznej poświacie ludzie wynoszący z chłodni martwe ciała i wszyscy pozostali, pocieszający się nawzajem i usuwający skutki katastrofy, wyglądali teraz jak lśniące pomniki.

– Chodź ze mną – powiedział Wallace i wspierając się na lasce, podniósł się z koryta.

Ellabelle ostrzegła Caleba, żeby nie chodził do stajni.

– Tam nie dzieje się nic dobrego – wyjaśniła.

Kiedy jednak tam szedł, ciepło, którym emanowały zwierzęta, przeganiało chłód z jego kości, a między boksami dla koni odnajdywał dawno utracone poczucie bezpieczeństwa. Stajnią i całym ruchem koni i powozów zawiadywał człowiek o imieniu Gerry. Calebowi nie podobało się jego złe spojrzenie ani to, że po zapadnięciu zmroku wychylał w barze zbyt wiele kieliszków, a potem szwendał się od pokoju do pokoju i szczypał kobiety w pośladki, a one piszczały i karciły go klepieniem dłonią w ramię. Gdyby Gerry ze swoimi strakami sztywnych włosów i pożółkłymi zębami choć trochę przypominał jednego z morderców, Caleb zastrzeliłby go bez wahania. Przynajmniej tak sobie powtarzał.

Zapadła noc. Odgłosy z Elm Inn docierały do stajni, więc Caleb zaszył się jeszcze głębiej, w najdalszym, mrocznym zakątku. Tu wreszcie panował spokój, który pozwalał odzyskać równowagę. W jednym z boksów nie było koni, a zasuwka była uszkodzona. Sprawnie przełożył nogę przez żerdź i znalazł się w środku. Położył się na sianie i zasnął.

Niedługo potem obudziły go donośne ludzkie głosy. Caleb poznał mamrotanie Gerry'ego, ale drugiego głosu nie połączył z żadną twarzą.

– A niech to, White sam nie wie, co robi – powiedział Gerry.

Światło lampy zaczęło prześlizgiwać się po ścianach i Caleb cofnął się w głąb boksu. Z nowego punktu obserwacyjnego widział plecy mężczyzny, który rozpoczął bójkę zakończoną rozbiciem przez Martina krzesła na jego głowie. Kumpel Martina zdjął kapelusz i podrapał się po łysej czaszce.

– Polubił chłopaka?

– Nie martw się, Dax – odparł Gerry. – Marty dowiedzie, że to ten sam chłopak, i White będzie musiał go oddać.

Caleb doszedł do wniosku, że nie docenił Gerry'ego. Wyglądało na to, że próbuje uspokoić Daxa.

– Dowiedzie? – parsknął Dax. – A gdzie on zamierza znaleźć dowody? Dzieciaka nie było tu piętnaście cholernych lat.

– Ten dzieciak ma nie więcej niż trzynaście – zauważył Gerry. – Pewnie jeszcze mu fiut nie obrósł włosami.

– Wiesz, co zamierzam. – Mężczyzna ściszył głos. – Martin obiecał, że mi zapłaci za chłopca. Możemy się podzielić.

– Nie bądź idiotą, Dax. Nie lubię White'a tak samo jak ty, ale jeśli nawiejesz z tym dzieciakiem, White będzie wiedział, gdzie go szukać, a ruszy z Ethanem i całą uzbrojoną bandą.

Caleb usłyszał odgłos otwieranej zasuw, a potem zakładanej uprząży.

– On aż tak bardzo polubił chłopaka?

– A jakie ma znaczenie jak bardzo? – Koń zarżał cicho, Gerry starał się zwierzę uspokoić. – London White – zwrócił się do mężczyzny – nie lubi być okradany.

Rozległ się stukot kopyt, mężczyźni i koń oddalili się.

Caleb odetchnął z ulgą. Nagle usłyszał blisko jakiś dźwięk. Nie zdążył zareagować, kiedy z sąsiedniego boksu wysunęła się ręka i chwyciła go za szyję. Poczł zapach alkoholu i tytoniu. Czyjeś ramię zacisnęło się na jego szyi tak mocno, że nie mógł krzyczeć.

– Wygląda na to, że upolowałem szczura – szepnął Calebowi do ucha Gerry. – Przyszedłeś na wyżerkę, szczurze?

Caleb zaczął wierzgać. Konie zarżały nerwowo. Sięgnął ręką do paska i chwycił za colta. Gerry szarpnął Calebem, uderzając przy tym głową o jakąś żerdź. Siła uderzenia musiała stajennego zaskoczyć. Calebowi udało się wyrwać z jego uścisku, wypaść na środek boksu i odbezpieczyć broń. Cień rzucony przez lampę powieszoną przez Gerry'ego w przejściu sprawiał, że Caleb nie mógł nic zobaczyć w sąsiednim boksie.

– Nie dotykaj mnie – rzucił ochrypłym głosem.

Gerry splunął na ziemię.

– Słyszałeś naszą rozmowę, synku, prawda? Słyszałeś, jak przekonywałem tego idiotę Daxa Hansona, żeby cię nie porywał? Słyszałeś, jak ostrzegałem go przed panem Whitem?

– Stań w świetle lampy – polecił Caleb.

– Żebyś mnie wziął na muszkę? Nie ma mowy, synu. Odłóż broń, to dokończymy naszą rozmowę. – Caleb dostrzegł błysk włosów i wymierzył poniżej. – Okej, porozmawiajmy – powiedział zrezygnowany Gerry.

– Nie ruszaj się. – Caleb usłyszał szelest siana, to Gerry próbował unieść stopę. Po raz pierwszy zrobił to, do czego potrzebna była siła i odwaga,



i uzyskał przewagę nad przeciwnikiem. Nie czuł euforii, jakiej się spodziewał, przeciwnie, z trudem zmusił się do niewyrzygania tego, co zjadł. – O co chodzi z tym chłopakiem Shane’ów? – zapytał. Zerwał się wiatr i w stajni zaskrzypiało.

– Jakiś czas temu zniknął bratanek Shane’a. Teraz byłby mniej więcej w twoim wieku. I Shane’owi wydaje się, że każdy chłopak, który pojawi się w okolicy, to jego zaginiony krewny. – Gerry znów poruszył stopą.

– Nie ruszaj się – powtórzył Caleb. Oceniał, że z tej odległości zdąży oddać dwa strzały, nim Gerry przeskoczy przez żerdź oddzielającą boksy.

– Ale muszę przyznać, Calebie Howellu, że jesteś pierwszym, który zwrócił moją uwagę. Albo pana White’a.

– Pan White uważa, że to ja?

– Diabli wiedzą, co mu chodzi po głowie. Ale po raz pierwszy nawet nie drasnął Shane’a po tym, co zrobił.

Caleb ścisnął uda. Czuł w żołądku palący ból.

– Gdzie mieszka Martin?

Gerry roześmiał się.

– Przyjaźnię się z Martinem Shanem od czasów, kiedy ty jeszcze byłeś gwiazdką na niebie, chłopcze. – Gerry stanął w świetle, odwrócił się do Caleba plecami i zdjął z gwoźdźca lampę. Nie bał się już, że Caleb go zastrzeli, a Caleb nie czuł ani potrzeby, ani chęci zabicia stajennego, chociaż powtarzał sobie, że zrobiłby to, gdyby został zmuszony. Opuścił broń. A Gerry odwinął się i zdzielił chłopca w szczękę. A potem w skroń. Caleb padł na ziemię.

– Masz szczęście, że czuwają nad tobą aniołowie – warknął Gerry i kopniakiem narzucił na Caleba stertę siana. – Jeszcze raz wycelujesz we mnie, to lepiej nie spudłuj. – Wychodząc ze stajni, uderzył jeszcze pięścią w któryś z boksów. Konie zarżały i cofnęły się. Policzek Caleba szybko zaczął puchnąć. Jeśli aniołowie nade mną czuwają, pomyślał Caleb, to nie przeszkadza im, że cierpię.

Elsbeth z trudem dotrzymywała kroku Edwardowi Wallace’owi. Choć poruszał się chwiejnie i o lasce, i tak jednym krokiem pokonywał ponad metr. Zatrzymał się, żeby uścisnąć dłoń pastorowi, który rozpromienił się na twarzy, jakby dotknął go sam Pan Bóg. Biuro Wallace’a przypominało poczekalnię. Stały w nim dwa wyściełane fotele, a między nimi kosz z czasopismami. W piecyku buzował wesoło ogień, powietrze było suche i ciepłe. Grube dywany tłumiły odgłos kroków. Wallace zamknął drzwi i powiesił laskę na wieszaku. W kącie stało dziecięce łóżeczko z żółtym

kocem przewieszonym przez poręcz. Elspeth zacisnęła pięści.

– To straszna tragedia – odezwała się zachrypłym nagle głosem, myśląc o dziecku wyrzuconym kiedyś z pociągu.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Wallace.

Rozsiadł się w jednym fotelu i wskazał Elspeth drugi. A ona myślała cały czas o łóżeczku, ale nie zdecydowała się do niego podejść. Zdjęła kapelusz i założyła włosy za uszy. Postanowiła jeszcze bardziej je skrócić, kiedy tylko znajdzie się bezpieczna w pokoju hotelowym. Za oknem widać było chłodnię i kawałek zbrocza opadającego do jeziora, gdzie robotnicy już naprawiali zniszczone latarnie. Na śniegu wciąż płonęła rozlana nafta.

– Charles mówił mi, że potrafisz liczyć – powiedział Wallace.

Odłożył fajkę, stękając głośno, wyjął spod fotela księgę rachunkową i otworzył ją w miejscu zaznaczonym wstążką.

Elspeth kiedyś uczyła się matematyki, pomagając matce w gotowaniu, a także z książek podarowanych przez córki van Tesselów. Podszkoliła się porządnie już jako położna, kiedy mieszała tynktury i notowała zmiany wagi dziecka i matki. Nie przypominała sobie jednak, żeby kiedykolwiek mówiła o tym Charlesowi. Teraz zwyciężyła w niej ostrożność. Elspeth doskonale wiedziała, czym może się skończyć ujawnienie jej prawdziwej tożsamości.

– Nie, proszę pana.

– Księgowy potrzebuje kogoś do pomocy – ciągnął Wallace, nie zważając na jej słowa. – Zwłaszcza teraz, kiedy pojawią się nowi robotnicy, a rodzinom zabitych trzeba będzie wypłacić ostatnią pensję. Z kieszeni na piersi wyjął dwa wieczne pióra, zdjął z nich skuwki i położył na stole jedno obok drugiego. – Pozwól, że będę z tobą szczery, Jorah. – Zerknął do księgi. – Nie jesteś do tego stworzony. Ty i Charles to najwolniej pracujący zespół, tak jest codziennie, od samego początku.

Pomyślała o nieobecnościach Charlesa, o częstych przerwach w pracy, o tym, jak zginała się wpół, opierając dłonie na udach, żeby złapać oddech. Poczwała krople potu na czole i karku. Była zbyt pewna siebie, skoro uważała, że uda się ich wszystkich oszukać. Wallace zaczął robić adnotacje w księdze. Wykreślał zabitych robotników. Przypomniała sobie wyraz twarzy Charlesa, jego dzikie spojrzenie. Czuła, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

– Ale Charles wyrażał się z wielkim uznaniem na temat twojego intelektu, więc... Ten awans wiąże się z podwyżką. – Kolejna linia przekreśliła czyjeś życie.

– Nie zależy mi aż tak bardzo na pieniądzach, proszę pana.

– Masz chyba syna, Jorah? – Pióro zawisło nad księgą. A ona pomyślała o chłopcu na posyłki. Czy ktoś jeszcze wiedział o jego losie, czy rodzice zostali poinformowani? – Czy twój syn nie chciałby pewnego dnia przeprowadzić się z Brick & Feather do prawdziwego domu? Nie chciałby mieć własnego pokoju, na ten przykład? Dorastający chłopiec powinien mieć własny pokój.

Elsbeth nie zastanawiała się, skąd Wallace tak dużo wie na jej temat, zobaczyła za to oczami wyobraźni siebie i Caleba w niewielkim domku na obrzeżach Watersbridge. Jest lato. Ona wraca z pracy. Idzie przez podwórko, a Caleb wybiega jej naprzeciw z otwartymi ramionami. Elspeth, nie zważając, że ma pobrudzone atramentem palce, gładzi chłopca po włosach. Z domu dobiega płacz dziecka, żalosne kwilenie. Elspeth chce pobiec do maleństwa, ale Caleb do niej przywiera i nie puszcza jej. Z trudem stłumiła krzyk.

– Horace, jeden z naszych księgowych, pracuje tutaj i jednocześnie opiekuje się wnuczką.

Elsbeth zapragnęła dotknąć kocyka, wtulić w materiał twarz, poczuć zapach dziecka. Targnęło nią znajome, niedające spokoju uczucie.

– Więc dziecko śpi tu w nocy?

– Bardzo często – odparł Wallace i postukał piórem o grzbiet księgi. – Trudno opiekować się dzieckiem w cudzym domu. – I skreślił kolejne życie.

Poczuła łzy w kącikach oczu i znów usłyszała płacz dziecka. Zastanawiała się, dokąd pójść i ile będzie potrzebowała pieniędzy, żeby zamieszkać z dzieckiem w innym mieście. Zamrugała powiekami.

– Przepraszam, to chyba dym z piecyka.

Wallace zamyślił się.

– Muszę sprawdzić komin – powiedział, jakby przyjmując jej kłamstwo. – A więc... awans? – Przesunął coś po blacie w jej stronę. Elspeth spojrziała i zobaczyła spięte gumką banknoty.

Dziecko wołało ją, potrzebowało jej, a ona wiedziała, że jeśli ma dalej oddychać, musi szybko opuścić to bardzo małe, gorące pomieszczenie.

– Dziękuję – powiedziała, zabierając pieniądze.

## Rozdział 9

Elsbeth zatrzymała się w bocznej uliczce obok salonu fryzjerskiego, sprawdziła, czy nikt jej nie obserwuje i zdjęła z nogi but. Stuknęła nim o lód i ze środka wypadło zawiniątko. Rozprostowała banknoty, przeliczyła je, dodała te otrzymane od Wallace'a, wszystkie złożyła na pół i schowała do kieszeni. Powtarzała tę zabawę już kilka razy, obiecywała sobie, że nie kupi biletu na pociąg, nie zacznie gromadzić zapasów na drogę, nie będzie myślała o czekającym na nią śpiącym dziecku. Ale kiedy miała pieniądze w rękę, nie potrafiła myśleć o niczym innym. Powtarzała sobie, że Wallace dał jej pieniądze i powiedział, gdzie można znaleźć dziecko. Wspomniawszy, jak mało czasu Horace może mu poświęcać, jak bardzo dziecko potrzebuje przestrzeni dla siebie. A ona już czuła, jakby miała je w swoich ramionach.

Kiedy mijała sklep z ubraniami, kobieta zajęta szyciem, ze szpilkami w ustach, przerwała pracę i niepewnie pomachała jej ręką. Przed sklepem jakiś chłopiec odgarniał śnieg z chodnika.

– Dobrze się pan czuje? – zapytał ją.

Wymamrotała niewyraźnie, że dobrze, ale kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze, zrozumiała, dlaczego krawcowa zareagowała na jej widok tak dziwnie. Była cała umazana krwią.

– Może pan wejdzie i się umyje? – zaproponował chłopiec. – A może napije się pan wody?

Powietrze w sklepie było ciężkie od zapachów jedzenia i kawy. Aż Elspeth zaczęła się dusić. Zgarbiła się i złożyła głowę na kolanach.

– Na pewno wszystko w porządku? – Chłopiec zaniepokoił się. – Mój ojciec jest tam teraz, pomaga. – Chwycił ją za łokieć. – W chłodni – dodał.

Nie opuszczał jej widok chłopca z rozbitą czaszką i zapach chłodni, zapach świeżego lodu, ludzkiego potu, umierających robotników. Dla dodania sobie odwagi obracała w palcach zwitek pieniędzy ukryty w kieszeni.

Chłopiec zaprowadził ją na tył sklepu i posadził w ciemnym pokoju wielkości szafy. Zapalił lampę. W jej blasku ujrzała półki z rodzinnymi portretami; większość z nich była niewiele większa od spodka filizanki. Na wielu z nich dostrzegła chłopca. Ojciec, matka, dwóch synów. Niewielka rodzina. Stali wyprostowani i dumni, na jednym zdjęciu śmiali się wesoło. Chłopiec przyniósł miskę, ręcznik i lusterko. Twarz i szyję miała we krwi,

zaschniętej i odpadającej jak strupy. Podziękowała chłopcu łamiącym się, wydobywającym się gdzieś z trzewi głosem.

– Ojciec lubi aparaty fotograficzne – powiedział, jakby przeproszał za tyle fotografii. – Mamy je w sklepie. Nie wiem, czy sprzedał choć jeden. – Elspeth przyłożyła mokry ręcznik do twarzy. – Bratu i mnie nie wolno ich nawet dotknąć. W zeszłym tygodniu mój brat... – urwał, widząc, jak Elspeth odrywa z policzka krwawy strzęp. – Ojciec mówi, że zasady stworzono dla naszego dobra.

Elspeth zaczęła się zastanawiać nad sensem tych słów. Chłopiec stał rękawem kurz z jednej z ramek.

– A mama mówi, że nikt nie potrzebuje pamiątek z Watersbridge.

– Chyba nie – zgodziła się Elspeth i przetarła szorstkim ręcznikiem policzki.

Trąc szyję, wyobrażała sobie, że usuwa zbędne warstwy swojego ciała, te, które nie będą jej już potrzebne. Widziała Caleba leżącego z rozbitą czaszką, przysypanego bryłami lodu, który topnieje pod wpływem ciepła ciała, martwego i z wolna stygnącego.

– Mam syna mniej więcej w twoim wieku – dodała.

– Wiem – odparł chłopiec. – Widziałem go. Tu nie ma zbyt wiele dzieci.

Obracała zwitek pieniędzy w kieszeni.

– Przyszłam kupić mu prezent.

Chłopiec z namysłem pogładził się po policzku. Pewnie naśladował ojca.

– Ile on ma lat?

– Dwanaście. – Przypomniała sobie o kartce papieru z imionami i wiekiem jej dzieci. Była ciekawa, co się z nią stało.

– A co lubi najbardziej? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Nie potrafiła sobie wyobrazić Caleba bawiącego się z tym drobnym, śniadym chłopcem. Caleb dojrzał w ciągu jednego poranka. A ona go zawiodła. Chłopiec wytarł nos grzbietem dłoni i wpatrywał się w Elspeth.

– Jak lubi się bawić?

Słyszając to pytanie, Elspeth poczuła, że znów zaczynają jej płonąć policzki. Zobaczyła Caleba, małego i przerażonego, przemywającego jej rany, niespokojnego o to, czy wydobrzeje, niemyślącego o niczym innym.

Caleb wracał w pośpiechu do Brick & Feather. Ulice wyludniły się. Zauważył to, ale nie zastanawiał się nad przyczyną. Zasłonił twarz chustą, żeby nie było widać siniaków. Wszedł do hotelu, pomachał Frankowi i wbiegł po schodach na górę. Wpadł do pokoju, myśląc tylko o tym, żeby

zapytać matkę o Joraha i Shane'ów. Matka, po kąpiel, przebrała się w świąteczne ubranie. Miała na sobie krawat. W dłoniach trzymała niewielkie zawiniątko. Zdjął z twarzy chustę. Matka patrzyła z przerażeniem na jego sińce.

– Co się stało? – zapytała.

– To nie ma znaczenia.

– Oczywiście, że ma.

Podobnie jak wcześniej syn sklepikarza ją, tak teraz ona chwyciła Caleba za łokieć i zaprowadziła do łazienki. Napełniła wannę ciepłą wodą i zaczęła zdejmować z niego ubranie.

– Mamo – powiedział z wyrzutem, kiedy chciała rozpiąć jego spodnie.

Odwrócił się tyłem, sam się rozebrał i wszedł do wanny, zasłaniając się rękami. Nigdy wcześniej nie traktował w ten sposób matki. Walczył z własnym zakłopotaniem. Zmusił się do uśmiechu i poczuł piekący ból. A ona mokrą ściereczką zaczęła ostrożnie przemywać jego skaleczenia i siniaki. Nigdy wcześniej nie była taka delikatna. To był naprawdę matczyzny dotyk.

Kiedy go już umyła, oparła policzek o brzeg wanny.

– Kąpałam cię, was wszystkich, kiedy byliście dziećmi. – Nabrała wody w dłoń i splukała mu plecy. Światło lampy igrało na jej rzęsach. – Tak bardzo cię kochałam. Twoja skóra była najdelikatniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek dotykałam. A potem owijałam nas oboje ręcznikiem, żebyś był blisko mnie.

Caleb przypomniał sobie Emmę, jej czerwone ciało, kiedy była kąpana w kuchennym zlewie. Dziewczętom pozwolono pomagać, a on przyglądał się im spod stołu, na którym później leżała bliska śmierci matka.

– Mamo – odezwał się, wiedząc, że być może za chwilę magia tej chwili pryśnie – to ja do ciebie strzeliłem.

Elsbeth zeszywniała. Zacisnęła palce na brzegu wanny.

– Dlaczego?

Caleb wodził dłońmi po powierzchni wody i próbował wdrapać się z powrotem na porywaną przez wartki nurt tratwę.

– Pojawili się tamci ludzie. Zabili wszystkich. Ja byłem na strychu, ale nie mogłem... – Nie potrafił uronić ani jednej łzy. Czuł zupełną pustkę. – Kiedy przyszedłeś, myślałem, że to jeden z tamtych, i musiałem coś zrobić.

Elsbeth odgarnęła mu włosy z czoła.

– Już dobrze – powiedziała. – Już dobrze. – I zaśpiewała cicho, nieśmiało: „Ty, który słuchasz grzeszników płaczu, wszystkie me grzechy

wyznaję Tobie, nie patrz na nie surowym okiem, mocą swej Księgi zmaż je, zmaż”. Jej głos odbił się echem w niewielkim pomieszczeniu, a ponieważ dotykała policzkiem wanny, wprawił w drżenie nawet wodę. – Wiesz, co to znaczy? – zapytała. Kiwnął głową. – Muszę cię przeprosić za tyle rzeczy, Caleb. I mam nadzieję, że będziesz równie wyrozumiały.

Pobicie w stajni, przyznanie się do winy i teraz gorąca kąpiel sprawiły, że poczuł się zmęczony i senny. Oparł głowę o brzeg wanny. Tylko na chwilę, pomyślał i zamknął oczy.

Elsbeth wsłuchiwała się w jego miarowy oddech. Ręka mu się zsunęła. Elspeth przekonała się, że wciąż jest małym chłopcem, i osłoniła go ręcznikiem. Po kilku minutach potrząsnęła delikatnie jego ramieniem, wytarła go i zaprowadziła do łóżka. Kiedy zasnął, zeszła na dół i zamówiła dla nich kolację: stek, frytki i buraki.

Caleb usiadł na łóżku czysty, suchy oraz wypoczęty. Matka uniosła przykrycie, pod którym była ich kolacja. Za stół posłużył im stołek. Jedli w radosnym milczeniu. Nienawykli do takiego kruchego błogostanu, bali się wydać jakikolwiek głośny dźwięk lub wykonać fałszywy ruch.

Nasytzeni, odpoczywali. Elspeth wręczyła chłopcu prezent. Rozerwał sznurek z takim impetem, że w powietrzu rozniósł się zapach pękających włókien. W papier zawinięta została figurka konia z lśniąca grzywą i ogonem. Koń był brązowej maści i miał białe znamię w kształcie strzałki na czole. Szczerzył białe jak śnieg zęby i unosił, jakby w geście powitania, przednie lewe kopyto.

– Dziękuję, mam, jest śliczny.

– Wiem, że brak ci twoich zwierząt.

Pogładził kciukiem końską grzywę. Oczywiście, że tak, ale bardziej brakowało mu braci i sióstr. Nerwowa atmosfera panująca w Elm Inn nie mogła się równać z harmidrem w domu Howellów, a Ellabelle nie mogła zastąpić Jessego.

Elsbeth wstała, by odnieść talerze do kuchni.

– Nie chcę, żebyś chodził do Elm Inn – powiedziała kładąc rękę na klamce. – To zbyt niebezpieczne. Nie powinieneś mieszać się w coś, co ciebie nie dotyczy. – Caleb otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale ona nie dopuściła go do głosu. – Jestem twoją matką, Caleb. I obowiązują zasady stworzone dla twojego dobra. – To mówiąc, zamknęła za sobą drzwi.

Radosne podniecenie, które przepędziło Caleba przez ostatnich kilka godzin, nagle zniknęło. Odrzucił kołdrę i zobaczył na swojej skórze gęsią skórę. Już się w coś wplątał i był chyba jedyną osobą pamiętającą, co

stracili. Żaden prezent, żaden konik z lśniąca grzywą nie cofnie czasu. Nie mógł stać się na powrót małym chłopcem, bo matka tak chciała. Założył kapelusz i rękawiczki, mimo że były na nich ślady krwi, i wyszedł z hotelu, nie czekając, aż wróci matka.



## Rozdział 10

Caleb skradał się, idąc grzbietem wzgórza. Po lewej ciągnął się ciemny, bezkresny las, za sobą chłopiec miał miasteczko Watersbridge. Śnieg częściowo stopniał i zamarzył ponownie, tworząc lśniąca lodową tafłę. Od podmuchów wiatru cierpła skóra, tam, gdzie były skaleczenia, Caleb czuł szczypanie, tam, gdzie siniaki – pulsujący ból. Spodziewał się, że jego obecność zdradzą szczekanie psa albo ryk krów, ale wokół panowała cisza. Grzbiet przed nim wił się jak ogon śpiącego psa i prowadził do gospodarstwa Shane'a.

Caleb nie posłuchał matki, poszedł wcześniej do Elm Inn i wypytał Ethana o Martina. Ethan powiedział mu, że Shane'owie rzadko ruszają się z domu. Podejrzliwie przyglądał się obitej twarzy Caleba, z natury tak samo niechętnie zadawał pytania, jak i na nie odpowiadał. Caleb powiedział, że chyba kiedyś przechodził obok domu Shane'ów, na co zgodnie z oczekiwaniem Ethan odparł:

– Wątpię. Oni mieszkają daleko za miastem.

Po krótkich namowach Ethan dał mu wskazówki, jak tam dotrzeć, i zakończył, mówiąc lekceważącym tonem:

– Nazwali drogę prowadzącą do ich farmy „Shane Road” dlatego, że nikt inny jej nie używa.

Teraz, idąc tą drogą, Caleb zastanawiał się, czy nie nosi ona również jego nazwiska.

Dotarł wreszcie do miejsca, z którego zobaczył cały dom, nie tylko zamazany kontur pomiędzy pniami drzew: wymyślnie rzeźbione okapy, zdobione drzwi i podwórko z licznymi kamiennymi figurami zwierząt, okrytymi teraz pelerynką zamarznętego śniegu.

Jakaś sylwetka mignęła w oknie i Caleb wstrzymał oddech. Kiedyś spadł ze szczytu drabiny prowadzącej na strych, znosząc w pośpiechu wiadro z sianem. Myślał wtedy, że umrze, że popękały mu płuca. Tam miało to swoją przyczynę – upadek z wysokości. A tu wystarczył jakiś cień, który mignął w żółtym blasku bijącym z okna szybko i niepostrzeżenie, jak przelatujący nietoperz, żeby ścisnęło go w krtani, jakby znów wpadł w łapy Gerry'ego. Uniósł nieco kapelusz, żeby schłodzić rozcięte czoło. Kłujące igiełki mrozu otrzeźwiły go. Znów poczuł sosnowy zapach, usłyszał trzepot skrzydeł sowy. Wysoko nad jego głową szumiały na wietrze korony drzew.

Caleb miał wrażenie, że całe powietrze nerwowo drży.

Podszedł bliżej. Nie słyszał szczekania, co upewniło go, że Shane'owie nie mają psa. Poruszał się na czworakach, jak pająk, i wyobrażał sobie ich miny, kiedy rano zobaczą pod swoim domem dziwne ślady. Światło padające z okien w drugim końcu domu było jaśniejsze. Poszukał lepszego punktu obserwacyjnego. Przedarł się przez sterczące z zasp gęste krzaki. Przecisnął się przez gęstwiny i pobrudził sobie żywicą płaszcz, kapelusz i rękawice. Wreszcie pośród sosen smołowych znalazł odpowiednie miejsce, w którym sam był niewidoczny, a z którego miał dobry widok na dom. Podszedł tak blisko, że czuł zapach palącego się drewna. Klęcząc na miękkim dywanie z igliwia i szyszek, widział trzy osoby. Początkowo wszystkie były odwrócone do niego plecami, ale po chwili czyjaś zwalista sylwetka usunęła się na bok, odsłaniając siedzącego przy stole Martina. Martin uderzył pięścią w siedzisko krzesła i rzucił coś z obrzydzeniem, ale co, tego Caleb nie wiedział. Drugi mężczyzna usiadł obok. W przeciwieństwie do Martina miał ciemne, kręcone włosy i patykowate kończyny. Caleb przysiadł na piętach. Zaczął odczuwać chłód. Trzecia postać siedziała naprzeciw Martina, sądząc po koku i błyszczących wsuwkach we włosach, była to kobieta. Ona i ciemnowłose siedzieli ze złożonymi rękami i pochylonymi głowami. Modlili się. Tymczasem Martin trzymał już w rękach sztuce. Fakt, że Martin nie uczestniczył w rodzinnej modlitwie przy stole, sprawił, że Caleb wypowiedział na głos dwa słowa, jakby chciał sprawdzić, jak one zabrzmiały, czy dobrze się komponują:

– Caleb Shane.

I zaraz zatkał sobie usta dłonią. Cała trójka zajęta była posiłkiem, a Caleb zastanawiał się, która może być godzina. Po drodze stracił poczucie czasu i nie wiedział, czy noc właśnie zapada, czy może się kończy.

Padał gęsty śnieg. Inaczej niż w Watersbridge, gdzie wiatr od jeziora sprawiał, że śnieg zaciął jak deszcz, tu płatki spadały powoli, wirując w powietrzu. Caleb nie dostrzegł niczego, co pozwoliłoby mu wierzyć w prawdziwość historii Martina Shane'a. Nikt nie mrugnął nawet okiem, kiedy Martin cisnął czymś o ścianę. Wszyscy zdawali się trzymać w bezpiecznej odległości od niego. Najwyraźniej w trakcie posiłku jedyne dźwięki wydawały noże przesuwane po talerzach i łyżki dzwoniące o dno misek. W kuchni było równie przytulnie i rodzinnie jak w restauracji. Caleb poczuł znowu troskliwy dotyk Elspeth, delikatność, z jaką oczyszczała jego rany z krwi. Wspomnienia z całego jego życia podpowiadały mu, że był głupcem, słuchając wynurzeń tego szaleńca Martina. Miasto wchłonęło

Caleba, a potem wypluło, zdezorientowanego i skołowanego. Oczywiście, że Elspeth była jego matką. Prosząc go, żeby nie szedł do Elm Inn, zrobiła tak, jak matka powinna postąpić. Wcześniej nie było takiej potrzeby.

Posiłek się skończył. Kobieta podeszła do zlewu pod oknem. Miała takie same jak Caleb włosy, oczy, usta. Jakby ktoś zdjął z niego skórę i nałożył ją na tę kobietę niczym woalkę. Chłopiec przeciągnął palcami po swojej twarzy, jakby chciał się upewnić, czy nikt mu jej nie ukradł. Chwycił się wiszącej przed nim gałęzi i podciągnął. Kobieta zbliżyła twarz do okna i przycisnęła dłoń do szyby, żeby coś zobaczyć. Caleb wypuścił gałąź z rąk i runął na plecy. Nie był w stanie oderwać oczu od tego domu, a jednocześnie chciał stamtąd jak najszybciej uciec. Kobieta powiedziała coś i do okna podeszedł Martin. Szyba pokryła się mgiełką ich oddechów. Caleb pomyślał, że Martin być może krzyczy. Gałęzie smagały chłopca po twarzy, kaleczyły ręce. W końcu wy dostał się z gęstwiny i ruszył biegiem na wzgórze.

Drzwi domu Shane'ów otworzyły się z hukiem i w progu stanął Martin oraz drugi mężczyzna. Caleb stanął w miejscu. Martin trzymał w zagięciu łokcia złamaną strzelbę i przypalał papierosa, osłaniając dłonią ogień przed wiatrem. Jego towarzysz cofnął się do wnętrza i wrócił z karabinem. Caleb sięgnął po swojego colta. Światło z otwartych drzwi nie padało daleko, mrok powinien ukryć ślad prowadzący wprost do niego. Taką miał przynajmniej nadzieję. Śnieg właściwie przestał sypać. Wyłonił się skryty dotąd za chmurami księżyc i oświetlił ścieżkę prowadzącą na szczyt grzbietu. Caleb próbował zmusić się do biegu, chciał wdrapać się na grzbiet i uciec w kierunku miasta, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Siedział w kucki i drżał. Z czoła, małżowin usznych i czubka nosa spływały mu krople potu. Szczypały w miejscach, gdzie były skaleczenia. Kiedy był mały, zanim chłopcy i dziewczęta podzielili się na grupy, bawili się wspólnie w chowanego i Caleb zawsze ukrywał się w tych samych miejscach. Patrzył potem zza desek zagrody dla owiec albo zza sterty drewna na buty Amosa, Jessego i Mary, którzy bez wahania zbliżali się, wiedząc, gdzie jest. Kiedy byli już blisko, nie wytrzymawał i zaczynał uciekać. Amos złościł się najbardziej, że Caleb psuje całą zabawę.

Martin kopał butem w śniegu. Mężczyźni rozmawiali, od czasu do czasu wybuchali śmiechem, poszturchiwali się i wskazywali miejsce, gdzie ukrywał się Caleb. Martin zatrasnął zamek strzelby, a tamten drugi załadował karabin. Odbezpieczyli broń i bez pośpiechu ruszyli w stronę sosnowego gąszczy. Zbliżali się do śladów, które Caleb pozostawił w śniegu.

Uświadomił sobie, że kiedy na nie natrafią, zmienią zamiary. Przyłożą broń do ramion i nie spoczną, dopóki go nie zabiją. Nie był w stanie wyprostować kolan. Znów poczuł się, jak mała, bezbronna istota, która przez dziurę w ścianie patrzy na wykrwawiającą się na śniegu siostrę.

Tamtych dwóch dzielił od jego śladów metr. Caleb czuł w powietrzu zapach tytoniu i wiedział, że wkrótce zmiesza się on z metalicznym zapachem prochu. Martin uniósł strzelbę. Ten drugi stanął na śladach chłopca i dopiero wtedy Caleb zerwał się na równe nogi i pobiegł pod górę. Nie oglądając się za siebie, strzelił na oślep. Przerażony, chwycił się małego dębu i próbował podciągnąć, wbijając buty w kopny śnieg w poszukiwaniu oparcia. Jego stopa natrafiła wreszcie na jakiś kamień i odbijając się od niego, ruszył przed siebie. Chwytał się wszystkiego, byleby szybciej wdrapać się na grzbiet. Obejrzał się. Jego chusta wisiała na gałęzi drzewa jak stryczek, widoczna z daleka w świetle lamp. Wbił palce w zlodowaciały śnieg. Natrafił na pień wiązu, znalazł w nim punkt podparcia i już był na grzbiecie. W tej samej chwili padł strzał. Kula uderzyła w drewno, zasypując go drzazgami.

Widok prostej ścieżki dodał mu sił w nogach i Caleb swobodniej zaczerpnął powietrza. Słyszał krzyki i dźwięk repetowanej broni. Na szczęście gęstwina i strome zbocze nie dawały tamtym dwóm szans na oddanie celnego strzału. Mogli liczyć wyłącznie na łut szczęścia. Poślizgnął się, upadł i szybko wstał. Ścieżka prowadziła teraz lekko w dół. Kiedy znalazł się za zakrętem, usłyszał kolejny strzał i suche uderzenie kuli wbijającej się w pień brzozy. Nagle krzyki ścigających go ludzi stały się głośniejsze; musieli znać jakiś skrót. Ścieżka skręciła, a on pobiegł wzdłuż linii drzew. Przyzwyczyił się już do przebywania we wnętrzach, do ciepłej, zamkniętej przestrzeni Elm Inn, i lodowate powietrze niczym ostre odłamki szkła rozrywało mu teraz płuca. Nie wiedział, jak daleko są ścigający go ludzie, ale nie ośmielił się obejrzeć za siebie. Słyszał za to głosy Amosa i ojca, jak rozmawiają o polowaniu na jelenie i wiewiórki, o tym, że w ciemności wystarczy celować między błyszczące oczy albo w futro lśniące w świetle księżyca.

Biegł coraz bardziej rytmicznie. Dawno już nie słyszał świstu kul. Śnieg ciągle padał. Caleb miał nadzieję, że mężczyźni wrócili po konie, a w tym czasie śnieżny puch zatrze jego ślady.

Zbliżał się do miasta. Spomiędzy drzew prześwitywał blask lamp, po lesie niosły się odgłosy dochodzące z Elm Inn. Wyobraził sobie, że jest bratem bliźniakiem Londona White'a, człowiekiem mieszkającym samotnie

w lesie. Sprawili sobie psa i konia i w zimne noce kładłby się do snu pomiędzy nimi. Wcale nie tęskniłby za ludźmi. Zasapał się i przestał biec. Wschodzący księżyc skrył się za chmurami. Płatki leniwie spadały na ziemię. Ścieżka była tu szersza. Szedł teraz w koleinach wyżłobionych przez furmanki. Nie było tu żadnych wystających z ziemi kamieni, o które mógłby się potknąć. Tak, tutaj trudno będzie odszukać jego ślady. Odgłosy były coraz wyraźniejsze. Rozróżniał już śmiechy i krzyki. Ale usłyszał coś jeszcze. Przystanął i wsłuchał się uważnie. Jakiś głuchy łomot. Podbiegł prędko do skraju lasu, rzucił się na ziemię i skrył pod pniem zwałonej sosny. W płucach czuł ogień, ale nie ośmielił się zakaszleć, bo tętent końskich kopyt był już blisko. Szczupły mężczyzna z domu Shane'ów, ten o kręconych włosach, stanął w strzemionach i szukał na ziemi śladów. Caleb wcisnął się głębiej pod zwałony pień. Od ziemi bił nieprzyjemny chłód. Odgłos wydawany przez końskie kopyta ucichł, ale po chwili powrócił. Caleb bardzo powoli sięgnął po broń. Dłoń mu zdrętwiała z zimna, a że była spocona po forsownym biegu, rewolwer wyslizgnął mu się z ręki. Tego odgłosu nie mógł pomylić z żadnym innym: mężczyzna zeskoczył z końskiego grzbietu. Caleb zaczął w panice szukać broni. Zanurzył ręce w sypkim śniegu. Mężczyzna zapalił zapałkę. Krótki błysk, potem mdłe światło. Kilka sekund i syk zapałki rzuconej w śnieg. Kolejna zapałka. Caleb wstrzymał oddech. Tamten mężczyzna również.

Wreszcie udało mu się znaleźć rewolwer. Ale lufa zahaczyła o igły i poruszyła gałęzią, z której oderwał się z głośnym trzaskiem sopel lodu.

– Wyłaź! – rozkazał mężczyzna.

Caleb uniósł lekko głowę, próbując wyznaczyć linię strzału. Ale zanim się wychylił, mężczyzna strzelił i z gałęzi spadły czapy śniegu. Caleb mógł odpowiedzieć ogniem, ale musiałyby mieć mnóstwo szczęścia, żeby trafić przeciwnika, zanim tamten naszpikuje miejsce jego kryjówki ołowiem.

– Wychodzę! – odkrzyknął Caleb. – Proszę, nie strzelaj. Jestem jeszcze dzieckiem. – Zdążył już o tym zapomnieć w ciągu kilku ostatnich tygodni i teraz poczuł ulgę. Żałował, że nie miał przy sobie prezentu od matki, który byłby niezbitym dowodem na jego prawdomówność. Miał ochotę jeszcze raz powtórzyć, że jest tylko chłopcem.

– Najpierw oddaj broń!

Caleb rzucił rewolwer na śnieg, a mężczyzna kopnął go gdzieś. Caleb opuścił rondo kapelusza na oczy. Ten człowiek nie mógł zobaczyć jego twarzy, nie mógł zobaczyć w nim tamtej kobiety. Kiedy Caleb wyczołgiwał się spod pnia, mężczyzna cały czas w niego celował. Miał bliźnę pod nosem

i w tym miejscu brakowało zarostu.

– Dlaczego nas szpiegujesz?

Caleb oderwał kawałek żywicy, który przywarł do jego płaszcza.

– Nie obchodzi mnie, że jesteś dzieciakiem, wpakuję ci kulkę między oczy. A teraz mów, dlaczego nas szpiegujesz? – Caleb nie odpowiedział i mężczyzna uderzył go wierzchem dłoni. Chłopiec upadł na ziemię, z głowy spadł mu kapelusz. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że wyraz twarzy mężczyzny uległ zmianie. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na śniegu przed Calebem, który uniósł się na łokciach.

– To ty...

Zaniepokojony hukiem wystrzałów koń nerwowo przebierał kopytami i szarpał się, trzymany za lejce przez Shane'a. Kiedy ten wypuścił je z dłoni, koń nie uciekł; cofnął się tylko kilka kroków, załomotał jeszcze kilka razy kopytami w ziemię, potrząsnął grzywą i uspokoił się.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł Caleb. Nie chciał być chłopcem od Shane'ów. Nie miał nawet czasu zastanowić się, co by to oznaczało i jak to jest mieć dwie matki.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Podniósł się niepewnie.

– Ale dlaczego do nas strzelałeś?

– Nie wiem. – Nie chciał się przyznać, że ze strachu.

– Mam na imię Paul. – Pomógł Calebowi wstać, a potem chwycił go za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Caleb poczuł zapach duszonej wołowiny. – Chyba to zgubiłeś – powiedział Paul i owinął mu wokół szyi chustę. – A co się stało z twoją twarzą?

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz.

Paul znalazł colta, wytarł go ze śniegu, okręcił wokół palca i oddał Calebowi. Odzyskawszy broń, Caleb poczuł się pewniej.

– Wracam do domu, do mojego ojca.

Paul owinął wodze wokół nadgarstka.

– Możesz iść, jeśli wyświadcysz mi przysługę – powiedział. Caleb czekał prawie minutę na dalszy ciąg. W palcach zaciśniętych na rękojeści colta czuł pulsowanie krwi. – Chodź do naszego domu. Usiądź i zjedz z nami kolację.

– A jeśli wyjadę z miasta z ojcem i nigdy więcej tu nie wrócę? – To powiedziawszy, Caleb zatknął rewolwer za pasek i ruszył ścieżką w stronę miasta.

Za plecami usłyszał skrzypienie końskiego siodła, na którym usadowił się Paul.

– To nie jest twój ojciec – doleciał jego uszu głos Paula.

Caleb przyspieszył kroku. W głowie miał istną gonitwę myśli. Nie panował nad nimi, nie potrafił żadnej zrozumieć. W końcu przestał próbować.

## Rozdział 11

Za kościołem nieopodal cmentarza, pod jasnoszarym brezentem, leżały ciała tych, którzy zginęli przygnieci w chłodni. Elspeth oceniała rozmiar i wzrost leżących, próbując znaleźć cerowane skarpety i stopę bez buta, należącą do dzieciaka, który miał przy sobie kartkę z wiadomością. Bez przerwy musiała sobie przypominać, że Caleb też jest tylko chłopcem, zaledwie chłopcem. Jego bezwłose ciało było takie blade w wannie, jego ramiona i nogi takie chude, i na dodatek te sterczące żebra. Spalił ciała jedynej rodziny, jaką miał, a przedtem przez kilka dni żył pośród zwłok. Wykazał się odwagą, chcąc ich pomścić, a kiedy otworzył drzwi spiżarni, okazało się, że strzelał do niej. Nie potrafiła sobie tego wszystkiego wyobrazić. Nie dawało jej spokoju, że nawet nie spróbowała. Jeszcze kilka godzin wcześniej liczyła pieniądze, gotowa uciec i zamienić Caleba na inne dziecko. Teraz złość na niego za to, że wyszedł z hotelu wbrew jej woli, wyparowała.

Brezent przytrzymały położone w odstępach kamienie, ale wiatr szarpał płachtami, czyniąc potworny hałas. Słyszac ten dźwięk, niektórzy mężczyźni drżeli z trwogi. Wciąż mieli przed oczami tragiczny wypadek. Spoglądali rozbieganym wzrokiem, unikali patrzenia na siebie nawzajem.

– Straszne – powiedział jeden.

Elspeth przyznała mu rację.

– Synowie i ojcowie, co za tragedia – dodał.

Elspeth schyliła się i poprawiła leżący na brezencie kamień.

– Dokąd idziesz w tę straszną, zimną noc, przyjacielu? – Mężczyzna sięgnął pod połę eleganckiego, drogiego futra, wyjął zegarek i zaczął go nakręcać.

– Sam nie wiem – odparła Elspeth. – A ty?

Zegarek wraz z dłonią zniknął pod połami futra.

– Prawdę mówiąc, szukam ciebie.

Elspeth sięgnęła po pistolet.

– Nie ma potrzeby – uspokoił ją. – Twój chłopak od jakiegoś czasu dla mnie pracuje, chyba wiesz o tym.

Odpowiedziała, że wie. Starła się mówić niskim głosem. On uśmiechnął się szeroko.

– Słyszałem, że nosicie różne nazwiska. On nazywa się Howell, a ty van



Tessel.

Elspeth zastanawiała się, czy go nie zastrzelić i nie zostawić zwłok razem z ciałami mężczyzn z chłodni. Nie była jednak pewna, co ten człowiek ukrywa pod futrem, i to nie dawało jej spokoju. Nie mogła pozostawić Caleba samego. Nie po tym wszystkim, co zrobiła.

– Jego matka – wyjaśniła – pracowała dla rodziny van Tesselów i pomyślałem, że takie nazwisko coś pomoże. Może otwierać drzwi.

Mężczyzna zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Poruszał głową w przód i w tył, ale ani na chwilę nie spuścił z Elspeth wzroku.

– Cóż – powiedział w końcu – wszyscy robimy, co się da, żeby sobie pomagać. – I znowu uśmiechnął się, jakby odkrył coś zabawnego. – Caleb to dobry chłopak. I nikogo ani niczego się nie boi, prawda?

– Tak – odparła Elspeth. – Jest wszystkim, co mam.

Niespodziewanie i błyskawicznie wyciągnął rękę spod poły i odchylił jej kapelusz z czoła. Nim Elspeth zdążyła zareagować, jego ręka zniknęła pod futrem. Wszystko stało się tak szybko, że przez chwilę wątpiła, czy wydarzyło się naprawdę. Z ust mężczyzny znikł uśmiech. Elspeth czuła jego zapach, ciepły, egzotyczny.

– Chciałem cię zobaczyć – powiedział. – To wszystko. – Przemawiał do niej podejrzenie spokojnie. – Jeśli będziesz miał kiedyś ochotę zagrać, drzwi Elm Inn są dla ciebie zawsze otwarte, Jorahu Howell. – Odwrócił się na pięcie.

Zaczekała, aż ucichnie odgłos jego kroków, a potem rzuciła się do biegu. Wszystko w niej krzyczało, żeby ukraść dziecko i wyjechać z miasta. Znała dobrze ten stan, ową nieodpartą potrzebę. Dodawała jej skrzydeł, dawała siłę. Buty mieszkańców Watersbridge, wszystkich tych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy pobiegli na miejsce wypadku, a potem wrócili do swoich domów, kompletnie oczyściły ulice ze śniegu. Minęła cmentarz i zaczęła wspinać się na wzgórze. Zdyszała się i przystanęła. Widziała stąd zamarznąłą tafłę, szarą nicość pochłaniającą światło. Nad powierzchnią jeziora przetaczały się śnieżne tornada. Odetchnęła kilka razy głęboko, wypowiedziała na głos imię Caleba i przywołała z pamięci jego obraz. Zdjęła but, wyciągnęła z kieszeni pieniądze i wcisnęła je głęboko do buta. Zawiązała sznurowadło i postukała kilka razy podeszwą o lód, żeby banknoty dobrze się ułożyły. Echo niosło odgłos stukania po jeziorze.

Znalazła się po drugiej stronie cmentarza i skierowała na północ. Skreśliła w wąską uliczkę z wysokim do kolan kamiennym murkiem po obu stronach. Murek z jednej strony był ośnieżony, po drugiej stronie wiatr

zdmuchnął śnieg. Uliczka kończyła się ścieżką prowadzącą wzdłuż jeziora. Elspeth czuła, jak chłód pełznie po jej nogach. Przy uliczce, którą Charles określił jako swoją, stał tylko jeden dom. Pośrodku budynku znajdowało się jedno duże okno, a z każdego boku po dziewięć. Trzy na każdym z trzech pięter. Pomiedzy oknami i klatkami schodowymi pełno było dziwacznych podestów, werand i balkonów. Dom otaczało drewniane rusztowanie. W progu szerokich frontowych drzwi pojawił się jakiś człowiek. Miał spuszczoną głowę, podniesiony wysoko kołnierz, ręce wciśnięte głęboko w kieszenie.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał.

Elspeth rozpoznała go w ułamku sekundy. To był Owen Trachte. Stała tuż przed nim, bliżej niż kiedykolwiek dwanaście lat temu, i mimo że miał na głowie kapelusz, a na twarzy chustę, widziała, jak obszedł się z nim czas.

– Czy mieszka tu Charles Heather?

– Jesteś jego znajomym?

– Pracowałem z nim.

– Kolejny kolega z pracy. – Owen powiedział, że nie widział Charlesa cały dzień. Zapytał, czy Elspeth była świadkiem wypadku.

– Widziałem, co działo się później.

– Tragedia – zgodził się Owen Trachte. – Czy my się tam widzieliśmy?

Elspeth naciągnęła chustę wyżej na twarz.

– Raczej nie.

Wyciągnął rękę i przedstawił się. Elspeth uścisnęła jego dłoń, zadowolona, że ma rękawiczki. Nie wiedzieć czemu obawiała się, że Owen, ściskając jej nagą dłoń, rozpoznałby ją po dotyku.

– Idę do tawerny – wyjaśnił Owen. – Może tam znajdziesz Heathera.

– Jesteś pewny, że nie ma go w domu?

Owen wskazał ciemne okno w górnym narożniku budynku.

– Jeśli jest, to śpi. – Wbił but w śnieg i uniósł ramiona, jakby chciał wcisnąć się głębiej w swój płaszcz. – Idziesz ze mną?

– Zaczekam jeszcze chwilę. Może zaraz wróci.

– Jak uważasz. Ale nie czekaj zbyt długo, bo będę cię musiał potem odskrobywać z lodu.

Elspeth roześmiała się, w pierwszej chwili wysoko, po kobiecemu, ale szybko się zreflektowała. Oboje zdali sobie sprawę z niestosowności tego żartu. Ona życzyła Trachtemu miłego wieczoru, a on ruszył w stronę miasta.

W oknie była tabliczka POKÓJ DO WYNAJĘCIA. Przybita do ściany metalowa skrzynka miała dwanaście przegródek, na każdej drobnym

maczkiem wykaligrafowano nazwisko. Elspeth zrobiła kilka kroków w tył i próbowała odgadnąć, które schody prowadzą do którego pokoju, który podest należy do którego lokatora. Po dłuższym zastanowieniu wspięła się po schodach na jeden podest, potem na drugi, aż wreszcie stanęła przed pogrążonym w ciemnościach oknem Charlesa Heathera. Uniosła zaciśniętą w pięść dłoń, żeby zastukać do okna, i wówczas spłynął na nią spokój. Charles jej pomoże. Sam miał tyle problemów, że powinien okazać zrozumienie dla historii, którą zamierzała mu choćby w części opowiedzieć. Doradzi jej, co począć z szefem Caleba, który chyba wie o niej wszystko, a o dziecku, które chowała jak własne, jeszcze więcej. Znali z Charlesem tyle swoich sekretów, że nie powinien jej odprawić.

Zobaczyła swoje odbicie w szybie i przekonała się, jak bardzo zmieniła się jej sylwetka. Miała opuszczone ramiona, była przygarbiona, stała w rozkroku. Sama nie wiedziała, czy powinna być z siebie dumna, czy zacząć się bać. Stukała w okno długo, ale bez skutku.

Zeszła po skrzypiących drewnianych schodach na dół i ruszyła śladem Owena w kierunku miasta i zatłoczonych ulic. Potrzebowała teraz obecności ludzi, a przecież tak niedawno szła wieczorami w pola żeby uciec przed gwarem dziecięcych głosów. Dotarła do restauracji, w której było tak ciepło, że szyby nie tylko zaparowały, ale płakały rzęsimymi łzami. Już miała otworzyć drzwi, kiedy otworzyły się same, a ze środka wytoczyła się na ulicę gromada ludzi.

Gdzieś ze środka podchmielonej gromady dobiegł ją głos Charlesa, nieco bełkotliwy, ale w miarę przytomny.

– Nie miałem złych zamiarów – zawołał. – To był dla wszystkich ciężki dzień.

Elsbeth przypatrywała się gromadce zataczających się na śniegu. Czyjś jeden gwałtowny ruch i Charles po raz drugi w odstępie kilku godzin wylądował na ziemi. Leżał skulony w śniegu. Elspeth podeszła, żeby znaleźć się bliżej Charlesa. Kiedy przyglądała się kilku klientom, którzy mieli wciąż jeszcze zatknięte pod brodami serwetki, Charles wstał. Jego lewy policzek był pokiereszowany przez drobniutki lód. Na głowie Charlesa wykwitł pokaźnych rozmiarów guz.

– Chciałem tylko znaleźć partnera – wystękał.

– Już ci wszystko wytłumaczyliśmy – odezwał się kucharz, zdejmując fartuch.

– Nie chciałem nic złego – odparł Charles. Nie miał na głowie kapelusza, a rudą czuprynę oblepiał śnieg.

– Żebyś się nie ważył... Nie pokazuj się tu więcej.

Charles na zmianę zatykał nozdrza palcem, smarkając krwią. Uśmiechnął się, ukazując rząd zabarwionych na czerwono zębów.

– Może ty chciałbyś ze mną pracować?

Kucharz rzucił się na Charlesa. Podobnie pozostali stojący w pobliżu mężczyźni. Szybkość, z jaką zaatakowali, zaskoczyła Elspeth. Dopiero sekundę później rzuciła się na odsiecz. Szarpała ubrania napastników, chwyciła za wszystko, na oślep, byleby dotrzeć do nieszczęśnika.

Dostrzegła, jak Charles próbuje wydostać się z tłumu, i wrywa serwetę zatkniętą za flanelowy kołnierzyk jednego z mężczyzn. Chwycił serwetę obiema rękami za przeciwległe końce, owinał ją wokół szyi kolejnego mężczyzny i mocno zacisnął. Potem odchylił się, a mężczyzna, facet słusznych rozmiarów i wagi, runął do tyłu, przygniatając go. Mężczyzna zaczął wierzgać nogami. Jego twarz, wcześniej rumiana, teraz spurpurowiała, a z gardła wydobywał się tylko bulgot.

Jeden z mężczyzn złapał za serwetę. Drugi uniósł but nad twarzą Charlesa. Zanim go opuścił, Charles utkwiał zimne spojrzenie w Elspeth. Poczulią biegnący wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Ciężki bucior opadł. Rozległ się przerażający trzask i usta Charlesa zmieniły się w krwawą miazgę. Podduszony mężczyzna przetoczył się na bok, kaszląc głośno. Wszyscy pozostali otoczyli Charlesa kręgiem i w ruch poszły ręce, nogi, pięści, stopy.

Elspeth rzuciła się, ponownie próbując odciągnąć napastników od Charlesa, ale byli tak zapamiętali, że nie dała rady.

– Zabijcie go! – krzyknęła. Ale mężczyźni to nie powstrzymało. Jeszcze raz spróbowała wepchnąć się między nich, ale oberwała łokciem w nos. Rozległ się suchy trzask, jej głowa zatrzęsała się, a ona upadła na plecy. Do oczu napłynęły jej łzy. Przez chwilę widziała gwiazdy, które szybko eksplodowały jak fajerwerki.

Rozległ się wystrzał. Ale to nie przyniosło efektu. Dopiero po drugim strzale mężczyźni znieruchomieli, puścili nieszczęśnika, obciągnęli koszule i zaczęli wycierać zakrwawione pięści o spodnie. Dyszeli ciężko, z ich ust wydobywały się kłęby pary, które znikwały w powietrzu niczym gasnące robaczki świętojańskie. Owen Trachte opuścił dłoń, w której trzymał pistolet z dymiącą jeszcze lufą. Potrząsnął gwałtownie i groźnie głową i cała banda napastników, mamrocząc pod nosem z niezadowoleniem, wróciła do restauracji.

– Widzę, że go znalazłeś – powiedział Owen, kiedy za tamtymi zamknęły się drzwi.

Elspeth starła krew z twarzy, sporo krwi wypłuła też na śnieg. Spływała jej z nosa do gardła. Razem podnieśli Charlesa. W oddechu Owena wyczuła alkohol i stanął jej przed oczami jego ojciec pijący w swoim gabinecie, rozparty w fotelu, z nogami na parapecie okiennym. Charles miał obitą, opuchniętą twarz. Każdemu oddechowi towarzyszył głośny gwizd. Albo zimno było tak przenikliwe, że Elspeth przestała je już odczuwać, albo kończyła się noc. Spojrzała na niebo, ale na wschodzie między gałęziami drzew nie dostrzegła żadnych oznak zbliżającego się dnia.

Owen obmacał Charlesa, sprawdzając, czy jest cały. Najpierw jedno ramię, potem drugie, dalej łopatki i obojczyki, tułów i nogi.

– Ma złamaną szczękę i prawdopodobnie kilka żeber – zawyrokował. Następnie przyjrzał się Elspeth. – Obaj nieźle oberwaliście. – Zmrużył oczy i ścisnął kciukami oba boki jej nosa. A następnie mocno pociągnął w dół. Jej ciało przeszył ból. Owen poklepał ją po ramieniu i wskazał palcem swój bulwiasty nos. – Ja też swoje przeżyłem. – Elspeth przypomniała sobie wrzaski rozjuszonego Owena i jego kolegów, wycie i bojowe okrzyki, kiedy na siebie nacierali, a potem jęki i płacze, szafkę pełną bandaży, których zapas trzeba było uzupełniać co kilka miesięcy zimą i co kilka tygodni latem.

– Dzięki – powiedziała.

Owen schylił się, zebrał z chodnika garść śniegu, ulepił kulę, owinął ją chusteczką i wręczył Elspeth, która przyłożyła ją do nosa.

– Krwotok zaraz ustanie – powiedział. – Ale pewnie przez kilka dni będzie cię bolała głowa. – Uniósł Charlesa i zarzucił go sobie na ramię. Zgięty wpół, Charles jęknął cicho.

– Będiesz go tak niósł, mimo że ma połamane żebra?

– Nikt inny tego nie robi – odpowiedział Owen i ruszył w kierunku domu. Chociaż nie była pewna, czy sobie tego życzył, Elspeth dogoniła go i zrównała z nim krok. Nie mogła się powstrzymać. Miała wielkie poczucie winy wobec Caleba. Poza tym zastanawiała się, czy Phillip Trachte nie zapił się na śmierć, ponieważ ukradła noworodka.

– Sam się nauczyłeś nastawiać złamany nos? – zapytała.

– Nie – odparł. Wyjął z kieszeni papierosa i zapalił, zanim Elspeth zdążyła podać mu ogień. Zajęło mu to mniej czasu, niż jej zajmowało zasznurowanie butów. – Mój ojciec był lekarzem.

Nie wiedziała, jak mu się to udaje, ale trzymając papierosa w ustach, zaciągał się jednym kącikiem, a dym wypuszczał drugim.

– Umarł?

– Tak. Nauczył mnie więcej, niż chciałem wiedzieć. Był moim jedynym przyjacielem, kiedy dorastałem. – Elspeth ledwie się powstrzymała przed zadaniem mu pytania o chłopca, który wybił mu ząb. – Miałem sześć, może siedem lat i bardzo się bałem jeździć konno. I on stawał na czworakach, a ja go dosiadałem, i w ten sposób ćwiczyliśmy. Potrafił nawet wierzgać i unosić zad. Przygotował mnie na wszystko. – Charles jęknął głośno na jego ramieniu. – Czym tak, chłopcy, wkurzyliście tamtych facetów?

– Sam nie wiem.

– Wygląda na to, że całą złość wyładowali na Heatherze. – Poprawił sobie Charlesa na ramieniu. – Ale on zawsze mocniej obrywa.

Elspeth nie skomentowała tej uwagi.

– Obudzę doktora – powiedział Owen, kiedy w zasięgu wzroku pojawił się ich dom.

– A sam nie dasz rady? – zapytała. – Przepraszam, to było niegrzeczne. Chodziło mi o to, że... przecież nastawiłeś mi nos i widziałem cię dzisiaj w chłodni...

– Obawiam się, że więcej nie mogę dla niego zrobić. Mogę go co najwyżej pozszywać, ale to wszystko. – Owen wypluł kawałek tytoniu, który przykleił mu się do języka. – Doktor mieszka na dole. Zwykle zajmuje się zwierzętami, ale odbył praktykę u mojego ojca. – Pstryknął niedopałkiem. – Mam do niego zaufanie.

– To ja chyba już wrócę – powiedziała Elspeth.

Owen pomachał jej mięsistą dłońią. Wracała tą samą drogą, którą przyszła. Stąpała po bryłkach lodu i stwardniałych od mrozu odciskach butów innych ludzi. Znowu zrobiło się zimno, ale Elspeth była pewna, że mróz tej nocy trzymał cały czas.

## Rozdział 12

Elsbeth poczuła pieczenie w ręce. Wyjęła ją z kieszeni. Była jak kamień, zimna i ciężka, jakby nie należała do człowieka. Skóra była pościerana, a dłoń tak opuchnięta, że rozcięcia wyglądały jak górskie grzbiety ze spływającymi rzekami krwi. W trakcie awantury Elspeth straciła kapelusz. Zauważyła to dopiero teraz, przystanąła pod sklepem rzeźnika, gdzie na wystawie wisiały świńskie tusze i gęsi, i zaczęła się rozglądać, jakby tu go właśnie zgubiła. Po bójkę bolały ją płuca i mięśnie, gołą głowę smagał zimny wiatr, a w uszach wciąż dzwoniło po kanonadzie Owena. Przed hotelem omal nie zderzyła się z nadchodzącym z przeciwka Calebem. Nocną ciszę zakłócały tylko odgłosy ich kroków. O porze, która przestawała być już późna, a stawała się wczesna, nikt inny nie włączył się po mieście. Zdawało się, że są ostatnimi żywymi duszami na ziemi. Elspeth objęła chłopca i z całych sił przytuliła do siebie.

Caleb nie mógł pojąć, dlaczego po tym, jak zlekceważył jedyną zasadę, jaką jego matka mu narzuciła, akurat teraz obdarza go aż taką czułością. Zupełnie jakby wiedziała, gdzie był i co widział. Długo zbierał się na odwagę, żeby zadać jej wszystkie nurtujące go pytania, ale teraz, kiedy trzymała go w swoich objęciach, odwaga ulotniła się nagle. Caleb unikał spojrzenia Elspeth.

– Znalazłeś coś? – zapytała. I obejrzała się przez ramię, jakby trójka morderców stała tuż za nimi. Zauważyła w jego dłoni broń i poklepała go po nadgarstku, zachęcając do schowania jej. Nie zrobił tego.

– Co się stało z twoim nosem? – zapytał, kiedy dostrzegł w bladym świetle opuchliznę. Wyglądała staro. Ostatnio czas nie był dla niej łaskawy. Caleb widział zmarszczki, jakie wyryło w jej skórze ciągle napięcie. Na czole miała trzy głębokie bruzdy, które sprawiały, że wyglądała na zmartwioną albo niezadowoloną. Otworzył drzwi i przepuścił ją w progu.

– To drobiazg – odpowiedziała. – Nie ma się czym przejmować.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi hotelowe, zrobiło się nieznośnie cicho. Słyszeli bicie swoich serc i tykanie wielkiego zegara w holu. Długą chwilę patrzyli sobie w oczy wyczekująco. Żadne z nich się nie odezwało, ale dla obojga było jasne, jak bardzo zmienił się mały chłopiec, który wybrał życie na strychu, i ta kobieta, która co kilka miesięcy pojawiała się na wzgórzu, żyła tam przez parę miesięcy i znowu zniknęła.

O dziesiątej rano coś ciężkiego upadło w korytarzu. Oboje zerwali się z łóżek. Caleb rozsunał zasłony w oknie nad łóżkiem. Poranek był mglisty i pochmurny, ale śnieg jeszcze nie sypał. Silny wiatr walił o ściany. Spojrzeli na siebie nawzajem. Elspeth spała na siedząco i teraz od bezruchu trzeszczały jej stawy. Wyprostowała jedną nogę, potem drugą i poluzowała sznurowadła w butach. Na wargach poczuła zakrzepłą krew. I miała podbite oczy. Ale uwagę Caleba przykuł przede wszystkim jej nos i krwawy ślad na koszuli. Nos przez noc spurpurowiał i choć sprawiał wrażenie w miarę prostego, to jednak pośrodku pojawił się niewielki garb. Caleb wyglądał dużo gorzej. Na policzku miał paskudnego siniaka koloru jeżyny. Z powodu potężnego guza w okolicach skroni jego brew wznosiła się dziwnym łukiem w górę, z kolei oko było półprzymknięte. Wszystko to razem sprawiało, że jego twarz jakby płynęła w jedną stronę, zupełnie jak u topniejącego bałwana.

– Świetna z nas para – zauważyła Elspeth.

– Karta nam nie podeszła. – Caleb powtórzył coś, co często słyszał w Elm Inn.

– Ja dostałam w pracy podwyżkę – pochwaliła się Elspeth. – Więc nie jest tak źle. – Próbowwała się roześmiać. Pochyliła się, żeby z powrotem zawiązać buty. Wraz z każdym uderzeniem serca czuła w nosie bolesne pulsowanie.

– Nie możemy jeszcze się pokazać – zauważył Caleb.

Sięgnął po konika, którego poprzedniego dnia dostał od matki. Wyglądał śmiesznie w świetle poranka. O wyjeździe Caleb myślał tylko w krótkich chwilach zupełnego spokoju, kiedy wracał wczesnym rankiem z Elm Inn, wsłuchany w śpiew najbardziej wytrwałych ptaków, albo ukryty pomiędzy suszącymi się prześcieradłami, w pomieszczeniu z powietrzem przesiąkniętym wilgocią i zapachem mydła. Watersbridge Caleb traktował jak przystanek w podróży. Albo są tu mordercy i wtedy ich zabije, albo ich tu nie ma i wtedy ruszą z Elspeth do kolejnego miasta. Żadne z nich nie uświadamiało sobie jednak, że z biegiem czasu, kiedy przybyło im ubrań, gdy hotelowy pokój przesiąknął ich zapachem, Watersbridge stało się czymś na kształt domu. Caleb odłożył konika na półkę. Zabrał ze stołu rewolwer i zatknął go za pasek. Sięgnął po strzelbę, położył ją sobie na kolanach i zabrał się za czyszczenie. Ojciec dawno temu pokazał im, jak czyścić broń, ale nie pozwalał robić tego samodzielnie, póki nie przekonał się, że już się nauczyli. Kiedy Caleb po raz pierwszy czyścił karabin Joraha, położył go na białym ręczniku. Gdy ojciec zobaczył ręcznik umazany smarem, kazał



Calebowi go wyprać, a potem siedzieć na brzegu strumienia i czekać, aż wyschnie. „Wołania są bez odpowiedzi ze względu na pychę nieprawych”<sup>12</sup>, powiedział ojciec, kiedy w końcu Caleb wrócił ze starannie złożonym, suchym jak pieprz ręcznikiem. Dawne wspomnienia zostały zastąpione przez te świeższe, spod domu Shane’ów. I choć strzelba lśniła czystością, Caleb wziął do ręki ściereczkę i zaczął czyszczenie od lufy.

Elsbeth startła kurz z lustra i poprawiła fryzurę. Podbite oczy i opuchnięty nos dodawały jej twarzy męskości. Pulsowanie przybrało na sile, kiedy wstała.

– Co zamierzasz dzisiaj robić?

– Zadać kilka pytań – odpowiedział Caleb, przekrzywiając głowę.

Zapięła płaszcz i zawiązała chustę na szyi.

– Uważaj na siebie, Caleb. Gdybyś mnie potrzebował, będę w chłodni, w biurze.

Caleb spojrział na swoje odbicie w lśniącej lufie strzelby. Siniaki i opuchlizna sprawiły, że z trudem się rozpoznał.

W zakładzie wydobywającym lód był przestój. Na brzegu jeziora, gdzie zwykle unosiły się kłęby pary z końskich pysków i z ust robotników, pracowało teraz w milczeniu dwóch mężczyzn naprawiających rozbite sianie. Bliżej chłodni jakaś samotna postać ustawiała słup latarni. Ciężkie drzwi chłodni były zamknięte, ale ze środka dobiegały odgłosy stąpania po lodzie. Obok chłodni spod zbyt wąskiej płachty brezentu wystawały ciała zabitych, tych, których nie przeniesiono do kościoła albo nie zdołano zidentyfikować. Z jednej strony sterczały zdarte podeszwy butów, a z drugiej ubłocone włosy. Elspeth nie dojrzała pocerowanych skarpet ani małej stopy chłopca.

W biurze za stołem siedział tylko Horace. Piecyk był wygaszony. Horace miał na nosie okulary z grubymi szklami, a na dłoniach rękawiczki bez palców. Siwe włosy sterczały mu tak, jakby przez całą noc je szarpał. Siedział owinięty w koc, który wcześniej wisiał na ścianie, zasłaniając przypalone w jednym miejscu deski. Dziecko spało w łóżeczku ze skrzyżowanymi rączkami. Elspeth też chciałaby tak twardo spać. Tylko na chwilę powróciła myśl o ucieczce z dzieckiem.

– Widzę cię, widzę – mruknął Horace – Muszę tylko skończyć...

Umilkł i zajął się pisaniem. Kartka zapełniła się liczbami. Po niezręcznie długiej chwili odłożył ołówek i odsunął z głośnym zgrzytem krzesło.

– O co chodzi?

Elsbeth powiedziała mu o swoim awansie.

– Jesteś mniejszy od pozostałych. Dziwię się, że wytrzymałeś tak długo.

– Od jakich pozostałych?

– Pracowałeś z Heatherem? – zapytał. Nie wymienił imienia Charles. – On ci to zrobił? – Wskazał na zmasakrowaną twarz Elspeth i roześmiał się, ukazując różowe dziąsła. Nagle uderzył otwartą dłonią w blat stołu. – Dzisiaj bójka, a jutro kto wie. Kto wie? Będziesz pracował tutaj, z nami. Nie ma o czym gadać. – Owinął się szczelniej kocem. – Zabawny człowiek z tego Charliego Heathera. – Zawsze taki był. Był zabawnym dzieciakiem.

– Pan go zna z czasów, kiedy był chłopcem?

– Oczywiście. Przecież to syn Wallace'a. Praktycznie tu się wychował. To jego łóżeczko. – A więc opowieści Charlesa o morzu, o dorastaniu w Massachusetts, to wszystko było kłamstwem. Horacy zauważył jej minę i ciągnął dalej: – Nie noszą tego samego nazwiska, wiem. On jest synem siostry Edwarda. – Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. – Porzuciła dziecko. – Elspeth utkwiała wzrok w osmalonych deskach na ścianie. Ślad miał kształt ptaka. – Pewnej nocy pojawiła się niespodziewanie w mieście z dzieckiem na ręku i zapukała do drzwi Edwarda. Następnego ranka wstała i zniknęła. Zdążyła tylko powiedzieć, że ojciec dziecka nazywa się Heather. – Horace wydmuchał nos w wydobytą spod koca chusteczkę. – Może dlatego że dorastał bez matki, chłopiec stał się taki... dziwny. – Elspeth oczami wyobraźni zobaczyła Charlesa w śniegu, ściskającego w dłoni upuszczoną rękawiczkę, wdychającego jej zapach. – Sam wiesz najlepiej, prawda? – Horace otworzył kolejną księgę, wzbijając tumany kurzu.

Elspeth przeniosła całą swoją uwagę na dziecko.

– Założę się, że ta mała nie wie, co się stało – powiedziała, pokazując dziecku palec, który od razu instynktownie chwyciło.

– Nie, nie, całą noc nie spała. Dopiero niedawno zasnęła. Nie, dzieci wiedzą. Wiedzą lepiej od nas. To jest tak, jak widzisz, że zwierzęta uciekają z lasu. Wtedy lepiej sam uciekaj, bo wiadomo, że coś się święci. Powódź, pożar, może zaraza. – Elspeth poruszała palcem, a dziecko, choć spało, nadal go ścisnęło rączką. Horace znalazł wreszcie to, czego szukał, i zadowolony oblizał dwukrotnie wargi. – One rozumieją wszystko lepiej, niż nam się wydaje.

Caleb założył kapelusz, przypiął kołnierzyk, zbiegł po schodach i skierował się ku drzwiom.

– A śniadanie? – zawołał Frank. Spojrzał na wskazówki zegara i poprawił się: – Lunch? – Przeprosił mężczyznę naprawiającego drzwi do kuchni. Pod pachą miał gazetę, którą rzucił na stół.

– Co się stało? – zapytał, zdejmując Calebowi kapelusz i poprawiając kołnierzyk koszuli. – Boże drogi, Caleb... – Frank zaprowadził go do kuchni i posadził na stołku. Powiedział, że za minutę wraca, zawołał na kucharza, żeby przygotował dla Caleba to co zwykle, i w pośpiechu zdjął z wieszaka płaszcz.

W porze między śniadaniem a lunchem w kuchni panował spokój. Personel siadał w kącie i grał w karty na rzeźnickim pniaku. Jeden z mężczyzn drzemał na krześle obok drzwi prowadzących na zewnątrz, z głową opartą o kredens pełen talerzy i szklanek. Kucharz, miły facet, który mrugał do Caleba, ilekroć kładł przed nim talerz z jedzeniem, podał mu teraz zapiekanekę z mięsa i ziemniaków, jajecznicę, dwa tosty i dodatkową porcję masła. Caleb poczuł ból w trakcie jedzenia. Ruszały mu się zęby. Jajka i zapiekanekę udało mu się rozmiękczyć językiem i przełknąć, ale tostów nie tknął.

Zaróżowiony od mrozu Frank wpadł do kuchni z brązową torbą w ręce. Wyjął z niej niewielkie pudełko i zanurzył w nim palce.

– To wazelina. Nie zrobi ci krzywdy, a ochroni twarz przed mrozem. Chyba dziś nigdzie nie wychodzisz, prawda?

Caleb marzył o dniu w łóżku albo w towarzystwie Franka, spędzonym na czytaniu gazet i obserwowaniu ludzi przychodzących do hotelu.

– Muszę – odparł.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi. – Frank rozsmarował kojącą maść na twarzy Caleba. – Masz ochotę poczytać, zanim wyjdiesz? – Postukał palcem w gazetę.

Caleb byłby zadowolony, gdyby to było takie proste, ale informacje, których potrzebował, mógł znaleźć tylko w Elm Inn. Podziękował Frankowi za pomoc i włożył pusty talerz do zlewu. Frank założył Calebowi na głowę kapelusz, uważając na rany i siniaki, zapiął mu pod szyję stary płaszcz Joraha i pomógł podwinąć rękawy. Dłonie Franka pachniały papierem, farbą drukarską i drzewną miazgą. Caleb zignorował jego kolejną prośbę o pozostanie w bezpiecznym przeciwie hotelu i wyszedł tylnymi drzwiami. Silny i zimny przeciąg poruszył szklankami i talerzami, które rozdzwoniły się jak kuranty.

Elsbeth ujrzała w drzwiach chłodni pastora. Stał z rękami złożonymi na brzuchu, wiatr rozwiewał mu włosy. Emanował takim spokojem, że Elspeth zdecydowała się do niego podejść. W chłodni kilku mężczyzn, brodząc po kostki w błocie wymieszanym z krwią, układało na saniach potrzaskane bryły lodu. Wspięła się po schodach, ale kiedy stanęła na pomoście, pastor

ruszył w przeciwnym kierunku. Mężczyźni na dole przerwali pracę, żeby zobaczyć, kto ośmielił się robić takie zamieszanie, kiedy wokół wciąż krążą duchy zmarłych.

– Przepraszam – szepnęła Elspeth, ale pastor nie zatrzymał się. – Pastorze! – Przyspieszył kroku i przemknął pod grubymi linami utrzymującymi w pionie pozostałe lodowe wieże. – Proszę zaczekać!

Mężczyźni na dole oparli się o sanie i patrzyli, jak pastor pędzi do drugich schodów. Jeden z nich powiedział coś do pozostałych szeptem na tyle głośnym, że słowa dotarły do pomostu. Pastor musiał usłyszeć komentarz, wreszcie zatrzymał się i odwrócił twarzą do Elspeth.

– Witam – zawołał, zmuszając się do uśmiechu.

Myliła się. Na jego twarzy nie było śladu niebiańskiego spokoju. Była pustka, wyrażająca najgłębszą rozpacz. Spojrzał w dół na obserwujących ich mężczyzn.

– Możemy poszukać jakiegoś bardziej ustronnego miejsca, mój... mój synu? – Oboje zdawali sobie sprawę, że to określenie jest nie na miejscu. Elspeth była dobre pięć lat starsza od niego.

Zaprowadził ją do magazynu, gdzie z sufitu zwisały łańcuchy, a ze ścian wystawały belki grubości jej uda. Od zapachu smaru do osi aż kręciło w nosie. Mimo to pastor nalegał, żeby zamknąć drzwi.

– Teraz powiedz, jak mogę ci pomóc? – Głos mu się łamał.

Elspeth marzyła o tym, żeby się przed kimś wytłumaczyć, żeby ktoś jej dał trzeźwą radę i może przywołał odpowiedni ustęp z Biblii, który mogłaby potem powtarzać sobie w pamięci. Tak postąpiłby Jorah, gdyby z nim porozmawiała, ale ten pastor, sama się o tym przekonała, nie potrafiłby znaleźć odpowiedniego wersetu. Patrząc na niego, zrozumiała, że załamałby się, gdyby poprosiła o zbyt wiele.

– Zechciałby pastor pomodlić się ze mną?

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Wyglądał jeszcze młodziej, kiedy przestał marszczyć z zatroskania czoło. Ukląkł, a Elspeth poszła w jego ślady, oboje spuścili głowy. Odmówili razem Modlitwę Pańską. Kiedy skończyli, pastor miał mokre od łez policzki.

– Co się stało? – zapytała Elspeth, która wcale nie czuła się lepiej.

– Przepraszam, powinienem was pocieszać. – Podniósł się z kolan i otrzepał spodnie. Podał Elspeth rękę i pomógł jej wstać.

– Nic się nie stało – uspokoiła go.

– Cóż – westchnął. – To wszystko mnie przerosło. – Zatoczył wyprostowanym ramieniem krąg. Głos wciąż mu się łamał, pastor mówił na

przemian to wysokim, to niskim tonem. – Wiem, że to głupio skarżyć się w obliczu śmierci tylu ludzi, kiedy dzieci potraciły ojców, a żony mężów, ale zwyczajnie nie wiem, jak nieść tym ludziom pokój.

Ludzie rzadko prosili Elspeth o radę. Kiedyś lekarz, z którym pracowała, ten, który zostawił ją z Emmą, powiedział: „Mam głowę pełną pytań, a boję się je zadać, boję się, że komuś powtórzysz”.

– Możesz tylko ich wysłuchać – powiedziała Elspeth do pastora. – Jeśli nie potrafisz dać im pocieszenia słowami Biblii, nie próbuj.

– Zbyt słabo znam Biblię. – Dotknął palcami grubego łańcucha. – Nie powiesz nikomu? – Przysięgła, że nie powie. – Pragnąłem mieć coś na własność – wyznał. Elspeth знаła to uczucie aż nazbyt dobrze. – Kiedy pracowałem w fabryce mebli, idąc do pracy, mijałem ten piękny dom obok kościoła. Czasem w drodze powrotnej zatrzymywałem się, siadałem na trawniku i wpatrywałem się w niego. Myślałem o nim bez przerwy, wyobrażałem sobie, że wszystko, co jest za tamtymi oknami, należy do mnie. Kiedy fabryka przeniosła się do Rochester, zostałem zwolniony, a człowiek, który mieszkał w tamtym domu, awansował. Pastor, prawdziwy pastor, przekonał mnie, że to był znak od Boga. To nie było skomplikowane. Pan chciał, żebym został, i teraz mam to, czego chciałem. Mieszkam obok tego domu.

– Czy można się winić za chęć posiadania? – zapytała.

– Można – odparł.

Powiew wiatru poruszył łańcuchami. Zadzwończyły cicho.

– Zapytał mnie: „Czujesz powołanie, mój synu?”.

Elspeth nie musiała pytać, nie musiała patrzeć na niego, żeby poznać odpowiedź.

W Elm Inn było tylko kilku gości. Jak zwykle o poranku, słońce wpadające przez okna z odsuniętymi zasłonami albo w ogóle bez zasłon ujawniało grzechy minionej nocy. Zapach alkoholu, teraz mocniejszy i bardziej dokuczliwy, smród spoconych ciał, moczu, tytoniowego dymu i smażonego mięsa, wszystko to razem tworzyło niepowtarzalną kompozycję. Caleb wziął do ręki miotłę, którą ktoś zostawił opartą o framugę – zapewne Ethan zmiatał odłamki szkła albo czyjeś zęby – i zaczął nią wymachiwać jak bronią. Na górze otworzyły się z hukiem drzwi i pojawiła się w nich masywna sylwetka Ethana. W pierwszej chwili Calebowi wydało się, że Ethan niesie pod pachą buty, ale kiedy przyjrzał się uważniej, zauważył jeszcze kawałek ludzkiej skóry i spodnie. Ethan skierował się ku schodom. Ponieważ głowa ciągniętego przez niego

człowieka obijała się o drewniane stopnie schodów, nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten nie żyje.

– Chłopcze – zawołał Ethan na widok Caleba – chodź tu i pomóż mi z tym...

Można było zarzucić Calebowi wiele, ale nigdy nie ośmieliłby się odmówić prośbie Ethana. Wbiegł drugimi schodami na górę i pomknął korytarzem. Chwycił leżącego mężczyznę za kostki. Skarpetki zsunęły się do butów, ale skóra wydawała się ciepła. Caleb szybko zrozumiał, że poczuł w dłoniach nie ciepło, a lodowate zimno. Ten człowiek był zimny jak lód. Ethan uśmiechnął się i uniósł jedną brew tak wysoko, że zniknęła pod rondem melonika, który pan White zawsze kazał mu zdejmować w pomieszczeniach.

– Czyja pięść zderzyła się z twoją twarzą? – zapytał.

Caleb odchrząknął i chwycił za podwinięte nogawki spodni mężczyzny.

– Niczyja – mruknął.

Oczy zmarłego zapadły się w głąb czaszki i miały taki sam kolor jak naszyjnik z pereł, którym White obdarowywał po kolei wszystkie dziewczyny, jednej zabierając, a aktualnej faworycie dając. Caleb już widział takie oczy i wtedy zasłonił je guzikami z roboczego kombinezonu.

Dotarli wreszcie do podstawy schodów i wielkolud uwolnił się od ciężaru, rzucając bezceremonialnie trupa na ziemię. Caleb położył nogi nieboszczyka na podłodze, najdelikatniej jak potrafił.

– Ethan, co zamierzasz zrobić z ciałem?

– To samo, co z pozostałymi – odparł Ethan.

Kiedy w salonie wybrzmiał już huk wystrzału, pierwszą rzeczą, jaką Caleb robił, było odszukanie tego, kto strzelał, i przekonanie się czy nie jest podobny do któregoś z zabójców jego rodziny. Potem ktoś zwykle wołał: „Wezwijcie lekarza”. Następnego ranka z boku budynku widać było zagłębienie w śniegu, a w nim brązową plamę zakrzepłej krwi.

– Nie martw się o to – dodał Ethan. – Na razie zamiataj i pierz pościel. Któregoś dnia rzucisz te babskie zajęcia i zajmiesz się męskimi sprawami.

– Jak mogę znaleźć kogoś, kto byłby gotów zabić człowieka? – zapytał Caleb, poprawiając ułożenie nóg nieboszczyka.

– To właśnie jest męskie zajęcie, chłopcze. – Ethan przeciągnął się, aż rozległ się głośny trzask. – Chodzi ci o to, żeby zabić tego, który ci to zrobił? – Ethan podniósł zwłoki i ruchem głowy nakazał Calebowi, żeby torował mu drogę. – Mogę się tym zająć. Zależy, jaka to robota. – Przeszli przez salon karciany. Caleb szedł przodem i usuwał z drogi Ethana krzesła i stoły.

– Zabijanie jest jak każde inne zajęcie, to sprawa dla fachowca.

Caleb nie mógł uwierzyć, że wcześniej nie zapytał o to Ethana. Wszyscy inni tak się troszczyli o jego bezpieczeństwo, że przestał pytać w ogóle.

– A gdybym potrzebował kogoś, kto mógłby zabić drugą osobę w zupełnie innym miejscu?

Ethan przestał się przez chwilę mocować z zamkiem w drzwiach.

– Stary Jackson Ramus, do niego mógłbyś się zwrócić. – Jackson Ramus. Nic mu nie mówiło to nazwisko. Nie kojarzyło się też w żaden sposób z tamtymi trzema. – Tyle że Ramus zmarł jakieś trzy, cztery lata temu. – Ethan otworzył drzwi. Zimne powietrze cofnęło Caleba w głąb salonu. Na Ethanie nie zrobiło żadnego wrażenia. – Podobno tropił kobietę, której mąż twierdził, że została porwana. I wytropił ją, a jakże. Znalazł ją w łóżku z innym mężczyzną. – Ethan szybko przemierzył oblodzony podest i podszedł do barierki. – Ramus był spryciarzem. Wykombinował sobie, że jeśli wróci zapytać męża, co zrobić, mąż każe mu wracać i zabić tamtego faceta i niewierną żonę.

Dotarłszy do końca podestu, Ethan zatrzymał się. Caleb obrócił się, myśląc, że zniosą teraz nieboszczyka po schodach, ale Ethan po prostu przerzucił zwłoki przez barierkę i zatarł ręce. – Ramus był także leniwy. A leniwych facetów z bronią należy unikać jak ognia. – Ciało wylądowało twarzą do dołu. W powietrze uniósł się śnieżny tuman, który opadał powoli na ubranie zabitego mężczyzny. – Więc zastrzelił ich oboje. I dopiero wtedy wrócił.

Caleb spojrzął na leżące w nienaturalnej pozycji ciało. Ledwie słyszał to, co mówił do niego Ethan.

– Ale stary Ramus popełnił błąd. Kiedy wrócił, mąż był tak zrozpaczony, że strzelił Ramusowi między oczy, zapłatę za odszukanie żony wepchnął mu w gardło, a potem strzelił sobie prosto w serce.

Historia opowiedziana przez pastora nie dawała Elspeth spokoju. Przed chłodnią stał Wallace i wpatrywał się w jej wielkie drzwi. Ruszyła biegiem w jego kierunku, ale Wallace nie zamierzał odchodzić. Odwrócił się w jej stronę i zobaczył wyraz jej twarzy.

– Więc już słyszałaś. – Westchnął głęboko i jego głowę otoczył obłoczek pary. – Charles zawsze... Charles to dobry chłopak. Zawsze był dobrym chłopcem.

– Nie rozumiem. Chce pan trzymać mnie z dala od niego?

Poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

– Wprost przeciwnie. – Obrócił jej twarz w stronę światła. Bała się, że

zetrze jej z brody pastę do butów, a potem połamię na jej czaszce swoją laskę. – On ci to zrobił?

– Jak może pan stawać w jego obronie? Sprzątać po nim bałagan, którego narobił? – Poczwała, że wkracza na terytorium zarezerwowane dla kobiet, i to mogło ją zdradzić.

Jeśli nawet Wallace to zauważył, nie dał po sobie nic poznać.

– Czegóż nie robimy dla swoich synów – odpowiedział. – Stuknął w niemalowane drewno drzwi na szczęście i ruszył w stronę biura.

– Tak czy inaczej, witaj w nowej pracy – rzucił, nie oglądając się za siebie.



## Rozdział 13

Tego wieczoru Elspeth poświęciła sen dla Caleba. Gdy wrócił do domu, zjadła z nim posiłek, mimo że ciążyły jej powieki i cała była obolała. Bolały ją ręce, kiedy nimi ruszała, a za każdym razem, gdy mrugnęła powiekami, w jej oczach eksplodowały pomarańcze i czerwienie. Zapytała Caleba o jego obowiązki w Elm Inn. Jako matka, pomyślała, powinnam bardziej się interesować, jak mój syn spędza dni i noce. Odpowiadał najkrócej jak można: chrząknięciami i kiwaniem głową. Zupełnie jakby zapomniał słów.

Caleb zachowywał ostrożność, ale był zadowolony, że Elspeth choć w taki sposób wykazuje zainteresowanie jego poszukiwaniami, że nie zapomniała zupełnie o zmasakrowanych ciałach w ich domu. Bez końca odtwarzał w pamięci scenę z Ethanem, który unosi martwe ciało i przerzuca je przez barierkę werandy. Kiedy wyjął rewolwer, chcąc go wyczyścić, poprosiła tylko, żeby zaczekał, aż skończą posiłek, zatknął więc broń z powrotem za pasek spodni. Kroił potrawę, nie skrobiąc po talerzu, żując, nie mlaskał, ponieważ ten posiłek sprawiał wrażenie jakiejś uroczystej okazji, wstępu do czegoś ważnego, lecz niezrozumiałego.

Za stajnią, niedaleko dawno wyschniętego strumyka, na skraju urwiska stał samotny pieńek, którego połowa korzeni wisiała swobodnie w powietrzu. Caleb lubił stawać na tym pieńku i widzieć wszystko, co przed nim, nie widzieć niczego, co pod nim. Pewnego wiosennego ranka szedł wzdłuż wyschniętej strugi, która jak się okazało, kończyła się urwiskiem. Sądził, że nie uda mu się już nigdy przeżyć czegoś podobnego, tymczasem od dnia, kiedy zamordowano jego rodzinę, doświadczał tego bez przerwy.

– Pamiętasz, jak Amos spędzał mnóstwo czasu na skrzynce obok zagrody dla świń? – zapytał nękany, jak zwykle, wspomnieniami. – Obserwował wtedy, jak jego cień przesuwa się po trawie. Początkowo musiał tak siedzieć za karę, ale potem to polubił.

Elspeth nie pamiętała. I nie wiedziała, czy jej wtedy nie było w domu, zapomniała lub po prostu nie zwróciła na to uwagi.

– On często dostawał karę, prawda? – powiedziała w końcu, a Caleb przyglądał się nadzianemu na widelec kawałkowi jabłka. Szyby w oknach zdrzały od dźwięku kościelnych dzwonów. Podobnie jak woda w kubkach. Elspeth kilka razy zerknęła ukradkiem na konika, którego podarowała Calebowi, i za każdym razem czuła zażenowanie na myśl, jak wszystko

opacznie rozumiała. Teraz na jego łóżku leżał rewolwer i przybory do czyszczenia broni. Nie potrafiła cofnąć czasu.

Następnego dnia Caleb prał w Elm Inn brudną pościel. Posegregował ją w zależności od czasu schnięcia i wyprał najpierw kilka koców, potem prześcieradła, a na koniec poszewki na poduszki. W kłębiącej się w wannie białej masie widział bez przerwy martwego mężczyznę, widział, jak frunie w powietrzu i spada w zaspę, a kiedy zanurzał ręce w wodzie, czuł lodowatą skórę trupich nóg. Z pęcherzyków piany wpatrywały się w niego oczy. Caleb zastanawiał się, czy mężczyzna miał rodzinę, czy tęsknił za nim, czy o nim myślał. Zdarzały się dni, kiedy Caleb zapomniał pomyśleć o Mary i potem próbował przywołać jej obraz, gdy zamiatał podłogę lub prał pościel. W końcu widział ją, jak śmiejąc się głośno i rozganiając na boki kury, biegnie do kuchni z fartuszkami pełnymi jajek. Jakiś głośny huk w sąsiednim pokoju sprawił, że wspomnienia umknęły, tak jak znika cień, kiedy słońce zajdzie za chmurę. Próbował je przywołać na nowo, ale Mary już nie było. Miał nadzieję, że matka wspomina ją czasem. Caleb tęsknił za braćmi i siostrami. I choć powietrze było wilgotne, czuł się wypalony, wysuszony od środka.

Kiedy już powiesił ostatnie prześcieradło, poszedł na górę, żeby zebrać myśli. Musiał to zobaczyć. Był ciekaw, dokąd uchodzą dusze, i nagle ujrzał półprzezroczyste zjawy, poczuł zapach palącego się w kominku drewna i duszący smród martwych ciał. Usłyszał trzask płomieni i przeraźliwe pohukiwanie sowy. Stał z dala od okna, bojąc się widoku martwego mężczyzny. Usiadł na łóżku. Jeden z wiszących na ścianie obrazków przedstawiał pojedynek Aarona Burra z Alexandrem Hamiltonem. Caleb podziwiał spokój malujący się na twarzy Hamiltona i anielski blask otaczający jego głowę. Pistolet Burra wypalił, wyrzucając obłok prochu, a pocisk śmiertelnie ranił Hamiltona w pierś. I wszystko to w jednej chwili. Caleb zdziwił się, że obraz zdołał uchwycić prędkość, z jaką dzieją się rzeczy. Na toaletce ktoś zostawił gazetę. Nagłówek krzyczał wielkimi literami, że w mieście o nazwie Boston, gdzie kopano w ziemi dziury, którymi miały jeździć pociągi, znaleziono grób, a w nim dziewięćset ciał. Caleb z trudem odczytywał słowa i był niezadowolony, że zajęło mu to tyle czasu. Frank trzymał go z dala od takich wiadomości, wołał artykuły o bohaterstwie prezydenta albo opowieści o zwykłych ludziach, którzy dokonali wielkich czynów, na przykład uratowali tonące dziecko albo wyciągnęli psa z płonącego budynku. Caleb zastanawiał się, czy dla innych ludzi wszystko jest równie zaskakujące jak dla niego.

Kiedy już się przekonał, że daleki świat jest równie przerażający i brutalny jak świat, w którym żyje on sam, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Ciało rzeczywiście leżało w śniegu. Coś się działo na zewnątrz i Caleb otworzył okno. Poruszony przez okienną ramę śnieg zsunął się po dachu. Caleb wychylił się z okna. Wiatr rozwiały mu włosy. Na ziemi leżało mnóstwo ciał, Caleb chciał wyraźniej zobaczyć ich ciemne kształty. Jedna z nieruchomych postaci miała brązowe loki Ellabelle. Caleb poczuł, jak coś ściska go za gardło. Ale minęła sekunda i postać zaczęła poruszać rękami, a potem nogami. Odetchnął z ulgą i oparł głowę o framugę. Ellabelle ponownie poruszyła kończynami. Zrobiła orzełka w śniegu. Potem drugiego i następnego. Spojrzała w górę.

– Caleb?

Było też drugie ciało; tamto się nie poruszało. Mężczyzna leżał na plecach. Ale jego nogi nie były wykręcone w nienaturalny sposób. To nie był ten sam mężczyzna, którego ciało Ethan zrzucił z werandy. To ciało należało do Gerry'ego. Miał otwarte oczy, a jego stajenne buciory ubłocły śnieg.

Ellabelle ponownie zawołała Caleba po imieniu. Zdawało się, że za chwilę rana na jego głowie rozerwie się, zacznie pluć krwią, i to on będzie leżał na śniegu w wielkiej czerwonej kałuży. London White zabił Gerry'ego. Albo zrobił to Ethan. Może Ethan źle zrozumiał jego słowa. Caleb podejrzewał, że zrobiono to za niego. Równie dobrze on sam mógł pociągnąć za spust. Usłyszał wołanie Ellabelle, ale jej głos zdawał się dobiegać z innego świata. Odwrócił się plecami do okna, czuł mdłości i przyklęknął na jedno kolano. Colt wysunął się z za paska i upadł na podłogę. Zadzwoił dzwonek. Jeden klient skończył, kolej na następnego.

Po raz pierwszy od wielu tygodni napłynęło cieplejsze powietrze, a chmury nie przewalały się gwałtownie po niebie, tylko snuły spokojnie. Lód nie trzeszczał już, raczej ustępował pod butami Elspeth, kiedy szła do mieszkania Charlesa. Kilka wiewiórek wyściubiło nosy ze swoich dziupli i biegało po ulicach. Owen Trachte przytrzymał jej drzwi, lecz dopiero kiedy się mijali, poznał ją. Zastanawiała się, czy nie zostawić Charlesa w spokoju i pójść po prostu do pracy, zarobić trochę pieniędzy, zanim wyruszą z Calebem przed siebie. Ale ilekroć pomyślała o wyjeździe, widziała złote zwieńczenie kościelnej wieży, krzyż, który emanował światłem i przypominał o jej grzechach. Nie miała dłużej siły dźwigać ich brzemienia, żadna praca ukojenia już nie dawała. Elspeth modliła się na zniszczonej kanapie w holu Brick & Feather. W głowie galopowały zupełnie obce jej

myśli i obrazy, płatanina martwych ciał, Jorah recytujący ustępy z Biblii. Kiedy jednak pojawiał się Caleb, myśli przestawały galopować, a ona modliła się za niego, za Charlesa i za własną duszę, choć wiedziała, że nie zostanie zbawiona.

– Jest na górze – poinformował ją Owen i wskazał kciukiem pokój Charlesa.

Elsbeth podziękowała i podbiegła do wąskich schodów. Kiedy zapukała do drzwi, Charles krzyknął, żeby sobie poszła, ale ona zignorowała jego słowa. Drzwi nie były zamknięte. Wszędzie walały się papiery: książki, księgi rachunkowe, gazety, listy, koperty – niektóre rozerwane, inne nietknięte. Podłoga była zasłana znaczkami pocztowymi jak koryto strumienia kamieniami. Stołu i dwóch krzeseł nie było widać spod stosu map, ferrotypowych fotografii, rysunków, planów, notatek, otwartych słowników i encyklopedii. Nicco więcej porządku panowało na wszelakiego rodzaju półkach, były one jednak tak obciążone, że wszystkie miały kształt nerwowo uśmiechniętych ust. Przez brudne okna na jednej ścianie wpadało niewiele światła. Papierzyska pokrywał kurz, kurz unosił się też w powietrzu. Elspeth zakaszłała i oblizała spierzchnięte wargi. Na rozkładanym łóżku leżał, obłożony ze wszystkich stron poduszkami, Charles. Miał zabandażowaną twarz, rękę i jedną nogę.

– Co to takiego? – zapytała Elspeth, biorąc do ręki gazetę sprzed trzech lat.

– Wystarczająco cierpię, nie musisz tracić czasu na dochodzenie prawdy – wyszeptał przez niewielką szparę w bandażach. Ledwie poruszał szczęką. Uniósł się na łóżku, tkanina, na której leżał, zatrzeszczała niepokojąco.

– Dlaczego pozwoliłeś, żeby zabrano mnie z twojej zmiany?

– Wiesz przecież. Dość już widziałeś.

– Miałeś chociaż żonę? – zapytała.

Odpowiedział, że miał.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? Wszystko, co opowiadałeś o swoim życiu, było kłamstwem.

– Nieprawda.

– A Massachusetts? Syn rybaka?

– Myślałem, że to będzie bardziej interesujące dla ciebie. Dla kogoś, kto pojawił się znikąd, jak anioł. – Zarżał głośno. – Ale co zyskałbym, teraz kłamiąc?

– Żona zostawiła cię i zabrała chłopców?

W kąciu jego ust pojawiła się kropelka krwi i zaraz wsiąkła w bandaż.

– Moja żona zwątpiła we mnie.

– Ale mieliście dzieci. – Rozejrzała się, szukając w tym bałaganie fotografii.

– Umysł to potęga – powiedział. – Potrafiłem zmusić go, by robił to, czego sobie życzyłem. – Szarpnął bandaż. – Ale to na mnie czyhało. – Łóżko skrzypiało i trzeszczało przy każdym jego oddechu. – I teraz robimy tylko to, co możemy.

– Kochałeś swoich synów.

– Oczywiście, że kochałem. I kocham nadal.

– Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. – Przypomniała sobie, jak się o nią troszczył. – A błędy można naprawić.

– To nie są błędy – odparł. – To są fakty. Ale przepraszam, że cię okłamałem, Jorah.

– Ja też przepraszam. – Wspomnienie utkwionego w nią spojrzenia, kiedy but napastnika spadał na jego twarz, przyprawiło ją o dreszcz. – Nie mam na imię Jorah. – Była bardziej zaskoczona tym, że to powiedziała, niż Charles tym, co usłyszał.

– Bądź sobie, kimkolwiek chcesz – wyjęczał, próbując się podnieść. Po chwili już zwijał się z bólu. – Przyszedłeś tu, żeby mnie zabić? Powiedz, że tak. W porządku. Chcę tego. Niech każdy zachowa swoje sekrety dla siebie.

Elsbeth podeszła do niego. Dotknęła Charlesa delikatnie, a on aż podskoczył na łóżku. Choć miała połamane paznokcie, dziwiła się, że jej dłonie nie zdradziły jej do tej pory. Wróciła do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Nikogo tu nie ma – powiedział Charles, słysząc dźwięk klucza. – Dalej, strzelaj. Poślij mnie na tamten świat. – Zaszlochał. – Proszę. Nie zniosę tego dłużej.

Sine palce, wystające spod bandażu, znalazły się o włos od jej biodra. A za paskiem spodni miała zatknięty rewolwer. Szybkim ruchem wyciągnęła go zza paska i rzuciła na łóżko obok nóg Charlesa, żeby ten mógł po niego sięgnąć.

– Myślisz, że nie próbowałem? – zapytał. – Nie potrafię. Jestem tchórzem.

– Nie zamierzam cię zabić. Jesteś jedyną osobą, która mnie zna.

Najpierw zdjęła kapelusz i chustę. Potem rozwiązała sznurowadła butów, mocując się z zabłoconymi kokardkami. Ściągnęła skarpety i stanęła boso na tęczu z rozsypanych znaczków pocztowych. Rozpięła pasek i poczekała, aż opadną spodnie. Charles zadrżał. Trochę wysiłku kosztowało ją

ściągnięcie przez głowę swetra. Posypały się iskry. Naelektryzowane włosy się uniosły. Rozpięła guziki koszuli Joraha i zsunęła ją z ramion.

– Jorah, przestań! – zawołał Charles. Spojrzała na rewolwer. Leżał tam gdzie przedtem. – Jakkolwiek masz na imię, przestań.

Jej Jorah czekał na nią w łóżku. Był początek lata. Nie zbudował jeszcze szafy ani toaletki. Ich pokój nie miał ścian, ale od belek, które miały je wkrótce wspierać, odbijało się białe, jasne światło lampy. Dalej panowały ciemności. Pachniało sosną i cedrem. Rozbierała się przed nim, ale kiedy doszła do bielizny, odwrócił wzrok, a ona usiadła na brzegu łóżka i zdjęła ją sama. Podniósł szkiełko lampy i zdmuchnął płomień. Odgłos ich oddechów otulił mrok. Kiedy wślizgnęła się pod kołdrę, położył ciepłą i szorstką dłoń na jej brzuchu. Jej ciało zmieniło się, stało się sprawniejsze, mocniejsze. Ale brzuch pozostał taki sam i mimo starań nic nie było w stanie tego zmienić.

– Naprawdę mam na imię Elspeth.

– Nie musisz tego robić – powiedział Charles.

Elspeth stała w samej koszulce i zbyt dużych wełnianych reformach. Uniosła się na palcach i pod jej stopami zaszeleścił papier. Mimo że była rozebrana, pocily jej się nogi. Koszula zaczęła o agrafki zapięte na bandażach. Rozpinała je po kolei i kładła na stoliku obok łóżka. Przycisnęła prawą rękę do piersi, żeby bandaże nie opadły. Powoli zaczęła je odwijać. Ukazały się piersi. Rany postrzałowe się goiły. Niektóre, białe, były niewiele większe od kropki, inne jeszcze pokryte purpurowymi strupami. Na szyi pozostał łańcuszek z krzyżykiem. Wsunęła kciuki pod gumkę i zsunęła majtki z bioder. Kiedy opadły na podłogę, zrobiła krok naprzód.

– I co teraz, Elspeth? – odezwał się Charles. Bandaż wokół jego warg zaczął powoli czerwienić. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, dłonie dopraszały się, by okryć jej nagość, ale zmusiła się, by stać prosto. – Chcesz, żebym powiedział, że jestem zaskoczony? Chcesz, żebym powiedział, że nie wiedziałem?

– Co takiego? – Jej łydki i uda przebiegł nieznany dreszcz. Elspeth zadrżała. Na jej skórze pojawiły się kropelki potu.

– Początkowo nie wiedziałem. – Zakasłał i opadł na materac. – Ale szybko zrozumiałem. Jak myślisz, dlaczego ciągle robiłem przerwy w pracy? Po to, żeby dać ci odpocząć. Dlaczego powiedziałem ci w kościele, że rozumiemy się nawzajem?

– Kiedy się zorientowałeś?

– Rozmawialiśmy w tawernie, chyba drugiego wieczoru po pracy. I kiedy opowiadałem o swoich chłopcach, zobaczyłem w tobie coś... sam nie

wiem... matczyne, kobiecego. Z czasem to się potwierdziło.

Elsbeth osłoniła piersi rękami i usiadła na stercie swoich ubrań. Położyła głowę na brzegu łóżka.

– Kto jeszcze wie?

– Nie mam pojęcia. Ja też nie od razu się zorientowałem, jak wiele osób zna mój sekret. – Po podłodze potoczyła się buteleczka z balsamem, którą niechcący potrąciła. – Ale się dowiedzą.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami. Do stóp przykleiły jej się znaczki pocztowe. Jej uwagę przykuł szczególnie jeden. Fioletowy, ośmiocentowy, przedstawiający patrzącego smutno w dal mężczyznę. Oderwała znaczek od skóry i przykleiła go do nogi łóżka. Charles wiercił się chwilę, a potem zaczął cicho pochrapywać.

W pokoju rozległy się kroki Ellabelle. Caleb leżał na podłodze. Nie był w stanie zapanować nad swoim oddechem. Z trudem łapał powietrze otwartymi ustami, oddychał szybko i płytko. Czuł się tak strasznie, że chciał umrzeć, był pewny, że umrze, że zgnie od środka.

Ellabelle przyklękła i położyła sobie jego głowę na kolanach. Jej skóra, zimna i mokra od śniegu, przynosiła ulgę jego rozpalonemu czołu. Gładziła go po włosach, uspokajała, mówiła, że wszystko będzie dobrze, tylko musi oddychać. Nim jeszcze uspokoił swoje płuca, zdołał wykrztusić:

– On go zabił.

– Kto? – Pochyliła głowę i jasne loki połaskotały go po twarzy. Miała słodki oddech. Jej policzki nie zaróżowiły się od śniegu, pozostawały blade. Jakby była zmrożona.

– Pan White. Zabił Gerry'ego.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała. – Już dobrze. On tu idzie.

– Co masz na myśli?

– Myślałam, że coś się stało. I poprosiłam go, żeby przyszedł.

– On go zabił – powtórzył Caleb.

Usłyszeli odgłos kroków, których bali się, gdy żartowali albo opowiadali sobie jakieś historie. Zadudniły w korytarzu, potem w pokoju. Ellabelle nie poruszyła się. White najpierw wygładził pognieciony przez Caleba koc, potem usiadł.

– Czy taki koniec pana Wilcoxa nie spotkał się z twoją aprobatą, Calebie? – zapytał. Pociągnął za łańcuszek, wyjął zegarek i zaczął go nakręcać. Caleb nie był w stanie utrzymać prosto głowy, a i oddech miał wciąż nierówny. Dyszał jak zziębnięty pies. – Mówię o stajennym, Gerrym Wilcoksie.

- Nie – odparł Caleb. – Nie chciałem, żeby umierał.
- Więc te skaleczenia na twojej twarzy nie są jego dziełem?
- To nie oznacza, że musiał umrzeć.

– Rozumiem. – White potarł kciukiem i środkowym palcem skroń. – Nie mam zamiaru wyjaśniać ci szczegółowo powodów, które mną kierowały, ale po prostu nie pozwolę, żeby jeden mój pracownik bił drugiego. Pan Wilcox był już przeze mnie ostrzegany, że nie powinien zachowywać się w ten sposób. Panno Ellabelle, czy pan Wilcox kiedykolwiek cię skrzywdził?

Ellabelle wydeła w zamyśleniu wargi.

– Chyba tak – odpowiedziała w końcu. – Ale nauczyłam się zapominać o wyrządzonych mi krzywdach.

– Oczywiście, moja droga. To bardzo poetyckie. Tak więc, Calebie, możesz żyć dalej z czystym sumieniem. Los pana Wilcoxsa nie zależał od ciebie. – White przykucnął i objął ramieniem Ellabelle. Pachniał talkiem i mydłem. – Nie martw się – powiedział.

Wstał i przejrzał się lustrze.

– Czy wiesz może, Calebie, gdzie może przebywać kolega pana Wilcoxsa, Dax Hanson? Będę wdzięczny za informację.

– Po co? Żeby skończył u doktora?

– To będzie zależało od pana Hansona. Ci ludzie, Caleb, nie życzą nam dobrze. Tyle mogę ci powiedzieć. – White spojrzął na zegarek. – Ellabelle, klienci czekają.

Ellabelle pocałowała Caleba w czoło.

– Odpoczywaj, Caleb. To dobrze, że pan White troszczy się o ciebie.

– Dziękuję, Ellabelle – odparł Caleb. Powiedział to zupełnie szczerze, lecz o odpoczynku nie mogło być mowy.

Ellabelle wyszła z pokoju, ale wcześniej podłożyła mu poduszkę pod głowę. Leżał na podłodze i wpatrywał się w świętego Alexandra Hamiltona, w jego zakrwawioną pierś, wsłuchiwał się w odgłosy coraz głośniejszej krzątaniny w hotelu i zastanawiał, który dzwonek oznaczał, że Ellabelle przyjmowała kolejnego klienta, choć nie obchodziło go już to tak bardzo jak kiedyś.

Elsbeth mieszała w garnku zupę dla Charlesa. Chochla stukała głośno o brzegi naczynia. Powietrze było przesycone zatęchłym smrodem mokrych gazet. Miała na sobie flanelową koszulę Joraha. Z bielizny i bandaży zrezygnowała.

– Przepraszam, że cię okłamałam – powiedziała. Jej prawdziwy głos brzmiał nienaturalnie. Słyszała to wyraźnie, kiedy wydobywał się z jej ust. –



Niecały miesiąc temu wróciłam do domu i zobaczyłam, że moja rodzina została zamordowana. Caleb ukrywał się w stajni.

– Cała rodzina? – Charles uniósł się na łóżku. – Zabili twoje dzieci i męża?

– Sądźmy, że mogą być tutaj – ciągnęła Elspeth. – Ci mordercy. – Zadrżała nagle na myśl o Calebie, jej dziecku, przebywającym blisko morderców w Elm Inn i rozpytującym o sprawców straszliwej zbrodni. Zarumieniła się zakłopotana.

– To jest odpowiednie miejsce do ukrycia się – stwierdził Charles i nie wypytywał jej dalej. – Przykro mi.

Zapomniała o zupie, która bulgotała wesoło na ogniu. Zdjęła garnek z pieca.

– Co byś zrobił, gdybym nie przyszła? – zapytała.

– W końcu przyszedłby mój ojciec.

– Ale on nie jest twoim prawdziwym ojcem?

– Jest moim ojcem, odkąd pamiętam. – Nalała zupę do najczystszej miseczki, jaką udało jej się znaleźć, wytarła rękawem łyżkę i zdjęła papiery z jednego z krzeseł w kuchni. Charles jęknął głośno, kiedy zdjęty stos przewrócił się i rozsypał na podłodze. Elspeth nie zwróciła na to uwagi i podsunęła mężczyźnie do ust łyżkę bulionu.

– Od czasu do czasu zagląda do mnie Owen – powiedział Charles. Otworzył szeroko usta.

– Jest twoim przyjacielem?

Charles prychnął drwiąco.

– Nie w takim sensie, jak myślisz, ale tak, jest moim przyjacielem.

Usłyszeli płynącą skądś cichą muzykę. Wydało im się to tak nonsensowne, że nie zareagowali. Nie zareagowali też, kiedy muzyka ucichła.

– Kim był ten człowiek, z którym widziałam cię po wypadku w chłodni?

– To ktoś bardzo dla mnie ważny – odparł. – Ale sama widziałaś, że nie odwzajemnia moich uczuć.

– Czy on pracował z tobą przede mną? – zapytała. – Był twoim partnerem?

Charles przymknął oczy. Szeptał coś do siebie, w kółko coś powtarzał. Chciała się nad nim pochylić, żeby usłyszeć, ale po jego minie poznała, że to było coś bardzo intymnego, nieprzeznaczonego dla jej uszu.

– Co to wszystko jest? – zapytała Elspeth, wskazując na zalegające w pokoju stosy papierów.

– I znowu to samo. To, co jest ważne dla mnie, niekoniecznie ma znaczenie dla innych.

Wsunęła łyżkę zupy do ust Charlesa. Niedawno sama była w ten sposób karmiona. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy podziękowała Calebowi i czy dała mu do zrozumienia, jaki był dzielny. Czy powiedziała mu, że umarłaby, gdyby nie on. Sądziła, że dobrze o tym wie. Kiedy miseczka była pusta, Elspeth wytarła Charlesowi usta. A on poprosił ją, żeby już sobie poszła. Powiedział to bez złości, to była zwyczajna prośba. Odpowiedziała, że już wychodzi, a on opadł bez sił na łóżko. Ledwo było widać jego sylwetkę pod kocem, którym Elspeth go okryła. Założyła swoje stare ubranie. Bandaże zostawiła, podobnie jak agrafki, ułożone w rzędzie na stoliku.

## Rozdział 14

Caleb czekał na Elspeth, siedząc w pluszowym fotelu w holu Brick & Feather. Mimo nerwowego podniecenia, a może z jego powodu, od czasu do czasu przebudzał się, niepewny, czy rzeczywiście zasnął, a jeśli tak, to jak długo spał. Na dworze było coraz cieplej, śnieg stopniał, odgłos spadających z dachu kropel mieszał się z regularnym tykaniem zegara. Caleb zaczął wyobrazać sobie, jak mogłaby wyglądać jego wizyta w domu Shane'ów. Jak tamta podobna do niego kobieta wzięłaby go w ramiona, uniosła i okręciła wokół siebie, jak zakreśliłoby się im w głowie, jak upadliby razem na podłogę, śmiejąc się głośno. Potem jednak znudzą się nim, tak samo dziewczętom przestają się podobać sukienki z koronkami i wstążkami i więcej ich nie noszą, zanim z nich wyrosną. Bał się, że kobieta weźmie go jeszcze raz w ramiona i wyda jej się jakby cięższy o te wszystkie kłamstwa, które nie pozwalały mu w nocy zasnąć, paraliżowały oddech. Że odsunie go od siebie i zapyta, skąd w nim tyle zepsucia i jadu, nie wiedząc, przez co przeszedł, co widział i co musiał zrobić. A może nie zapyta. Albo on nie będzie potrafił odpowiedzieć. Kiedy zobaczy się z Elspeth, zada jej te wszystkie pytania, które go dręczą. Zatopiony w myślach, nie zauważył, że stoi nad nim Frank z talerzem ciasteczek.

– Gdzie jest twój ojciec?

– Dostał nową pracę.

– Caleb, dziś rano ktoś mi powiedział, że widziano, jak wychodzisz z Elm Inn. Nadal tam pracujesz?

Caleb wymamrotał, że tak. Frank zapytał, jak sobie radzi, a Caleb odpowiedział z zaciśniętymi ustami, że świetnie. Nie lubił kazań.

– Wiem, że to nie twoja wina – rzekł Frank i zaczerpnął głęboko powietrza. – Kiedy byłem chłopcem, mieszkaliśmy w Nowej Szkocji. Pamiętasz, gdzie to jest? – Caleb przypomniał sobie mapę, którą pokazywał mu Frank, i półwysep w kształcie kaczej łapy. – Pracowałem z ojcem. On był kowalem i wszyscy myśleli, że pójdę w jego ślady. A szczególnie on. Ja nie lubiłem gorąca i nie znosiłem hałasu. – Roześmiał się. – Bałem się ognia, Caleb. Naprawdę. – Trzech mężczyzn rozmawiających w pobliżu piecyka zaczęło śpiewać. – Pewnego dnia, kiedy wykułem podkowę, śliczną podkowę, jedną z dziesiątek podków, powiedziałem wreszcie ojcu, że nie chcę być kowalem. Wiesz, co mi odpowiedział?

Caleb nie wiedział. We wszystkich opowieściach Franka Nowa Szkocja i jego dzieciństwo jawiły się jako coś cudownego: w powietrzu fruwały nury, muchołówki i rajske ptaki śpiewały, dni mijały na zabawie w stogach siana albo łowieniu ryb na skalistym wybrzeżu. Caleb widział to wszystko bardzo wyraźnie, więc irytacja Franka nie miała sensu.

– Powiedział, że każdy sam wybiera drogę, jaką będzie szedł przez świat, i jeśli kuźnia nie jest mi pisana, to niech tak będzie. – Frank ścisnął zwiniętą gazetę w dłoni. – Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Caleb obserwował idących chodnikiem ludzi. Kiedy pojawiło się słońce i zelżał mróz, wszyscy nagle zaczęli się spieszyć.

– Mój ojciec chyba nie ma nic przeciwko temu, co robię.

– Nie mówiłem o twoim ojcu.

– London White na pewno nie ma nic przeciwko.

– Od pana White’a trudno się wyzwolić – powiedział Frank. – Ale wciąż jeszcze możesz. – Caleb zbyt wiele widział, żeby w to uwierzyć. – Jesteś jeszcze dzieckiem, nie ośmieli się niczego ci zrobić.

Caleb nie wytrzymał. Wybuchnął śmiechem. Zabrzmiało to okropnie, wręcz koszmarnie, nawet dla niego. Zawstydzony, zasłonił usta. Wiedział, że Frank chce jego dobra, ale Frank nie miał pojęcia o tym, co się działo w Elm Inn. Caleb wiedział, że może skończyć w śnieżnej zaspie, patrząc szklanym wzrokiem, a Ellabelle będzie robiła dookoła niego orzełki w śniegu. Już chciał odejść, ale Frank wbił zęby w ciastko i podsunął mu pod nos talerz. A kiedy Caleb odmówił, Frank dał mu wymiętoszoną w spoconej dłoni gazetę.

Sklep z ubraniami w Watersbridge nieczęsto był otwarty. Pełen esów-floresów napis na drzwiach głosił: W SPRAWIE UMÓWIONYCH WIZYT PROSZĘ KONTAKTOWAĆ SIĘ Z PANEM JAKOBEM ROTHEM. Ale kiedy Elspeth zajrzała przez okno do wnętrza, zobaczyła pochyloną nad sukienką bez rękawów kobietę ze szpilkami w ustach. To ta kobieta, ta sama, która pomachała jej ręką, jedyna, która okazała jej odrobinę serdeczności w Watersbridge i była na dziesiątkach fotografii na zapleczu sklepu. W ciemnościach, w miejscu, wydawałoby się, zapomnianym przez Boga, rozbłysło światelko. Dźwięk dzwonka obwieścił jej przybycie.

– Był pan umówiony? – zapytała kobieta.

Elspeth odpowiedziała, że nie, a krawcowa nie oderwała nawet oczu od swojej pracy.

– Nie szkodzi. Czym mogę służyć?

– To drobiazg – odrzekła Elspeth. – Chodzi o coś dla mojej żony.

Pracownia była niewiele większa od pokoju hotelowego, który Elspeth dzieliła z Calebem. Pod jedną ścianą leżały bele materiału, a na drugiej, na półkach, gotowe ubrania, niektóre z etykietami z nazwiskiem. Na podłodze tu i ówdzie połyskiwała zapomniana szpilka albo leżał zbędny ścinek, zbyt mały, by uszyć z niego kieszeń.

– Zechciałby pan ją tu przyprowadzić? – zapytała kobieta. Podłożyła rąbek sukienki, cofnęła się o krok, przekrzywiając głowę, przyjrzała się z jednej strony i z drugiej, w końcu wyjęła szpilki i sukienka odzyskała pierwotną długość.

– Nie ma jej tutaj – odparła Elspeth. – Ale ma mniej więcej taki sam wygląd jak ja.

Kobieta po raz pierwszy spojrzała na nią i zaraz zajęła się wyjętą z ozdobnej szkatułki koronką.

– Ludzie już zauważyli? – zapytała.

Elspeth nawet nie zaprotestowała. Czuła nieprzyjemne pulsowanie w nosie. Najpierw pociemniało jej w oczach, potem oślepił ją biały blask, wreszcie wszystko stało się szare.

– Mam nadzieję, że niewielu.

– Dzisiaj ludzie interesują się tylko sobą. – Krawcowa sapnęła z irytacją, patrząc na sukienkę, i zwinęła koronkę w kłębek. – Przestała pani krępować piersi.

Elspeth zerknęła na swój dekolt. Koszula, faktycznie, pośrodku była bliższa ciału, ale nieznacznie.

Krawcowa obgryzała końcówkę miary wiszącej na jej szyi. Zdjęła z półki jedną z sukien. Tkanina była ciężka i piękna, granatowa, połyskliwa, ale nie w ostentacyjny sposób, z delikatnymi guzikami i klamerkami. Chyba była droga, ale targana emocjami i wystraszona Elspeth nie ośmieliła się protestować. Krawcowa wskazała tabliczkę przymocowaną do pustej teraz półki. ROBERTSON.

– Umarła – wyjaśniła. – Proszę się nie martwić. Będę zadowolona, jeśli uda mi się tę sukienkę sprzedać. – Krawcowa sięgnęła po kartkę i coś na niej naskrobała swoim zamaszystym pismem. Złożyła kartkę na pół i wręczyła ją Elspeth.

– Proszę dać to mojemu mężowi. Tylko jemu. Ma na imię Jakob.

Elspeth była tak szczęśliwa, że nie ośmieliła się o nic pytać. Podziękowała i rozłożyła suknię, przykładając ją do siebie. Krawcowa ujęła ją za dłonie.

– Będzie pasować.

Caleb czekał na Elspeth od kilku godzin. Nie był w stanie znieść dłużej widoku zbolącej miny Franka i wrócił do pokoju. Niemal godzinę moczył się w wannie, a mimo to nie pozbył się całego brudu pod paznokciami. Przeczesał palcami włosy, ale i tak niesforna ich część sterczała niczym badyle wyrastające spomiędzy kamieni. Z półki nad łóżkiem zdjął najelegantszą koszulę, jaką podarował mu White, i najczystszą parę spodni. Splunął na buty i wypolerował je skarpetką. Założył koszulę i przypiął szelki do spodni. Kiedy skończył, przysiadł ostrożnie na stołku, bojąc się, że wygniecie spodnie i koszulę. A potem wstał i ruszył przed siebie, stąpając po wypaczonych deskach podłogi.

Po hotelowych korytarzach przetoczył się stłumiony huk. Rozedrgane powietrze sprawiło, że pękła szyba w jednym z okien. Zdawało się, że eksplozja nastąpiła w jego wnętrzu, że to jego serce nie wytrzymało i pękło. Przeciągnął dłonią po brzuchu, był jednak cały. Wyjrzał przez okno. Zobaczył strzelistą sylwetkę kościoła i zgromadzony wokół tłum ludzi.

Miło znów pana widzieć – powiedział Jakob na powitanie. – Mam nadzieję, że colt się podoba?

Elspeth bez słowa wręczyła mu złożoną na pół kartkę od żony. Uśmiech znikł z jego twarzy. Przestraszyła się, że krawcowa ją oszukała i lufa któregoś z pistoletów z wystawy zostanie za chwilę wymierzona w nią.

– W porządku. – Jakob wygładził wąsy kciukiem i palcem wskazującym, potem wytarł dłoń o koszulę.

Potężny grzmot wstrząsnął sklepem. Jakob zdołał złapać kieliszek spadający z półki za jego plecami, gdzieś indziej rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Pod Elspeth ugięły się kolana i musiała wesprzeć się o ladę. W kieliszkach na półce ujrzała swoje przerażone odbicie.

– Kopią groby dla robotników z chłodni – wyjaśnił Jakob. – Dynamit to jedyny sposób. – Wyszedł zza kontuaru i zawołał: – Seth, policz straty. A ty, Isaac, słuchaj, czy dzwoni dzwon.

– Tak, tato – dobiegło z głębi sklepu.

Kartka ze śladami wosku do wąsów pozostała na ladzie. Nim Elspeth podążyła za Jakobem, zdążyła przeczytać tylko jedno słowo: mąż.

Caleb stracił cierpliwość i wyszedł z hotelu Brick & Feather. Nie mógł się nadziwić, ilu ludzi zobaczył na ulicy. Znacznie więcej niż kiedykolwiek. Wokół cmentarza za kościołem zgromadził się spory tłum, słychać było eksplozje. Co chwila drżała ziemia.

Jakiś zwalisty mężczyzna odwiązywał spłoszonego konia przed zakładem fryzjerskim. Caleb zatrzymał się i pogłaskał zwierzę po pysku.

Koń uspokoił się i cicho zarżał.

– Lubisz konie? – zapytał mężczyzna i otarł chusteczką pot z czoła. – Masz do nich dobre podejście. – Caleb podziękował za pochwałę, a mężczyzna mówił dalej: – To jest Art. Nie wiem, czy uda mi się go uspokoić, póki nie skończą kopać grobów. Lepiej zaprowadzę go do domu, niech tam się martwi.

Caleb zobaczył, że tłum się cofa, i zasłonił dłonią oczy konia. Musiał wspiąć się na palce, mimo że koń pochylił łeb. Nastąpiła eksplozja, a koń tylko parsknął. Mężczyzna poklepał go po boku. Wyjął z kieszeni jakąś kartkę i wręczył ją Calebowi. HANK WALSH, HODOWCA OGIERÓW CZYSTEJ KRWI. – Na wypadek gdybyś szukał pracy, synu – powiedział.

Caleb trzymał wizytówkę w palcach i przesuwiał po niej kciukiem. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby pracować dla kogoś takiego jak Hank Walsh, a nawet posiadać czystej krwi ogiera. Caleb nie potrafił sobie wyobrazić niczego poza hukiem i błyskiem wystrzału. Idąc zatłoczoną ulicą, wiedział, że każdego dnia będzie widział morderców wychodzących z jego domu, martwe ciało Emmy, niewidzące oczy Jessego. Rzucił wizytówkę w błoto, nie zamierzał tracić czasu. Krótką chwilę patrzył, jak woda wsiąka w papier i litery się rozmazują.

W drzwiach sklepu rozległ się dźwięk dzwonka. Spomiędzy regałów wypadł chłopiec w jego wieku, a chwilę później drugi, jeszcze mniejsza kopia ojca. Chłopcy przepychali się i walczyli, który pierwszy stanie za ladą. Ten starszy zwyciężył i popchnął młodszego na podłogę.

– W czym mogę pomóc? – zapytał zdyszany.

Caleb wyjął z kieszeni rewolwer. Młodszy podniósł ręce do góry, a jego brat roześmiał się. Caleb nie rozumiał, co ich tak śmieszy.

– Udaję, że napadłeś na nasz sklep – wyjaśnił młodszy. I obaj bracia znów się roześmiali. Caleb próbował zachichotać, ale zabrzmiało to jak atak kaszlu.

– Chciałbym oddać w rozliczeniu tego colta.

Chłopiec gwizdnął z niedowierzaniem.

– Jeszcze nikt nie zwrócił wojskowego colta, prawda Isaac?

– Tak jest, Seth – odpowiedział Isaac.

– A pan chciałby zwrotu pieniędzy czy wymiany na inny towar?

Caleb wyjaśnił, że potrzebuje pieniędzy, które zamierzał wydać w ich sklepie. Chłopcy powiedzieli, ile mogą zaoferować za rewolwer, i w końcu uściśli sobie dłonie, przypieczętowując transakcję. Seth, ten starszy, poprowadził Caleba do odpowiedniego regału. Młodszy z braci szedł za nimi

jak cień. Caleb zachwycił się pierwszym wazonem, który zobaczył. Na niebieskim dzbanku były wymalowane żółte stokrotki i ten motyw zdaniem Caleba idealnie pasował do wnętrza domu Shane'ów. Zdecydował się też na serwetki z materiału.

– Idą jak woda – zapewnił go Seth, a młodszy potaknął.

Do tego Caleb wziął solniczkę i pieprzniczkę w kształcie konia oraz na wszelki wypadek makatkę z wyhaftowanym słowem MATKA.

Tej ostatniej rzeczy nie wypuszczał z rąk, nawet kiedy Seth notował jego zakupy i dał mu potem listę do podpisu. Caleb nabazgrolił coś niewyraźnie. Był zbyt podekscytowany, żeby rysować kształtne kółka i linie, których nauczył go Frank. Z lady sfrunęła jakaś kartka. Caleb schylił się, żeby ją podnieść. Nie potrafił się powstrzymać i zerknął na nią. A było tam napisane: „Ten człowiek może stracić żonę. Drogi mężu, musimy ich na nowo połączyć. Kocham Cię”. Oddając chłopcom kartkę, chciał powiedzieć, że jej treść brzmiała smutno, ale powstrzymał się, bo doszedł do wniosku, że tego nie rozumieją.

Jakob i Elspeth rozpakowali paczki: płaszcz, dwa kapelusze – jeden na zimę, drugi na wiosnę – rękawiczki, perfumy i puder, bieliznę, buty i kilka sukienek, nie tak pięknych jak ta, którą trzymała pod pachą, ale odpowiednich na co dzień. Elspeth przebierała w tych wszystkich rzeczach, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Starszy chłopiec stanął u boku ojca i uśmiechnął się.

– Co się stało, Seth? – zapytał Jakob. – Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie.

– Był tu ten chłopiec i wymienił swojego colta – wyjaśnił Seth. – A przecież nikt nie oddaje colta. Prawda, ojczy? – Jakob obejrzał rewolwer i przyjrzał się papierom. – Źle zrobiłem?

– Nie, Seth, nie – powiedział Jakob i wsunął papiery pod ladę. – Podejrzewam, proszę pana, że pański syn sprzedał rewolwer.

Jakob oderwał z rolki kilka płacht papieru, wyjął zza paska nóż i przyciął szpagat. Elspeth była zniecierpliwiona i wołałaby, żeby sklepikarz się pospieszył.

– Kupił wazon i kilka innych rzeczy dla swojej matki – tłumaczył Seth.

Elspeth zajęła się pakowaniem sukienek, żeby ukryć łzy, które zaczęły jej napływać do oczu.

– Wspaniale – powiedziała.

Poczuła obcą jej dotąd radość. Pomyślała o swoich powrotach do domu, o wspinaczce na szczyt wzgórza z torbą w połowie wyładowaną prezentami



dla dzieci.

– Jego matka będzie zachwycona.

– Seth – przywołał go do porządku ojciec – idź, poszukaj brata i sprawdź, czy nie trzeba mu pomóc. – Chłopiec nie zaprotestował, ale trochę się ociągał. Dopiero kiedy Jakob dał mu lekkiego klapsa w tyłek, zniknął. I wtedy sprzedawca zajął się pakowaniem zakupów. Był tak skupiony, że aż wysunął język z ust.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale pański syn powinien więcej czasu spędzać z matką – powiedział Jakob.

Zaskoczona Elspeth zaczerpnęła głęboko powietrza. Poczuła ból w nosie.

– Chyba ma pan rację.

Sklepikarz obwiązał starannie ostatnią paczkę szpagatem.

– Bo widzi pan – Jakob nie skończył jeszcze – Ostatnio kiedy tu był, powiedział, że jego matka zmarła jakiś czas temu.

– Przepraszam za jego kłamstwa – odparła Elspeth. – To wszystko nie jest takie proste.

Bez kapelusza Caleb czuł mrowienie w uszach i bał się, że wiatr potarga mu włosy. Pokonanie drogi, która zdawała się nie mieć końca, kiedy go ścigano, teraz zajęło mu nie więcej jak jedną trzecią godziny i zanim zdążył się przygotować, stanął przed domem Shane'ów.

Z dala od miasta i wybuchów dynamitu na cmentarzu czuł tylko lekkie wstrząsy ziemi. A dom Shane'ów stał pewnie na fundamentach. Choć nad spadzistym dachem wciąż wisiło słońce, z okien sączył się żółtawy blask lamp. Na wpół zamrożone zwierzęce sylwetki, które widział wcześniej po ciemku, zdawały się teraz wychylać ciekawskie głowy ze śniegu i obserwować starannie uczesanego chłopca z prezentami pod pachą.

Stał dobrą chwilę, póki słońce nie skryło się za horyzontem i z cienia nie wypełził dojmujący chłód. Wreszcie przełamał się i podszedł do drzwi. Pierwsze stuknięcie w nie kłykciami było zbyt ciche, by ktoś coś usłyszał. Odchrząknął, jak zwykle czynił, myśląc o spotkaniu z prawdziwą matką. Zastukał jeszcze raz i usłyszał szuranie butów i przyciszone głosy.

Drzwi otworzył Paul. Miał na sobie płaszcz, włosy skryte pod kapeluszem. Ujrawszy Caleba, cofnął się o krok, położył dłoń na jego ramieniu i wprowadził go do środka. Zdjął kapelusz i płaszcz i rzucił je na kamienną posadzkę w sieni.

– Kelly! – zawołał. – Martin! – Roześmiał się, położył głowę na ramieniu chłopca i objął go. Potem zaprowadził Caleba do kuchni, dużego i wysokiego pomieszczenia z wielkimi belkami na suficie. W drugim końcu

pałił się ogień w kominku. Stał tam również stół, który Caleb widział wcześniej przez okno. Na ścianie wisiały półki, a na nich znajdowały się talerze, miski i filiżanki. Pośrodku był blat, a na nim szykowane właśnie potrawy, jakieś słoje, jajka, płachta białego papieru z grubymi płatami ociekających krwią steków. Stanęli przy rozgrzanym piecu. Drzwi po prawej stronie otworzyły się i pojawił się w nich Martin Shane. Zakładał właśnie szelki. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Sam – wyrzucił z siebie i klasnął w dłonie.

Paul uciszył go, wyciągając przed siebie palec.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak masz na imię – poprosił Paul.

– Caleb.

Martin spochmurniał i spojrzał nieufnie na Paula.

– Caleb – przesylabizował. – Oczywiście. Miło cię widzieć. – Na jego usta powrócił uśmiech. Zaczesał włosy Caleba do tyłu, a Caleb pożałował, że nie zrobił tego sam wcześniej, skoro to im się podobało. Martin przesunął palcami po siniakach na twarzy chłopca, a Caleb z trudem powstrzymał się, żeby się nie skrzywić.

– Kelly! – zawołał Martin.

Paul cały czas trzymał dłoń na ramieniu Caleba, jakby bał się, że kiedy ją cofnie, Martin może zrobić mu krzywdę. Z kolei Martin nie przestawał dotykać Caleba.

– Zjesz z nami kolację? – zapytał. Zdjął mu z ramion płaszcz. Jedyne, co Caleb mógł zrobić, to nie upuścić prezentów. Przekładał je z jednej ręki do drugiej, kiedy Martin go rozbierał.

Zaskrzypiały drzwi i wszyscy jak na komendę obrócili się w ich stronę. W progu stanęła kobieta w czarnej sukni, z włosami splecionymi w misterny kok. Caleb stracił dech w piersiach. Zrobił krok naprzód, strącając dłoń Paula. Kelly rozpostarła ramiona, a Caleb, początkowo niepewnie, podszedł do niej i zatonął w jej uścisku. Przyklękła na jedno kolano, on zrobił to samo, choć był niemal tego samego wzrostu, co ona. Przytuliła się do niego zimnym i gładkim policzkiem. Pachniała świeżo upieczonym chlebem.

– Jestem Kelly – szepnęła mu do ucha.

– Witaj, Caleb – odezwał się Paul.

Kelly ukołysała go w ramionach. Nigdy wcześniej nie był tak tulony przez drugą osobę. I miał ochotę zasnąć w tych objęciach, żeby wszystkie jego podróże i wszystkie zmartwienia nagle zniknęły, jak obłoczek pary z ust na mrozie.

## Rozdział 15

Przez większą część mojego życia ktoś ciągle na mnie czekał, pomyślała Elspeth w trakcie kąpieli. Odkąd opuściła stosunkowo wygodną posiadłość van Tesselów, ktoś zawsze oczekiwał jej powrotu: Jorah czekał w lesie, w niewykończonym domu; Mary i pozostałe dzieci, które rosły jak na drożdżach, czekały, kiedy matka wyłoni się zza wzgórza; Caleb czekał na nią otoczony martwymi ciałami członków rodziny; i czekał, aż razem znajdą ludzi odpowiedzialnych za tę śmierć. Temu ostatniemu zadaniu poświęciła mało czasu, zajęta myślą o kolejnym dziecku, Charlesem i niepewną przyszłością w Watersbridge. A teraz ona czekała i szykowała się na powitanie Caleba.

Odchyliła w tył głowę i zmoczyła włosy. Woda zalała jej uszy, zamknęła przed nią świat dźwięków. Elspeth przechyliła się do przodu i zaczęła masować dłońmi twarz. Mimo bólu tarła zgrubieniami na palcach policzki, przywracając im naturalny kolor. Na włosy nałożyła olejki otrzymane od Jakoba, rozczesała kołtuny. Włosy miała tak krótkie jak Caleb, zaczesła je więc na bok i upięła spinkami. Łazienka wypełniła się zapachem mięty i dzikiej róży. Luźna i miękka w dotyku suknia tak bardzo różniła się od ograniczających ruchy, przepoconych i ubłoconych spodni, w których Elspeth chodziła do pracy nad jeziorem. Kiedy usiadła w fotelu, poczuła, że jej stopy stają się ciężkie. Zastanawiała się, jakie prezenty kupił jej Caleb, i te myśli dodawały jej energii. Jeśli nie liczyć używanych rzeczy po dzieciach van Tesselów, tylko jeden raz w życiu dostała prawdziwy prezent, od Joraha, kiedy wybrał się do cywilizowanego świata. Wrócił do domu z naderwanym uchem, wielkim sińcem na szyi i miał fioletowe pudełko ze szpilkami do włosów. Koniec każdej z nich zdobiła figurka jakiegoś zwierzęcia. Oddała je dziewczynkom, które nie wsuwały ich we włosy, ponieważ wtedy nie widziały zwierzęcych postaci. Wołały tymi szpilkami przypinać kwiaty do sukienek na piersi. Wspomnienia przyniosły jej ukojenie. Jakąś godzinę później wygładziła suknię. W jednej ręce trzymała kawałek rozbitego lustro z korytarza, a drugą przypudrowała policzki.

Nim zdążyła wstać i zapalić lampy, zrobiło się ciemno. W pudełku była tylko jedna zapałka. Elspeth odmówiła krótką modlitwę, prosząc, żeby ta jedna zapałka wystarczyła. Udało się za pierwszym razem, a kiedy zapałka zapłonęła żywym ogniem, Elspeth zapaliła jedną lampę, potem drugą.

Trzymała drewnienko w palcach, patrząc, jak się powoli spala, jak płomień tańczy i drga. Nie ośmieliła się oddychać ani go zdmuchnąć. Kiedy płomień zaczął ją parzyć w palce, potrząsnęła dłonią, tylko raz. I patrząc, jak obłoczek dymu unosi się pod sufit, wyobrażała sobie chłodną powierzchnię wazonu, fakturę gliny.

Daj chłopcu odetchnąć – odezwał się Paul.

Kelly opanowała się, a Caleb zaczął na pokaz poprawiać ubranie, choć w rzeczywistości ten drugi wybuch radości sprawił mu taką samą przyjemność jak pierwszy. Martin postawił na stole naczynie z duszoną wołowiną, ziemniakami i marchewką. Paul oderwał dla niego kawałek chleba z bochenka.

– A więc, Calebie – zaczął Martin. Paul rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Martin brnął dalej. – Ile masz lat?

– Dwanaście.

– Dwanaście – powtórzył z powagą Martin. – To jesteś już prawie mężczyzną.

Kelly i Paul wymienili spojrzenia.

– Co cię sprowadza do Watersbridge, Caleb? – zapytała Kelly.

– Moja ma... mój ojciec – poprawił się Caleb, ale szybko zmienił zdanie i postanowił, że nie będzie kłamał. – Moja matka.

– Czy twoja matka albo twój ojciec kiedykolwiek mówili ci, skąd pochodzisz? – zapytał Paul. Oparł się łokciami na stole i zanurzył chleb w sosie.

– Powiedziała mi, że tu się urodziłem.

Martin radośnie potrząsnął zaciśniętą pięścią, Kelly przycisnęła dłoń do piersi, a Paul mieszał kawałkiem chleba w swojej misce.

– Więc – zaczął Caleb, zaciskając palce na leżącej pod krzesłem torbie z prezentami – ty jesteś moją prawdziwą matką?

Kelly przelała z powrotem zawartość swojej miski do garnka, choć nawet nie spróbowała potrawy. Paul postukał Martina w ramię ustnikiem fajki, którą następnie nabił tytoniem. Martin chwycił się za czoło, jakby nagle rozbolała go głowa. Żeby sprawić im wszystkim przyjemność, Caleb zjadł kęs wołowiny i uśmiechnął się. Chciał, żeby znów zapanowała przy stole serdeczna atmosfera, ale drugą ręką coraz mocniej ścisnął torbę pod krzesłem. Zaskrzypiało przysuwane krzesło. Kelly usiadła obok niego.

– Caleb – zaczęła, odgarniając włosy z czoła – twoja matka była moją siostrą i miała na imię Kaitlyn. A twój ojciec był jej mężem i miał na imię Samuel. A ty... – Zaszlochała głośno. – Przepraszam. Ty masz imię po nim.

Samuel.

Caleb wypuścił torbę z rąk.

– Gdzie ona jest?

– Ktoś cię ukradł – powiedział Martin. – Porwał cię. – Paul uciszył go i zapalił fajkę. Kawałek chleba w jego misce przybrał barwę sosu i rozmiękł. Sztućce leżały nietknięte obok.

– Gdzie ona jest?

– Twoja matka... moja siostra... – Kelly się jąkała – odeszła.

– Odeszła? – powtórzył Caleb. Był pewny, że wie, co miała na myśli, ale nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Potrawa w garnku zabułgotała. Tytoń w fajce Paula zaskwierczał i powietrze zapachniało tak słodko jak latem w lesie.

– Umarła – dopowiedział Martin. Paul i Kelly, przywołując Martina do porządku, jednocześnie wypowiedzieli jego imię, ale on mówił dalej. – Umarła, kiedy cię rodziła.

– Kiedy mnie rodziła?

– To nie twoja wina, skarbie – powiedziała Kelly. – Ty nic złego nie zrobiłeś.

Caleb nie potrafił pojąć, że ktoś mógł stracić życie z jego powodu. Pomyślał o Elspeth. Może Elspeth zabrała go, bo nie chciała, żeby żył bez matki. Albo żeby żył bez ojca. Ale dlaczego w takim razie tak często wyjeżdżała, a kiedy wracała była dla niego, dla nich wszystkich taka obca, nawet siedząc obok? Zapach fajki, początkowo słodki, teraz wywoływał zawroty głowy. Świat gdzieś odpłynął i Caleb patrzył na niego jakby z dna studni.

– Taki los, Calebie – powiedziała Kelly – okrutny los. – Caleb położył głowę na stole, jego czoło dotykało gorącej miski. Zanim zdążył się zorientować, Kelly pomogła mu wstać i poprowadziła wąskimi, tonącymi w mroku schodami na górę. Caleb bał się, że został otruty, ale obejmująca go ręka Kelly świadczyła o czymś innym. W drugiej ręce kobieta niosła torbę z prezentami. Odłamki rozbitego wazonu zgrzytały głośno. A Caleb wciąż trzymał w dłoni łyżkę.

Odrzuciła pachnącą czystością kołdrę i Caleb położył się w ubraniu do łóżka.

– Powinieneś odpocząć – powiedziała Kelly. Wyjęła mu z dłoni łyżkę. Pocałowała go w policzek, potem w nos i w drugi policzek. – Biedne dziecko.

Elspeth zbudził cichy dźwięk. W świetle księżycy zobaczyła mysz

przebiegającą przez pokój i znikającą pod pustym łóżkiem Caleba. Uniosła róg koca i namacała dłonią lekkie zagłębienie w poduszce, tam, gdzie zwykle spoczywała jego głowa. Poczowała się śmiesznie w swoim eleganckim ubraniu, pachnąca perfumami. Wyjęła spinki z włosów. Zdjęła buty i zrzuciła suknię. Powiesiła ją na jedynym wieszaku, jaki był w ich pokoju, a wieszak zawiesiła na sterczącym z sufitu haku. Suknia kołysała się dostojnie na boki.

Senne marzenie pojawiło się szybko. A raczej senny koszmar, w którym szła po trzeszczących deskach, otoczona tłumem ludzi. W tłumie były jej dzieci: Emma, Jesse, Mary, Amos i Caleb, a także ich matki i ojcowie. Wszyscy głośno domagali się jej krwi. Obok torów kolejowych stały małe szkielety z delikatnymi kosteczkami palców i rozbitymi czaszkami. Był też Jorah. Czyjaś silna ręka popchnęła ją od tyłu i Elspeth zaczęła spadać. Spadała bardzo długo, minuty, może godziny, aż wreszcie szczytce zawieszony na drewnianym żurawiu ścisnęły jej ciało pod żebrami i powstrzymały lot. Po nogach spływały jej strużki krwi i skapywały ze stóp. Żuraw zaczął się poruszać po lodowej tafli jeziora. Dotarł do miejsca, gdzie woda nie zamarzała, szczytce zwolniły swój uścisk, a ona wpadła do wody z wysokości, zanurzyła się tak głęboko, że nie miała nadziei na wypłynięcie na powierzchnię. Kiedy zaś zobaczyła wreszcie światło, uderzyła głową w twardą tafel lodu. Zaczęła tłuc pięściami, ale lód nie pękał.

Zerwała się gwałtownie z łóżka, brakło jej tchu. Tłum ludzi z jej snu zaczął znikać, pozostał tylko jeden mężczyzna. Stał z kapeluszem przyciśniętym do piersi, ale nie krzyczał jak pozostali. Kiedy wielkie szczytce rozrywały jej ciało, założył kapelusz na głowę, odwrócił się i odszedł bez słowa. W jej uszach rozbrzmiewało dawno zapomniane nazwisko Shane. Zawieszoną pod sufitem suknią poruszał niezauważalny podmuch wiatru. Skrzypienie wieszaka było jak upiorny śmiech.

Obudziłeś się – rozległ się czyjś głos.

– Tak – odpowiedział Caleb i poczuł w żołądku ten sam ciężar zimnych kamieni jak wtedy w stajni, kiedy siedział z twarzą przyciśniętą do desek ściany, a w nozdrza uderzył go smród własnego moczu.

– To ja, Paul – odezwał się głos. – Nie bój się. Wiem, że to było dla ciebie za dużo na jeden raz.

Caleb usiadł na łóżku. Paul zgarbił się. W dłoniach trzymał coś, czego Caleb nie mógł w ciemności dojrzeć. Kelly nie zasłoniła okien i na niebie widać było ciężki, tłusty księżyc w pełni.

– Wiem, że ci, którzy zajmowali się twoim wychowaniem, zrobili to dobrze – powiedział Paul. – Może to nie byli ci sami, którzy cię porwali. Trudno powiedzieć. Ale przyszedłem, żeby cię ostrzec. – Z korytarza doleciało skrzypnięcie. Paul i Caleb zamarli. Nasłuchiwali i czekali. Coś, być może sowa, mignęło za oknem i Caleb podskoczył ze strachu. Paul przyłożył palec do ust.

– Martin Shane nie ma w zwyczaju wybaczać – powiedział Paul, kiedy podejrzenia nie potwierdziły się i nikt nie wszedł do pokoju. – I nie pyta, czy ktoś jest winny, czy nie. Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Caleb przytaknął. – Kiedy zniknąłeś, Martin i twój ojciec szukali cię po całym stanie. Znikali na całe tygodnie, czasem nawet miesiące. – Caleb wyobraził sobie podobnego do siebie mężczyznę galopującego po rozległych przestrzeniach, które pokonali z Elspeth. – Znaleźli kobietę, która być może widziała cię na stacji kolejowej – powiedział Paul, a Caleb pomyślał, że powinien pamiętać taką rzecz jak podróż pociągiem, nie powiedział jednak ani słowa. – Powiedziała, że widziała doktora i jakąś kobietę z noworodkiem. Rozmawiali z tym lekarzem, ale on nie potwierdził słów tamtej kobiety. – Paul pociągnął zwisającą ze spodni nitkę. – Martin i twój ojciec przejechali cały szlak kolejowy. Zatrzymywali się na każdej stacji, w każdym mieście. Byli wykończeni. Nie wiem, czy w ogóle spali. Ciągłe zmieniali konie. Kiedy wracali, całe noce spędzali w salonie nad mapami i gazetami, w których szukali jakiejś informacji o tobie. A potem znów wyjeżdżali, w dzień, w nocy, rozmaicie bywało. Po niecałym roku wszystko to odbiło się na twoim ojcu. Za każdym razem, kiedy wracał, coraz bardziej przypominał ludzki szkielet. Wprost marniał w oczach. Zdawało się, że cały świat przestał go obchodzić. Prawie nie rozmawiał ani ze mną, ani z Martinem. I wtedy, pewnej nocy, wracali konno do Watersbridge. Twój ojciec zaproponował, żeby skrócić drogę, przecinając zamarznięte jezioro. Martin mówił, że jest zbyt ciepło i lód jest cienki, ale twój ojciec nie posłuchał. Martin zawrócił konia i zdążył przejechać kilka metrów, kiedy usłyszał trzask.

– Więc mój ojciec nie żyje. – Caleb poczuł, że chce powiedzieć to na głos.

– Szukali go całą noc. Ściągnęli lampy, obwiązali liną przyjaciela ojca, człowieka o nazwisku Edwin. Ja też tam byłem. Kiedy Edwin wracał, machał tylko głową, dając znak, że nikogo nie znalazł. Gdyby to nie był twój ojciec, gdyby ludzie nie wiedzieli, przez co przeszedł, nie trudziliby się.

Caleb ponownie spróbował wyobrazić sobie kogoś podobnego do niego jadącego na koniu po bezdrożach albo wzdłuż szlaku kolejowego niknącego

na horyzoncie, ale widział tylko powoli zamarzającą dziurę w tafli lodu.

– Te wszystkie wyprawy bardzo zmieniły Martina. Był wtedy młodym chłopakiem. Niewiele starszym od ciebie. – Caleb przypomniał sobie dzikie spojrzenie Martina, kiedy Ethan przygwoździł go do podłogi w Elm Inn. – Każdy zarobiony grosz przeznaczał na wynajęcie tropicieli, myśliwych, kogokolwiek, kogo udało mu się znaleźć. Zaczęły się kłopoty. Ludzie już zrobili, co mogli, widzieli, co się dzieje z twoim ojcem, widzieli, co się dzieje z Martinem, i zaczęli się bać. Minęły dwa lata od dnia, kiedy zniknąłeś. Ale Martin nie zaprzestał poszukiwań. Oddawał tropicielom wszystkie zarobione pieniądze. Czasem jechał z nimi, brał mapy, plany, przepowiadał sobie słowa tamtej kobiety i wszystko zaczynało się na nowo.

Paul bawił się czymś, co trzymał w ręce.

– Kiedy cię zobaczyłem na ścieżce, wiedziałem, że niejedno musiałeś przejść. Masz takie samo spojrzenie jakie miał twój ojciec, jakie ma Martin. – Caleb chciał mu opowiedzieć o Emmie, Jessem, Mary, Jorahu i Amosie, o tym, jak spalił ich ciała i podpalił dom. Chciał, żeby ktoś zamiast niego wykrzyczał cały jego ból po tym, co stracił. – Twoja matka, twój ojciec, cała twoja rodzina nie jest bezpieczna – powiedział Paul. – Mogą się tu kręcić ludzie, których Martin wynajął, prawdziwi mordercy, pozbawieni skrupułów.

Caleb przypomniał sobie, jak dostrzegł w ciemnościach połyskujące włosy Joraha, a potem zobaczył padającego na ziemię mężczyznę. Jak następnego ranka poszedł na polankę po drugiej stronie wzgórza i poczuł zapach świeżej ziemi. Przypomniał sobie, jak jeden z zabójców zaglądał do stajni. Na szyi miał zawiązaną czerwoną chustę. Widział długie włosy i wiedział, co się stało.

– Skąd oni są?

– Kto? – zapytał nieobecny głos Paul.

– Ci ludzie, których Martin wynajął. Skąd oni są?

Paul dał Calebowi przedmiot, który trzymał w rękach. Owinięty w ciemną tkaninę zwitek pieniędzy.

– Kelly i ja oszczędzaliśmy przez całe życie – powiedział. – Chowaliśmy wszystko, co udało się ukryć przed Martinem. Czasem znajdował pieniądze i wydawał je na kolejnego pijanego tropiciela, kolejnego człowieka, który palił się do bójki i strzelaniny.

– Skąd oni są? – powtórzył pytanie Caleb.

– Chcemy, żebyś wiedział, że możesz tu zostać, a wtedy te pieniądze przeznaczymy na twoje utrzymanie. Kelly i ja zaopiekujemy się tobą. Ale



jeśli to, co cię sprowadziło do tego miasta, jest dla ciebie takie ważne, weź te pieniądze i uciekaj stąd. Uciekaj tak daleko, żeby nie było cię na tych mapach, które Martin ogląda.

Calebowi nie zależało na pieniądzach. Dla niego były tylko kawałkami papieru.

– Gdzie są ci mordercy?

Nagle za oknem zrobiło się jasno jak w dzień i dały się słyszeć jakieś wrzaski.

– Teraz, kiedy już tu jesteś, Martin pali wszystkie mapy, gazety, rachunki – wyjaśnił spokojnie Paul, choć twarz miał wykrzywioną strachem. – Ale to nie koniec. Po tym pokazie nastąpi kolejny. – Zacisnął palce Caleba na zawiniątku z pieniędzmi. – Idź.

Caleb zebrał swoje rzeczy. Rozbity wazon zostawił. Rozglądał się w poszukiwaniu colta, aż wreszcie przypomniał sobie, że wymienił go na prezenty. Zateęsknił za swoją strzelbą.

Kelly stała przy oknie w kuchni i patrzyła, jak Martin wrzuca do ognia papiery i polewa je jakąś cieczą z butelki. Zauważył, jak zeszywniała, więc wyczuła jego obecność, tak samo jak zawsze wyczuwały ją jego zwierzęta. Caleb zwlekał chwilę, choć sam nie wiedział, na co liczy. Aż w końcu przekroczył próg i wyszedł w noc wypełnioną wrzaskami Martina.

Elsbeth zeszła po schodach w swoich nowych butach. Musiała nieco unieść suknię, żeby wiedzieć, gdzie stawia stopę. Hotel zaczynał się budzić do życia. Jedni wracali zmęczeni po całonocnych hulankach, inni dopiero co wstali i w odprasowanych starannie ubraniach pili poranną kawę. Było też kilka elegancko ubranych kobiet. Pachniało czystością: mydłem i perfumami. Tym razem to Elspeth czekała na Charlesa z dwoma kubkami kawy.

Frank poznał ją dopiero po dłuższej chwili.

– Elspeth – przedstawiła się.

– Elspeth – powtórzył.

– Mój syn – powiedziała. Frank podniósł filiżankę z kawą do ust, ale nie wypił ani łyka. – Widział go pan? – Frank pokręcił głową. – A wie pan, gdzie może być? Wygląda na to, że – ledwo panowała nad głosem – zabrał część swoich rzeczy.

– Zabrał strzelbę? – zapytał Frank. Strzelba, starannie wyczyszczona, leżała na półce nad łóżkiem Caleba. – Ten chłopak nigdzie się nie rusza bez broni. Chodźmy, porozmawiamy na zapleczu.

Chwycił ją za łokieć i zaciągnął do spiżarni pełnej słoików z dżemami

i różnokolorowymi konfiturami, książek kucharskich, worków z mąką i toreb z warzywami. Frank zamknął drzwi i w spiżarni zapanował mrok. Budynkiem wstrząsnął kolejny wybuch dynamitu na cmentarzu.

– Niech pani, pan, kimkolwiek, człowieku, jesteś, posłucha – odezwał się Frank. – To nie jest moja sprawa, ale spędzam trochę czasu z Calebem. Czy pomyślała pani, co pani robi temu chłopcu?

– Niespecjalnie – odparła Elspeth. – Ale ostatnio myślę o nim coraz więcej. Dziękuję panu.

Dotknął dłonią jej brzucha, a potem szybkim ruchem przesunął ją na krocze.

– Dlaczego?

– Żeby mnie nikt nie rozpoznał – odparła. – Żeby uniknąć kłopotów. Żeby uchronić się przed ponownym popełnieniem tego samego grzechu.

– Nie daje pani temu chłopakowi szansy.

– Wiem. – Była zadowolona, że jest ciemno i on nie widzi jej twarzy.

Podniósł wysoko rękę. Czuła, jak się zamierza i czekała na cios, odchyliła głowę do tyłu gotowa na jego przyjęcie. W końcu poniesie zasłużoną karę.

– Moja żona jest w ciąży – powiedział. – Żałuję, że moje dziecko przyjdzie na taki świat jak ten. Opuścił rękę i otworzył drzwi. Zimne powietrze owiało twarz Elspeth i osuszyło łzy. Nastąpiła kolejna eksplozja, od której zadrżały słoiki. Zajęci przygotowywaniem śniadania kucharze przerwali pracę, gotowi łapać spadające z półek przedmioty, a potem wrócili do swoich zajęć. Odgłos ubijania jajek kojarzył się Elspeth z dźwiękiem pazurów drapieżnika rozrywającego ciało ofiary. Miała nadzieję, że drapieżnik pospieszy się i ją znajdzie.

## Rozdział 16

Caleb znów słyszał tętent końskich kopyt ścigających go aż do centrum Watersbridge. Na cmentarzu panował spokój. Pod rozwieszonymi specjalnie na tę okazję lampami leżały martwe ciała, a puste groby rozdziawiały swe szczęki, czekając na ofiary. Kiedy dotarł do zwłok, odważył się obejrzeć za siebie, ale nic nie zobaczył. Nie było żadnego konia. Z mroku nie wyłonił się Martin Shane.

Zbliżał się świt, zaczęło jaśnieć, tajemnicze obiekty okazywały się teraz zwyczajnymi krzakami i drzewami, a nie uzbrojonymi w karabiny mężczyznami z czerwonymi chustami na szyi. Zwolnił. Kiedy dotarł do Brick & Feather, histeria minęła i jego głowę zaprzętała tylko jedna myśl – wyjechać stąd.

W kieszeni miał zawiniątko z pieniędzmi. W hotelu panowała cisza, a dywany tłumiły odgłos jego kroków. Siedzący w recepcji Frank uśmiechnął się do niego smutno. Caleb otworzył drzwi pokoju i ujrzał Elspeth. Nie spała i była spakowana. Swoje torby trzymała pod pachą i była ubrana jak kobieta. Jego zmęczony umysł nie pojmował tej nieoczekiwanej transformacji.

Elspeth czekała na chłopca całą noc. Ale ten z jej wyobrażeń nie miał guza na czole ani posiniaczonych policzków. Po tym, co Frank jej powiedział, stała bez ruchu w spiżarni tak długo, że jej ubranie przesiąkło zapachem kawy. Myślała o tym, przez co ten chłopiec musiał przejść z jej powodu, o tym, ile wycierpiał, o duchach przeszłości, które będą go ścigać do końca życia. W końcu doszła do wniosku, że postąpi najlepiej, jeśli go zostawi.

– Nie mogłem się odważyć, żeby zadać to pytanie – powiedział Caleb – chociaż próbowałem. – Zdjął chustę z szyi. – Nie jestem twoim synem.

– Nie jesteś – odparła Elspeth. Zwierzę, które ją tropiło, znalazło ją w końcu, już zaczęło ją pożerać, ale ona była tak przerażona i miała takie poczucie winy, że było to dla niej wyzwoleniem. – Zabrałam cię.

Mijał czas. Caleb usiadł, a Elspeth nie miała już dłużej sił dźwigać bagaży i postawiła je na podłodze. Nie zdjęła jednak płaszcza ani kapelusza, choć mocno się spociła. Słyszeli bicie dzwonów zwoływających żałobników na uroczystość pogrzebową i odgłos ich ciężkich kroków. Elspeth patrzyła na procesję kroczących ze spuszczonej głowami,

ubranych na czarno ludzi. Po chwili odwróciła się do Caleba. Powiedziała, że jego matka i ojciec byli miłymi ludźmi. Postanowiła też więcej nie grzeszyć.

– Domyślasz się chyba, że zabrałam także twoich braci i siostry? – Elspeth powiedziała to zimno, wiedziała bowiem, że jeśli podda się emocjom, nie będzie w stanie kontynuować. Nie musiała już chronić chłopca przed swoim lękiem, bo sama przestała się bać.

Wyjaśniła, że ponieważ jego matka i ojciec byli tak uroczymi ludźmi, to pomyślała, że wróci do Joraha i swojej rodziny bez kolejnego dziecka. Te, które już były, wystarczyłyby w zupełności.

– Twoja matka miała na imię Kaitlyn. – Kaitlyn była dzielna i dobrze przygotowana do porodu, kiedy w ich domu pojawiła się Elspeth. Pocałowała męża, choć w takiej chwili kobiety zwykle krzyczą, i zaczęła rodzić w bólach. – Była dzielna – powiedziała Elspeth. Wiedziała wtedy, że nie może ukraść tego dziecka. To mogła być wspaniała rodzina.

– Obawiam się Caleb, że jeśli powiem ci resztę...

– Powiedz mi wszystko. Wiem, że umarła przeze mnie.

– Nie przez ciebie – powiedziała Elspeth i rozplakała się. Kiedy się uspokoiła, mówiła dalej. O tym, jak zaczęła się sączyć krew. Początkową wąską strużką, której ani Elspeth, ani lekarz nie zauważyli, bo byli zbyt zajęci, a matka była taka cicha i spokojna. Dopiero gdy Elspeth poczuła krople krwi spadające na jej stopy, pokazała doktorowi niewielką kałużę na podłodze, a on powiedział Kaitlyn, że wszystko jest w porządku. Ale Elspeth zrozumiała, że doktor chciał jak najszybciej zakończyć poród, bo kobiecie nie zostało wiele czasu.

– Chciałam ją ostrzec, bo zbladła na twarzy i zaczęły jej się zamykać powieki. Powinnam była, nawet jeśli nie przyniosłoby to nic dobrego. – Dziecko przyszło na świat. Mały chłopczyk, łysy jak kolano, cały zapuchnięty. A matka jakby zapadła się w sobie. Miała wymizerowaną twarz, nogi jak patyki. Elspeth chwyciła ją za kostkę, uciekało z niej ciepło. Doktor kazał umyć dziecko. Elspeth umyła je i zawinęła w pieluszkę. I utuliła w ramionach.

Wszedł ojciec Caleba. – Samuel – krzyknął przeraźliwie i rzucił się na ziemię, brodząc na kolanach we krwi i ekskrementach. – Zabierz go – powiedział Samuel, wskazując na Caleba. – Zabierz stąd dziecko.

Caleb zbladł. A ona mówiła dalej.

– Zrobiłam, jak mi kazano.

Czekała na Samuela w pokoju dzieciennym, ale on nie przychodził. Mijały

godziny. Ósma, dziewiąta, dziesiąta, jedenasta. Nie pojawił się ani w nocy, ani następnego ranka. Lekarz poszedł do domu. I wtedy wmówiła sobie, a że była grzesznicą, przyszło jej to z łatwością, że Bóg ustami Samuela kazał jej zabrać Caleba.

– Ukradłam cię – powiedziała – To było niegodziwe.

To wyznanie nie usatysfakcjonowało Caleba. Uznał, że Elspeth, wyznając swoje winy, pozbyła się bólu, tak jak człowiek pozbywa się drzazgi, wyjmując ją z ciała.

– A teraz – powiedział Caleb – oni wszyscy nie żyją, a mój wuj chce cię zabić.

Elspeth poprawiła się na łóżku i odparła:

– W takim razie nareszcie przyjdzie koniec.

Caleb wcisnął jej coś w dłoń. Było ciepłe i miękkie. Rozchyliła palce i zobaczyła zwitek banknotów.

– Wyjeżdżamy – powiedział.

Włożył pod pachę strzelbę i pociągnął Elspeth za rękaw.

– Idziesz ze mną? Możemy znaleźć morderców – powiedział. Zaczął wrzucać swoje rzeczy do starego plecaka, pozszywanego starannie przez Margaret.

– Caleb – szepnęła. – Ja zaczekam. Mam dość.

– Nie! – Nie potrafił się uspokoić i zmusić jej do zachowania ostrożności.

Oślepiająco kolorowy świat wirował mu przed oczami w oszalałym tempie. Chciałby zasnąć. Odrzucił jednak tę myśl i pakował się dalej. Do kieszeni schował naboje do strzelby.

– To on ich nasłał.

Elspeth myślała, że miał na myśli Boga.

– Zaczekaj, dziecko – zawołała i chwyciła go za nadgarstek. – Kto? Kto ich nasłał?

– Mój wuj – odparł. – Próbowali mnie znaleźć. – Słowa wysypywały się z ust Caleba i zdawały się rozbijać o podłogę jak jajka. Zrozumiał, że gdyby nie on, jego bracia i siostry żyliby. Jego wuj, jego udawana matka, jego miasto, wszystko wokół Caleba stawało się śmiercią. Nie dziwił się, że Kelly nie mogła na niego patrzeć. W jego żyłach płynęła trucizna.

Elspeth nie miała wielkiego doświadczenia w uspokajaniu Caleba i zrobiła to, co potrafiła: objęła go. Kiedy go wypuściła z objęć, ramiona jej sukni były mokre, a Caleb miał zaczerwienioną twarz i wycierał rękawem nos.

– Porozmawiam z nim – powiedziała i uciszyła go, zanim zdążył

zaprotestować. Dowiemy się, gdzie ci ludzie mieszkają. Spróbuję wszystko wytłumaczyć panu Shane'owi.

– Nie – zaprotestował Caleb. – On cię zabije. – Nie chciał widzieć już więcej trupów. – Musimy uciekać. Natychmiast.

Z każdym kolejnym napadem złości wydawał się jej mniejszy i młodszy, a jej odpowiedzialność rosla.

– Na pewno przyjdzie na pogrzeb. Porozmawiam z nim w kościele. – Chwyliła chłopca za rękę. – Nie zastrzeli mnie w domu bożym.

Caleb nie miał pojęcia, co zamierzała mu powiedzieć, jak chciała się usprawiedliwić, ale nie miał siły klócić się z nią. Zrozumiał nagle, jak zakończył życie jego ojciec. Skierował konia na lód, zwierzę mu ufało. Początkowo bało się, ale zachęcił je, pewnie szepcząc coś do ucha. Caleb znał już to uczucie wyczerpania.

Dołączyli do procesji żałobników. Z bocznych uliczek, z restauracji i ze sklepu wychodzili kolejni ludzie. W końcu tłum szedł całą szerokością ulicy.

Na odcinku dwustu metrów Elspeth starała się zapomnieć o ostatnim koszmarnym miesiącu. Suknia, wiotka i luźna, wisiała na niej. Twarz miała zaczerwienioną od mydła i balsamów, skórę podrażnioną tam, gdzie wcześniej była pasta do butów. Przed nimi wyrastała wieża kościoła, a kiedy się do niej zbliżyli, zaczęły bić dzwony. Panowała taka cisza, że słyhać było szelest ciągniętych lin. Dźwięk dzwonów przestał Elspeth przypominać o jej grzechach, teraz był zapowiedzią odzyskanej na nowo wolności. Nie miała już żadnych sekretów przed światem.

Caleb szukał wzrokiem Martina, ale był niższy od pozostałych i widział tylko ludzkie plecy. Kościół wypełnił się po brzegi, wszędzie widać było czarne ubrania i ludzi pogrążonych w żalu. Weszli po schodach na balkon i znaleźli kawałek wolnego miejsca. Napływający żałobnicy spychali ich pod ścianę z freskiem przedstawiającym aniołów unoszących dusze do nieba. Witraże, zwykle majestatyczne, zblakły na tle szarego, ponurego nieba. Caleb stanął na palcach. Widział teraz przybraną czarnym sukniem ambonę i pulpit, widział płonące na ołtarzu świece adwentowe. Ludzie stali w nawach i siedzieli na posadzce. Na środku świątyni leżała wielka bryła lodu. Zaczęły grać organy. Ich dźwięk, głęboki i niespieszny, niósł się echem w kościele. Bocznyimi drzwiami wszedł chór. Tłum, który wypełnił nawę, blokował przejście i chórzyci z trudem przeciskali się między ludźmi. Za chórem szedł pastor. Cierpliwie czekał, aż ci, którzy stanęli mu na drodze, przesuną się i będzie można przejść. W kościele powstało jakieś zamieszanie. Caleb spojrzął nad ramieniem stojącego przed nim mężczyzny

i zobaczył Londona White'a, któremu drogę, nie zważając na tłum, torował Ethan. Elspeth patrzyła, jak żałobnicy rozpraszają się niczym insekty przed szefem jej syna. White usiadł w pierwszej ławce po lewej stronie, a Ethan stanął obok. Na jego widok pastor spurpurowiał na twarzy, ale White zignorował go i spokojnie otworzył śpiewnik.

Caleb i Elspeth też byli co chwila popychani i Elspeth otoczyła syna ramieniem. Ktoś strącił jej z głowy kapelusz. Rozległy się głośne szepty, wokół zapanował niepokój. Łokciami torował sobie drogę przez tłum Martin Shane. Zgrzytał zębami. U pasa miał rewolwer. Elspeth zasłoniła swoim ciałem Caleba. Teraz, kiedy dostała to, o co prosiła, nie wiedziała, od czego zacząć. Martin Shane nie zmienił się przez te dwanaście, prawie trzynaście lat. Widziała go tylko raz czy dwa, kiedy odwiedzała jego siostrę. Zasztywał się wtedy w kącie. Był rumianym chłopcem o pszenicznych włosach i wyblakłych od słońca, niemal białych brwiach, miał piegi na nosie. Widząc teraz jego zachowanie, zrozumiała, że kościół nie ochroni jej dziecka. Kiedy jednak pastor poprosił, żeby wszyscy, którzy mogą, usiedli, Shane zwrócił twarz w stronę ołtarza. Pastor, prawdziwy pastor, który przyjechał z Rochester, mówił tak głośno, że jego słów nie zagłuszało kaślanie i wiercenie się setek wiernych.

Shane poruszał się w sposób zdecydowany i Elspeth żałowała, że nie ma przy sobie broni, ale wcześniej uprzedziła Caleba, że do domu bożego pójdą nieuzbrojeni. Kiedy jednak Martin klepnął chłopca w ramię, najchętniej wpakowałyby mu kulkę prosto w serce.

Chór zaczął śpiewać. „W nieprzemijającej niebiańskiej miłości moje serce nie ulęknie się żadnej zmiany, zawsze czuć się będzie bezpiecznie”.

Calebowi brakowało miejsca, by się bronić. Jego stopy oderwały się od ziemi. Nie wiedział, co zamierza Shane, więc na wszelki wypadek zacisnął pięści i zaczął go nimi okładać. Nikt tego nie zauważył, a i Shane nie zwrócił na to uwagi. Posadził sobie chłopca na ramionach i oparł się o ścianę. Pod sufitem było dużo cieplej. Shane pachniał dymem. Elspeth i Caleb wymienili spojrzenia, których znaczenie trudno było rozszyfrować, coś pomiędzy zaskoczeniem a zmęczeniem.

„Dokądkolwiek mnie poprowadzi, nie zawrócę z jego drogi”. Głosy chóru uspokoiły Caleba, serce przestało mu walić, choć krew jeszcze pulsowała w nadgarstkach. Spojrzał z góry na głowę Shane'a, na ciemne plamy między kosmykami rzadkich włosów. Minęło już pięć, może sześć lat, kiedy po raz ostatni siedział na barana na ramionach Amosa. Ale jego włosy były brązowe i gęste. Teraz widział dobrze cały kościół: stłoczony chór, bryłę

lodu na czarnym brezencie, witraże, które przypominały cukierki przynoszone przez matkę z miasta.

W kościele było gorąco od ludzkich ciał, choć na dworze sypał śnieg i zerwał się porywisty wiatr. Śnieg gromadził się na parapetach, oblepiał szyby w oknach. Pomiedzy słowami kazania słycać było uderzenia wielkich płatków śniegu, jakby próbujących wedrzeć się do wnętrza kościoła. W tej nabożnej ciszy pastor zszedł z ambony. Był niższy, niż się Caleb spodziewał, miał siwe włosy, zielone oczy i rzadką bródkę. Niepewnie wspiął się na lodową bryłę. W pewnej chwili poślizgnął się. Jeden z członków chóru, łysy mężczyzna, zerwał się, żeby go podtrzymać, ale stary pastor odzyskał równowagę i wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał Biblię.

– Na ziemi należącej do Boga – powiedział – nie ma wypadków. Słowo „wypadek” nie pojawia się w Jego Księdze. – Potrzęsnał Biblią i omal się znów nie wywrócił.

Elsbeth obserwowała Shane’a i Caleba i zastanawiała się, czy chłopiec nie zmieni zdania i nie zostanie z wujkiem. Caleb pochylił nisko głowę. Był już za duży, żeby siedzieć komuś na barana. Nie byli do siebie podobni, w każdym razie niespecjalnie, uderzyło ją natomiast ich podobne zachowanie. Ta bliskość, z jaką uczestniczyli w ceremonii, kazała jej przypuszczać, że chłopiec naprawdę zostanie w miejscu swojego urodzenia, porwany stąd, znów będzie tu żył.

– Możemy być panami tego bożego świata tylko przez chwilę – ciągnął pastor – dopóki On w swojej nieskończonej mądrości nie postanowi przypomnieć nam o swojej mocy i naszej tymczasowej obecności na świecie”.

Nabożeństwo przeciągnęło się i żałobnicy zaczęli zapominać o swoich zmarłych, coraz częściej myśląc o niewygodnych ławkach, zdrętwiałych nogach i panującej w kościele duchocie. Shane kilka razy przysnął, głowa opadała mu na bok, na udo Caleba, po czym szybko się otrząsał i stawał prosto. Napięcie między całą trójką topniało równie szybko jak bryła lodu na środku świątyni.

Ceremonię zakończyło odczytanie przez Edwarda Wallace’a listy zabitych. Po każdym nazwisku rozlegał się dźwięk dzwonu. Elspeth zastanawiała się, które nazwisko z listy należało do chłopca na posyłki i czy kartka, którą miał w ręku, była jego. Caleb w duchu wymienił imiona swoich braci i sióstr, Joraha, swojego ojca Samuela i matki Kaitlyn. Każde uderzenie dzwonu przeszywało jego ciało na wylot. Kiedy przebrzmiało



echo ostatniego uderzenia, zaczął śpiewać chór, ale ludzie już nie słuchali nabożnej pieśni, zaczęli się przeciskać do wyjścia, zapominając, że ulice są zasypane śniegiem i hula po nich wiatr. Chór nie mógł przejść środkową nawą, stłoczył się w głębi kościoła i zamilkł. Elspeth nawet nie próbowała się ruszyć. Martin też stał w miejscu, czekał, aż zrobi się luźniej, i postawił Caleba na ziemi. Balkon powoli opustoszał. Martin wsparł ręce na biodrach i zaczekał, aż wyjdą ostatni żałobnicy, para przytrzymujących się wzajemnie staruszków.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytał.

Po tak długim czasie, pomyślała Elspeth, słowa to za mało.

– Zabrałam go – powiedziała. Martin położył dłoń na rękojeści rewolweru.

Elspeth zaczęła mówić o okolicznościach śmierci jego siostry, ale urwała, uznając, że w ten sposób próbuje się usprawiedliwić. Odchrząknęła.

– Wychowywałam tego chłopca, może niezbyt dobrze, ale wychowywałam go jak własnego syna.

– On nie jest twój. – Grupka trzech mężczyzn próbowała wynieść czarną brezentową płachtę, na której wcześniej spoczywała bryła lodu. Niechący przechylili brezent i woda wylała się na czerwony dywan. – On jest mój.

– Nie jestem twój – wyszeptał łamiącym się głosem Caleb. Nikt z dorosłych go nie usłyszał. Stali, gapiąc się na ściekającą z brezentu wodę.

– Przykro mi z powodu śmierci twojej siostry – odezwała się w końcu Elspeth.

– I mojego brata – dodał Martin. – Spędziłem całe życie... spędziliśmy całe życie, zmarnowaliśmy całe swoje życie, próbując go znaleźć.

– Nigdy nie było mnie tam, gdzie powinnam być – wyznała Elspeth. I dojrzała na twarzy chłopca wściekłość, najzwyczajniejszą złość, która zajęła miejsce strachu nieopuszczającego go od chwili, gdy obudził się w stajni.

– Ludzie, których wynajęłeś, zamordowali moją rodzinę – odezwał się Caleb. Tupnął nogą w drewnianą posadzkę. Próbowali z powrotem zrobić z niego dziecko, a to doprowadzało go do pasji. – Wszystkich. Joraha. Amosa. Emmę. Mary. I Jessego. – Uniósł nogę. – To są buty Jessego. Mojego brata.

– On nie mógł być twoim bratem – odparł Martin. Zakręciło mu się w głowie, wyciągnął przed siebie rękę, szukając wsparcia. Odzyskał równowagę, chwytając się ławki. Stał wpatrzony we fresk na ścianie.

– Nie był – powiedziała Elspeth. I zwróciła się do Caleba: – Żadne z nich

nie było twoim rodzeństwem. Wszystkie te dzieci zabrałam. Wykradłam. Jest mi przykro wobec ich matek i ojców, wobec ich braci i sióstr, a także ich ciotek i wujków. Przepraszam. – Poruszany podmuchami wiatru, dzwon nad ich głowami cicho szemrał. Poczwała ulgę, wyprostowała się, mogła teraz swobodniej oddychać. – Prosiłabym o wybaczenie, ale wiem, że nie zasługuję na nie.

– Byli moimi braćmi i siostrami. Dla mnie byli – powiedział z naciskiem Caleb, wbijając wyprostowany palec w pierś Martina. – Moja rodzina nie żyje. Została zamordowana. Przez ludzi, których ty wynająłeś. – Jego słowa powtórzyło echo.

– Ci ludzie to też rodzina – wyjaśnił Martin. – Bracia Millard.

Wyjął z kabury rewolwer. Ważył go w dłoni i Elspeth pomyślała, że skieruje go w swoją stronę. Caleb szykował się do skoku, żeby zasłonić matkę. Tymczasem Martin włożył rewolwer do puszeki na datki, tak że wystawała tylko lufa. I ku ich zaskoczeniu zaczął śpiewać hymn. „Z głębokiej nędzy, z grzechu dna, do Ciebie wołam, Panie: Racz z nieprzebranej łaski Swej wysłuchać me błaganie!”.

## Rozdział 17

Do świeżych grobów prowadziła wydeptana do gołej ziemi ścieżka. Gdzieniedzie walały się wyrwane przez dynamit kamienie. Elspeth szła kilka kroków za Calebem i Martinem, bojąc się, że swoim widokiem zburzy kruche porozumienie, które udało im się osiągnąć.

– Pokażę wam – rzucił Martin i kazał iść za sobą.

Padający śnieg sprawiał, że Elspeth odruchowo mrużyła oczy. Gdzieś w głębi cmentarza, na końcu ścieżki, ktoś żałośnie szlochał.

Caleb czuł, jak ciepło z kościoła stopniowo opuszcza jego ciało. Jakby był zrzucającym skórę wężem.

– Czy tu są pochowani moja matka i ojciec? – zapytał.

Choć Martin wydawał się rozluźniony, z jego twarzy znikło już napięcie, pytanie Caleba boleśnie dotknęło niezabliźnionych ran.

– Pochowaliśmy ich w najwyższym miejscu naszej posiadłości – odparł i zagryzł wargi. – Byłeś tam nawet.

Caleb zastanawiał się, dlaczego nie poczuł ich obecności, dlaczego nie wiedział, że jego najbliżsi są tak blisko. Nie po raz pierwszy zadawał sobie podobne pytanie, ale i tym razem nie znalazł odpowiedzi.

Martin kopnął grudę ziemi.

– Podejdź tutaj – odezwał się do Elspeth.

Wziął do ręki kij i zaczął rysować na śniegu mapę. Mówił wolno i wyraźnie, tłumaczył, jak trafić do domu braci Millardów. Ma w tym wprawę, pomyślał Caleb, pamiętając, że Martin dał wskazówki mordercom, jak trafić do domu Howellów. Przerwał tylko na chwilę, żeby się wysmarkać. Elspeth chłoneła każde słowo i rysowała sobie tę mapę w głowie. Tę na ziemi szybko przykryła warstwa świeżego śniegu.

– Oho! – doleciał z oddali czyjś głos. – Rodzina w komplecie. – Z mroku wyłonili się London White, Ethan i Owen Trachte. – Tacy pobożni ludzie, a tak szybko wyszli z kościoła. Martwiliśmy się, że coś się szykuje. – White miał na sobie czarny płaszcz z kołnierzem z norek i kapelusz, z kolei Ethan stał z podwiniętymi do łokci rękawami. Na nagiej skórze widać było gęsią skórę. Owen trzymał ręce w kieszeniach i uciekał gdzieś wzrokiem. – Cóż za miłe spotkanie – ciągnął White. Elspeth zauważyła, że wpatruje się w znikającą pod śniegiem mapę, Martin szybko stał ją czubkiem buta. – Jakie mamy plany na dzisiejszy wieczór?

Ethan rozpiął marynarkę pod którą lśniły dwa wielkie colty.

– Pan Trachte opowiedział mi fascynującą historię – mówił White. – O zaginionych dzieciach, mężczyznach zmieniających się w kobiety, morderstwie, zdradzie, zachłanności... To była naprawdę interesująca opowieść.

Martin i Elspeth jak na komendę zasłonili sobą Caleba.

– Chcecie chronić chłopca? – zapytał White. Na rondzie jego kapelusza gromadził się śnieg. – Na waszym miejscu to nie o niego bym się martwił.

– Zabierz po prostu dzieciaka – odezwał się Owen. White obrócił się i spojrzał na niego przeciągle. Owen wymamrotał słowa przeprosin. Dziwny widok, pomyślała Elspeth, potężny mężczyzna, a tak się boi.

Gdzieś niedaleko grupka ludzi śpiewała żałobną pieśń. Elspeth zdawało się, że słyszy głucho uderzenia ziemi o wieko trumny. Zastanawiała się, czy zdąży wyrwać Ethanowi z kabury jeden z rewolwerów. Ethan zabrał dłoń z rękojeści rewolweru, jakby ją do tego zachęcał.

– Pozwólcie, że wyjaśnię, co was czeka – ciągnął White. – W moim mieście, w moim ukochanym mieście, nie potrzebujemy porywaczy. Rodzaj kary za tę zbrodnię określi pan Trachte. Calebie, synu, jeśli chodzi o ciebie, mamy dla ciebie miejsce w stajni. Ostatnio zwolniło się stanowisko stajennego. – Uśmiechnął się. – Przyznasz, że to ciekawa propozycja.

Caleb chciał mu powiedzieć, że nigdy nie zajmie miejsca Gerry'ego, że pozostanie tu tylko tyle czasu, ile będzie potrzebował na znalezienie morderców, i nigdy już tu nie wróci. Zanim jednak zdążył otworzyć usta, White dał znak Ethanowi, który wyciągnął ręce, żeby złapać chłopca. Na przeszkodzie stanął mu Shane i obaj mężczyźni zaczęli się szarpać. Silniejszy Ethan odepchnął w końcu Martina na bok. Również Elspeth próbowała zatrzymać Ethana, ale otrzymała cios w żołądek od Owena. Ethan złapał Caleba za nadgarstki, obrócił go i zarzucił sobie na ramię. Elspeth próbowała wyminąć Owena i podbiec do Ethana, ale Owen zagroził jej drogę, przewrócił na ziemię i przycisnął kolanem.

Caleb krzyczał, ale w gęstej śnieżycy jego głos był jak zawodzenie żałobników. Chłopiec czuł, jak każdy krok Ethana oddala go coraz bardziej od matki, rozrywa jego duszę.

– Mamo! – zawołał.

Wyciągnął do niej ramiona, ale Ethan szybko się oddalał, a Elspeth nie mogła się wyzwolić spod ciężaru Owena. Wkrótce stracił ją z oczu. Czuł się tak, jakby został rozdarty na pół.

Nagle usłyszał strzał. Znów zaczął krzyczeć. Krzyczał, póki nie ochrypl.

Próbował się uwolnić z uścisku Ethana, ale olbrzym był od niego dużo silniejszy.

– Mój rewolwer – zwrócił się Ethan do White'a. – Shane musiał mi go zabrać, kiedy się siłowaliśmy.

White podniósł kołnierz płaszcza.

– Niewielkie zmartwienie. Pan Shane trafił na doktora.

Elspeth przestała się wyrywać Owenowi. To przez nią Caleb przeżywał katusze. Może byłoby lepiej dla chłopca, gdyby umarła. Wspomnienia stałyby się mgliste, jej obraz szybko zatarłby się w jego pamięci. Owen pozwolił jej wstać i wyciągnął przed siebie dłonie, jakby powstrzymywał dzikie zwierzę przed rzuceniem się w pogoń za chłopcem.

– Oni go chyba nie zabiją – powiedziała Elspeth. Owen odpowiedział, że raczej nie.

– London White nie ma powodów, by kłamać – dodał. Poprowadził ją ścieżką wzdłuż grobów. Na jednym z nich leżał z nogą wyciągniętą na ścieżkę Martin Shane. Śnieg zdobiła plama krwi. Owen zasłonił oczy Elspeth, ale ona odepchnęła jego dłoń. Shane patrzył na nią z rozchylonymi ustami, z jedną ręką zgiętą pod tułowiem i drugą wyciągniętą nad głową, z palcami wbitymi w ziemię, jakby chciał wyczołgać się i wstać. Zmówiła za niego modlitwę, zmówiła modlitwę za takiego Martina Shane'a, jakim był, grzecznego, jasnowłosego chłopca, zbyt nieśmiałego, by się odezwać w jej obecności.

Obok leżał rewolwer Ethana. Owen podniósł go i sprawdził magazynek.

– Wiedziałem, że cię skądś znam – odezwał się. – Jakieś odległe wspomnienie, jakiś lęk z dzieciństwa. Wiedziałem, że znam twoją twarz, ale długo nie mogłem sobie uświadomić skąd. Minęło dwanaście lat, odkąd cię ostatnio widziałem. A potem zobaczyłem cię w kościele, ubraną normalnie, i nagle mnie olśniło. – Odciągnął ją od zwłok Shane'a. – Prawie cię zapomniałem. Jeszcze rok, dwa, kto wie? Pozostałoby tylko mgliste wspomnienie, nic więcej.

– Czego ode mnie chcesz?

Puścił ją, ale poklepał ją w ramię rewolwerem.

– To, że zabrałaś dziecko, wykończyło mojego ojca.

– On zaczął się wykańczać na długo, zanim pojawiłam się w tym mieście – odparła. Prawie co rano słyszała brzęk pustych butelek, kiedy wybierał się do pracy.

– Nigdy już nie był sobą – ciągnął Owen. – Interesy mu nie szły. Ludzie go nie obwiniali, ale to, czego wcześniej nie ośmielali się powiedzieć za jego

plecami, potem mówili mu prosto w oczy. – Wspięli się prawie na sam szczyt wzgórza, ale Owen nie poprowadził jej do swojego mieszkania, tylko w stronę lasu na skraju miasta. – Musieliśmy znaleźć jakiś inny sposób, by przeżyć. Ojciec potrzebował pełnej butelki, a ja potrzebowałem ojca. – Weszli pomiędzy drzewa, liche, bezlistne klony z zaschniętymi na pniach niczym łyzy kroplami żywicy. Owen szedł pewnym, zdecydowanym krokiem. Minęli zagajnik rosochatych sosen i znaleźli się na niewielkiej polance, przed skromną chatą. – Wiesz, co tu robię?

– Nie. – Elspeth z trudem łapała powietrze. Uginały się pod nią nogi. Czuła, że nadeszła chwila, by spłacić Bogu swój dług.

– Tu znosiliśmy z ojcem ofiary pana White’a, a także ofiary jego poprzedników. To również miejsce na przyszłe ofiary. W Watersbridge zawsze będzie popyt na nasze usługi. – Na szczycie komina zobaczyła obrączkę czarnej sadzy i zdawało jej się, że poczuła metaliczny zapach krwi. Owen zwolnił uścisk. – Pierwszy był najgorszy. Ojciec pokazał mi, co mam robić, a potem przy następnych siedział na stołku w kącie, zbyt pijany, żeby mi pomagać, choć wiedział, że nie może mnie zostawić z tym samego.

– Przykro mi – powiedziała. – Ale dlaczego później z tym nie skończyłeś?

– Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy psa. Zwykłego kundla. Matka znalazła go pewnego dnia zagłodzonego, śpiącego pod suszącą się na sznurze pościelą. Kochałem go. W pierwszym roku jego pobytu w naszym domu była sroga zima. Śniegu napadało tyle, że nie można było otworzyć drzwi. Pies nie mógł wychodzić na dwór, więc z ojcem wykopaliśmy w śniegu tunel, żeby mógł przynajmniej przebiec się wokół domu i załatwić potrzebę. – Elspeth spojrzała na jego dłonie. Pełno było na nich blizn i śladów oparzeń. – Przyszła wiosna, pies staruszek poruszał się tylko tam, gdzie wcześniej były tunele. Zupełnie zdeptał w tych miejscach trawę. Któregoś dnia zrobił kilka okrążeń wokół domu, położył się i zdechł. – Owen wsunął palec pod kołnierzyk i poluzował go. – Dlaczego zjawiłaś się w Watersbridge po tylu latach?

Zdawało jej się, że dach chaty był wielokrotnie zmieniany. Widać było nakładane kolejne warstwy papy i błyszczące nowe gwoździe.

– To kara – odparła. – Za moje grzechy.

Wziął do ręki krzyżyk, który nosiła na szyi. Gładził go kciukiem, wydymając wargi i nabierając powietrza, żeby coś powiedzieć. Popchnął ją w kierunku chaty. Zauważyła zagłębienie w ziemi ciągnące się w prostej linii od lasu do drzwi.

– Ludzie tacy jak White nie pozwalają swoim pracownikom odejść.

– Teraz mój syn pracuje dla niego.

– On nie jest twoim synem – odparł Owen. Stał warstwę śniegu z kryjącej się w cieniu chaty ławeczki. – Spędziłem tu, na tej ławce, wiele godzin i lat swojego życia. Kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, położyłem się i zasnąłem. – Położył się. Nogi zwisały mu z ławki. Usiadł prosto i posadził Elspeth obok siebie. Ławka była tak mała, że ledwo się oboje zmieścili. – Czułaś kiedyś zapach palonego ludzkiego ciała?

Elspeth wzdrygnęła się, wyobrażając sobie Caleba zapalającego zapałkę nad stosem ciał swojego rodzeństwa.

– Mój syn czuł. Musiał spalić ciała swoich braci i sióstr zamordowanych przez ludzi nasłanych przez Shane'a. Dlatego tu przyjechałam. Dla niego. I z powodu tamtych ludzi. – Ukryła krzyżyk pod koszulą. – Tak mi się przynajmniej wydawało.

Zobaczyła w oczach Owena błysk zrozumienia.

– White sądzi, że cię zabije. – Owen obracał w dłoni rewolwer. W końcu wyciągnął rękę w stronę Elspeth. Czekwała niepewna, co chce zrobić. A on obrócił broń w dłoni i wskazał gestem, że ma ją wziąć. Chwyciła za rękojeść.

– Historia się powtarza – powiedział. – Trachte'owie są skazani na powtarzanie w kółko tego samego. – Wyrył butami w śniegu dwie głębokie jamy. – Opiekuj się tym chłopcem.

– Niczego innego nie pragnę.

Zostawiła go na polance. Siedział na zimnej ławce i kopał butami w śniegu, pewny, że jeśli uda jej się odzyskać Caleba, White znajdzie kogoś innego na jego miejsce, kogoś chętnego, by obrócić ciało Owena w popiół.

Zamknęli Caleba w pokoju, z którego obserwował wcześniej, jak Ellabelle robi orzełki na śniegu. Uduchowiony wyraz twarzy Alexandra Hamiltona nie był w stanie uspokoić wzburzonego chłopca. Caleb wyobrażał sobie wciąż od nowa śmierć swojego wuja. Oczami wyobraźni widział, jak jego ciało pada w śnieg, słyszał huk wystrzału. Przez jakiś czas krążył po pokoju, próbując się uspokoić, wreszcie zmęczony i pogodzony z losem położył się na dywan i zasnął.

London White wszedł i usiadł na łóżku. Założył nogę na nogę. W dłoni trzymał wielki nóż. Ostrze było lekko wyszczerbione i zagięte, ale błyszczało od nieustannego ostrzenia.

– Pewnej nocy, niedługo po tym, jak kupiłem ten lokal, zakradłem się do obozowiska swojego brata. I przyłożyłem mu ten nóż do szyi. – Zacisnął palce na rękojeści i wbił ostrze głęboko w wezgielnicę łóżka. – Wiesz,

dlaczego to zrobiłem?

Caleb podniósł się i klęczał teraz na podłodze. Rękojeść noża drżała.

– Musiałem się przekonać, że będę w stanie to zrobić w razie potrzeby – ciągnął White. – Nie czułem niczego. Żadnego strachu. Nie zawałałem się. – Wyciągnął nóż, oblizał kciuk, startł kurz z ostrza i schował broń do pochwy ukrytej pod kamizelką. Następnie zapiał guziki i obciągnął rękawy koszuli, żeby wystawały na odpowiednią długość spod marynarki. – Otrzymałeś wspaniały dar od losu. Żadnej odpowiedzialności, żadnych więzów.

– Co pan zrobił z moją matką? – zapytał Caleb. Więż z matką sprawiała ból, ale musiał mieć pewność, że Elspeth żyje.

White spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

– To coś nie jest twoją matką.

– Co się z nią stało?

White westchnął.

– Owen Trachte nie należy do ludzi, którzy obchodzą się z innymi łagodnie. Skrócił jej cierpienia. – White, wychodząc, otworzył szeroko drzwi i Caleb zdążył dostrzec stojącego za progiem Ethana. Drzwi zamknęły się i rozległ się odgłos przekręcanego w zamku klucza. To rozzłościło Caleba jeszcze bardziej. Nie przejmował się tym, że White zobaczy, jak traci nad sobą panowanie; w ogóle nie przejmował się tym, co White myśli. Zaczął krzyczeć żeby go wypuścili. Krzyczał tak długo, aż przed oczami widział już tylko kolorowe plamy. Ostatkiem sił kopnął w drzwi. Ethan otworzył i wycelował w niego swój mięsisty paluch.

– Kopnij jeszcze raz, a pożałujesz, że nie zrobiłem z tobą tego, co z twoim wujkiem.

Elspeth biegła do Caleba. Ruszyła na północ, jak opisał to Shane. Odtwarzała w pamięci wszystkie podane przez niego charakterystyczne punkty. Pierwsze powinny być trzy wzgórza ze sterczącymi na szczytach skałami. Ale widok przesłaniała jej wyciągnięta dłoń Caleba. Miał małe paluszki, zaczerwienione z zimna paznokcie. Nie wiedziała, gdzie się zapodziały jego rękawiczki, nie pamiętała, czy miał je na cmentarzu. Wołał ją tak głośno, że zaczęła kaszleć, żeby zagłuszyć jego krzyk. Wdrapała się na szczyt wzgórza, które dzieliło ją od Elm Inn. Nad jeziorem zobaczyła jastrzębia. Krążył w ciasnym kręgu, zniżył lot, aż zniknął za linią drzew.

Za każdym razem, nim Caleb wrócił z pracy, Elspeth była pogrążona w niespokojnym półśnie. Dopiero kiedy usłyszała przekręcaną gałkę w drzwiach, skrzypnięcie sprężyn w łóżku, odgłos spadających na podłogę butów i westchnienie, z jakim kładł głowę na poduszce, mogła zasnąć.



A teraz nie była pewna, czy zdoła zasnąć kiedykolwiek. Sprawdziła broń Ethana. W bębenu było pięć kul.

Caleb wymachiwał nogami nad nicością. Kiedy zamykał oczy, zbliżał się do okna na stryszku, widział dom, rodzinę szykującą się do snu, czuł zapach dymu unoszącego się z komina. Ale kiedy otwierał oczy, widział zagłębienie w śniegu tam, gdzie wczoraj wieczorem, a może nawet jeszcze dziś rano, leżało ciało. Śnieżyca ustała już, śnieg prószył lekko i leniwie, za to zerwał się wiatr i tworzył wysokie zaspę pod ścianami. Od ziemi Caleba dzieliło jakieś dwanaście metrów, ale zaspę pod oknem miała dobre trzy metry. Gdyby zsunął się na związanych ze sobą prześcieradłach, zyskałby kolejne trzy metry. Nie potrafił tego policzyć, ale wiedział, że i tak najprawdopodobniej złamie nogę albo skręci kark, i tylko jego zwłoki będą potem czekać na zabranie.

Złapał za prześcieradła. Szarpnięciem wypróbował ich wytrzymałość oraz opór łóżka, do którego je przywiązał. Ostrożnie obrócił się na parapecie i ugiął nogi w kolanach. O mało nie udławił się radosnym uczuciem wolności. Nie ośmielił się spojrzeć w dół. Opierając się stopami o ścianę budynku, zaczął powoli schodzić. Uderzyły w niego podmuchy wiatru. Łóżko w pokoju uniosło się, zatrzeszczały prześcieradła. Poczł piekący ból w dłoniach i poleciał w dół. Ziemia ruszyła mu na spotkanie.

Zobaczyła, że coś się rusza w oknie. Skryła się za drzewem. Kiedy zorientowała się, że to jej syn, było za późno, by coś zrobić. Patrzyła, jak Caleb zsuwa się po prześcieradłach. Bojąc się, że zaalarmuje wielkoluda albo jego szefa, stłumiła krzyk, zagryzając chustę. Rzuciła się biegiem, brnąc w zaspach. Kiedy się przy nim znalazła, miał włosy zlepione od potu i startą do krwi skórę na dłoniach. Przyłożyła ucho do jego ust. Nic nie usłyszała. Zapragnęła, żeby jej serce przestało bić, żeby zapanowała kompletna cisza. Oddychał. Przytuliła go do piersi. Ścisnęła mocniej i mocniej, aż zabolęły ją ramiona.

– Mamo?

Uciszyła go, przykładając mu palec do ust i palcem drugiej ręki wskazując na budynek. Przypomniała, że zagrożenie jeszcze nie minęło. Pociągnęła Caleba za sobą, a kiedy budynek znikł im z oczu, położyła go na ziemi.

– Nic mi nie będzie – szepnął. – Przyszłaś po mnie.

Nie mieli czasu. Pomogła mu wstać i pobiegli ramieniem w ramię, byle dalej od dobiegających od strony Elm Inn hałasów, których nie zagłuszał szum gałęzi ani świszczący oddech z trudem łapiącego powietrze Caleba.

## Część III

# Rozdział 1

Stanęli na skraju lasu i zobaczyli przed sobą hotel Brick & Feather. Nic się nie działo, wiatr poruszał zasłoną w oknie, a jeden z kucharzy wylewał na śnieg pomyje. Ruszyli szeroką ścieżką między drzewami. Musieli odzyskać swoje rzeczy, jej pistolet i strzelbę chłopca. Elspeth bała się, że w środku mogą na nich czekać White i Ethan, kazała więc Calebowi zostać na ścieżce i uciekać, jeśli zauważy, że coś jest nie w porządku.

– Nie czekaj na mnie długo – powiedziała. – Jeśli nie wrócę za dziesięć minut, idź. – Nie zdążyli nawet ustalić, dokąd miałyby pójść. Caleb odprowadzał ją wzrokiem, gdy brnęła po kolana w nawianym śniegu.

Pomyślał, że bez niej niczego nie wskóra. Wyobraził sobie, jak budzi się w Brick & Feather i patrzy na jej puste, zasłane starannie łóżko, nieużywaną poduszkę. Niepokój wziął górę i Caleb ruszył śladem Elspeth. Nie zaszedł daleko, kiedy wyłoniła się zza rogu. Zamiast odświętnej sukni miała na sobie stare robocze ciuchy, a spod jej nowego płaszcza wystawała lufa strzelby. Machnęła ręką, każąc mu wracać do lasu. Zabrała też z pokoju prześcieradło. Podarła je teraz na paski i owinęła jego obtarte dłonie. Kiedy skończyła, chwyciła go za nadgarstki i przyciągnęła do siebie. Wtulił się w nią i stali tak bez ruchu dłuższą chwilę.

Szli już jakiś czas. Coraz dotkliwiej odczuwali ból mięśni. Nie odzywali się do siebie. Po godzinie marszu według wskazówek Martina przestali zwracać uwagę na upływ czasu. Co kilka godzin Elspeth zarządzała krótką przerwę. Siadali, żeby chwilę odpocząć i napić się. W trakcie tych przerw Elspeth powtarzała na głos wskazówki Martina, jakby przepowiadała przyszłość. Caleb dodawał od czasu do czasu jakiś szczegół, o którym zapomniała.

Późnym popołudniem Elspeth wspomniała o kolejnych dwóch charakterystycznych punktach i starej leśnej chacie. Martin powiedział im, że mieszkająca tam rodzina od lat przyjaźni się z Shane'ami i przyjmie ich pod swój dach.

– Dobrze będzie zjeść coś ciepłego i spędzić noc w łóżku – powiedziała Elspeth mimo obaw, które starała się ukryć przed chłopcem. Trzymała ręce w kieszeniach, choć najchętniej położyłaby je na kolbach rewolwerów, swojego i Ethana. – Nie mów im, dokąd idziemy. Ostrożności nigdy za wiele.

Ścieżka wiła się, omijając szczyt niewysokiego wzgórza i przecinając zamarznęty potok. Im bliżej byli chaty, tym większy niepokój odczuwała Elspeth.

– Jak się masz? – zapytała.

– Dobrze – odparł. – Chcesz, żebym teraz ja szedł pierwszy?

Ścieżka pięła się w górę, a Elspeth niepokoił, zupełnie tak samo jak niedawno, brak jakichkolwiek oznak życia. Nie było słyhać żadnego dźwięku, nie czuć było dymu z komina. Serce zaczęło jej szybciej bić. Przy każdym kroku krzyżyk zawieszony na szyi obijał się o jej pierś.

– Idziesz za szybko – zwrócił jej uwagę Caleb.

Zatrzymała się. Był dwadzieścia metrów za nią, w obandażowanych dłoniach trzymał strzelbę, miał zakrwawione palce.

– Przepraszam – powiedziała. – Chciałam dotrzeć do chaty przed zmrokiem, żeby nie czuli się niepewnie.

Caleb spojrział w niebo. Słońce powinno zająć za godzinę, może półtorej, a chata jest już blisko. Sprawdził, czy strzelba jest odbezpieczona.

Ścieżka doprowadziła ich do polany u szczytu wzgórza, na której stały dwie drewniane ściany i zbudowany z kamienia komin. Caleb z trudem powstrzymał łzy. Matka nie zwolniła kroku. Obeszła dookoła zgliszcza.

– Przynajmniej będziemy mieli porządną ogień – powiedziała i ręką w rękawicy zaczęła czyścić palenisko.

Rozpalili ogień i rozłożyli na ziemi brezent. Dwie ocalałe ściany chaty chroniły ich przed podmuchami mroźnego wiatru, który zerwał się nagle, gdy tylko zaszło słońce. Nie przejmowali się dymem; wiedzieli, że bracia Millard mieszkają o pół dnia drogi stąd.

– Niewiele tego mamy – powiedział Caleb, wyciągając ich zapasy.

– Myślałam, że przyjaciele Martina nas ugoszczą – odparła Elspeth.

Jedna z desek odpadła nieoczekiwanie od ściany i Caleb zerwał się wystraszony. Elspeth zaczęła się zastanawiać, jaką cenę jeszcze przyjdzie im zapłacić za to wszystko, co zrobiła. Kiedy szli, cały czas myślała, rozważała różne warianty, szukała sposobu, który pozwoli jej synowi przeżyć kolejny dzień. Zastanawiała się, czy nie zostawić go, kiedy usnie, i nie iść dalej samotnie, ale wiedziała, że ruszy jej śladem, a jeśli ją zabiją, będzie próbował ją pomścić.

– To był wypadek – powiedział. – Tamten pożar. I to, że do ciebie strzeliłem.

– Wiem – odparła.

Bał się zasnąć. Bał się koszmarów, które na niego czyhały. Po raz

pierwszy opowiedział matce o snach, które go dręczyły w domu i zmusiły do przeprowadzki do stajni. Opowiedział o czasie spędzonym w spiżarni. Powiedział, że niewiele pamięta, choć pamiętał wszystko.

– Czasem budziłem się obok Jessego i nie wiedziałem, skąd się tam wzięłem. Wydawało mi się, że mrugał oczami, a potem nie wiedziałem, czy to był sen, czy jawa.

Opowiedział, jak słyszał chichot Emmy leżącej w śniegu, widział Mary próbującą podnieść się z pieca w kuchni. Którejś nocy Amos namówił go, żeby wyszedł ze spiżarni. Caleb posłuchał go, ukląkł przy ciele brata i przez całą noc prosił, żeby się do niego odezwał. A kiedy nastał dzień, ukrył się z powrotem w spiżarni.

Elsbeth zasłoniła twarz chustą i otarła nią łzy. Rewolwery położyła obok siebie.

– Twój ojciec nauczył mnie strzelać – zapewniła chłopca.

– On nie jest moim ojcem – odparł Caleb.

– Chronił nas – powiedziała. – Dzięki niemu byliśmy rodziną. – Caleb otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pogrzebał tylko patykiem w ogniu. Chciała, żeby usłyszał coś o spokojnych, szczęśliwych czasach. W jej życiu niewiele było takich chwil. – Zawsze się martwił, kiedy szłam sama do miasta do pracy. Dlatego zabierał mnie na polowania i nauczył strzelać. Zabieraliśmy ze sobą coś do jedzenia, jajka na twardo i chleb, czasem dżem, jeśli był w domu, a w lepsze dni wędzoną szynkę. Szliśmy przez pola, wzdłuż strumienia, potem zagłębialiśmy się w las. Kładliśmy się, a twój ojciec rozbijał skorupki jajek i kładł je na moim brzuchu.

Caleb pocałował matkę; jej włosy połaskotały go po twarzy.

– Upolowałaś kiedyś coś? – zapytał.

– Oczywiście. Jelenie, wiewiórki, bobry, szopy, raz nawet trafiłam indyka.

W blasku ognia obejrzała rewolwer Ethana: odrapany język spustowy, gładką rękojeść, pobrudzoną lufę. Był bardzo ciężki; nie miała pewności, czy zdoła nim wycelować jedną ręką. Po raz kolejny wyobraziła sobie dzień nazajutrz. Tym razem bracia siodłali konie przed domem i otworzyli ogień, kiedy tylko dostrzegli Elspeth. A ona nie zdążyła nawet sięgnąć po broń. Jorah uczył ją, żeby strzelać na wydechu, bez zastanowienia.

Na myśl o tym, co ich czekało, nie mogła spojrzeć Calebowi w oczy. Usprawiedliwiła się, że idzie po drewno. Kiedy dotarła do pierwszego drzewa, oparła się głową o pień, modliła do Boga i czuła, jak w szorstką korę wsiąkają jej łzy.

Kiedy wróciła, Caleb spojrzął na nią i zobaczył ją w połowie taką, jaką była kiedyś, dawno temu: tajemnicza postać znikająca na kilka miesięcy, potem pojawiająca się jak gdyby nigdy nic i znowu znikająca. A w połowie taką, jaką była w Watersbridge, w męskich spodniach i butach, w kapeluszu, płaszczu i z damską chustą na szyi. Szła zgarbiona z naręczem chrustu, taka jak dawniej i taka jak teraz.

Dorzuciła drewna do ognia i usiadła blisko Caleba. Była dla niego bardziej czuła niż kiedyś i nie miało to żadnego związku z jej ubiorem czy fryzurą. Usłyszał, jak oblizuje dłoń, i po chwili poczuł, jak przygląda niesforny kosmyk włosów na jego czole.

Okolo północy niebo rozchmurzyło się i pokazały się gwiazdy, najpierw pojedyncze, potem całe konstelacje. Jak piegi na nosie Caleba latem. Pogładziła zimnymi palcami jego policzek. Nie poruszył się, nie chciał, żeby wiedziała, że nie śpi, nie chciał, żeby przestała go głaskać. Oboje nie spali i nic nie mówili, słychać było tylko syk mokrego drewna. Na niebie przybywało gwiazd. Caleb był pochłonięty myślami o morderstwie, a Elspeth – o śmierci.

## Rozdział 2

Z długiej listy wskazówek Shane'a pozostała już tylko garść, Caleb i Elspeth szli teraz blisko siebie. Chcąc nie chcąc, Caleb zaczął myśleć o swoim ojcu i wuju, o rozwianych grzywach koni, na których mknęli w kurzu, deszczu, śnieżycy, gdy pokonywali górskie grzbiety i wąwozy, mijali pola i lasy, szukając go.

Okolo południa dotarli do zdewastowanego mostu kolejowego, spinającego brzegi zamarzniętej, skrzącej się srebrzyście lodem rzeki. Przęsła przypominały literę X, tak jak opisał je Shane, a sam most składał się z oddalonych od siebie o metr podkładów ułożonych na potężnych drewnianych belkach. Do mostu nie prowadziły żadne szyny kolejowe, ani z jednej, ani z drugiej strony. Położenia torów musiano zaniechać już po zbudowaniu mostu. Chcąc odwrócić choć na chwilę uwagę od dręczących go myśli, Caleb zaczął obracać w kieszeni naboje do strzelby, ale niewiele to pomogło. Matka szukała zejścia na brzeg rzeki, a on widział oczami wyobraźni swojego ojca wpadającego pod lód, do lodowatej wody.

W wąwozie, którego dnem płynęła rzeka, hulał wiatr, niosąc prócz płatków śniegu ostre igielki lodu. Słyszając cichy szept wiatru, Elspeth zadrżała. Znalazła dogodne zejście na brzeg, ale zaraz potem zobaczyła minę Caleba.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła go. – Lód jest gruby. Można to poznać po jego barwie.

– Ojciec zginął, szukając mnie – wyjaśnił Caleb. Elspeth pochyliła głowę. Nie wiedziała, czego jeszcze się dowie o skutkach swojej decyzji. – Wpadł pod lód.

Zrezygnowała z przejścia przez lód i wspięła się z powrotem na krawędź wąwozu. Stan mostu nie budził zaufania. Część przęsła była połamana, a podkłady pokrywała gruba warstwa śniegu i lodu. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, żeby zabrać kolce na buty, w których pracowała z Charlesem, a które teraz zapewniłyby bezpieczeństwo Calebowi.

Kopnięciem strąciła z pierwszego podkładu bryłę zbitego śniegu, dzięki czemu powstało miejsce na postawienie dwóch stóp obok siebie. Niepewnie stanęła na drewnianej belce. Wiatr dmuchnął mocniej i Elspeth szybko zrozumiała, jak łatwo może ją zrzucić z mostu w przepaść: sześciometrową na początku i co najmniej dwudziestometrową na środku. Pewna śmierć.

Wystarczy, że nie wytrzyma jeden podkład, i wszystkie ich wysiłki pójdą na marne. Odrzuciła szybko tę myśl i kiedy stała już na trzecim podkładzie, skinęła na Caleba, żeby ruszył jej śladem. Chłopak zawahał się. Zdołała się obrócić i już chciała wrócić, żeby mu pomóc, ale on zarzucił strzelbę na plecy i wyciągając ramiona na boki dla utrzymania równowagi, wskoczył na pierwszą belkę. Most zdawał się nie mieć końca, lecz Elspeth nie chciała okazywać strachu i śmiało kroczyła dalej.

Mniej więcej w połowie drogi trąciła butem kolejny podkład, który poruszył się i poszybował w dół. Kilka sekund później usłyszeli głuchy łoskot belki uderzającej o lód. Przerwa między podkładami była zbyt szeroka i Elspeth musiała przejść po poprzecznej belce, na której mocowano podkłady. Belka była szeroka, Elspeth pokonywała ją na czworakach, a jej twarz smagał coraz silniejszy wiatr.

Caleb zbliżył się do belki dopiero, kiedy matka dotarła do kolejnego przesła. Gdyby się teraz poślizgnął, spadłby i roztrzaskał się o twardy lód koloru stali. Czuł zawroty głowy. Wtulił się w belkę i powoli zaczął się przesuwac. Wiatr był silniejszy, niż się mogło wydawać, jego podmuchy strącały z drzew śnieżne czapy. Wdzierał się pod ubranie i nie pozwalał na pewny chwyt. Caleba zaczęły łapać skurcze. Zawył z bólu, gdy złamał paznokiec. Kiedy był już blisko kolejnego podkładu, siedząca na nim okraciem matka złapała go za kołnierz i asekurowała. Najgorsze mieli za sobą. Ostrożnie, ale śmieiej ruszyli dalej.

Elspeth dzieliło od końca mostu sześć metrów, kiedy odważyła się obejrzeć na Caleba i w tym samym momencie poślizgnęła się. Wyrzuciła przed siebie ramiona, a wpadając w dziurę, uderzyła klatką piersiową o podkład. Caleb krzyknął. Elspeth niepewnie trzymała się rękami belki, a jej nogi wisiały w powietrzu. Caleb przyspieszył, ale zanim dotarł do niej, zdołała unieść jedną nogę i przerzucić ją przez belkę. Leżała teraz bezpiecznie. Usłyszała, że Caleb wymiotuje. Ciężko dyszała.

Caleb otarł twarz rękawicą. Następnie zgarnął trochę śniegu i włożył sobie do ust. Zaskoczył go jego własny strach, kiedy zdawało się, że matka spadnie w przepaść. Poczł wstyd.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Elspeth machnęła tylko ręką. Wciąż jeszcze brakowało jej tchu i nie mogła odpowiedzieć. Kiedy odzyskała siły, podniosła się ostrożnie, nie wypuszczając z rąk belki, póki nie stanęła pewnie na nogach. Strąciła śnieg z kolejnego podkładu i dopiero wtedy wydusiła z siebie:

– Wszystko w porządku.



Kiedy stopy Elspeth dotknęły nareszcie ziemi, nogi się pod nią ugięły i upadła. Jej ciało drżało z wysiłku. Caleb przysiadł obok i napił się wody ze słoika.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedziała.

Podał jej słoik z wodą. Chwyliła go drżącymi rękami.

Pokonanie mostu wyczerpało ich całkowicie. Ostatkiem sił, jak w transie, przedzierali się przez zaspy. Przestali robić przerwy. Gdyby się zatrzymali, do rana nie ruszyliby z miejsca. W południe Caleb dał matce kanapkę. Jedli, idąc, a kiedy pili, woda wylewała się ze słoika i ściekała im po brodzie.

Elspeth nie była w stanie dłużej zastanawiać się, jaki czeka ich los, i myślała już tylko o tym, jak bardzo brakowało jej obecności syna. Gdy śnieżyca ustawała albo kiedy szli przez las, wsłuchiwała się w jego miarowy, lekki oddech. Dotrzymywała mu kroku, a kiedy ścieżka zwężała się i musieli iść pojedynczo, żałowała, że jej rany nie otworzyły się ponownie i nie może znów wesprzeć się na jego ramieniu. Wiatr się wzmógł. Zasłoniła usta chustą i dała Calebowi znak, by zrobił to samo.

Wczesnym popołudniem, kiedy słońce stało jeszcze wysoko i grzało ich, minęli dwie skały przypominające rogi jakiejś pradawnej bestii. Elspeth zatrzymała się i wzięła chłopca w ramiona. Caleb wtulił twarz w jej chustę. Matka kołysała się na boki, a on razem z nią. Zerkając przez jego ramię, widziała drogę, którą przebyli, i krążącego w oddali sępa. Pomyślała o Charlesie, poobijanym, samotnym w swoim mieszkaniu, choć otoczonym pamiątkami.

To była już ostatnia wskazówka Martina. Za zakrętem powinni zobaczyć dom Millardów. Caleb miał nadzieję, że ich farma będzie tak samo zrujnowana jak wszystkie inne, które widzieli, że w zgliszczach domu zobaczy szkielety braci, takie jak jego rodzeństwa. To byłoby sprawiedliwe.

Dom stał pewnie, wbity w śnieg niczym ostrze siekiery. Miał stromy dwuspadowy dach i z obu stron mnóstwo okien. Stodoła była zwyczajna, jak każda stodoła, wymagała tylko odmalowania. Nad obejściem górował majestatyczny dąb, jego nagie gałęzie zdawały się obejmować całe gospodarstwo. Zagrody dla zwierząt stały puste, zasypane śniegiem. Drzwi stodoły były zamknięte. Z komina leniwie unosił się dym. Elspeth wyjęła zza paska jeden, a potem drugi rewolwer, zważyła je w dłoniach, uniosła i przekrzywiła głowę, próbując wycelować. Caleb przyłożył do ramienia strzelbę.

Oboje oczekiwali czegoś więcej: oplatającego płot niczym węże dzikiego

wina, czarnych chmur, szczekających psów i zardzewiałych klatek pełnych bielejących kości. Nagle ciszę przeszył przeraźliwy pisk. Caleb zaczął się rozglądać w prawo i w lewo, z palcem na języku spustowym. Elspeth uspokoiła go klepnięciem w ramię i wskazała na dach stodoły z rzędem zardzewiałych wiatrowskazów. Wiatr ucichł. Ustał też pisk, zarżał natomiast zdenerwowany hałasem koń na wybiegu przed domem.

## Rozdział 3

Stali pośrodku kępy drzew, skąd widać było wyraźnie dom, stodołę i wybieg dla koni. Czekali. Koń ocierał się o ogrodzenie i kłusował dookoła wybiegu. Minęła godzina i nic się nie wydarzyło. Elspeth odczepiła od plecaka zrolowany brezent, zsunęła z ramion płaszcz, zdjęła rękawice i położyła to wszystko w niewidocznym miejscu pod drzewem. Caleb poszedł za jej przykładem i odłożył na bok koc i zbędne ubranie. Elspeth zdjęła chustę z szyi, potem chustę z szyi chłopca, zwinęła obie i rzuciła na stertę. Nie chodziło jej o to, że chusta może przesłonić widok albo za dużo waży; Elspeth szukała tylko pretekstu, żeby jeszcze raz dotknąć chłopca.

Usłyszeli ten dźwięk w tej samej chwili: skrzyp śniegu i sapanie. Instynktownie spojrzeli w stronę domu, ale dźwięk dolatywał ze ścieżki. Elspeth dała Calebowi znak, żeby zajął pozycję obok ścieżki, za grubym pniem. Sama, z rewolwerami w rękach, podbiegła do powalonego dębu i przykucnęła za nim.

Zrzuciła z ramion plecak. Nie wiedziała, z której broni mierzyć w pierwszej kolejności, w końcu zdecydowała się na rewolwer Ethana i starała się utrzymać go w dłoni. Z kolei Caleb myślał tylko o tym, że poprzednim razem zawiódł, i zdesperowany, mocno zacisnął zęby. Dźwięki stawały się coraz głośniejsze, a Caleb zamrugał powiekami, bo mącił mu się wzrok. W opuszkach wyczuwał rytm bijącego serca, nie czuł natomiast języka spustowego. Spomiędzy skał wyłonił się jakiś mężczyzna. Szedł pochylony, miał rude włosy.

– To Charles – szepnęła Elspeth, a Caleb odetchnął z ulgą i wyprostował się. Pamiętał jednak, że poprzednim razem nie zareagował dość szybko i zawiódł. Zgiął kilka razy palec, żeby mieć pewność, że zdoła pociągnąć za spust.

Charles szedł, powłócząc nogami, spod bandaży owiniętych wokół szczęki sterczały mu strąki rudej brody. W zabandażowanych dłoniach ścisnął kolbę i łożę karabinu.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała Elspeth.

– On może być jednym z nich, mamó – ostrzegł ją Caleb. Zrobił krok naprzód i przyłożył strzelbę do ramienia. Nie spodobało mu się, że ten człowiek wtrąca się w ich sprawy.

– Powiedziałem Owenowi – wyznał Charles. Mówił z trudem, ledwo

poruszał szczęką. – Popęlniłem błąd.

– Ale skąd się tu wzięłeś? Znasz Millardów?

– Tylko ze słyszenia. Ich jest trzech, was dwoje. – Wskazał na swój karabin. Zaczepił lufą o zabandażowaną dłoń i skrzywił się. – Są w domu?

Elsbeth przypatrywała się im obu, kiedy Caleb opowiadał, co zastali. Jej chłopiec wydawał się przy Charlesie taki mały. Słońce podkreśliło bladość jego skóry po dniach spędzonych w burdelu i któryś już raz musiała sobie przypomnieć, że Caleb jest tylko dzieckiem. A z jej powodu musiał tak wiele przejść.

Charles też przez nią dużo wycierpiał.

– Caleb – zwróciła się do chłopca – może przyniesiesz Charlesowi wody?  
– Wskazała palcem wzgórze.

Słoik z wodą był na dnie jej plecaka, tam, gdzie Caleb znalazł kiedyś gumę do żucia i cukierki. Odkręcił nakrętkę i wlał Charlesowi kilka kropel do ust. Większość spłynęła po brodzie i wsiąkła w bandaż.

– Przepraszam – powiedział Caleb.

I wtedy zrozumiał. Zakręcił słoik i położył go na pniaku. Charles próbował wyssać wodę z bandaża. Matka zniknęła. Ślady ich stóp były wokół drzewa, ale jedne oddzielały się i prowadziły w dół, ku farmie Millardów.

Wrócił biegiem po opartą o skałę strzelbę i pobiegł po śladach.

Elsbeth, pochylona nisko, biegła ścieżką prowadzącą do kępy drzew tuż pod oknami domu. Skryła się za grubym dębem, przywarła do chłodnej kory, nie opuszczając ręki uzbrojonej w rewolwer. Wybieg dla koni znajdował się po jej lewej, a dom po prawej stronie, nie więcej niż sześć metrów. Modliła się, żeby Caleb i Charles pozostali tam, gdzie ich zostawiła, bezpiecznych, a sama podbiegła do ściany budynku. Nie zauważyła zagłębienia w ziemi, potknęła się i upadła, uderzając o kamienną podmurówkę.

Caleb widział, jak matka się przewraca, i w ostatniej chwili stłumił krzyk. Znalazł się przy dębie, gdy ona podnosiła się ze śniegu. Wstrzymał oddech. Otrząsnęła się po upadku. Nikt nie pojawił się na progu; bracia nie wypadli ze środka i nie zaczęli strzelać. Dobiegł do ściany, kiedy Elspeth stawiała stopę na stopniu schodów.

Pchnęła ramieniem drzwi. Wraz z nią do wnętrza wdarł się wiatr i poruszył zasłony w oknach wielkiego salonu. W pokoju stało siedem, może osiem krzeseł, otaczających półkolem wygasły kominek, z którego unosiła się smużka czarnego dymu. Na podłodze leżał wytarty dywan, a na ścianie

wisiała pusta rama obrazu. Prócz drzwi wejściowych były jeszcze po prawej schody, a po lewej jakieś drzwi. Caleb stanął za jej plecami. Zadrżała wystraszona, a potem próbowała wypchnąć go na zewnątrz, nie przestając bacznie rozglądać się po pomieszczeniu.

Panującą ciszę przerywało tylko skrzypienie zawiasów frontowych drzwi.

– Matko! – rozległ się czyjś głos. – Drzwi się otworzyły! – Nikt nie odpowiedział. – Niech to szlag! – Z sąsiedniego pokoju dobiegł ich odgłos przesuwanego krzesła. Elspeth położyła palec na spuście i ponownie spróbowała wypchnąć Caleba z pokoju. Nadaremnie.

– Uciekaj – szepnęła. – Proszę. Proszę cię, Caleb, uciekaj.

Przestał się opierać i odsunął się na bok. Przyłożył strzelbę do ramienia. Jeszcze raz przypomniał sobie każdy wystrzał tamtego ranka. Martwe oczy Emmy, Jessego, Mary, Amosa i Joraha wpatrywały się w niego z nadzieją.

Otworzyły się drzwi. Zobaczyli przez krótką chwilę wnętrze kuchni. Do pokoju wszedł młody mężczyzna z kawałkiem chleba w ręce. Miał pełne usta, rozepchane policzki. Caleb rozpoznał w nim bandytę, którego spojrzenie kazało mu się ukryć w sianie, człowieka, który zabił członków jego rodziny. Miał chude nogi, które ledwo unosiły ciężar jego ciała. Nawet w połatanych portkach przypominały łodygi kukurydzy.

– To on! – zawołał Caleb. – On to zrobił!

– Och! – wydusił z siebie mężczyzna. Z ust wypadły mu okruchy chleba. I zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Caleb pociągnął za spust, ale zbyt późno. Śrut podziurawił drzwi i wpadł do kuchni. Elspeth opróżniła magazynki obu rewolwerów, modląc się, żeby choć jedna kula trafiła mężczyznę. Usłyszała huk, ale nie krzyk bólu. Zaklęła w duchu. Zdawała się patrzeć z boku na własne ręce opróżniające bębny rewolwerów z łusek. Upuściła na podłogę broń Ethana. Zaczęła w panice szarpać za kieszeń płaszcz, nie mogąc wyjąć naboju. Wreszcie zacisnęła palce na trzech kulach, wepchnęła je na miejsce i z trzaskiem zamknęła bębenek. Błogosławiła każdą sekundę, kiedy pozostali bracia nie zbiegli jeszcze po schodach z góry. Popchnęła Caleba w najdalszy kąt pokoju, skąd mogli obserwować i schody, i drzwi do kuchni.

Caleb też się spodziewał, że pozostali bracia wybiegną z kuchni albo ze stodoły. We dwójkę przeciw tamtym trzem on i Elspeth byliby bez szans. Żałował, że matka nie zaczekała na Charlesa. W kuchni coś zaskrzypiało. Elspeth powstrzymała Caleba, kładąc mu dłoń na piersi i każąc zostać za jej plecami. Drzwi uchyliły się. Caleb odepchnął dłoń matki i wystrzelił.

Klamka odpadła, w jej miejscu ziała wielka dziura.

Patykowata noga kopnęła drzwi i mężczyzna z wciąż pełnymi chleba ustami zarepetował karabin. Tym razem Caleb nie spudłował. Mężczyzna zachwiał się, nim zdążył pociągnąć za spust, a pokój wypełnił się hukiem. Elspeth szybko wystrzeliła wszystkie trzy kule. Znajdowała się między Calebem i Millardem. Wyglądała jak groźny niedźwiedź stojący na tylnych łapach. Kule karabinu szarpały jej ciałem. Każdemu trafieniu towarzyszył potężny paroksyzm bólu. Łydka. Mięsień uda. Przedramię. Rewolwer wypadł jej z dłoni. Runęła w tył na Caleba. Starła się nie tracić równowagi, jak najdłużej osłaniać go własnym ciałem, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Próbowwała poruszyć ustami, ale usta nie potrafiły już nic powiedzieć.

Huk wystrzałów pozbawił go zdolności mówienia. Matka runęła na niego. Krzyknął, żeby się odsunęła. Mężczyzna wymknął się do kuchni. Drzwi spadły z zawiasu. Elspeth wsparła głowę na piersi Caleba. Udało mu się wyjąć z komory łuski i załadować nowe naboje, choć one były tak wielkie, a jego dłonie tak małe. Usłyszał świst kul. Posypały się drzazgi. Zamknął oczy i wokół zrobiło się białe. Otworzył powieki, kiedy zrozumiał, że nie umarł. Matka leżała na nim i nie ruszała się.

Elspeth starała się ze wszelką cenę wypłynąć na powierzchnię. Syn wiał się za jej plecami, widziała strzelbę w jego rękach. Siedział na brzegu strumienia i łowił ryby, a ona wrzuciła starą koszulę do wody, żeby sprawić mu radość. Chciała przeprosić i nie mogła sobie przypomnieć, czy już to zrobiła. Poleciała na podłogę, widziała na zmianę światło i ciemność.

Millard rzucił się do otwartych drzwi frontowych. Caleb szarpał się ze strzelbą i próbował oswobodzić od ciała matki. Zgarnął jej włosy z oczu i ust. Mężczyzna zatrzymał się na chwilę w progu i wybiegł. Strzał z zewnątrz rozwalil kawał ściany. Millard zasłonił przedramieniem twarz i strzelił na oślep. Zawrócił i zarepetował karabin. Wycelował w Caleba, który w tej samej chwili pociągnął za spust. Odrzut był tak silny, że chłopak uderzył łokciem w ścianę. Millard oderwał się od ziemi, gubiąc but, i poślizgnął się na podłodze. Z jego ust popłynęła strużka krwi. Pozbawiona buta stopa wciąż wierzgała, nie zaprzestając biegu. Kostki palców wystukiwały na podłodze przedśmiertny rytm.

Do domu wpadł, utykając, Charles. Kończył ładować karabin. Pokój wypełniał zapach prochu i śmiertelne rzeżenie. Drzwi przestały kołysać się na zawiasach. Matka podczołgała się do Caleba. Miała otwarte oczy i szeroko rozdziawione usta. Caleb odrzucił od siebie strzelbę, jakby była

znieawidzonym przedmiotem. Zaczął płakać. Przytknął czoło do czoła Elspeth, początkowo delikatnie, potem mocniej. Posiniaczona twarz bolała, zadrapania otworzyły się, znów popłynęła z nich krew. Uderzał głową w jej głowę, czaszką o czaszkę, kośćmi o kości, tarł skórą o jej skórę. Kiedy się odsunął, zobaczył, że jej czoło jest purpurowe od jego krwi. Rozpłakał się jeszcze głośniej, a Charles podał mu chusteczkę. Caleb próbował zmoczyć materiał językiem albo splunąć na niego, ale nie miał siły. Przetarł czoło Elspeth, ale tylko rozmazał krew. Liczył, że zareaguje na dotyk, a kiedy nie reagowała, zapadał się coraz głębiej w otchłań rozpacz.

Charles użył karabinu jako laski. Prawe ramię miał mokre od krwi, która kapiała na podłogę i wsiąkała w drewno.

– Casey, jesteś tam? – dobiegł z góry kobiecy głos.

Charles chciał unieść karabin, ale nie był w stanie się wyprostować. Plama na jego koszuli miała coraz większe rozmiary. Ugięło się pod nim kolano. Z jego twarzy zniknęły kolory, skóra stała się przezroczysta, a włosy i broda pojaśniały. Caleb pomyślał, że wygląda jak jeden z duchów w domu Williama. Charles nie miał już sił i runął twarzą na podłogę.

Caleb nie wiedział, jak się wydostać spod ciała matki, zachowując należny jej szacunek. Przewrócił ją w końcu na bok i oswobodził się. Miał zdrętwiałe stopy i przy każdym kroku czuł mrowienie. Trącił nieobutą stopę Millarda. Millard miał poszatkowaną śrucinami twarz i rozerwaną szyję. Strzelba leżała obok jego nogi i wydała się Calebowi dziwnie obca. Skrzywiony język spustowy, poplamiona lufa, porysowana drewniana kolba.

## Rozdział 4

Caleb wspiął się po schodach i znalazł w korytarzu z dwojgiem drzwi, z każdej strony. Te z lewej były otwarte, w łóżku leżała stara kobieta. Okno było zasłonięte, ale przez szpary wpadała odrobina słonecznego światła. Siwe włosy kobiety błyszczały, skórę miała matową, głęboko pobrużdżoną. Na ścianach była tapeta w kwiatowe wzory. Calebowi zdawało się, że czuje zapach tych kwiatów, dopóki nie zobaczył toaletki z dziesiątkami flakoników perfum. Kobieta miała świszczący oddech. Wodziła za nim niewidzącymi oczami. Długie, cienkie palce ścisnęły kurczowo brzeg kołdry, podciągniętej po samą szyję.

– Mógłbyś mi przynieść wody? – poprosiła.

– Gdzie są pozostali? – zapytał Caleb.

Nie odpowiedziała, za to rozkaszała się tak gwałtownie, że Caleb nie miał wątpliwości, że jej koniec jest bliski.

Drugie drzwi otworzyły się same. Pod jedną ścianą wąskiego pokoju stały trzy łóżka, pod drugą wielka komoda. Ukośny sufit zmusił braci Millardów do ustawienia łóżek w taki sposób, że wezgiłowia znajdowały się pośrodku pokoju. Łóżko stojące najbliżej okna było używane, pościel brudna, pod nią materac w jaskrawe pasy. Dwa pozostałe zostały przykryte zakurzonymi narzutami. Pamiętając o grobach po drugiej stronie wzgórza i nakrytych brezentem ciałach w Watersbridge, Caleb ściągnął gwałtownym ruchem narzutę, ale pod nią była tylko poduszka i kilka starannie złożonych prześcieradeł. W powietrze wzbił się kurz. Drapał w gardło i wysuszał oczy. Caleb otarł łzy i zobaczył, że komoda też jest pokryta grubą warstwą kurzu. Był ciekaw, co znajduje się w szufladach. Czy leżący na dole mężczyzna też zbierał różne przedmioty tak jak on. Opróżnił plecak i na dnie znalazł swoje pióro. W jego brudnych i zakrwawionych dłoniach wydawało się ciemniejsze. Grzbietem dłoni starł kurz ze środka komody i położył w tym miejscu pióro.

Wychodząc z sypialni, zahaczył kurtką o rząd nacięć na framudze. W pierwszej chwili sądził, że jest to lista ofiar, i szukał imion swoich braci i siostr, ale tam powtarzały się tylko cztery imiona: Leonard, Oscar, Edmund i Warren. Nacięcia oznaczały wzrost chłopców. Odczytywał literę po literze, wbijając paznokcie w drewnianą framugę aż do bólu. Ostatecznie zrezygnował ze zmierzenia sobie wzrostu i dopisania swojego imienia.



Spełnił prośbę staruszki, zadowolony, że zrobił coś pożytecznego, kiedy nie wiedział, co ze sobą począć. W kącie pokoju znajdował się stolik, a na nim dzbanek, kryształowy kieliszek, miska do mycia i srebrny grzebień. Podał staruszce kubek z wodą. Kobieta wypła łyk i opuściła głowę na poduszkę.

– Nie pamiętam już wszystkich waszych opowieści – powiedziała.

Opadł na krzesło w kącie, obok stolika. Przyjrzał się swoim dłoniom i ucisnął kciukami opuszki, sprawdzając, czy jest w nich czucie.

– Pamiętam chyba tylko jedną – odezwała się znowu. Przyłożyła kubek do ust. Brzeg naczynia zadzwonił o zęby. – Mógłbyś, synku, otworzyć okno? Wpuść trochę świeżego letniego powietrza. – Caleb rozsunął zasłony, a kobieta zmrużyła oczy. Okno nie chciało się otworzyć. W końcu zaskrzypiało głośno, uniosło się do połowy i zablokowało. To samo zrobił z drugim oknem. Zimowe powietrze owiało mu twarz, zasłony ożywiły się i zafalowały. Caleb zauważył na swoim rękawie krew, ale nie wiedział, czyja jest i skąd się tam wzięła.

Staruszka uśmiechnęła się.

– Kiedy byłam dziewczynką... – zaczęła.

Podmuch wiatru przywrócił jej policzkom rumieniec. Słońce wygładziło zmarszczki. Caleb wpatrywał się w tańczące na suficie światło, załamujące się w buteleczkach, flakonikach i odbijające od luster. Palcem wskazującym przesunął jedną buteleczkę i tęcza powędrowała po ścianie w stronę okna. Caleb powiódł za nią wzrokiem. Na wybiegu były dwa nowe konie, osiodłane i błyszczące od potu. Wyjrzał i zobaczył dwóch braci Millardów. Śmiali się głośno i poszturchiwali. Brodacz klepnął brata i zaczął uciekać do stodoły. Ten drugi rzucił się w pogoń. Konie nie zwracały na nich uwagi, najwyraźniej przyzwyczajone do takiego zachowania. Obaj bracia, podobnie jak ten trzeci, martwy, mieli wyraźne zakola i cienkie nosy z niewielką bulwą na czubku. Mieli też oczy o migdałowym kształcie i zmarszczki. Ganiłi się po końskim wybiegu, pokrzykując.

Caleb zastanawiał się, co zrobią z ciałami. Czy spalą je, tak jak on spalił swoje rodzeństwo? Czy może zostawią ich w śniegu, tak jak London White zostawiał swoje ofiary i czekał, aż jakiś diabeł je zabierze? Była taka chwila – po tym, jak odkrył groby i przestał słuchać głośnych modlitw – kiedy próbował zrozumieć to, co się działo, i zadał ojcu pytanie, które nie dawało mu spokoju.

– Skoro niebo jest nad naszymi głowami, dlaczego zakopujemy ludzi w ziemi, bliżej szatana? Dlaczego nie palimy ciał zmarłych, żeby się

wzniosły ku niebu i były bliżej Boga?

Ojciec przypatrywał mu się długo i Caleb spodziewał się, że usłyszy jakiś ustęp z Biblii, ale Jorah zagryzł wargi i powiedział:

– Czasem wolimy mieć ich bliżej siebie.

Kiedy Millardowie zobaczą ślady i dziurę w ścianie domu, Caleb znajdzie się w pułapce. A kiedy znajdą brata i strzelbę, Caleb będzie martwy. Mógł zbiec po schodach i uciec na zewnątrz, ale na pewno by go zauważyli. Okna były zbyt małe, żeby się przez nie przecisnął. Chwycił się parapetu. Poczł ból w złamanym paznokciu.

Próbował dopasować imiona do tamtych dwóch na zewnątrz i trzeciego, leżącego na dole, ale żaden z nich nie wyglądał ani na Edmunda, ani na Oscara, ani na Leonarda, ani na Warrena. Wiatr poruszył zasłonę, która musnęła jego twarz. Brodacz wskoczył temu drugiemu na plecy i przewrócił go w zaspę śniegu. Długowłosey wyślizgnął się spod brodacza. W ramach przeprosin brodacz otrzepał kurtkę długowłosego ze śniegu. Caleb wyjął z kieszeni nabój i położył go na parapecie. Potem następny. I jeszcze jeden. Opróżnił kieszenie i patrzył, jak bracia zmierzają w kierunku domu. Serce zabiło mu mocniej. Słyszał kroki. Buty Jessego, Amosa, Mary i Emmy wystukiwały głośno dźwięk jego imienia, gotowe do dalszej zabawy, poirytowane, że wciąż jeszcze się ukrywa, a przecież on już się poddał, wiedział, że za chwilę krzyknie i zacznie uciekać, prowokując, żeby go złapali.

- 
- <sup>1</sup> Księga Jozuego 24,15; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>2</sup> Księga Psalmów 4,2; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>3</sup> 2 Księga Kronik 14,5; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>4</sup> Ewangelia św. Łukasza 1,46; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>5</sup> Księga Przysłów 10,17; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>6</sup> Ewangelia św. Jana 20,23; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>7</sup> Księga Ezdrasza 2,18; cyt. za Biblią brzeską. W Biblii Tysiąclecia imię Jora ma postać Charif.
  - <sup>8</sup> Księga Psalmów 40,13; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>9</sup> Księga Psalmów 69,5; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>10</sup> Księga Psalmów 91,4; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>11</sup> 1 Księga Królewska 20,30; cyt. za Biblią Tysiąclecia.
  - <sup>12</sup> Księga Hioba 35,12; cyt. za Biblią Tysiąclecia.

Przekład: Jerzy Malinowski  
Redakcja: Filip Modrzejewski  
Korekta: Katarzyna Przeździecka, Katarzyna Zegarek, Zofia Sawicka

Adiustacja: Sylwia Ciuła

Projekt okładki: © Richard Ljoenes

Zdjęcia na okładce: © Monique Laguë

Skład i łamanie: Typo

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-1701-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)

i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow